



ANNA BRZEZIŃSKA

*Wody  
głębokie  
jak niebo*



**POLITYKA** poleca  
www.polityka.com.pl





ANNA BRZEZIŃSKA

*Wody  
głębokie  
jak niebo*



**POLITYKA** poleca

[www.polityka.com.pl](http://www.polityka.com.pl)

**ANNA BRZEZINSKA**

**Wody głębokie jak niebo**

## GTW

### Zyczenie

Graziano miał sześć lat, kiedy matka powiedziała mu o życzeniu. Siedzieli na pieńku tuż przy parni obłożonej świeżym mchem, a z glebi chłodnego lesnego mroku dobiegał miarowy stukot siekiery ojca. Trifone był kolodziejem, najlepszym na obu stokach góry, a może i w całym Bosco Nero, który rozciągał się aż do wielkiego morza na południu, skąd czasami przybywały kupieckie wozy. Budy kryte ciężkim płotnem nie przyjeżdżały jednak zbyt często, ponieważ niewiele rzeczy w Bosco Nero mogło zainteresować kupców. Garsci biednych osad nie starczyło nawet na to, by ktoremś z wielkich panów z dolin chciało się przysyłać poborców podatkowych. Ludzie trwali tu obok paru kierdela owiec i stad świń zylastych jak ich właściciele oraz gromady wietrzyc, lesnych bab, gnomów, streg i wilkolaków. Akurat tego talatajstwa było w Bosco Nero pod dostatkiem.

Wprawdzie Graziano nigdy nie widział żadnego z dziwnych stworów, ale jesienny zmierzch pogłębiał się i tylko ciepła matczyzna chusta z niegreplowanej wełny oddzielała chłopca od lesnych bab i upiorów. Mrok rozbrzmiewał gwarem niezrozumiałych szelestów, stuków i pohukiwań, a Graziano ze wszystkich sił pragnął, aby ojciec skończył wreszcie i poprowadził ich niemal niewidoczną już ścieżką w dół, ku wiosce. Nie osmielał się prosić głośno, gdyż rozumiał, że narzekania wcale nie pomagają ojcu. Trifone pracował w rytmie odziedziczonym po ojcu, dziadku i całej gromadzie przodków, z których każdy był kolodziejem, dumnym ze swego fachu i najlepszym na obu stokach góry. Żaden nie zaniedbał jesiennego jarmarku, na który schodzili się ludzie ze wszystkich pięciu wiosek, więc Trifone również nie odejdzie od parni, dopóki ruszt nie zapełni się najlepszym drewnem, choćby wszystkie stregi Bosco Nero próbowały odwieść go od tego zajęcia. Aby skrócić oczekiwanie, matka zaczęła opowiadać. Była wysoka kobieta o surowej, pobrużdżonej twarzy i orzechowych oczach; czasami spoglądała na syna z niepojętą zachłannością. Tamtego wieczoru jej głos był miękki i łagodny. Słowa zdawały snuć się tuż przy ziemi pokrytej warstwą butwiejących liści niczym dym z dogasającego ogniska, niemal niesłyszalne i dziwnie posepne, choć przecież smok zginał, a księżniczka o włosach złotych jak ogień obdarowała zwycięzcę życzeniem.

– To było dawno, dawno temu – mówiła matka, jej twarz wydawała się poszarzała i zmęczona pod rąbkiem chusty. – Zanim panowie pobudowali w dolinach wieże z białego kamienia i nim wyrabano pierwszy trakt pomiędzy uroczyskami Bosco Nero. Już wówczas było pięć wiosek na obu stokach góry, a samo jej serce kryło coś jeszcze. Smoka o złotych skrzydłach i zrenicy, sięgającej w głąb ludzkiej duszy, który szybował po zimowym niebie jak ognista strzała i potrafił spopielić granitową skałę

**niczym garsc slomy. Zlotego smoka tak poteznego, ze mogl pojedynczym splotem opasac cala gore, a kiedy wspinal sie na szczyt, do swego legowiska, jego brzuch zlobil w lodzie parowy szersze od dwoch wolow. Tak wlasnie bylo. Dawno, dawno temu.**

**Graziano mial szesc lat i wedle niego wszystko, nawet zeszloroczne strzyzenie owiec, wydarzylo sie dawno, dawno temu. Wolal nie ponaglac matki, ktora byla kobieta milkliwa i niezbyt wylewna, wiec obawial sie, ze jego slowa bezpowrotnie przeplosza opowiesc. Siedzial w bezruchu, rozmyslajac o zlotym smoku, a jego myśli byly lekkie i bezszelestne jak nietoperze krazace wokol parni.**

**–To trwalo dlugo, bardzo dlugo – podjela wreszcie Arianna. – Ludzie rodzili sie i marli w cieniu gory, a wielu z nich umieralo z powodu smoka, ktory byl zloty jak slonce i rownie niemilosierny. Umierali z glodu, bo pozeral stada owiec, a pola jeczmienia i gryki plonely od jego oddechu. Umierali na progu swych chat, gdy srozyl sie nad wioska, albo gleboko w trzewiach gory, kiedy usilowali zabic potwora w jego wlasnym lezu. I umierali takze z rozpaczy, poniewaz gora nalezala do smoka, a jesli smok raz spojrzy czlowiekowi w twarz, w calym ogromnym swiecie nie ma miejsca, dokad mozna sie schronic przed jego zrenica. Znal tajemnice ludzkich serc lepiej niz oni sami. I zawsze zwyciezal, czy przychodzili pojedynczo, z mieczem wykutym daleko na skraju morza, czy tez gromada, uzbrojeni w hartowane ogniem kije i palki nabijane kamieniami. Zawsze potrafil ich pokonac – ognistym oddechem, przeklętym zlotem albo obietnica. A sposrod tych wszystkich rzeczy smocze obietnice byly najbardziej niebezpieczne.**

**Arianna znow zamilkla, choc jej wargi poruszaly sie, jakby wciaz przezuwala opowiesc i slowa, ktore jeszcze nie wybrzmialy. Jej oczy byly orzechowe i dalekie.**

**–Az pewnego razu, wysoko na gorskiej lace, pasterz uslyszal piosenke, jasna jak sople zawieszona u dachu w lutowy poranek, kiedy pierwszy promien slonca budzi iskry wglebi lodu. Nie slyszal jej nigdy wczesniej, wiec gorska sciezka pobiegl za piosenka. Coraz wyzej i wyzej, a wreszcie stanal w miejscu, gdzie otwieralo sie wejście do leza smoka i gdzie nie bylo nic, procz golej skaly, poniewaz oddech smoka wypalil najdrobniejsze zdzblo. Wlasnie tam zobaczył dziewczynę – matka zapatrzyła sie w ciemnosc, a Grazianowi wydalo sie, ze siekiera ojca odezwala sie szybszym przestraszonym rytmem – dziecko prawie. Jej wlosy byly zlate jak plomien, bosc stopy bielsze od sniegu, we wlosach miala czerwony kwiat dzikiej rozy. Stala u wejścia do smoczej groty, ksiezniczka piekniejsza od wszystkich kobiet, wiec wystarczajaco piekna, aby smok zapragnal jej dla siebie i porwal ja z komnaty, ktorej okna wychodzily na morze blekitne jak niebo, daleko od Bosco Nero i podziemnych jaskin. Pasterz nie wiedzial, ze byla tez wystarczajaco madra – poniewaz w jej zylach plynela magia potezniejsza od mocy stregi i lesnej baby – aby piesnia przywolac kogos, kto zdola ja uwolnic.**

**Arianna przyciszyła głos jeszcze bardziej i jej słowa – lekkie i miękkie jak skrzydła cmy – zdawały się muskać uszy Graziana. Bał się głębiej odetchnąć, aby matka nie ocknęła się z dziwnego oczadzenia i aby już na zawsze nie pozostał w polu opowieści, z oczyma pełnymi złotowłosej czarodziejki, która stoi na ciemnej krawędzi smoczego grotu.**

**–Powietrze na szczycie góry było pełne jadu, a ziemia dygotała od smoczego oddechu, gdy księżniczka włożyła w ręce pasterza miecz wykradzony ze smoczego legowiska. Zrabowany niegdyś ze skarbca w zamczysku, z którego po napadzie smoka pozostała jedynie wypalona skorupa, miecz miał rekojesc ukształtowaną na wzór smoczego głowy z wprawionym w nią diamentem. Zanim zeszli w ciemną otchłan góry, księżniczka skaleczyła się w palec spinka do włosów i kropla krwi spłynęła na kamień, po kres wieków barwiąc go czerwienią, a ona wyszeptala nad nim trzy pojedyncze słowa. Zaklecie, które miało ich ocalić przed potęgą smoczego zrenicy. A potem zabili smoka głęboko pod ziemią, gdzie jedyną jasnością był smoczy ogień i światło jej włosów. Zabili go mieczem, który pragnął zemsty równie mocno, jak oni, i wycieli serce bestii, aby na gorze nie pozostała nawet cząstka smoczego mocy. Pochowali je w tajemnym miejscu, na skraju lasu, na rozstajnych drogach. Wraz z nim ukryli miecz, ponieważ smocza krew nie ugasila jego nienawisci i nie jest dobrze, jeśli podobna moc pozostaje w ludzkich rękach. Potem księżniczka nakryła się płaszczem utkany z ptasich piór i odleciała na południe, do zamku omywanego przez fale morza błękitnego jak niebo. Wcześniej jednak wzięła ręce pasterza w swoje dłonie, jej palce były miękkie jak płatki róży, i wypowiedziała trzy tajemne słowa, i dmuchnęła mu je w usta, aby na zawsze pozostały przy nim i jego dzieciach, poki po obu stronach góry był będzie ktoś jego krwi. A słowa były obietnicą. Obietnica, że wypełni jego życzenie – ponieważ posłuchał piosenki i zszedł w głąb góry, i uwolnił ją od smoka. Jedno, jedyne życzenie w całym jego życiu, lecz wypełnione, co do joty. Jedno, jedyne życzenie, które śpiewa w twojej krwi i które pozostanie przy tobie aż do śmierci...**

**–Tak, kobieto! – tuż nad ich głowami rozległ się szorstki głos Trifone i oboje podskoczyli z przestraszenia. – Opowiedz mi, jak twój pradziad zabił smoka i jak uwolnił księżniczkę spod jego mocy. A nie zapomnij i o tym powiedzieć, jak mu zapłacono!**

**Siekiera uderzyła znienacka i Graziano otworzył usta do krzyku. Wydało mu się, że ostrze jest wymierzone prosto w skronie matki. Jednak skreślił, jednym cięciem odlupując konar najbliższego debczaka. Trifone ociosał go z pomniejszych gałązek, bardziej ze złości niż z potrzeby, a potem rzucił na stertę bierwion. Matka siedziała z nisko pochyloną głową, jej palce, ciasno splecione na podolku, były jak węzeł korzeni.**

**–Chodźmy, kobieto – powiedział Trifone. – Mój jest zmęczony, a i tobie przyda się lepsze posłanie niż garsc zbutwiałych liści.**

Potem posadził sobie Graziana na ramieniu, na drugie zarzucił siekiere. Jego koszula przesiakła potem, wilgocia lasu i zapachem debowej kory, więc wszystko było znow jak należy, zwyczajne i oczywiste. Zanim doszli do wioski, Graziano usnął. W dwa dni później zaczęła się pora strzyżenia owiec, a kiedy dobiegła końca, ojciec zabrał Graziana na wspaniały, wielki jarmark. Przez całą niedzielę chłopiec siedział na wozie pełnym piast, szprych i kol, a wiesniacy z pięciu wiosek podchodzili i każdy chwalił sztukę Trifone kolodzieja. Pod wieczór mieli tyle miedzianych groszy, że wystarczyło na piękny pek rzemieni, pudełko gwozdzi i nowa chusta dla Arianny. Ale żaden z nich nie wspominał ni słowem o smoku z góry lub życzeniu.

Graziano jednak nie zapominał ani tej, ani innych opowieści. Choćby najnowszej o wiosnie pomoru, który nie zatrzymał się na skraju Bosco Nero, jak czynili dotąd najezdźcy, grasanci i poborcy podatków. Nie, pomor zagłębił się śmiało w mrok puszczy, przemknął na kupieckim wozie pomiędzy ociezałymi galeziami jodły i przy wesolym dźwięku pasterskiej piszczalki pokonał rwące górskie potoki. Spadł zniechęca na piec wiosek, przyczajonych po obu stronach góry, która przed wiekiem należała do smoka o złotych łuskach. I nic nie można było zrobić. I nic nie miało być już takie jak przedtem.

W każdą niedzielę matka prowadziła Graziana w cień kościelnej apsydy, ku czterem drobnym pagorkom porośniętym trawą i zieleń. Jego siostry – Elisena, Orietta, Clarabella i Berenice – umarły jednego popołudnia podczas owej chłodnej wiosny, kiedy czerwona śmierć grasowała na obu stokach góry. Stali przy nich chwilę, nasłuchując letniego brzęczenia pszczół albo zimowego krakania wron. I odchodzili bez słowa, skłaniając jedynie nieznacznie głowy przed portykiem świątyni, bo proboszcz umarł szybko po siostrach Graziana i nikt nie pojawił się na jego miejsce, aby rozkołysać kościelny dzwon.

Tylko Graziano zastanawiał się czasem, jakie też one były, te cztery siostry, których nigdy nie poznał, ponieważ urodził się rok prawie po tym, jak pogrzebano je na starym wiejskim cmentarzyku. A kiedy podrosł, pytał sam siebie, czy i one puszczały korowe łodki na strumyku i biegały po trawiastych pagórkach za stadkiem gęsi. Ciekawe, jak by to mogło być, gdyby czerwona śmierć nie uprowadziła ich w tanecznym korowodzie daleko poza krawędź Bosco Nero. Jednak przenikliwa melodia pomoru wywiodła wszystkie dzieci z wioski na zboczu smoczyczej góry. Co do jednego. Jak szczeniaki z baśni. Ale tego samego roku, nim jeszcze spadł pierwszy śnieg, urodził się Graziano.

Dziecko pomoru. Wiedział, że tak wołają go za plecami. Pamiętał, jak zeszłej wiosny ciotka Isotta, która mieszkała tuż za warsztatem Trifone, rzuciła się u studni na Ariannę. Pamiętał kredową twarz matki, stróżkę krwi spływającą powoli po jej policzku, gdzie ugodził kamień. I krzyki ciotki Isotty, która, zanim inne kobiety odciągnęły ją precz, nazwała go odmiencem i bekartem demona. Nie rozmyślał nad tym nadmiernie. Wciąż zakradał się do sadu ciotki Isotty, ale nie przyjmował już od



niej drobnych poczystunków – suszonych jablek, leszczynowych orzechów i podplomyków posmarowanych lesnym miodem. Ona też przestała go zapraszać pod okna chaty o ścianach oplecionych powojem, bluszczem i dziką różą. Czasami wychodziła na wioskowy plac w przyszarzanych wdowich sukniach, skurczona i drobna, mamroczać pod nosem gniewne, niezrozumiałe słowa. Wydawała się coraz bardziej szalona i coraz bardziej podobna do Mirtilli, zaklinaczki, która żyła samotnie na szczycie góry, w grocie niegdyś należącej do smoka.

Kiedy Graziano skończył dziesięć lat, uznał, że jest wystarczająco dorosły, aby obejrzeć miejsce, gdzie jego pradziad spotkał księżniczkę o włosach jasnych jak słońce i walczył ze smokiem, który był cały złoty. Smoka nie znalazł. Za to Mirtilla tkwiła pod zeschniętym pniem sosny ze stopami opartymi na grzbiecie laciątej świni, która, jak powiadano, była w istocie lesnym demonem, uwięzionym przez zielarkę pod postacią zwierzęcia. Starucha rozgarniała kijem kopiec na wpol zbutwiałych liści, które tliły się, dymiąc obficie, więc przez chwilę wierzył, że zdola uciec niezauważony. Nie zdążył, Mirtilla podniosła głowę, a jej oczy były ciemne i wypełnione dymem.

–Uciekaj stąd, dziecko pomoru! – zawołała nieoczekiwanie jasnym głosem. – Idź precz, dziecko smoka, tutaj nie znajdziesz swego życzenia! Ani niczego innego!

Zbiegł stromą ścieżką, oniemiał ze strachu i z krwią dudniącą glucho w gardle, słysząc za plecami gromki śmiech Mirtilli i radosne pokwikiwanie świni. Ale może tylko mu się wydawało.

Zapadł zmierzch, gdy wreszcie odnalazł znajomą ścieżkę, i pozna noc, zanim wyszedł z lasu na otwarte pole, daleko od wioski. Powietrze było chłodne, przesycone dymną wonią chwastów palonych na rzysku i rzepy pieczonej w popiele. Szedł wąską miedzą okoloną krzewami czarnego bzu i malinowymi pnączami, a zeschnięte badyle czepiały się nogawek jego spodni. Jezory lasu wciskały się tu głęboko w wykarczowaną przestrzeń i miedza ginęła pomiędzy zagajnikami olchy, brzozy i leszczyny. Wiotkie, młode gałązki smagały jego ramiona, a smugi pajęczyny osiadały na włosach i policzkach. Graziano nie widział ich. Nie widział też Lisa, który zniemacka wypadł na ścieżkę i uciekł w poplochu, zamiatając kurz rdzawym płomieniem kity, ani sów pohukujących ku niemu trwożliwie znad skraju lasu. W uszach miał jedynie słowa Mirtilli, jej ostry, wysoki krzyk, w którym nie było strachu ni zaproszenia. Ani żadnej innej z rzeczy, które nauczył się rozpoznawać w głosach sasiadek, kiedy gwarzyły z nim przy studni. Był dzieckiem urodzonym w roku czerwonej śmierci i bardzo dobrze znał głosy kobiet, u których w komorach puste kołyski zasnuwały się warstwą pyłu i gorczy.

W głosie Mirtilli nie było nic prócz szyderstwa.

Dziecko pomoru. Dziecko smoka.

Nie spostrzegł, że w zagajniku uczyniło się bardzo cicho. Dopiero, gdy ścieżka skreciła skrajem piaszczystego zlebu i wywiodła go znow na pusta przestrzeń, przystanął gwałtownie. Nie rozpoznawał tego miejsca. Za plecami miał ciemny obrys puszczy, która zdawała się odsuwać od drożki i cofać niepewnie. Owionął go przemożny zapach piolunu, dzikiego czosnku i jeszcze czegoś, czego nie umiał nazwać. Nieznana ścieżka sprowadziła go w dół, w głąb kotlinki.

Przedarł się przez zbity gąszcz glogów, czarnego bzu i dzikiej róży. Krzaki zeschniętych malin i jeżyn, tworzące wewnętrzny krąg na dnie niecki, łamały się z chrzęstem pod jego trzewnikami. A potem bardzo wyraźnie zobaczył niewielki, niemal niewidoczny pagorek poza lanem trawy, której źdźbła odchyłaly się na zewnątrz jak w jednym z owych zbożowych kregów, gdzie tancza demony. Nic więcej. Tylko pagorek u zbiegu dwóch ścieżek, które w księżycowym świetle białaly odkryta lacha piasku niczym miękkie podbrzusze smoka.

Piolun i badyle dziewanny pokrytej brunatną łuską przekwitłych kwiatów falowały lekko na szczycie pagorka, lecz powietrze było ciche i nieruchome, jakby nawet wicher nie osmielił się zapuszczać tak daleko. Graziano zrozumiał, że jest sam, że nikt oprócz niego – człowiek, czyżak, wiewiórka lub polna mysz – nie przekroczy kregu roz, malin i trawy. Wiedział, dlaczego. To było jego własne miejsce. Nie jaskinia na szczycie góry ani uroczyska pośrodku Bosco Nero, tylko ten skromny pagorek w potrójnym kregu glogów, malin i trawy. Gdzie uspione pod warstwą piasku i liśćmi piolunu spalo jego życzenie.

Kiedy przykucnął i dotknął ziemi, usłyszał je wyraźnie w martwej ciszy. Jego życzenie, wrosnięte korzeniami w serce smoka, którego zabito i pogrzebano na rozstajnych drogach. Śpiewało do niego nawet wtedy, gdy jak we śnie, jak w malignie odszedł stamtąd precz i minął sąsiedzkie chaty, płot, furtkę i drzwi domu Trifone, kolodzieja.

Jego własne życzenie utkane z matczynej opowieści i czarów.

Odtąd wymykał się w smoczą dolinę. Nie nazbyt często, bo orzechowe oczy matki zdawały się śledzić każdy jego krok, czujne i niestrudzone jak oczy smoka. Graziano nie był skryty, lecz coś podpowiadało mu, że te jedna spośród wszystkich tajemnic powinien zataić. Nie wiedział, dlaczego. Może z powodu życzenia, a może z powodu czerwonej śmierci, która wymiotła wszystkie dzieci z wioski na zboczu smoczej góry. Jednak, kiedy księżyc wisiał nisko nad polami, cieżki i ogromny, Graziano przekradał się na skraj wioski. Zdarzało się, że nie potrafił odnaleźć ścieżki, zupełnie jakby droczyła się z nim i uciekała spod stop – wówczas kluczył całą noc po obrzeżu lasu, zły i rozgoryczony. Naprawdę nigdy nie umiał zgadnąć, gdzie ją odnajdzie, czy tuż za opłotkami wioski, czy na jednej z polan, głęboko we wnętrzu Bosco Nero. Zazwyczaj szedł na oslep ku ciemnemu zarysowi smoczej góry. To ścieżka odnajdowała go prędzej czy później.

A potem siedział przy krawedzi pagorka, w nieprzeniknionej ciszy nasłuchując podziemnego szeptu. Nie, nie próbował wypowiedzieć życzenia. Nie zastanawiał się nawet, czym jest i czy kiedykolwiek zapragnie ukształtować je w słowa. Dość, że życzenie należało do niego i czekało ukryte tuż obok smoczego serca. Nie było w tym jego zasługi, rozumiał to bardzo dobrze, ale dopiero w kotłince osloniętej potrójnym kregiem bzu, malin i trawy stawał się naprawdę szczęśliwy. Cisza otulała go, przezroczysta jak wół i pełna obietnic. Miesiąc po miesiącu, rok po roku. Nic się nie zmieniał, ani drzenie srebrnych listków piolunu nad smoczym sercem, ani jesienna czerwien malin w tym dziwnym miejscu na skraju Bosco Nero. I wydawało mu się, że już zawsze będzie tak samo.

Nie było.

Miał niemal czternaście lat, jedynie najwyższe z pedów malin sięgały wyżej jego głowy. Stosowny wiek, aby powędrować ze stadem owiec w dół zboczem góry, a potem jeszcze dalej traktem przez Bosco Nero, ku jarmarkom w nadmorskich miastach. Każdy z wiesniaków wyruszał, choć raz w życiu na podobną wyprawę, zanim się ożenił i osiadł na dobre w jednej z pięciu wiosek. Trifone opowiadał synowi o napadzie zbrojczyków pośrodku nieprzebytej puszczy, o miastach, które unoszą się na nadmorskich skalach jak olbrzymie białe chmury, o kościołach, w których sklepieniu osadzono srebrne gwiazdy i słońce ze szczerego złota. A także o władcy, który rządził całym tym obcym światem z palacu większego niż targowe miasteczko u podnóża góry i otoczonego kregiem ogrodów, gdzie za wysokim murem posadzono setki rozanych krzewów i gdzie złotowłose księżniczki przeglądały się w sadzawkach z białoróżowego marmuru.

Władca miał czarną, kreconą brodę i wielki miecz uniesiony nad głową; takim w każdym razie odłano go w posagu stojącym na placu przed najświetniejszą ze swiatyn. Powiadano, że kiedyś był po prostu jednym z najemnych żołnierzy, którzy przesiadywali w nadmorskich tawernach. Nie najemnikiem, jak prostował gniewnie Trifone, ale il condottiere. I nie ma w tym żadnej hanby, wywodził synowi, choć poł miasta splonęło, gdy jego żołnierze wdarli się wreszcie przez bramy. Graziano nie sadił jednak, aby naprawdę było to możliwe: w baśniach zdarzało się wprawdzie, że syn wiesniaka zdobywał reke księżniczki, lecz żaden z nich nie spalił miasta, o którym powiadano, że jest wieczne jak góry.

Nie miał jednak tego wszystkiego zobaczyć – ani miasta, ani morza błękitnego jak niebo, ani spizowego pomnika władcy. Żaden z pasterzy nie chciał towarzystwa dziecka pomoru w wędrowce na południe. Nie, nie odmawiali wprost, kiedy Graziano zachodził do ich letnich szalasów wysoko na gorskich łąkach. Zuli zdzbla trawy, mruczeli niezrozumiałe obietnice, lecz ani jeden nie zawitał o zmierzchu do chaty Trifone kolodzieja, aby zabrać jego syna na wielką, jesienną wyprawę.

Kobiety przy studni były bardziej rozmowne, choć i one szybko milkły, gdy Arianna

**nadchodziła z dwoma glinianymi dzbanami.**

**I to od nich dowiedział się, że w żadnej z pięciu wiosek na zboczach smoczego góry nie ma pasterza, który bezpiecznie ułoży się do snu obok Graziana, dziecka czerwonej śmierci. Nie sprowadza go w dół traktem poprzez Bosco Nero. Nie zaprasza pod własny dach, gdzie jego uroczne spojrzenie może paść na jedną z ich córek, choćby najbardziej kostropatą czy chłonią, i nie podziela z nim chleba ni soli. Nigdy. Jak długo słońce będzie obracać się wokół smoczego góry. Ponieważ same narodziny Graziana były bluźnierstwem, a jego dotyk kłał powierzchnię ziemi. Dlatego właśnie nie pozwoliła mu odejść. Ponieważ Bosco Nero jest wystarczającą zaporą, aby ukryć plugastwo i uwięzić je z dala od ludzkich gościńców i miast z białego kamienia, póki nie szczytnie i nie zniknie bez śladu.**

**Miał niemal czterdzieści lat, a nie jest to wiek, w którym chłopcy wybuchają płaczem i uciekają przed gromadą starych kobiet w czarnych chustach. Jednak właśnie tak zrobił, nie zważając na krzyk gości, które rozpięzły się z łopotem białych skrzydeł. Biegł między, żółte wyschnięte trawy zdawały się chwytac go za kostki i polne kamienie wyslizgiwały się spod stop. Az wreszcie poprzez lzy, które uparcie płynęły po policzkach, spostrzegł, że jest na ścieżce. Na ścieżce prowadzącej do jego własnego miejsca, poza potrójny krąg bzu, malin i trawy, gdzie obok serca martwego smoka spalało jego życzenie.**

**Nigdy wcześniej droga nie wydała mu się równie krótka. Nigdy wcześniej nie zdołał tak szybko odnaleźć ścieżki. Nigdy wcześniej nie widział jej za dnia. Po prostu tam była, pod nawisem lesnej trawy czy w kepie wybijającej paproci. Czekała.**

**Nie zdziwił się nawet – ostatecznie to była jego ścieżka.**

**Ścieżka ku jego własnemu życzeniu.**

**Lato dobiegało kresu i krzewy malin uginały się ciężko od owoców czerwonych jak krew i równie słodkich. Graziano rozgarnął je niecierpliwie i przypadł do pagórka na rozstaju dróg. Jeśli cisza stała się jeszcze głębsza, nie usłyszał tego. W martwym, ciężkim powietrzu wyczuwał jedynie niecierpliwosć swego życzenia, które nazbyt długo spoczywało pomiędzy korzeniami piolunu i dziewanny. Przenikliwa, wibrująca obietnica sprawiła, że wyrzucił w górę ramiona i wykrzyczał je. Swoje własne życzenie. Później cisza zacisnęła się, wypełniając uszy Graziana niczym gestą, ciemna woda i unosząc echo jego słów w głąb ziemi.**

**Nie pamiętał później, co właściwie wołał, stojąc na skraju pagórka, w którym pogrzebano serce smoka. Wiedział, że była w tych słowach ciekawość białego miasta nad brzegiem morza, a także opowieść o władcy, który siedział na spizowym rumaku z nagim mieczem w dłoni, i złotowłosa księżniczka z opowieści matki. Być może jeszcze wiele innych rzeczy. Po prostu nie umiał sobie przypomnieć.**

Ocknal sie z gardlem obolalym od krzyku i oczyma pelnymi wirujacej czerni, jakby zbyt dlugo spogladal w slonce. Podmuch wichru zaszumial zeschlymi liscmi malin, przygial krzewy czarnego bzu i dzikiej rozy tak nisko, ze wydawaly sie klonic przed Grazianem niczym lan zboza. Wysoko na niebie krzyknela pustulka, a zaraz pozniej rozlegl sie jeszcze jeden krzyk. Przerazliwy krzyk mordowanej kobiety.

Najemnikow bylo niewielu. Tuzin, moze mniej. Dosyc.

Kiedy Graziano wpadl na podworze, Trifone rozlupywal glowe jednego z grasantow z ta sama dokladnoscia, z jaka przycinal debowe pniaki. Jednak od strony komorki nadbiegalo dwoch innych, a koszula ojca byla czerwona od krwi. Po sadzie nioslo sie zawodzenie ciotki Isotty. Graziano dostrzegl ja katem oka, drobna i przykurczona w ciezkich wdowich szatach, jak wczepia sie w rudobrodego mezczyzne, a jej palce, zakrzywione i podobne do szponow pustulki, siegaja ku jego oczom. Mezczyzna odepchnal ja bez wysilku i Grazianowi wydalo sie, ze slyszy jego smiech, a pozniej jeszcze jedno slowo, wypowiedziane bardziej z rozbawieniem niz gniewem:

–Suka! – Dlugi jak przedramie sztylet zanurzyl sie we wdowich sukniach ciotki Isotty.

Graziano mial wrazenie, ze oglada ich z ogromnej odleglosci, jak gdyby jakas czesc jego przepadla bezpowrotnie w kopczyku, w ktorym zakopano serce smoka. Mogl jedynie patrzec. Dzwieki omywaly go, niepojete i przycmione, a potem znikaly bez sladu. Niczym kamien wrzucony w przepastna, ciemna wode.

Siekiera Trifone znow opadla i zaglebila sie w ramie wysokiego najemnika w skorzanym kaftanie. Ojciec potrzasnal glowa z potwornym znuzeniem i kiedy tak stal na progu swojego domu nad cialami czterech martwych najemnikow, wydal sie Grazianowi podobny jednemu z owych gigantow, ktorzy dawnymi czasy wedrowali po gorskich szczytach i wygrazali poganskim bogom. Jednak wrazenie zaraz zniknelo bez sladu. Trifone rozpaczliwie szarpnal siekiera, lecz ostrze trzymalo mocno, zaklinowane miedzy koscmi. A chlopiec jedynie stal i patrzyl.

–Graziano – rozleglo sie tuz za nim.

Tak cicho, ze prawie jej nie uslyszal. Ze prawie sie do niej nie odwrocil. Jednak byla tylko jedna osoba, ktora potrafila wypowiedac jego imie w ten sposob – jak modlitwe, jak sume wszystkich pragnien i wszystkich smutkow.

Jego matka.

Dziwne, ale dopiero w tej chwili dostrzegl, jak bardzo zmalala i wyblakla przez ostatnie lata. Tylko oczy w pomarszczonej, zapadlej twarzy wciaz byly barwy orzechow. Rozchylila usta, lecz zanim wypowiedziala to slowo, wyczytal je z ruchu jej warg.

**–Zyczenie?**

**Nie zdazyl odpowiedziec. Ostrze miecza napastnika rozblysko nad glowa matki i zatoczylo krotki, oszczedny luk – elegancja tego ruchu uderzyla Graziana prosto w serce. Kropelki krwi opadly na jego koszule z niebielonego plotna jak garosc malin i banka ciszy pekla wreszcie w jego uszach, zastapiona przez cos, czego nie rozumial.**

**Pozniej jego ludzie nazwali to tetnem smoka, szalencza smocza furia, ktora ogarniala go podczas bitwy.**

**Tym razem jednak bylo zbyt pozno. Zbyt pozno, aby ocalic ktorekolwiek z bliskich, poniewaz Trifone powoli osunal sie i przyklakl na jedno kolano, ze zdumieniem spogladajac na syna. I to byla ostatnia rzecz, ktora Graziano zapamietal z tamtej walki.**

**Kiedy skonczyl, w reku wciaz mial miecz podniesiony spod plotu. I kiedy szedl przez wioske, w ktorej ani jeden z najemnikow nie pozostal zywy, wiesniacy pospiesznie kryli sie na swoich podworzach i zatrzaskiwali drewniane okiennice. Nie widzial ich. Nie widzial tez sciezki, choc tego samego ranka doprowadzila go do wzgorka na rozstajnych drogach z latwoscia, ktora byla zdrada. Teraz jednak nie potrzebowal juz sciezki, zyczenie, bowiem wiodlo go na przelaj, poprzez pole pokryte ostrym scierniskiem i kolczaste zarosla miedz. Az do trzech kregow, ktore strzegly serca smoka.**

**Pojedynczym zamachem scial piolun i wysokie slupy dziewanny, potem zaglebil ostrze w ziemi. Wydalo mu sie, ze malinowe chaszczce zaszumialy groznie, a pagorek zadrzal niczym ranne zwierze i sprobował wysunac sie spod jego stop. Ale smok byl martwy i nie mogl go powstrzymac. Nawet wtedy, gdy zelazne ostrze zlamalo sie na kamieniu. Graziano opadl na kolana nad smocza mogila, tnac ziemie wyszczerbionym brzeszczotem i drac ja pazurami, az wreszcie zobaczyl kosci.**

**Pod pagorkiem nie bylo smoka. Nawet najmniejszej luski mieniacej sie zlotem.**

**Nie mogla byc od niego wiele starsza. Drobna dziewczyna, ktorej twarz stala sie naga czaszka. Dlonie miala ciasno splecione na piersi i zacisniete wokol rekojesci miecza. Lezala na boku, skulona, z podciagnietymi nogami jak uspione dziecko. Przez jedna krociutka chwile Graziano mial wrazenie, ze slonce wydobywa z brunatnej darni zlote pasma jej wlosow. Ale to jedynie zludzenie. Nie bylo zlonych wlosow, tylko wezowy splot kregow, ktory otaczal ja niczym poszczerbiony, zebaty owal. I pojedynczy czerwony kamien, ktory polyskiwal w rekojesci miecza. Rekojesc miala ksztalt smoczej glowy.**

**–Nawet teraz nie rozumiesz – rzekla Mirtilla.**

**Zaklinaczka stala nad dolem z nareczem chrustu na plecach, wsparta na grubym**

**kiju. Graziano poderwał się, a smoczy miecz jakimś sposobem znalazł się w jego dłoni, lekki i idealnie wyważony.**

**–Mozesz mnie zabić – śpiewnie powiedziała zaklinaczka. – Och, wiem, że możesz. Możesz wiele rzeczy, dziecko smoka, jednak słowa zostały wypowiedziane i nie zdołasz powstrzymać swojego życzenia. I nie rozumiesz. Nawet teraz.**

**–Ale ty mi powiesz – odezwał się chrapliwie i poruszył mieczem tak, aby słońce zapaliło czerwone iskry w glebi klejnotu.**

**–Powiem czy zmilcze... – Mirtilla wzruszyła ramionami. – Jakież znaczenie ma to teraz? Wypowiedziałeś życzenie, synu Arianny, która uczyniła tak samo piętnaście lat temu, sprowadzając na nas czerwoną śmierć i rozpacz. Zawsze tak robimy. Na koniec ulegamy smokowi. I tracimy. Tracimy wszystko, co kochamy, ponieważ smocze życzenie jest zawsze samolubne i niesklonne do miłosierdzia.**

**–Opowiedz mi o smoku! – zazałał niecierpliwie.**

**Wargi Mirtilli wykrzywiły się w szyderczym uśmiechu.**

**–To było dawno, dawno temu. W samym sercu góry mieszkał smok o złotych łuskach. I była także księżniczka o włosach złotych jak słońce. A czasami księżniczka zmieniała się w złocistego smoka i frunęła w dół góry, ku pięciu wioskom, które należały do niej i które ogarniała smocza zrenica. – Mirtilla rozesmiała się, widząc jego przerażenie. – Właśnie tak! Smok uwieczony pod postacią dziewczyny, ponieważ ona była okrutniejsza od smoka i bardziej jeszcze szalona. Wiosniacy obawiali się jej mocniej niż śmierci, mocniej niż samego Przedwiecznego na nieboskłonach, bo była bliższa i bardziej bezduszna. I piękniejsza. Głos dziewczyny przypominał srebrne dzwoneczki, oczy zaś mieniły się wszystkimi kolorami tarczy. Kiedy więc wreszcie wiosniacy postanowili ją zabić i kiedy zranili ją w podziemnych grotach, zdołała im się wymknąć pod postacią smoka i wypelznąć na jasne słońce. Była jednak zbyt słaba, by ulecieć na niebo. Zbyt słaba, by wybuchnąć płomieniem i ukarać ich za zdradę. Mogła jedynie odmienić się w dziewczynę, w dziewczynę o włosach złotych jak ogień. Co uczyniła.**

**–Nie wierze ci.**

**–Niepotrzebna mi twoja wiara! – Mirtilla prychnęła. – Niczego od ciebie nie potrzebuje, a poza tym już wypowiedziałeś życzenie i nie możesz mnie odesłać pustą groźbą.**

**–Ale mogę cię zabić mieczem – zauważył sucho. – Tak samo jak mój pradziad zabił smoka.**

**–Twój pradziad nie dotknął go nawet! – Zielarka zaśmiała się. – Tak, głos**

ksiezniczki odnalazl pasterza pomiedzy stadem owiec, byl, bowiem zbyt tchorzliwy, by dolaczyc do tych, ktorzy poszli w glab gory na poszukiwanie smoka. Jej spiew oplotl go cienka, srebrna nicia i doprowadzil po zboczach gory az do miejsca, gdzie lezala z pasmami zlonych wlosow rozrzuconymi na szarej skale. Nawet wtedy pozostala piekna, piekniejsza od wszystkiego, co widzial w swym krotkim zyciu. Jej suknia byla sztywna od krwi i zycie uchodzilo z niej z kazdym oddechem. Wciaz jednak mogla ocalec. Potrzebowala jedynie swiezej krwi z jego owiec; krwi, wody i miesa, aby smok w niej mogl nabrac sil i odleciec. Wiec podarowala mu miecz uczyniony ze smoczego metalu i obiecala spelnic jego zyczenie. Jedno jedyne zyczenie, czymkolwiek sie okaze. Tchnela mu w twarz trzy magiczne slowa, ktore byly obietnica i smocza magia, a magia smoka jest potezniejsza od wszystkich innych. On zas przysial, ze jej nie opusci i ze przyprowadzi owce, caly kierdel, jesli to moze ja uzdrowic.

Graziano zacisnal zeby – teraz potrafil juz odgadnac koniec opowiesci. Jednak Mirtilla nie zamierzala przerwac.

–Pobiegł z boczem w dol gory, jakby sama smierc nastepowala mu na piety.

–I pozostawil ja, by umarla – powiedzial gniewnie Graziano. – Czy tak, wiedzmo?

–Nie! – Mirtilla rozesmiala sie. – Nie, dziecko pomoru. Powrocil. Powrocil do niej, kiedy slonce krylo sie za zboczem gory, czerwone i ciezkie od smoczjej krwi. Powrocil z gromada wiesniakow uzbrojonych w siekiery, noze i kije. Nie mogla sie obronic - byla tylko drobna dziewczyna o wlosach zlonych jak slonce i nie zdolala przywolac smoka. Nie potrafila sie odmienic, wiec zabili ja na szczycie gory, a potem pogrzebali na rozstajnych drogach, w tajemnym miejscu. A pasterz wraz z nia pochowal miecz, gdyz nie chcial, aby ktorykolwiek z ziomkow wiedzial o podarunku. Nie umial jednak zapomniec o zyczeniu.

–Poniewaz zyczenie bylo prawdziwe.

–Smok nie zna klamstwa. – Mirtilla zmruzyla oczy. – Nie na ludzki sposob. Smok jedynie rozumie tajemnice ludzkich serc, a jego obietnice sa niebezpieczniejsze niz ostrze miecza i bardziej smiercionosne. Dlatego pasterz nie zapomnial o zyczeniu. O swoim wlasnym zyczeniu, ktore spiewalo mu w krwi, poki wreszcie nie wypowiedzial go nad mogila smoka. Tak samo jak uczynila twoja matka. Jak czyni kazde z nas.

–Czego pragnela moja matka? – zapytal, choc zawczasu znal odpowiedz.

–Syna – Mirtilla odpowiedziala bez chwili zwloki. – Pragnela miec syna, ktory bedzie mial oczy niebieskie jak niebo i ramiona silne jak Trifone. Poniewaz kochala meza calym sercem, a zadna corka nie moze wypelnic pustki w sercu mezczyzny. Tak jej sie wydawalo. Poszla, wiec na rozstajne drogi, gdzie pochowano smoka, i



wypowiedziała życzenie, przywołując czerwoną śmierć i rozpacz. Smok dotrzymuje słowa, lecz nie jest miłosierny.

–Skąd wiesz, stara wiedźmo? Skąd tyle wiesz o smokach, życzeniach i mojej matce?

Miecz w jego dłoni zdawał się wibrować, kamień osadzony w jelcu błyszczał niczym kropla krwi.

–Ponieważ – zawahała się i pierwszy raz zobaczył w jej twarzy jeszcze coś, oprócz szyderstwa – była kiedyś dziewczyna, która miała orzechowe oczy jak Arianna i krok tak lekki, że dzidła trawy nie uginały się pod jej stopami. Tańczyła pomiędzy trzema kregami bzu, malin i trawy, wokół mogiły, gdzie jej ojciec pogrzebał dziewczynę, która była smokiem uwieczonym w ciele kobiety, a smocze życzenie szeptało do niej spod darni i korzeni piolunu. Tak długo, aż wreszcie wypowiedziała. Bo tylko w tamtym miejscu, ukrytym poza potrójnym kregiem bzu, malin i trawy, była naprawdę wolna. Nie należała do nikogo. Ani do ojca, który nie-mieszanym winem rozcienczał pamięć o złotowłosej księżniczce i o tym, jak pecherzyki krwi rozkwitały jej na wargach, kiedy zaczęły na nią spadać chłopskie palki i kije. Ani do matki, która myślała jedynie o tym, by córkę wyprawić z domu. Ani do Mattea, bednarza, który był od niej po dwakroć starszy, lecz wystarczająco zasobny, by poślubić najpiękniejszą dziewczynę z wioski. Wypowiedziała, więc życzenie – aby mogła pozostać tu na zawsze! – Mirtilla zaniósł się posepnym chrapliwym śmiechem. – A smok ją wysłuchał. Co do joty.

–Kim ty jesteś? – zapytał ze strachem Graziano. – Czy jesteś moja babka?

–Nie. – Mirtilla uniosła nieznacznie brwi. – Twoja babka była silną kobietą i nigdy nie uległa smokowi, lecz na końcu i ja udało się osiągnąć. Poprzez Arianne, która tak bardzo pragnęła syna, że sprowadziła pomor i utraciła wszystko, co kochała. Matkę, cztery córki, a także męża, bo Trifone znalazł opowieść o smoczym sercu i o życzeniu, nie potrafił jej później kochać. Utraciła wszystkich, oprócz swej szalonej ciotki, która również kiedyś wypowiedziała życzenie i która pozostanie tutaj na zawsze.

–Na zawsze? – powtórzył bezmyślnie. – Na zawsze?

–Smok nie pozwala mi umrzeć – wyjaśniła sucho. – Spętałam się własnym życzeniem, i prędzej góry się rozsypią w pył i rzeki wyschną, niżli smok zwróci mi wolność. Zna moją krew, krew człowieka, który zdradził go dotkliwiej niż wszyscy inni, a smok nie wybacza. Toteż będę tu na zawsze, strażniczka smoka i jego niewolnica. Tak długo, poki sama nie odbiorę sobie życia. Ale tego nie uczynię – uśmiechnęła się wąskimi, bladymi wargami -ponieważ wówczas smok wygrałby na dobre.

**–Nigdy więcej nie będzie smoka! – wykrzyknął Graziano, a potem unosił miecz i uderzył prosto w czołową dziewczyny, która była smakiem.**

**Kości pękła z chrząsteczką i rozsypała się na drobne, białe drzazgi. A palce Graziana pasowały do rekojesci miecza, jakby przez całe życie układały się właśnie do tego kształtu, więc uderzył jeszcze raz. Siekł i rwał kości dziewczyny, która była smakiem, potem zaś to, co zdawało się zarysem jej prawdziwej postaci – brązowe, na wpół sprochniałe kręgi i długie, wąskie kości skrzydeł. Mirtilla nie przerywała mu. Dopiero, gdy znieruchomiał, zadyszany, spytała cicho:**

**–Czy sądzisz, że to wystarczy? Że zdołasz ją powstrzymać? Miecz drgnął w jego palcach i poderwał się gwałtownie. Ostrze wibrowało nagłaco, niecierpliwie. Wydało mu się, że zna powód -brzeszczot rozpoznał smoka, lecz martwe kości nie mogły ugasić jego pragnienia. Graziano nie zamierzał jednak pozwolić, aby miecz zapanował nad nim tak samo, jak wcześniej uczynił to smok. Nie zamierzał zabić tej kobiety.**

**–Tak – powiedział, opuszczając ostrze na ostatnia z białych kości. – Sądzę, że to wystarczy. Nie będzie więcej smoka.**

**Później odszedł, choć czuł na plecach jej wzrok i wiedział, że wciąż tam stoi, z długimi siwymi włosami, w których tkwiły drobne galazki i suche malinowe liście, wsparta o słaby kostur i z wiązką chrustu na plecach.**

**Smoczy miecz śpiewał w jego dłoni.**

**\*\*\***

**W trzydziści lat później Guerrino di Bosconero, który kiedyś nosił imię Graziano, ale nie pamiętał o tym nikt, oprócz niego, stał oparty o marmurowe okno i patrzył, jak Filiberto rzuca się w niespokojnym, gorączkowym majaku. Jasne włosy chłopca były zlepione i mokre od potu, suche, rozwarte usta z wysiłkiem chwytaly powietrze.**

**Słońce zachodziło, kładąc złote cienie na spokojnych falach portu, a jego syn umierał.**

**Byli sami. Odesłał doktorów. Szarpali tylko siwe brody i umykali spojrzeniem, niezdolni nazwać choroby i ukryć strachu przed władcą, który właśnie tracił jedyne dziecko. Odprawił też służebne, księdza, a nawet Fiorelle, która sama wydawała się dzieckiem, kiedy z dłońmi złożonymi do modlitwy klęczała u posłania ich syna, drobna i złotowłosa. Nie widział jednak jej twarzy i nie sądził, aby istotnie się modliła. W swym niespełna dwudziestoletnim życiu Fiorella zdążyła się już nauczyć, że Pan nie zawsze wysłuchuje modlitw.**

**Fiorella ukloniła się przed mężem aż do ziemi i wyszła z komnaty, a jej twarz była bardzo piękna i nieruchoma jak kamea. Jak wówczas, gdy prowadził ją główna nawa**

katedry, aby uczynić ją swoją małżonką, a ludzie rzucali im pod stopy białe kwiaty. Tej samej katedry, gdzie na darmo szukała schronienia po tym, jak najemnicy Guerrina zdobywali kolejne bramy miasta jej ojca. W ciemnej sukni i welonie mniszki stała przed ołtarzem świątyni, kiedy Guerrino di Bosconero szedł ku niej pomiędzy kolumnami, i martwi świeci spoglądali na nią z troską na kamiennych obliczach. Potem kondotier jednym szarpnięciem zerwał z niej mniszy welon i jej włosy rozsypały się jak złota przedza. Była księżniczka, a córki pokonanych władców nie mogą się ukryć za klasztorną furta. Nawet przed zbrojcem własnego ojca. Nawet, jeśli bardzo tego pragną.

Jej oczy były jak południowe morze, błękitne i nieodgadnione. Czasami Guerrinowi wydawało się, że kiedyś umiałby sięgnąć pod ich powierzchnię. Gdyby spotkał ją wcześniej. Zanim minęło trzydzieści lat od dnia, gdy pewien chłopiec podniósł się z pagórka, w którym pochowano serce smoka, i szedł lesnym traktem ku nadmorskim miastom. Zanim zaciągnął się do kompanii Pasquale zwanego l'Orso, który każdej wiosny najmował się na służbę u innego księcia z białych miast Polwyspu i zdradzał go, nim nastaly mrozy, aż wreszcie padł od włóczni cisnietej przez zwyczajnego chłopca. Zanim, Guerrino poprowadził jego ludzi po zmarzniętym błocie Campo di Lupo, otwierając im drogę ku pięciu nadmorskim miastom, po jednym za każdą z wiosek, które zostawił na zboczach smoczyczej góry.

Powiodł ich aż do wielkiego placu, gdzie stał spiszowy pomnik władcy, który nie był człowiekiem nikczemnym ani małym, więc wyszedł Guerrinowi naprzeciw. Walczyli na brzegu marmurowej sadzawki, ale w przejrzystej wodzie nie odbijała się żadna z tych rzeczy, o których śpiewają pieśniarze. Był tylko siwobrody starzec w srebrnej zbroi i kondotier, który w pierwszym zwarciu rozplątał mu bok smoczym mieczem. Mieszczanie wiwatowali i rzucali kwiaty z okien kamiennych domów, zupełnie jak czterdzieści lat wcześniej. Później zaś Guerrino di Bosconero poszedł pod bramy katedry. Uderzył w nią mieczem, na którym nie obeschła jeszcze krew starego władcy, i wrota rozwarły się bez chwili zwłoki. Wszyscy na Polwyspie znali tę opowieść.

Dzisiaj nie wiedzieli jednak, że jedyny syn Guerrina di Bosconero właśnie umiera.

Filiberto poruszył się słabo i otworzył oczy. Jego wargi były popekane od gorączki, lecz uśmiechnął się do ojca i spróbował unieść głowę. Guerrino usiadł przy nim i niezgrabnie poprawił poduszki. Fiorella robiła to znacznie zreczniej, lecz w tej jednej chwili nie chciał patrzeć, jak wąskie, patrycjuszowskie nozdrza jego żony rozchylają się z odrazy, gdy ich dłonie stykają się przypadkowo nad posłaniem dziecka.

–Opowiedz mi historię – zazała chłopiec, a jego głos niemal niknął we wrzasku mew krzacych wokół wieży.

Guerrino odgarnął dziecku włosy z czoła. Usiłował sobie przypomnieć, ale żadna z

opowiesci bardow nie nalezala do tej komnaty, najwyzszej z palacowych sal. Rozkazal zaniec tu Filiberta, kiedy stalo sie juz zupełnie jasne, ze medycy nie zdolaja go ocalic. Wokol nich bylo tylko niebo i biale smugi mew, ktore wirowaly z ostrym krzykiem. Nie umial uwierzyc, ze to sie wlasnie tak konczy.

–Dzialo sie to wszystko dawno, dawno temu – powiedzial powoli. – Zanim panowie pobudowali w dolinach wieze z bialego kamienia i nim wyrabano pierwszy trakt pomiedzy uroczyskami Bosco Nero. Juz wowczas bylo piec wiosk na obu stokach gory, a w samym jej sercu bylo cos jeszcze. Smok o zlotych skrzydlach i zrenicy, siegajacej w glab ludzkiej duszy...

Wydawalo mu sie, ze z kazdym slowem oczu Filiberta staja sie coraz bardziej niebieskie, a z jego policzkow ustępuje goraczkowa czerwien, wiec opowiadal mu o zlotoluskim smoku, ktory mieszkal w glebi gory, daleko stad, i o ksiezniczce, ktorej wlosy byly zlote jak ogien. Mowil tak dlugo, ze niebo sciemnialo i w morzu zaczely sie odbijac pierwsze gwiazdy. Zupelnie jakby mogl zatrzymac Filiberta przy sobie, przynajmniej dopoki nie dokonczy opowiesci.

Jednak wlasnie tak sie stalo.

–Zyczenie? – spytal wreszcie chlopiec. – Moje wlasne zyczenie?

–Tylko twoje – odpowiedzial Guerrino di Bosconero, ktory byl ksieciem pieciu miast z bialego kamienia, lecz nie potrafil powstrzymac wiosennej goraczki.

Filiberto rozesmial sie pogodnym, dzieciecym smiechem. A pozniej je wypowiedzial. Swoje wlasne zyczenie.

Guerrino di Bosconero uslyszal jeszcze krzyki i szczek mieczy na wysokich, kreconych schodach, ktore prowadzily do komnaty w wiezy. I wiedzial wreszcie, co bylo ukryte na dnie oczu Fiorelli. A poniewaz rowniez nie byl czlowiekiem nikczemnym ani malym, wyciagnal miecz o rekojesci zwieczonej glowa smoka i stanal w drzwiach.

**Roze dla Sirocco**

Powiadaja, ze nie mozna uciec przed czarodziejem, ale Sirocco zdolala tego dokonac.

Wyszla z chaty o swicie, kiedy marmurowe kopuly Brionii ledwie jasnialy na ciemnym niebie, a paki roz nie rozchylily sie jeszcze w ogrodzie. Poczekala, az srebrne dzwoneczki u framugi znieruchomieja i umilkna. Pozniej starannie zaparla drzwi, wyrownala na oknie donice z mirtem, barwinkiem, hyzopem, lawenda i ciemiernikiem, i z fletem w dloni ruszyla ku miastu. Niewolnice, czerpiace u Porta d'Argento wode z akweduktu, na widok Sirocco nizej pochylyly sie pod ciezaem

dzbanow. Kiedy przeszła pomiędzy dwoma skrzydlatymi lwami, które wyrzeźbiono w żółtym piaskowcu, aby strzegły miasta, wydawało się jej, że słyszy, jak ich kamienne powieki rozwierają się z mozołem, a pazury zaczynają rwąć granitowe bloki traktu.

Zaklecie słabło i demony rychło ocknęły się z niewoli.

Na ulicach nie spotykała nikogo, prócz gromady wroble trzepoczących się w galeziach tamaryszków u sadzawki. Za to nad jej głową małe kamienne gargulce odrywały się od gzymsów i unosiły, swiszcząc i wirując z radości jak frygi. Podtrzymujący portyki świątyn atlanci prostowali ramiona, akroterioni przykucnięci na skrajach dachów leniwie poruszali skrzydłami, roztancerki ze zdumieniem wychylały się z reliefów fryzów. Pośrodku placu, z twarzą ukrytą w dłoniach, klęczał mosiężny pastuszek, z którego dłoni jeszcze wczoraj bila miejska fontanna. Sirocco przystanęła i przez chwilę chciała płakać razem z nim. Zamiast tego przyłożyła flet do warg i zaczęła grać pawane, powolny, żalobny lament nad miastem, które wkrótce roztopi się w promieniach słońca jak zamek ze śniegu. I nad ludźmi Brionii, którzy nie próbowali nawet uciekać przed armią, ciągnąc ku nim od strony Valle delle Lacrime, Doliny Lez, gdzie pokonano ich władce.

A także nad sobą, ponieważ była córką maga, który panował nad tym miastem.

Nikt nie zatrzymał jej na dziedzińcu ani w westybulu i swobodnie weszła do wewnętrznych komnat księcia, do jego pracowni. Tam przestała grać i przytknęła czoło do chłodnej kamiennej framugi. Wspomnienie melodii kołysało ją jeszcze chwilę, zagłuszając głosy demonów, które krzątały się ponad kopułami miasta.

Bez Alharda w pracowni było niezmiernie cicho i pusto, choć w klatkach, wolierach i na drązkach, zawieszonych wysoko pod sufitem, spalyły się ptaki jej ojca. Wielobarwne i hałasliwe pomiędzy zwojami map nieba, spisami zakleć, kodeksami, retortami, alembikami i astrolabiami, przywodziły Sirocco na myśl niezliczone demony, które mag również pozamykał w klatkach z powietrza, wody, ziemi i ognia.

Giermek, który przywiózł wieść o bitwie, nie umiał powiedzieć, co naprawdę stało się z księciem. Lecz demony, przez dziewięćdziesiąt cztery lata jego rządów wplątane w kamienne wieże miasta, w kopuły świątyn, mury, akwedukty i triumfalne łuki Tratto Principesco, wyczuli śmierć Alharda di Brionia, zanim padło pierwsze słowo o rzezi w Valle delle Lacrime. Nawet Sirocco, która nie umiała odczytać żadnej z ksiąg, piętujących się pod ścianami pracowni maga i zaskiujących wielki pulpit przy wschodnim oknie, wiedziała, że najsilniejsze z demonów, szescioskrzydli serafowie, kerubowie o lwich ciałach i trony uwolnią się i odlecą wysoko poza księżyc, zanim spęta je moc nowego władcy. Inne będą unosić się tuż ponad miastem, po latach niewoli zbyt otepiałe i senne, by odnaleźć dawne ścieżki pomiędzy gwiazdami. Najslabsze zaś pozostaną, uwięzione w marmurze, metalu czy drewnie, i będą służyć nowemu panu z tą samą przycmioną nienawiścią, z jaką wcześniej spełniały rozkazy

jej ojca.

Jesli tylko Duilio odnajdzie zaklecia.

Wlasciwie niewiele wiedziala o magu, ktory zeszlej wiosny zszedl z gor na Pianura Leodiana z zastepem demonow potezniejszych od wszystkiego, co ogladano na Polwyspie, by podbic szesc miast plaskowyzu i wywiesic ciala zwyciezonych magow na krenelazach ich wlasnych wiez. Podobno wychowal sie w glebi Monti Serpillini, w klasztorze brodatych, barbarzynskich mnichow, co na jagniecych skorach spisali wszystkie slowa swiata i porownuja je w poszukiwaniu tego, ktore zostalo wypowiedziane na samym poczatku i stworzylo swiat. Stamtad wlasnie mial przyniesc mapy nieba, niepodobne do zadnych innych, starozytne torusy, lunety i astrolabia, a przede wszystkim – umiejtnosc tropienia demonow, ktore na Polwyspie dawno juz zostaly zapomniane lub zepchniete w legende.

Jednak wiesniacy, uprawiajacy pola u podnoza szesciu pokonanych miast Pianura Leodiana, wiedzieli swoje. Jego matka, powtarzali szeptem, byla nierzadnica w jednym z portowych szynkow. Wlasna krewia przywolala inkuba, aby objawil jej skarby w ziemi ukryte, lecz ten oszukal ja i, odurzona winem, zaplodnil swym nasieniem. Bylo to rownie pewne, jak wiosenny wylew wod i letnie susze. Przeciez zwyczajny smiertelnik nie zdolalby pokonac szesciu magow Pianura Leodiana i strzaskac ich zaklec jak garsci suchych patykow.

Sirocco nie ksztalcono w sprawach czarodziejow i nie umiala rozstrzygnac, co nosi wieksze pozory prawdy. W istocie ojca tez nie znala zbyt dobrze. Alhardo di Brionia byl czlowiekiem srogim i oschlym, i nie wybaczył jej matce, ze powila dziewczynke. Poniewaz niewiasty magow rzadko rodzily synow, nie zabil naloznicy, tylko wygnal ja z palacu. Sirocco dorastala w malenkiej pustelni za murem miejskim, wsrod roz, co piely sie po wapiennych skalkach, bialych golebi oraz kozlat o szorstkiej siersci i niepokojaacych pionowych zrenicach. Szczepila winorosl, zbierala ziola pod ksiezycem w pelni, kiedy maja najwieksza moc, plywala w cieplych wodach zatoki. Wieczorami zas grala na lutni, wioli, pasterskiej syrindze i poprzecznym flecie, ktory lubila najbardziej – o zmierzchu jego glos przypominal granie swierszczy i wywabial z glebin wielkie, polyskliwe ryby, ktore wyskakiwaly ponad powierzchnie jak wrzeciona z zywego srebra.

Tylko do Brionii matka nigdy nie zabierala jej ze soba, nawet w targowy dzien, kiedy z calej okolicy sciagaly wiesniaczki z koszami fig, oliwek, sera i cebuli, a w przystani bylo gesto od rybackich lodzi. Dlatego Sirocco dlugo nie poznala zadnej z naloznic, ktore zastapily jej matke w komnatach maga, ani nie widziala palacu, strzezonego przez kamiennych wartownikow o twarzach jej ojca. Dopiero po smierci matki mnich z Monastero delle Zodiaco poprowadzil dziewczynke Tratto Principesco do siedziby wladcy. Kiedy szla u jego boku, bosy i w sukni z szorstkiej welny, po raz pierwszy wydalo sie jej, ze poprzez warstwy marmuru, drewna i metalu slyszy przyciszona,

wibrująca skarga uwiezionych demonow. Wyjawszy ze skorzanego woreczka flet, zaczęła wygrywać pojedyncze dźwięki i strzępy melodii, poki mnich nie wyrwał jej instrumentu i nie przykazał milczeć.

W sali posłuchan mag unosił jej brode.

–Jest moja – powiedział Alhardo. Miał oczy błękitne jak zatoka w letnie popołudnie. Takie same, jak Sirocco. Znamie magów. – I urodzi synów.

–Gwiazdy są tego pewne – oznajmił uroczysto staruszek w fioletowej szacie i bircie obszytym futerkiem kreta. Palacowy astrolog, jak miała się później dowiedzieć.

–Lepiej, żeby tak było – rzekł cierpko książe i na tym zakończono posłuchanie.

Później nie wzywał jej często z pustelni przy miejskim murze. Sirocco również nie tęskniła za ojcem, choć, jak jej skrupulatnie wytłumaczono, Alhardo był jednym z najpotężniejszych magów Polwyspu i od dziewięćdziesięciu czterech lat władał z Brionii północnym wybrzeżem, aż po Passo dei Lupi na krancu świata. Przelecz stanowiła krawędź ludzkiego poznania. Za nią rozciągała się jedynie dzika polać Monti Serpillini, gdzie nie mieszkał nikt prócz strąg i demonów, zbiegłych z pracowni magów, lecz wciąż niezdołnych wyzwolić się spod czterech elementów, z którymi je zmieszano. Tam też legło się ich potomstwo, dzikie, potworne rasy bezgłowych Ambarytów, Sciapodów o stopie tak olbrzymiej, że nakrywają się nią do snu i Cynocefalitów o głowach psów, którzy nocami zamieniają się w wilkolaki i zbiegają przez Passo dei Lupi ku ludzkim wioskom.

I stamtąd zszedł Duilio di Monti Serpillini, by ubiegłej nocy zabić ojca Sirocco.

\*\*\*

Malenki, rdzawy timbrador zaspiewał krotka złamana ture fletów i Sirocco ocknęła się z zamyslenia. Otworzyła na rościez oba okna i zaczęła odryglowywać woliery, uwalniać po kolei niepozorne lizardy, kosy, krogulce, kobuzy, zielone aleksandretty, czyżyki, gile, sojki, dzwonce, zieby, czeczotki, rajskie ptaki o złoto-zielonych lotkach, a także wiele, wiele innych, których nie umiała nawet nazwać. Na koncu sięgnęła do klatki pary białozorów, ulubieńców jej ojca. Nie miała karwaszów, więc pazury sokołów wbijały się jej głęboko w przedramiona, gdy, wciąż senne i otepiałe, wyrzucała ptaki w powietrze. Chwile wirowały ponad wieżą, odpedzając od okien akroterionów, marmurowe gargulce i harpie, a także wszelki magiczny drobiazg – mosiężne kolatki o głowach smoków, ogniste salamandry, zbiegłe z zamkowych lampionów, i eole, które jeszcze wczoraj śpiewały w sercach dzwonów. Wreszcie białozory zniknęły i tylko mały timbrador mocno wczepiał się pazurkami w palec Sirocco i nie chciał odlecieć.

**Na kopulach swiatyn i klasztorow kladl sie rozowawy blask slonca, nie pozostalo jej, wiec wiele czasu. W stercie ksiag, zwojow i luznych kart odszukala mapy nieba, wykreslone przez Alharda i slynnne na calym Polwyspie. Wiedza o ekliptykach zodiaku, elipsach i pelniach ksiezycy, kregach i epicyklach, a takze wzory zapisane na marginesach eleganckim nerwowym pismem jej ojca, nie mialy dla Sirocco zadnego znaczenia. Kobiety, szczegolnie te z rodu magow, nazbyt latwo ulegaly podszeptom demonow, dlatego skrupulatnie strzezono ich przed korupcja, plynaca z zakazanej wiedzy. Sirocco nie umiala odczytac zadnego z zaklec. Bardzo dobrze jednak rozumiala, ze sposrod wszystkich skarbów Brionii, Duilio bedzie pragnal jedynie atlasu nieba, tworzonego przez Alharda poprzez ostatnie stulecie i skrywajacego cala jego wiedze o sferach i orbitach niebieskich, o trajektoriach, po ktorych wedruja demony, a takze o sposobach ich przywoływania i petania materia.**

**Okrecila mapy nawoskowanym plotnem i wrzucila je do sakwy, pomiedzy kilka zeschlych zeszluszczonych jablek, owsiane placki, buklak z winem matki i ulubiony flet z jaworowego drewna. Pozniej owinela sie siwym welnianym plaszczem i wybiegla z palacu. Kiedy wedrowala pustymi ulicami miasta, kerubowie tanczyli nad jej glowa.**

**Plaskorzezby Monastero delle Zodiaco rozmyly sie i splynely na ziemie po ucieczce demonow, pozostawilyszy surowa fasade z szarego granitu. Kolatki tez nie bylo, Sirocco musiala, wiec gola dlonia zastukac w furte. Nie otwarto jej. Pomiedzy ciezкими zelaznymi sztabami przeziernika zobaczyla jedynie obrys szpiczastego kaptura.**

**–Nie dostaniesz azylu – dobiegl ja starczy glos Pietra delia Luna, przeora eremu i doradcy jej ojca. – Nic nieczystego nie ma wstepu w te mury.**

**–Chce konia. Chce najszybszego z waszych wierzchowcow.**

**–Zamierzasz uciec przed Duiliem? – Pietro zaniosl sie skrzekliwym smiechem. – Nikt nigdy nie zdolal uciec przed czarodziejem, glupia.**

**–Ale moze sprobowac.**

**Wyjechala z Brionii na bialym dzianecie i z timbradorem na ramieniu. Miasto wciaz trwalo w bezruchu. Milczaly dzwony swiatyn i klasztorow. Chlodnego powietrza nie macila won swiezego chleba, rozgrzanej oliwy czy fasoli. Nad dachami nie unosilo sie ani pasemko dymu. Za zaryglowanymi wrotami mieszczenie trwozliwie oczekiwali nadejscia Duilia i jedynie drobinki kurzu wirowaly w swietle poranka nad goscincem.**

**Sirocco nigdy nie wyjezdzała dalej niz na letnie pastwiska i nie wiedziala, dokad skierowac konia. Demony nadciagaly jednak od strony Valle delle Lacrime, popedzila, wiec nadmorskim traktem na wschod, ku pozostalym pieciu miastom Costa dei Gabbiani.**



**Za jej plecami przypory swiatyni Alharda zadygotaly, a cegly jely zsuwac sie z zebrowania, kiedy najwspanialszy z serafow Brionii rozprostowal skrzydla, dotychczas stulone w strzelisty ksztalt katedry. Demon wydal przenikliwy okrzyk triumfu i ulecial w gore. Sklepienie rozpeklo sie przed nim jak skorupka jajka.**

**\*\*\***

**Zadne z pieciu miast Costa dei Gabbiani nie otworzylo przed Sirocco bram i zrozumiala, ze na calym Polwyspie nie znajdzie maga, chetnego udzielic schronienia corce Alharda i stoczyc walke z Duiliem di Monti Serpillini. Powedrowala, wiec dalej pasterskimi sciezka, ktore niczym nagrzone sloncem biale weze wily sie pomiedzy wapiennymi skalkami, by wreszcie zginac bezpowrotnie w kepach piolunu, turzycy i niecierpka. Byla piekna dziewczyna, smukla i wiotka jakby leszczyna, o oczach pelnych blekitnego nieba, totez czasami pasterze obdarowywali ja jeczmiennym plackiem lub gomolka sera. Obozowala jednak samotnie, z dala od szalasow i gorskich przysiolkow, aby nie wiklac tych spokojnych, goscinnych ludzi w wasnie czarodziejow. Rozumiala, ze Duilio musial juz odkryc, ze uciekla i predzej czy pozniej podazy jej sladem. A demony nie bywaly litosciwe, jesli raz spuszczo je z lancucha.**

**Az pewnej letniej nocy plowe gorskie wilki rozszarpaly jej wierzchowca. Padal deszcz. Ukryta w galeziach akacji, Sirocco dlugo sluchala krzykow konia. Rankiem powedrowala dalej. Zanim zeszla w dol, ku wybrzezu, kolczaste zarosla poszarpaly jej plaszcz, a ciernie pokaleczyly stopy. O zmierzchu na brzegu zatoki znalazla rybacka lodz, wciagnieta wysoko i zaryta pomiedzy drobne biale kamienie. Kiedy mozolnie spychala ja na wode, uslyszala za plecami lekki szmer.**

**Rybak mial wytarta skorzana oponcze i ogorzala twarz, ktora pod nasunietym na twarz kapturem wydawala sie niemal czarna.**

**–Zostawilabym zaplate. – Na otwartej dloni wyciagnela ku niemu cztery blyszczace monety.**

**Miesiac wczesniej Alhardo podarowal jej na urodziny sakiewke aureusow, warta wiecej niz dwa kupieckie statki z ladunkiem wanilii, cynamonu i mirry. Sirocco wsunela trzos pod siennik, usilnie starajac sie nie myslec, co oznaczal ten dar. Alhardo nie mial zwyczaju mowic o rzeczach oczywistych – o tym, ze skonczyla pietnascie lat i przed jesienia znajdzie jej meza, aby urodzila dziecko o oczach blekitnych jak letnie niebo.**

**–To prawdziwe zloto? – W glosie rybaka nie bylo nic procz ciekawosci.**

**–Bardzo potrzebuje tej lodzi – powiedziala bezradnie, bo wszystkie bogactwa Brionii nie mialy w tym miejscu zadnego znaczenia.**

**–Ale nie tej nocy, panienko. – Wyciagnal reke ku grafitowej mgielce, ktora wisiala tuz nad woda w gardle zatoki. – Idzie sztorm. Zaprowadze cie do chaty.**

**Sirocco usiadla na burcie lodzi i wtulila glowe w ramiona.**

**–Nie moge – wyznala wreszcie. – Jestem Sirocco di Brionia i sciagne tu wszystkie demony Duilia.**

**–To jest Golfo delle Spinarello – odparl cicho rybak. – Tu nie ma demonow, ksiazat ani magow. Nic tu nie ma procz ciernika, tak nedznego, ze nie posylamy go naszemu ksieciu w darze. Nikt cie nie znajdzie. A jesli wyplyniesz tej nocy, princessino, nie dobiejesz do zadnego brzegu.**

**–Moze tak wlasnie byloby najlepiej.**

**–A moze nie.**

**Czula glod i zmeczenie, pozwolila, wiec, aby zaprowadzil ja do chaty – wykrzywionej ze starosci i tak niskiej, ze miescila sie pod nawisem kolczastych zarosli. Rybak posadzil Sirocco na jedynym zydlu. Jego zona, okutana czarna chustka i pomarszczona jak korzen wierzby, bez slowa podsunela dziewczynie miske goracej rybnej polewki.**

**–Pozwolicie, ze dla was zagram – poprosila Sirocco, kiedy glownie na palenisku zaczely wygasac. – Nie mam nic wiecej procz zlota.**

**Nie trzymala fletu w dloniach, odkad wyruszyła z miasta, ale teraz wyciagnela go z sakwy i, przymknawszy oczy, zaczela grac. Nieswiadomie, z latwoscia nabyta przez wszystkie lata, kiedy grywala w pustelni za murem Brionii, pozniej zas przy swiatynnych bramach, miejskich studniach i podcieniach kupieckich kamienic, jela wplatac w melodie przyciszone glosy cykad w wyschnietych trawach u progu, szuranie myszy pomiedzy skrzyniami, szum fal uderzajacych o biale kamienie plazy, krzyki mew i narastajacy lopot wichru ponad zatoka.**

**Muzyka zazwyczaj przynosila jej ulge, ale nie tej nocy. Dzwieki naplywaly z mrocznych katow chaty, a potem bez ostrzezenia stanely jej przed oczami marmurowe kopuly Brionii, rozowe od brzasku w tamten ostatni dzien, zanim miasto rozpadlo sie niczym dziecieca budowla z piasku. Sirocco przypomniala sobie, jak siadywala w glownej nawie swiatyni, z glowa oparta o chlodny marmur kolumny, i wydawalo sie jej, ze slyszy szepty demonow. Przypomnialo sie jej takze poranne bicie dzwonow, w ktorych zakleto glosy ponente, tivano i tramontany. Wielkie organy w katedrze Alharda, gdzie kazda piszczalka byla serafem schwytanym dla rozrywki ksiecia. Przyciszone pulsowanie serc skrzydlatych lwow. Szum deszczu w gardzielach gargulcow, mruczenie kamiennych figurek w kapitelach i pilastrach. Nawet milczenie poteznych skalnych blokow w trzech pierscieniach murow i**

bastionach Brionii. Wszystko to układało się w lament nad miastem, które było całym jej światem.

Timbrador słuchał z przekrzywioną głową.

–Kazali nam cię zatrzymać, księżniczko – odezwał się rybak, kiedy odłożyła flet. Sirocco wydawało się, że widzi na jego twarzy ślady łez. – Wczoraj do strażnicy na cyplu przyleciał ptak z posłaniem od księcia. Rozkazano nam zatrzymać dziewczynę, która zejdzie z gór i spróbuje przepłynąć zatokę.

–Mieliscie mnie zabić?

–Nie. – Starzec potrząsnął głową. – Księżę zamierzał cię podarować. Komus, kto przybędzie rankiem.

–Więc muszę się spieszyć. – Sirocco ze znużeniem podniosła się z ziemi i wyszła z chaty.

\*\*\*

Kiedy spychała łódź na wodę, na niebie świeciły Cavallo Marino, Vecchio i Unicornio. Sirocco nigdy wcześniej nie trzymała w dłoniach wiosła, choć czasami Alhardo przysyłał po nią niewolników i gondola w czarno-złoty barwach wiozła ją na jedną z wysp, do letniego pałacu maga. Dziewczyna usiadła na dnie łodzi i niezgrabnie rozgarniała fale. Woda w zatoce była spokojna i Sirocco miała wrażenie, że płynie przez jezioro srebra. Dopiero z brzaskiem podniósł się wicher i zaczął żywiej popychać łódź ku otwartemu morzu. Z początku Sirocco ucieszyła się, bo dłoń miała otarte do krwi. A zaraz później timbrador rozkrzyczał się w niespokojnych dzwoneczkach i turkotach.

Spojrzała za siebie. Nad zatoką niebo rozjaśniło się już i pobladło, lecz w oddali, nad wysoką krawędzią skał klebiły się granatowe, niemal czarne chmury. Bezwiednie sięgnęła ku sakwie przytroczonej do pleców. Alhardo jeden raz wypuścił przy niej demony wicherów. Posel Ferruccio di Colle dei Colchici, siwowłosy brodaty starzec w mnisiem habicie, który nigdy wcześniej nie widział morza i nie przeczuwał mocy wibrującej w kamieniach Brionii, wypowiedział kilka głupich przechwalek o potęgę swego pana. Alhardo bez słowa skinął na sługę, po czym podniósł się z tronu i wyszedł na taras. Cały dwór – posłowie, doradcy, nałożnice, karły i muzykanci – podążył za nim. Kiedy sługa wrócił, Sirocco rozpoznała w jego dłoniach Sacco di Eolo, legendarny worek z koziej skóry, w którym zamknięto najpotężniejsze demony wicherów. Alhardo pociągnął za rzemień i wiatry wydoستاły się z więzienia w wyjąłym, spletanym klebie mroku.

Tamtego dnia morze było spokojne i na zatoce unosiły się dziesiątki łodzi. Ociezale kupieckie galery kołysały się w porcie, jasne zagłę powracających z łowisk barkasów

polyskiwały w słońcu, wzdłuż nabrzeżnych wapiennych skałek sunęły gondole zasobnych mieszczan. Alhardo po prostu wyciągnął reke, splatając wichry w jeden potężny bicz, i smagnął nim tafle wody. Sirocco dojrzała tylko huczący ciemny słup i roztoczony wir demonów tuż ponad masztami barkasów. Nie zdążyła nawet krzyknąć. Kropelki wody padły jej na twarz, piasek sypnął w oczy.

Gdy w chwili później mag zawiązał worek, fale były znowu spokojne. I puste. Podobnie jak oczy posła Ferruccia, kiedy wreszcie zrozumiał, że można wypuścić równie potężne moce na swobodę dla zabawy. Dla gestu, olśniewającego w swej okrutnej, bezsensownej rozrzutności.

Każdego demona można wysledzić, przywołać, spętać zakleciem i zmusić do posłuszeństwa. Po trzykroć, nigdy zaś więcej, gdyż przy czwartej próbie zwróci się przeciwko panu lub uleci ponad księżyc. Dlatego magowie zazdrośnie strzegli swych map, zakleć oraz wyliczeń – i nigdy nie uwalniali demonów dla blahostki. Wszyscy, poza Alhardem di Brionia, który tamtego letniego popołudnia pokazał, że ograniczenia są mu zupełnie obojętne.

Uwolnił je jeszcze raz. Wyprysły spomiędzy jego palców struga srebra, fioletu, umbry i indygo, granatu, purpury, ugru i palonej sjeny. Zawirowały ponad zatoką, powaliły latarnie strzegące wejścia do portu i kamienny most u stop pałacowego wzgórza. A potem Alhardo przywołał je na nowo, skrepił zakleciem i zamknął w sakwie z kozłej skóry.

Pod krawędzią kaptura oblicze posła Ferruccia było szare jak popioł.

I wtedy Alhardo zrobił jeszcze coś w owym niesamowitym, niedbale sposobem, który nieodmiennie przejmował Sirocco groza. Rozwiązał worek po raz trzeci, ostatecznie uwalniając demony spod swej mocy, i zamarł, z ramionami szeroko rozrzuconymi ponad balustradą tarasu.

Triumfalna pieśń wichrow uderzyła w Sirocco głosami flazoletów, ligawek, czuryng, rogów, szofarów, świstawek i bazun. Uwolnione wiatry uniosły się jak mroczna smuga dymu, coraz wyżej i wyżej, aż wreszcie stały się jedynie ciemna plama na słońcu i niemal przestała je słyszeć. Tyle że demony nie zwykły spokojnie odchodzić i rychło sponad kopul Brionii rozszedł się nowy dźwięk – posepne brzmienie pomortów, których na Polwyspie dobywano jedynie w najdłuższą noc w roku, by oplakiwać odejście Najwyższego. Lecz zanim Sirocco uniosła głowę, demony runęły ku magowi.

Podmuchał wichrow rzucił ją na kolumnę. Alhardo di Brionia trwał nieporuszenie w swym płaszczu koloru ultramaryny aż do ostatniej chwili, kiedy w tumanach pyłu, drobinek wody i mgły Sirocco zaczęła odznaczać kontury demonich twarzy i ust, rozwarte, gotowe pochłonąć wszystko na swej drodze. Dopiero wówczas

wypowiedział kilka przyciszonych słów i tuman wichrow rozdarł się przed nim jak zetłale płotno. Mag wyjmował z niego demony, nitkę po nitce, wiązał je na nowo i petał zakleciem, którego nie słyszano nigdy wcześniej. Nikt ze zgromadzonych na tarasie nie zdołałby go powtórzyć, choć przez moment nawet marmurowe trzony kolumn wibrowały tembrem głosu Alharda.

Sirocco miała nadzieję, że po smieci maga przynajmniej niektóre z wichrow zdołały wyrwać się z Sacco di Eolo i odlecieć nad księżyc. Ale teraz rozpoznawała ponad wodami Golfo delle Spinarello pieszczalki ich głosów i rysy, nakreślone sepia i sadza na powierzchni zawiei. I pamiętała jeszcze coś. Ultramarynowy błękit płaszcza. Barwę, która na całym Polwyspie przynależała jedynie księżetom-magom i której drobny strzep jaśniał teraz ponad poszarpanym brzegiem zatoki.

Duilio di Monti Serpillini.

Jakimś sposobem wiedziała, że to właśnie on. Nikt inny. Żaden z magow-wygnanców, przyczajonych w kamiennych wieżach i na wpol zmurszałych pirackich warowniach, ani nawet miejscowy książe z zastępem pomniejszych mocy.

Tymczasem demony bryzy leniwie zataczały wokół łodzi pierwsze kregi. Mag nie spuścił jeszcze wichrow z uwięzi, ale ich palce zostawiały na powierzchni wody drobne, spienione ślady. Rychło nadleciały następne. Eteże łapczywie oblizal twarz dziewczyny, murrłan potargal jej włosy i zalał twarz słoną morską wodą. Na samym końcu nadciągnął sirocco, jej imiennik, niosąc won piolunu i pył znad wszystkich pustyn świata.

Fale zawrzały jak wywar stregi, gdy demony tancyły ponad zatoką z hukiem, wyciem i poswistywaniem. Niecierpliwily się. Na darmo. Czarnoksięznik wciąż nie dawał znaku. W rozbryzgach piany, krzyżujących się nad rufą łodzi, Sirocco widziała, że stoi nad krawędzią skały, a jego ultramarynowy płaszcz łopocze w oddechu demonów.

Maly, rdzawy ptaszek poruszył się pod jej oponczką i nim Sirocco zdołała stulic polę, wyprysnął w gore. Przez wycie demonów przebił się nagle wysoki, czysty głos kanarka. Pierwszy trzask był jak dźwięk srebrnych dzwoneczków u drzwi jej domu, a potem śpiew wyostrzył się, wznosił jeszcze wyżej w szoklach i turkotach, aż lzy napłynęły jej do oczu.

Przez jedną krótką chwilę timbrador rzucał wyzwanie Duiliowi i wszystkim demonom z jego zastępu. Potem rozjątrzone wichry stłumiły go i uniosły z poswistem.

–Nie! – zawołała Sirocco. – Nie dostaniesz go! Nie powinieneś go dostać!

Podmuchał ją na kolana. Upadła, kalecząc dłonie o resztki wiosła. Woda zalała jej usta i oczy, a kiedy opadła, nad zatoką znów było cicho; tylko przerażone rybitwy

**z krzykiem krazyły ponad skałkami. Demony zniknęły, na przeciwnym brzegu Sirocco nie dostrzegła już ultramarynowego płaszcza maga.**

**Nie wiedziała, dlaczego odszedł. Dlaczego jej nie pochwycił.**

**Timbrador opadł na dno łodzi. Wzięła go w dłonie, krwawiące i śliskie od morskiej wody, lecz nie zdołała rozgrzać własnym ciepłem. Jego serce kolatało coraz słabiej, a kiedy dziób łodzi wbił się w szary morski żwir, uderzyło mocniej raz jeszcze i zamarło.**

**Sirocco wygrzebała płytki dol obok uschniętej oliwki, owinęła ptaka w kawałek własnego płaszcza i przykryła kamieniami. Potem przytroczyła do pleców sakwę z atlasem nieba i, nie spoglądając za siebie, wspięła się spadzistą ścieżką na szczyt góry, byle dalej od miejsca, gdzie demony Duillia zdołały ją wytropić i gdzie oglądała go po raz pierwszy.**

**Podążyła w górę strumienia. Kiedy rozgaleził się po drugiej stronie góry, pozwoliła, by południowy dopływ poprowadził ją w las karłowatych sosen i pinii. Odtąd wędrowała nocami. Powietrze było chłodne i przejrzyste, mrok chronił ją przed wzrokiem demonów. A w każdym razie tak jej się zdawało.**

**Wreszcie las skończył się na zboczu bezimiennej góry, choć jeszcze kilka dni później Sirocco natykała się na kępy kasztanów i samotne sosny o poskrecanych, rdzawych pniach. Strumyk zmienił się w struzkę, na koniec zaś zniknął pod potężnym glazem i nie pojawił się więcej. Kilka następnych dni przebijala się przez gestwe mirtów i wawrzynów, splecionych, bezlistnych i spieczonych zarem. A kiedy woda w bukłaku zaczęła się kończyć, ze szczytu góry zobaczyła morze i most nad Abisso delle Ondine.**

**I wtedy pierwszy raz pomyślała, że niedługo nie będzie już miała, dokąd uciekać.**

**\*\*\***

**O zmierzchu zeszła na brzeg. Owinęła się oponczką i nasunęła na twarz kaptur, ale na moście nie dostrzegła Duillia di Monti Serpillini i jego demonów. Wszystko wyglądało zupełnie zwyczajnie. Poganiacze pokrzykiwali sennie na gromadkę osłów o brunatnych grzbietach. Staruszka w płaszczu z morskiej trawy odpoczywała obok kosza chrustu, ciężko wsparta na kosturze. Celnik siedział na płaskim kamieniu przy wejściu na most i obojętnie zszywał dratwę cholewy buta. Jak gdyby był to zwyczajny wiejski most, przerzucony nad strugą w drodze na pastwisko.**

**Zawsze pragnęła zobaczyć ów most nad Abisso delle Ondine, glebia, która sięga aż do samego środka ziemi. Dawno, dawno temu pewien mag uwięził w skalnej kolysce na dnie glebi demony ognia, po czym zatopił je morskimi falami. Mówiono, że w zimowe noce duchy wciąż usiłują się uwolnić, a glebia metnieje wówczas i burzy się**

niby mleczna polewka. Rybacy nawet w bezwietrzna pogodzie niechętnie zapuszczali się na wody cieśniny, zresztą ryb nigdy nie bywało w niej w nadmiarze, wolały się trzymać poszarpanych skałek u brzegu.

Wreszcie po drugiej stronie glebi otwarto kopalnię srebra. Kilka miesięcy muly wnosily urobek gorskimi sciezkami w gore przesmyku, gdzie rybacy nie bali się już zaklętych demonów. Potem zniecierpliwieni panowie sprowadzili na pomoc maga, Ugo di Monteverde, placac mu w srebrze trzykrotnosc tego, co wazyl konno i w paradnej zbroi.

Ugo dwa dni i dwie noce snul zaklecia. Bez chwili wytchnienia splatal demony ze skala, zelazem i drewnem debow, ktore wycieto daleko w lasach Monti Serpillini i splawiono morzem az do brzegu Abisso delle Ondine. Kiedy o swicie trzeciego dnia most byl gotow, Ugo nacial swe ramie srebrnym sztyletem maga. Krew sciekla na debowe bale, a potem wniknela glebiej, by poprzez drewno, kamien i zelazo siegnac az do samej esencji demonow, polaczyc się z nimi bez reszty i nieodwracalnie.

Kiedy Sirocco patrzyła na glebie poprzez fioletowy zmierzch, most przypominal wyschnieta, krucha galazke tamaryszku, przerzucona ponad otchlania. W istocie nie byl niczym wiecej niz waska kladka, bez rzezb i masywnych przypor, jedynie z dwoma pasmami konopnych lin, rozpietych po bokach dla latwiejszej przeprawy.

O Abisso delle Ondine powiadano, że nigdy nie wypuszcza zdobyczy i nawet wodnice nie potrafia siegnac jej dna i wynurzac się na nowo. Ugo tez musial zaplacic, bo zaden mag, nawet najbardziej potezny, nie moze bezkarnie dzielic krwi z demonem. Cena za podobna magie byla tak wysoka, że Alhardo wolal, aby kopuly Brionii rozpadly się i runely w chwili jego smierci.

Na skalnym wystepie ponad przepascia rosl rozany krzak. Watle galazki z mozolem wczepialy się w glaz, nieliczne liscie skrecily się i zbrunatnialy od bryzgow slonej piany. Sirocco znalazla jednak pojedynczy kwiat, nierozwiniety jeszcze, o ciasno stulonych platkach. Zerwala go ostroznie i zatknela pomiedzy krawedz kaptura i wlosy.

Staruszka w plaszczu z morskiej trawy podniosla glowe i spojrzala na dziewczynne oczami o zielono-zlotych teczowkach kota.

–Pozwolicie, że ulze waszemu brzemieniu, matko. – Sirocco pochytila się, umocowala na czole i ramionach rzemienie pod trzymujace kosz chrustu.

Sakwa z mapami nieba zsunela się z jej plecow. Stara bez slowa podniosla wor z kozlej skory, a potem razem weszly na most.

W nadmorskich krzewach ptaki ukladaly się do snu, pokrzykujac jeszcze z rzadka. Po przeciwnej stronie cieśniny migotaly slabo latarnie, rozwieszzone na palach u

bramy wioski. Nad mostem wisiała nieznaczną mgiełka, a pomiędzy drewnianych bali bił chłód, dotkliwszy z każdym krokiem. Pośrodku Sirocco przystanęła i spojrzała w czarne wody cieśniny.

–Ja też mogę ulżyć twojemu brzemieniu, dziecko – staruszka przemówiła chropowatym głosem. – Żadne demony nie sięgną dna tej otchłani.

Trzymała sakwę z kozłej skóry oburącz, tuż przy piersi.

–A co ze mną? – spytała Sirocco. – Wiesz, że nie można uciec przed czarodziejem.

–Ale można się zatrzymać! – wykrzyknęła kobieta w płaszczu z morskiej trawy. – Bo już niewiele znajdziesz za przesmykiem, dziecko. Tuzin kamienistych splachci i morze. Nic więcej!

–Wiem, kim jesteś – rzekła cicho Sirocco, która nigdy wcześniej nie oglądała stregi.

Na ulicach Brionii kamienowano je z rozkazu księcia.

–Mam krytą sitowiem chatę daleko od wioski. Gaj oliwny, kilka winnych krzewów na stoku góry i trzy lacięte kozy, które dają mleko na sery. I tak – zaśmiała się skrzekliwie – mam też kamienną misę na baranie jelito, w których widzę przyszłość. I kocioł do warzenia naparu z czarnej iwy oraz zabiego śluzu, co spędza plód i zatrąwa rzeki. Ale potrafię znacznie więcej! – Potrząsnęła głową i długie siwe włosy rozsypały się jej na ramionach. – Duchy powietrza, mgły i mroku siadają na moim progu, a czasami, kiedy noc jest wystarczająco głęboka, zabierają mnie ze sobą w miejsca, których nie oglądał żaden z magów. Pozwalają mi czerpać ze swojej mocy, dotykać się i poznawać na dziesięć tysięcy sposobów. Nie masz pojęcia, czym jestem, Sirocco di Brionia. Nie masz nawet pojęcia.

Dziewczyna cofnęła się o krok, aż na sam skraj mostu. Konopna lina zatrzeszczała za jej plecami.

–Jak mnie rozpoznałaś?

–Świecisz w mroku – odparła po prostu strega. – Jak pochodnia. Zostan ze mną, Sirocco. Pokażę ci dworce, utkane z dymu i ognia, i kamienne lasy pod kopalniami srebra. Zostan.

–Chcesz map mojego ojca?

–Nie umiałabym ich odczytać, głupia! – parsknęła strega. – Co mi po mapach, skoro wystarczy piec kropel krwi w kamiennej misie, aby demony zbiegły się jak bezpanskie koty do mleka? Nie muszę ich petać. Ciebie też nie zamierzam. Nie ja. I nie Abisso delle Ondine. – Odwróciła się i powoli poszła dalej. – Zostaw jej coś w



**darze – rzuciła przez ramię. – Jest lapczywa i zmienna.**

**Ponieważ nie miała nic, oprócz fletu i atlasu nieba, Sirocco wyjęła z włosów roze. Drobne, białe płatki przesywały się przez palce i, wirując, opadły w dół.**

**–Naprawdę możesz zostać – odezwała się na drugim brzegu stręga. – Oddaj glebi mapy nieba, a zasłonię cię przed wzrokiem Duilia.**

**Sirocco bez słowa położyła na ziemi kosz chrustu. Stara kobieta karcaco pokreciła głową i podała jej sakwę z kozłej skóry.**

**–Podaruję ci jeden dzień – rzekła. – To moja ziemia i nie chce, aby demony Duilia spustoszyły ją do cna. Lecz nie zwlekaj. O zmierzchu lamie i leukroty puszczą się twoim śladem i poscig nie potrwa długo.**

**Uderzyła kosturem w ścieżkę. Chmura gorzkiego pyłu otoczyła dziewczynę. Kiedy opadła, stręga zniknęła. Tylko od strony wioski niesło się psie ujadanie.**

**\*\*\***

**Sirocco biegła całą noc. O poranku na ścieżkę wyszli pastuszkowie ze stadami krzyworogich owiec i koz o szarej, szorstkiej sierści, niewiasty z glinianymi dzbanami i misami prosa, gornicy w skorzanych kapeluszach i z kilofami na ramieniu, a także przekupnie prowadzący na targ krepę, objuczone tobołami osiołki. Z początku Sirocco nie odpowiadała na ich pozdrowienia, naciągając tylko głębiej na twarz kaptur oponczy. Jednak wiesniacy przyglądali się jej podejrzliwie i wrogo, gdyż przesmyk był wąski i niewielu obcych mogło przejść go niezauważenie. Wreszcie w południe dziewczyna wczłgała się w jamę pod korzeniami starego dębu i podłożyła pod głowę worek z kozłej skóry. Kiedy upał zelzał nieco, obudziły ją pokwikowania świń, ryjących w darni, i głosy kosiarzy na pobliskiej łące. Otrzepała płaszcz z ziemi i prochna, splotła włosy i pobiegła dalej.**

**O zachodzie słońca wsiadła na prom w gromadzie poganiaczy mulow. Na powierzchni morza unosiła się purpurowa piana, znak, że niedługo dotrze do końca świata, gdzie biją źródła wszystkich oceanów i gdzie przed wiekami zatopiono ciała martwych gigantów. Z chrusciny na brzegu wychylały się lamie o wezowych, pokrytych łuską grzbietach, a w ich sykach dało się usłyszeć jedno imię – "Sirocco".**

**Nie zatrzymując się, przebyła Arcipelago delia Rugiada Rossa. Jego nieliczni mieszkańcy mieli później układać pieśni o jasnowłosej dziewczynie, która, z sakwą z kozłej skóry na plecach, w dziewięć dni przebiegła dziewięć wysp archipelagu. Opowiadano, jak w zatoce Estrene otoczyło ją stado cetusów – przedziwnych morskich bestii o ciałach delfinów, rozwidlonych ogonach i pyskach ogarów – i o tym, jak córka maga ulagodziła ją muzyka fletu. O spotkaniu z mantikora, która położyła się u jej stóp i w nocy ogrzewała ją własnym oddechem. O tym, jak morscy**

rozbojnicy uwiezili Sirocco w grocie, ale w nocy obciela wlosy, powiazala nimi deski z roztrzaskanych okretow i na tratwie odpłynela podziemnym strumieniem. O jej przewodnikach – starcach, wypasajacych owce na podwodnych lakach pomiedzy wyspami, i hipocentaurach, ktore znaja kazda z tajemnych gorskich sciezek. Mowiono jeszcze o wielu innych cudach. Niektore wydarzyly sie naprawde, poniewaz archipelag byl wowczas mlody i niejedno dziwo trwalo przyuczajone na wysokich lakach, gdzie latem słońce wypala trawe az do skaly, czy w zatoczkach porosnietych gestwa kolczastych krzewow.

Wreszcie Sirocco dotarla na Isola delia Fine del Mondo. Wowczas zwolnila.

To byla ostatnia z wysp, bezludna i martwa; podobno ten splachetek skaly uczyniono z kosci gigantow, ktorzy kiedys zbuntowali sie przeciwko potedze magow z Polwyspu. Plaza byla czerwona od zaschnietej piany. Pojedyncza drozka wila sie w gore pomiedzy rumowiskiem glazow, obroslych kepami zeschlej trawy i jezorami brunatnych porostow. Sirocco nie dojrzala tu stad koz w nieustannej wedrowce po stromych zboczach ani nagrzanym słońcem szarych jaszczurek, ktore zwykle pryskaly jej spod trzewikow. Nie slyszala nawet glosu morskich ptakow od strony morza. Tylko zeszkłone, rozgrzane powietrze wyciskalo jej lzy z oczu.

Wyspa nie byla rozlegla i minelo niewiele czasu, a Sirocco wspielala sie na najwyzsza skale. Tuz za krawedzia urwiska zobaczyla Mare Ultimo, wzburzone, pokryte szumowina rdzawej piany, i pojela, ze wedrowka dobiegla kresu. Jednak, kiedy przymknela oczy, pod jej powiekami przesuwalo sie piec marmurowych miast na Costa dei Gabbiani, Golfo delle Spinarello, Abisso delle Ondine i wszystkie wyspy Arcipelago delia Rugiada Rossa. A gdy odkorkowala bukłak i skosztowala wina sporzadzonego ze szczepu z winnicy jej matki, przypomniala sobie rowniez jasne kopuly palacu i dzwiek dzwonow, w ktorych sercach zamknieto glosy eoli. Nie sadzila, aby cokolwiek pozostalo z Brionii, bo jej ojciec zanadto cenil dlugie zycie, by rozlac wlasna krew i spetac demony zakleciem zdolnym przetrwac jego smierc. Nie sadzila tez, aby pomimo calej tej wloczegi udalo sie jej ocalic cokolwiek z marmurowej i przejrzystej wspanialosci miasta Alharda. Gdzies, bowiem na skalistych sciezках Costa dei Gabbiani i nad Abisso delle Ondine jej naiwna wiara, ze mozna uciec przed czarodziejem, jela nikt i rozwiewac sie bez sladu.

Ale mogla zrobic jeszcze jedna rzecz. Skoro słońce opadlo az do krawedzi morza, w ktorym zatopiono martwych gigantow, rozpostarla na kolanach zbior map swego ojca. Wyjela wizerunek Cavallo Marino i dlugo wodzila palcem po zakleciach nakreslonych obok gwiazdozbioru szybkim, eleganckim pismem Alharda. Pozniej skrzesala ogien, podpalila karte i sponad urwiska patrzyla, jak poczernialy plat pergaminu, wirujac, opada ku falom Mare Ultimo. Pociagnela kolejny lyk wina i podpalila Unicorno, na ktorego rogu polyskuje Stella Luminosa, przewodniczka zeglarzy. A potem l'Uccello di Fuoco, Ventaglio di Euridice i Treccia dei Venti, gdzie drobna srebrna kreska nakreslono tor demona, ktorego nie zdolal spetac nikt przed

jej ojcem. Sirocco, ktorego Alhardo uczynil najokrutniejszym z wichrow, a pozniej nadal jego imie swojej corce.

Zastanawiala sie, czy przeszlo mu kiedykolwiek przez mysl, ze moze sie zdarzyc i tak, iz pewnego dnia inny mag zwroci sirocco przeciwko jego corce. Najpewniej nie uczyniloby to Alhardowi wielkiej roznicy, byl, bowiem przebiegly i zapobiegliwy, ale jego jedyna miloscia pozostalo miasto unoszace sie nad zatoka jak potezna, biala chmura i stwarzane wciaz od nowa przez dziewiecdziesiat cztery lata jego panowania. Od corki pragnal wylacznie syna, blekitnookiego dziecka swej krwi, aby mogl zanurzyc sie w jego magii, wysaczyc ja do ostatniej kropli i przez kolejne pokolenie spogladac, jak jasne kopuly Brionii rozowieja w swietle jutrzejki. Tak samo jak zrobil wczesniej. Tak czynili wszyscy magowie Polwyspu, jesli ich magia byla wystarczajaco silna i nie chcieli umrzec.

Sirocco nie wiedziala, jaki z woli Alharda czekal ja los, gdy juz urodzi syna, ale nigdy dotad nie przeszlo jej przez mysl, ze moglaby sie przeciwko niemu zbuntowac. Starala sie po prostu nie rozmyslac o jesieni, kiedy ojciec poprowadzi ja nawa katedry pomiedzy rzedem kolumn, ktore w istocie byly zebrami serafa, i podaruje jednemu z panow Polwyspu. Nalezala do Alharda – jak marmurowe palace Brionii, demony wichrow, goncze psy i para bialozorow, ktore dla jego zabawy wykluwaly oczy niewolnikom. W przyszlosci wedle kaprysu mogl ja odebrac mezowi i przywolac do siebie, otoczyc oddechem keruba i zamknac w jednej z podziemnych komnat, gdzie nie siega czas. Bezwolna, snilaby w ramionach demona, poki Alhardo nie zestarzeje sie na nowo i nie zapragnie kolejnego chlopca swej krwi. Mogl uczynic, co zechce. I tak czynil.

Az na koniec pozwolil, aby zabito go w Valle delle Lacrime, i zostawil ja sama.

Dopiero na brzegu Isola delia Fine del Mondo zdolala nad nim zaplakac, choc jeszcze nie lzami. Wyjela flet z jaworowego drewna i pozwolila, aby melodia rozkolysala sie w tej samej pawanie, ktora zagrala na pozegnanie Brionii, zanim jej mury rozsypaly sie i zmienily w garsc morskiego piasku. Nic wiecej nie umiala dodac. Nic wiecej nie wiedziala o magu, ktory byl jej ojcem.

A potem sie odwrocila.

\*\*\*

Nie byl od niej wiele starszy. Stal na skraju sciezki. Plaszcz koloru ultramaryny mial zwiniety i przerzucony przez ramie, a oczy – granatowe od magii jak Abisso delle Ondine.

Poderwala sie z ziemi, chwytajac resztki atlasu nieba, i cofnela ku krawedzi skaly.

–Nie – odezwal sie cicho Duilio di Monti Serpillini.

Nie umiała zgadnąć, jak długo stał tam, słuchając jej fletu. Z pewnością dosyć, by przywołać demony wiatrów, które pochwyciłyby ją i uniosły ponad urwiskiem. Ale nie zrobił tego.

–Jednak zdołałaś mnie dosięgnąć – powiedziała.

Proste stwierdzenie faktu. Nic więcej.

–Dosięgnąłem cie w Golfo delle Spinarello – odparł. – Demony nie gubią śladu.

Dopiero po chwili zrozumiała, co powiedział. I wtedy przeraziła się naprawdę, bo była córką Alharda di Brionia i wiedziała wystarczająco wiele o zabawach magów.

–Dlaczego więc szedłeś za mną przez te wszystkie dni? – zapytała, przyciskając do piersi zwitek pergaminów. – Z powodu map mojego ojca?

–Nie.

–Nie wierze.

Duilio jedynie się roześmiał przytłumionym, miłym śmiechem.

Przypomniała sobie, że tak samo śmiał się Alhardo, kiedy strażnicy przyprowadzili mu Giudittę, ciemnowłosa nałoznicę, która mieszkała w południowym skrzydle palacu, poki nie pochwyciono jej w ogrodach z książecym dworzaniem. Mag podał Giudittę reke i łagodnie powiodł na podium, ku wysokiemu krzesłu z rozanego drewna, gdzie zasiadała obok niego podczas uczt, przyjęć i posłuchan. Nikt nie osmielił się odezwać. Kiedy usiadła, Alhardo z czułością pogładził ją po policzku i roztarł w palcach pojedynczą łzę.

Sirocco zdołała jeszcze zobaczyć, jak na twarzy nałoznicy pojawia się desperacka nadzieja. Zaraz jednak znikła, wymieciona przez meczarnię, gdyż rozane drewno wybuchło wokół Giuditty setkami pedów. Zanim wydała pierwszy krzyk udreki, drobne, kolczaste pnacze oplotły jej twarz, przekłuly język, spętały ramiona i kibic. Ciało księżniczki kochanki wypreżyło się i wygięło w łuk. Ktoras z dam osunęła się, zemdlała, na posadzkę.

Giuditta wciąż żyła, gdy dwa purpurowe kwiaty rozkwitły w jej pustych oczodołach, a może nawet później, kiedy galezie pokryły się kwieciami, księżniczka dała znak, by bard podjął pieśń i by rozlano do kielichów czerwone wino. Miało minąć jeszcze wiele uczt, podczas których biesiadowano obok oplecionego ukwieconym pnaczem trupa nałoznicy, nim Alhardo pozwolił sługom sprzątnąć gnijące ciało kochanki.

Jednak Duilio uczynił coś innego. Skłonił głowę i pergaminy w dłoniach Sirocco zajęły się płomieniem. Krzyknęła, a podmuch wichru pochwycił jej oddech i podsycił

ogien, az karty zmienily sie w poczerniale platki sadzy.

–Nie z powodu map nieba – powtorzył Duilio di Monti Serpillini. – Ruszyłem za toba z Brionii, poniewaz ukradlas mi lup. Cos, co zdobyłem w Valle delle Lacrime, w rzezi, ktora niemal kosztowala mnie zycie. I nie mogłem pozwolic, aby ktos mi to odebral. Zwlaszcza corka Alharda.

Pomyslala, ze powinna byla o tym pamietac, ze winna byla pamietac o dumie magow, ktora jest bezkresna jak morze. I ze nalezalo ukrasc z palacu ojca jeszcze cos – jeden ze srebrnych nozy, ktore nie poddawaly sie zadnej magii i ktorymi czarnoksiężnicy otwierali sobie zyly, gdy zycie znuzylo ich juz do cna i pragneli ukojenia.

–Az do Golfo delle Spinarello – powiedzial Duilio. – Az do tamtej zatoki chcialem cie zabic, Sirocco. Potem uslyszalem, jak grasz, i zrozumialem, ze odnalazlem znacznie wiecej, niz chcialem odszukac. I ze jesli tylko na to pozwole, zakocham sie w tobie. Corce Alharda, ktora nosi imie demona.

Dopiero teraz przyjrzala mu sie uwazniej i zobaczyla, ze stroj Duilia byl brudny i, jak jej suknia, poszarpany przez ciernie. Mag w niczym nie przypominal Alharda. Byl szczuply i ogorzaly jak wiesniacy, ktorzy pasali kozy za murem jej pustelni, a nierowno przyciete wlosy opadaly mu na ramiona. Ale niebieski plaszcz, przerzucony przez ramie, i dwa zatkniete za pas srebrne sztylety, znak wladzy nad zywiolami, przypominaly, kim jest.

–Tyle, ze wtedy bylo juz za pozno – dokonczyl szeptem.

–Nie wierze. Nigdy nawet nie widziales mojej twarzy.

–Co z tego? – Rozesmial sie cierpko. – Glebia zachowala dla mnie twe odbicie, a noca w szumie morza slyszalem bicie twojego serca. Zakochalem sie w dziewczynie, ktora uwolnila ptaki w pracowni maga i umiala zamknac w piesni cuda umierajacego miasta. I dla ktorej timbrador probowal stawic czolo wszystkim demonom wichrow. Czy to nie dosyc?

Patrzyla na niego, ale wciaz miala przed soba oblicze naloznicy Alharda, rozane pedy zaglebiajace sie w jej oczodoly i przerastajace policzki na wylot.

–Nie, nie dosyc – odparla wreszcie. – Zbyt dobrze znam magow.

–Nie jestem twoim ojcem.

–Ale jestes magiem.

Wtedy Duilio zrobil cos jeszcze bardziej szalonego niz spalenie map nieba. Wyjal

zza pasa srebrne sztylety, obnażył je i podał Sirocco z ostrzami zwróconymi ku sobie.

–Wez je – powiedział. – Wez je i przechowaj dla mnie, poki nie zapragniesz ich oddać. A wówczas nie będę się bronił, Sirocco.

Na chwilę zabrakło jej tchu.

Tego nie było w żadnej z opowieści, snuty na książecym dworze przez wędrownych bardów. Ani w żadnej z piosenek Polwyspu.

Po śmierci Giuditty wiele innych nalożnic mieszkało w marmurowym pałacu Alharda di Brionia. W naszywanych złotem sukniach przechadzały się po miejskich placach, grały na lutni i ze śmiechem odpowiadały na zaczepki dworzan. Ale żadna z nich nie wchodziła nieproszona do pracowni maga i nie dotykała srebrnych sztyletów, które wykuł przed stuleciem, w dniu, gdy spętał swego pierwszego demona.

I żadna nie przybyła na dwór Brionii z własnej woli. Alhardo stał się nazbyt rozumny, by zawierzyć kobiecie choćby w rzeczy tak plonnej, jak miłość. Jeśli więc ktorejs zapragnął, szlachetnej pani, wiesniaczki czy ładacznicę, po prostu posyłał demona i pozwalał, aby ten miał ją pierwszy. Potem splatał żywą kobietę z demonem, podobnie jak łączył z nimi powietrze czy ogień, bezpowrotnie macając jej umysł i przywiązując ją do siebie. Kiedy skończył, była już tylko szczęśliwa, szczęśliwsza niż kiedykolwiek wcześniej, a dopóki szła, wraz z nią kroczył demon.

–Jak to możliwe? – wyszeptala Sirocco, dotykając gładkiej srebrnej rekojesci. Była córka maga i wiedziała, że trzyma w dłoniach jego życie. – Dlaczego pozostawiasz mi wybór?

–Ponieważ choć jedna rzecz powinna być naprawdę.

Rozplakala się.

–Jak długo istnieje magia, nic nie jest naprawdę.

Lecz zaraz potem Duilio objął ją i jego ramiona były prawdziwe.

–To nie jest twoje miejsce, Sirocco, ta martwa wyspa na morzu z zakrzepłą krwią gigantów. Ale jeśli pragniesz wyspy, zbuduje ją dla ciebie pośrodku morza. Isola di Tutti Venti, gdzie będą się krzyżowały wszystkie wichry ziemi. I wzniosę na niej pałac z kryształu, wokół zaś zawsze będą kwitły róże. Jeśli tylko się zgodzisz. Bo tutaj nie możesz zostać. To miejsce śmierci, a żadne z nas nie jest jeszcze martwe. Czy pozwolisz, żebyśmy cię zabrali?

–Tak. – Skinęła głową, bo czuła się zmęczona, a to była ostatnia wyspa na końcu

**swiata. – Zabierz mnie.**

**Duilio przywolal serafa o szesciu skrzydlach i posadzil ja przed soba na grzbiecie demona. Lecz kiedy odlatywali z Isola delia Fine del Mondo, Sirocco myslala o mlodziencu, ktorym kiedys byl Alhardo di Brionia. O chlopcu, ktory stanal nad brzegiem zatoki i postanowil zbudowac tam miasto, piekniejsze od wszystkich innych, i nadac mu ksztalt swojej mocy.**

**\*\*\***

**Cala reszta jest legenda, najpoteczniejsza sposrod legend Polwyspu – o magu, ktory przywolal z morskiego dna wyspe i zakotwiczył ja własna krwia gleboko w trzewiach ziemi, a także o jego pani, ktorej piesni usmierzaly gniew demonow.**

**Armie Duilia po trzykroc przetoczyly sie przez Polwysep, zagarniajac ziemie od Monti Serpillini po poludniowy kraniec Arcipelago delia Rugiada Rossa, az wreszcie nie zostalo nic do podbicia, bo wszystkie czterdziesti miast uznalo jego wladze. Wprawdzie wojny nie ustaly, lecz zadna z nich nie dosiegla Isola di Tutti Venti, ktorej brzegow strzegly wszystkie demony wichrow i gdzie w palacu utkanym z gorskiego krysztalu, powietrza i demonow, mieszkala Sirocco.**

**Isola di Tutti Venti byla slubnym podarunkiem od Duilia: demony mialy pozostac zaklete w jej skalach az po kres wiekow. Cala reszta – palac z gorskiego krysztalu, ogrod, w ktorym przez caly rok nie przestawaly kwitnac roze, i przystan, gdzie ani czarownik, ani rybak nie mogl postawic stopy bez zgody Duilia – rowniez byla prawdziwa. Tak bardzo prawdziwa, jak moga byc rzeczy stworzone magia.**

**Sirocco byla juz dojrzala kobieta, kiedy powila pierwsze dziecko. Duilio dlugo zwlekal, lekajac sie o jej zycie – krew magow jest tak potezna, ze nierzadko rozrywa naczynie, w ktorym ja zamknieto. Tuz przed pologiem Sirocco poprosila meza, aby pozwolil jej odplynac, bo chciala urodzic na stalym ladzie, z dala od morza, demonow wichrow i zwodniczej magii. Duilio ugial sie, choc szemrano, ze zanadto ulega kobiecie i dla jej kaprysu naraza oboje, matke i dziecko. Jednak Sirocco postawila na swoim. Odeszla do klasztoru szarych mniszek, ktore wyrzekaja sie wszelkiej magii. Porod byl trudny i trwal wiele godzin, lecz o swicie Sirocco urodzila syna o oczach blekitnych jak morze. Legenda mowi, ze nad sklepieniem konwentu krazyly rozjuszone wichry Duilia, a ona spiewala do nich nawet wowczas, gdy skurcze rozrywaly jej cialo.**

**Legenda mowi tez, ze tylko ona przeczula kres wyspy.**

**Pewnej wiosny, tam, gdzie niegdys rozciagalo sie ksiestwo Brionii, wybuchlo powstanie. Nie bylo w tym nic dziwnego, gdyz w dziedzinie Alharda nigdy nie pogodzano sie z panowaniem jego mordercy. Nawet w czterdziesti lat po smierci**

księcia.

Bunt przygasł, nim trawy zazieleniły się na dobre, stłumiony przez demony, które przebiegły wybrzeże w siwych biczach kurzawy, wodnej piany i pyłu. Spiskowcy rozproszyli się po Costa dei Gabbiani. Część wylapano w nadbrzeżnych miastach, część zaś ukryła się głęboko w podziemnych grotach. Żaden ze schwytanych nie umiał zdradzić imienia przywódcy buntu, po prostu umierali, gdy tortura stawiała się zbyt dotkliwa. Duilio upatrywał w tym zaklecia jednego z magów-wygnanców, którzy dla zysku petali pomniejszych demony i sprzedawali ich usługi.

Pozornie wszystko było po staremu. O świcie żony rybaków chrapliwymi głosami zachwalały połow na targowisku u bramy, jaskolki wily gniazda u kapiteli pałacowych kolumn i osły pod wieczór ryczały przeraźliwie od strony pastwiska. Jesienią zaś winorośl obrodziła jak nigdy wcześniej, aż galezie przyginały się do ziemi pod ciężarem owoców. Jednak były znaki, zaszyfrowane w locie rybitw, szumie morza i szarej siatce blizn na rajskich jabłkach w pałacowym ogrodzie. Coś się zmieniło głęboko we wnętrzu Polwyspu. Niewidoczne ze skał Isola di Tutti Venti, coś dojrzewało z wolna jak nagrzane słońcem, słodkie od soku winnego grona.

A kiedy nadszedł czas zbioru winorośli, Sirocco wysłała z wyspy łódź, ukształtowaną z magii i drewna w postaci labedzia, i wyszeptala nad nią pojedyncze imię.

Ercole przybył w siedem dni później. Nikt nie wie, dlaczego to uczynił.

Duilia nie było na wyspie i Sirocco sama wyszła do przystani. Stała na nabrzeżu w spłowiałej lazururowej sukni i z odkrytą głową, kiedy łódź sunęła pewnie pomiędzy rzędami skałek ostrych jak dziób drapieżnego ptaka.

–Demon przyniósł mi zaproszenie. – Ercole przykleknął na mokrych kamieniach nabrzeża i podniósł do ust jej dłoń. – Wiesz, kim jestem.

–Wiem. – Dała znak, aby powstał. – Chodźmy.

W tamtych czasach włosy Sirocco były już jak srebrna przedza, a twarz porysowała pajęczyna zmarszczek. Duilio miał dość mocy, aby spleść ją z demonem i zachować nietkniętą, dokładnie taką, jaką zobaczył pierwszy raz w Golfo delle Spinarello, czterdzieści lat temu. I niewiele rozumiał, dlaczego pozwolił Sirocco postarzec się, jak gdyby była zona pastucha koz. Niewiele też wiedział, że to ona nie zgodziła się, aby wlał magię w jej ciało. Choćby najmniejsza kropelka.

Wciąż była wysoka i smukła jak gałąź leszczyny i nic nie zaczęło blekitu w jej oczach. Nawet śmierć najstarszego z synów, rozszarpanego przez Cynacefalitów podczas buntu jednego z nadmorskich miast. I mówiono później, że kiedy szła pomiędzy krzewami róż o białych kwiatach, a ptaki odpowiadały jej śpiewem



**spomiedzy galezi migdalowcow, wydala sie Ercole najpiekniejsza kobieta swiata.**

**Co oczywiscie nie bylo prawda. Nigdy nie jest.**

**Az po zmrok siedzieli pod migdalowcami, ktore dawno przekwitly, a podmuchy jesiennych wichrow odarly je z resztek lisci. Nie mowili wiele. Sluzebne przyniosly wino, chleb, oliwki i ostry kozi ser. Wreszcie Sirocco zaczela grac – najpierw na giternie, potem na wioli, pasterskiej syrindzie, na koncu zas na flecie. Jego glos owijal sie wokol drzew jak cienka srebrna nitka. Grala dlugo. Kiedy odjela ustnik od warg, ksiezyc w pelni wisial wysoko na niebie, a jego swiatlo zmienialo oczy Sirocco w dwie tafle zywego srebra.**

**–Poslalam po ciebie, poniewaz mam zyczenie – powiedziala.**

**Ercole byl wtedy niewiele starszy od chlopcow, ktorzy pasali kozy na wyschlych zboczach gor i probowali ujezdzac biale dzikie konie na pustkowiu, ktorym po upadku Brionii stala sie polnocna czesc Costa dei Gabbiani. Niewiele starszy niz jej syn, kiedy wichry uniosly go bezpowrotnie z przystani. I mial w oczach te sama blekitna magie, ktora trawila Duilia.**

**–Jesli tylko bede mogl je spelnic.**

**–Chcialabym, zebys oszczedzil moje roze.**

**Ercole zacisnal palce na rozanej galezi. Kolce przeciely skore i kilka kropel krwi splynelo na ziemie.**

**–Roze sa prawdziwe. – Sirocco potrzasnela glowa. – Nie potrzebuja krwi, tylko obietnicy.**

**–To nie z powodu roz – odparl cicho. – Ale masz moja obietnice. Ja tez mam zyczenie. Czy zagrasz dla mnie raz jeszcze, zanim odprowadzisz mnie do przystani?**

**–Co mam zagrac?**

**–Jest taka piesn, ktora grano tylko jeden raz. – Ercole podniosl glowe i blekit w jego oczach pociemnial, stal sie niemal czarny. – Piesn o miescie, ktore roztopilo sie jak snieg w promieniach slonca.**

**Sirocco zastygla z na wpol uniesionym fletem. Jej twarz byla nieruchoma i blada od ksiezycowego swiatla, tylko wargi zadrzaly nieznacznie. Niezdarnie, jak slepiec, ulozyla palce. Pierwszy dzwiek byl cichy, niemal nieslyszalny, jakby zabraklo jej tchu. I zaraz stlumila go nocna bryza, najczulszy ze straznikow wyspy. Wicher poderwal sie znad rozgrzanych skal,rozgarnal lany szorstkiej trawy, potargal rozane pedy. Biale platki zawirowaly w powietrzu. Nim opadly na ziemie, flet przebil sie przez szum**

bryzy w pierwszych taktach melodii, która także była legenda i której nie słyszano na Polwyspie od czterdziestu lat. Od upadku Brionii, miasta marmurowych kopuł, katedr strzelistych jak modlitwa i skrzydlatych lwów, z których każdy był serafem, zaklętym w kształt posagu z żółtego kamienia.

Czterdzieści lat wcześniej, gdy Sirocco ostatni raz weszła przez Porta d'Argento do miasta swego ojca, w Brionii było więcej niż tuzin minstrelów, przybyłych do palacu dla rozrywki jej ojca i uciechy dworu. I wielu z nich zdołało wymknąć się szczęśliwie z umierającego miasta. Jednak żaden minstrel, kuglarz czy grajek nie potrafił później powtórzyć pieśni Sirocco. Pamiętali jedynie głos fletu i łopot skrzydeł demonów, gdy ulatywały spomiędzy dachów ku porannemu niebu. Ale nie umieli przypomnieć sobie melodii. Zupełnie jakby Duilio wymiotł ją z ich pamięci tym samym gorącym, ostrym wichrem, który smagał resztki kamiennych murów Brionii, póki nie rozpadły się i nie zamieniły w szary piach.

Jednak tego wieczoru na Isola di Tutti Venti Sirocco grała z taką łatwością, jakby znów wędrowała pomiędzy skrzydlatymi lwami ku Porta d'Argento u stop akweduktu. Demon brevy przebudził się w sadzawce na dziedzińcu palacu i, zatrwożony obcą pieśnią, rznął ku nim poprzez gęste korony pinii, kasztanów, cyprysów i jaskier. Dołączyła do niego tramontana, zimna i rozgniewana, potem ponente i lavana o zwodniczo łagodnych głosach, które przyniosła deszcz i podżegają wodne potwory do zniszczenia, a także ich brat, marin, przybywający z tego samego środka oceanu. Od strony północnych skał podniósł się euraquilo o lodowatym oddechu i zaraz przyłączyły się do niego bliźniacze etezje i meltemi, postrach żeglarzy. Zbiegały się do ogrodu ze wszystkich zakątków wyspy, hucząc, szumiąc i poswistując gniewnie, bo na wyspie był mag i nie znały jego imienia.

Gdy wlatywały tuż nad ogrodem, a pnienie cyprysów, pinii i kasztanów zaczynały gnać się w ich palcach, melodia chwytła je za włosy i ściągła w dół w kaskadach jesiennych liści. Przypominały sobie. Pieśń fletu zwabiła je i wąska ścieżka wiodła w miasto, którego nie było. Od Porta d'Argento i dwóch skrzydlatych lwów prowadziła je przez kamienne ulice i place, na których cały rok kwitły krzewy tamaryszku. Znów był świt. Na kopułach świątyni i klasztorów kładł się różowy odbłask słońca i dzwony śpiewały głosami eoli.

Kiedy Sirocco skończyła i odsunęła flet od ust, jej imiennik poderwał się spomiędzy korzeni pinii w płaszczu z kurzawy, unosząc platy darni, kamienie, mech, kore, zeschnięte gałązki i rozane kwiaty. Dopiero wysoko ponad wyspą i palacem maga sirocco wydał pojedynczy krzyk udreki, krzyk demona, który służył tylko dwóm panom i wciąż pamiętał wędrowkę pomiędzy gwiazdami.

–Mylilem się – powiedział Ercole w przystani. – Nie wierzyłem, gdy mówiono mi, że to zaklęta wyspa. Magia Duillia nie zdołałaby mnie zranic, ale są rzeczy, które sięgają głębiej niż magia. Nie powinienem był tu przyplwać, pani.

**–Myliles sie takze w innej rzeczy – odparlacicho Sirocco. – Te piesn grano jeszcze dwukrotnie, z daleka od Brionii. Raz, kiedy Duilio doscignal mnie w Golfo delle Spinarello i pozwolil mi odejsc wolno. I na brzegu Isola delia Fine del Mondo, gdy oplakiwalam smierc ojca.**

**–Nikt mnie nie ostrzegl, ze jestes okrutna,**

**Sirocco rozesmiala sie.**

**–Sa tez rzeczy okrutniejsze niz magia i bardziej niszczace niz wojna. Przekonasz sie.**

**Ercole chcial cos powiedziec, ale juz pochylila sie nad lodzia i polozyla reke na glowie demona zakletego w ksztalt labedzia.**

**–Plyn! – rozkazala i lodz odbila od brzegu.**

**Ercole mial jeszcze powrocic na Isola di Tutti Venti. Jeden, jedyny raz.**

**\*\*\***

**W kilka miesiecy pozniej armia Ercole wyszla z gorskich pieczar i ruszyla ku martwemu plaskowyzowi, ktory pozostal na miejscu, gdzie kiedys skrzydlate lwy strzegly murow Brionii. Magowie zwykli walczyć zima, by nie pustoszyć na darmo kraju, ktory stanie sie zdobycza zwyciezcy. Takze tym razem plony byly juz zebrane do ostatniego klosa i kisci. Na wieśc o nadciągającym wojsku wiesniacy zagnali do chat kozy, kury i nawet niskie, plowe osiolki, a potem trwali w bezruchu za zapartymi okiennicami, nasluchujac gluchego dudnienia maszerujacych demonow. Stworzone w glebi ziemi, z daleka od slonca, golemy Ercole nie byly ksztaltne czy urodziwe. Nie dorownywaly marmurowemu pieknu demonow Brionii ani zludnej delikatnosci wichrow z Isola di Tutti Venti. Ale tez piekno nie bylo ich celem.**

**Magowie z rzadka zwracali sie ku zywiolowi ziemi, ktory uwazano za posledniejszy od innych i przynalezny stregom. Jednak w wysokich, zimnych grotach Costa dei Gabbiani, gdzie chronili sie banici, elegancja nie byla cenniejsza od sily. W mroku, ktorego nie rozjasnial nigdy promien slonca, Ercole chwytal demony i poprzez kolejne transmutacje wiazal je z ziemia. Tworzyl ich kosci z jasnych wapiennych skal i odziewal je w cieзка, kleista gline z dolin, dawal im oczy z kwarcu i pazury z szarego granitu. Musialo to trwac miesiacami, bo kiedy wyszly na rownine, demonow bylo tak wiele, ze ziemia pekala im pod stopami. Dopiero wtedy dostrzegl je Duilio. I zaczal zbierac wichry, aby wyjsc golemom naprzeciw.**

**Ostatniej nocy lezeli z Sirocco w ciemnosci. Za otwartymi oknami roze w ogrodzie kwitly, jak zawsze, a zapach spowijal ich ciasno ze wszystkich stron.**

**–Pamiętasz, jak na krancu świata powiedziałem, że choć jedna rzecz powinna być naprawdę? Wszystko pomiędzy nami było prawdziwe. Każdy dzień. A teraz to tylko kolejna bitwa, choć groźniejsza od innych. Ale wróć do ciebie.**

**–Albo ja cie odnajdę.**

**\*\*\***

**Bitwa na Pianura Grigia trwała cztery dni; armie wszystkich księstw Costa dei Gabbiani zbuntowały się przeciwko Duiliowi i dołączyły do Ercole. Czwartego dnia o zmroku gołemy Ercole powstrzymały wichry i zepchnęły je ku morzu, wystarczająco daleko, by ludzkie armie mogły zejść z okolicznych wzgórz i dołączyć do walki. I to był koniec bitwy. Zanim księżyc wszedł na dobre, strzala wystrzelona przez łucznika jednego z nadmorskich miast przebiła serce Duilia. Uwolnione spod zaklecia wichry dopełniły dzieła, rozrywając na strzepy resztę jego wojska. Tylko najemnicy z Arcipelago della Rugiada Rossa przez całą noc bronili się na brzegu, u burt swoich okrętów. O brzasku jednak musieli ustąpić – pozeglowali na zachód, ku Isola di Tutti Venti, by zanieść Sirocco wieść o klęsce.**

**Tej samej nocy czterdziestu gonców, po jednym na każde z miast, podbitych nigdy przez Duilia, pognano przez równinę z jasnymi pochodniami, by obwieścić rodakom śmierć tyrana. Wybijano garnizony jego żołnierzy, obnoszono po placach głowy namiestników. Nawet w odległych gorskich osadach wiesniacy przepędzali kijami rzadców i poborców podatków. Ale wciąż trwała Isola di Tutti Venti, naga posrodku morza i odarta z ochronnego płaszcza demonów. Tam schroniły się resztki najemników, półtora tysiąca żołnierzy, dwa klasztory mnichów, którzy bezustannie tropili demony na kopule nieba, dostojnicy, doradcy i cały wspaniały dwór maga. Tam też pozostało trzech synów Duilia, z których każdy miał w oczach magię błękitną jak niebo.**

**Miasta Costa dei Gabbiani przysłały okręty i cztery setki naw ruszyły ku wyspie największa armada w historii Polwyspu. Morze było spokojne. Trzeciego dnia sprzymierzenci zobaczyli na horyzoncie jasne szczyty Isola di Tutti Venti. Większość z nich nigdy wcześniej nie widziała wyspy, bo demony wicherów odpychały obce statki i ani ptak nie przelatywał nad nią bez zgody Duilia.**

**Mówiono potem, że nawet najzacieklejsi wrogowie zastygli na chwile z podziwu, bo magowie czasami tworzyli dzieła trwałe, ale żaden z nich nie zdołał zespolic demonów w kształt całej wyspy. Gdyby Duilio żył, część flotyli rozpierzchlaby się zapewne na sam widok gorskiego lancucha, który majaczył w szarej morskiej mgielce. Ale Duilio był martwy i wspomnienie jego mocy, zamkniętej w strzelistej formie Isola di Tutti Venti, wydawało się uragowiskiem. Buntownicy pozeglowali, więc dalej.**

Nastal zmierzch, wyspa mrugała ku nim setkami pochodni i latarni. Kiedy podплыли bliżej, zobaczyli, że wokół brzegu unosi się wielka mnogość łodzi, statków i tratw zbitych pospiesznie z bali. Flotylla ustawiła się w szyku, z okrętem Ercole na samym przedzie, gotując się do bitwy. Ci, którzy stali obok maga, opowiadali później, że gdy pierwsza z wyspiarskich łodzi podплыła bliżej, Ercole zmienił się na twarzy. Potem zrobił coś jeszcze. Zakleciem przywołał demony podmorskich prądów, które schwyciły w palce okręty jego sojuszników.

Stały nieruchome na otwartym morzu, jakby woda zmieniła się nagle w kamień. Żołnierze z czterdziestu miast, podbitych niegdyś przez Duilia, bezradnie patrzyli, jak łodzie z Isola di Tutti Venti przepływają tuż obok ich burt. Jedna za drugą znikają, pchane łagodnym morskim wiatrem coraz dalej od brzegu.

Każdy mężczyzna, każde dziecko, kobieta i starzec, wszyscy trzymali w ręku białe róże. Wśród kwiatów unosiła się ponad falami, przemożna i odurzająca. I było to tak, jakby wszystkie róże z ogrodów Isola di Tutti Venti wyszły na spotkanie buntowników.

Kiedy odpłynęły, mag odwrócił się ku swoim ludziom – jego twarz była szara i stezala, a oczy tak czarne od magii, że cofnęli się ze strachu.

–Precz! – powiedział cicho.

Demony morza podchwyciły jego głos i odbiły go w wielokrotnionych echem, coraz mocniej i głośniejszym, aż powrócił potężna fala i uderzył w burty okrętów, odpychając je od brzegów Isola di Tutti Venti. Ercole zaś zeskoczył prosto w morze i zaczął iść ku wyspie. Demony podkładały dłonie pod jego stopy.

\*\*\*

Sirocco czekała na południowym krancu ogrodu, wśród rozanych krzewów, potrzaskanych, odartych z liści i kwiatów.

–Dziwna rzecz – powiedziała na powitanie – ale na koncu zawsze jestem sama z czarodziejem na krancu morza.

–Scielas róże.

–Żebyś dotrzymał słowa.

–Jak mogłem go nie dotrzymać, skoro zniszczyłaś tyle piękna?

–Róże znów zakwitną z wiosną. – Uśmiechnęła się. – Choć już nie dla mnie.

–Dlatego że posłałaś go na zatracenie? – spytał ostrym, młodzieńczym głosem. –

**Dlatego?**

**–Och! – tyle zdolala powiedziec.**

**Wiatr szarpal jej suknie.**

**–Zrozumialem za pozno. Dopiero na Pianura Grigia, w samym srodku bitwy, kiedy demony wichrow odstapily w jednej chwili, odslanjajac go na magie i strzaly lucznikow. Widzialem, jak grot zmierza prosto w jego serce. Jakby prowadzony czyjas reke. Nie moja. Odebralas mi moja zemste, Sirocco. Stalem po przeciwnej stronie plaskowyzu i patrzyłem, jak jego oczy rozszerzaja sie w niedowierzaniu, ale strzala byla zbyt szybka, a my walczyliśmy czwarty dzien i demony wichrow odeszly od niego. I wtedy wlasnie zrozumialem. Oszukalas nas obu.**

**–Niczego nie zrozumiales! – Wyciagnela ku niemu ramiona i zobaczyl w jej dloni dwa srebrne sztylety. Ostrza, wykute na znak spetania pierwszego demona, nieczule na wszelkie zaklecia. – Nie masz pojecia o tym, co bylo pomiedzy nami. Czterdziesti lat temu, nad brzegiem czerwonym od krwi gigantow, Duilio wlozyl mi w rece swoja smierc. A ja... – Jej glos zalamal sie. – Na Pianura Grigia oddalam mu ja z powrotem.**

**–Sirocco...**

**–Nie! – Potrzasnela glowa, a wiatr uniosl jej wlosy. – Teraz mnie wysluchasz, Ercole di Brionia. Jeden raz. Duilio obiecal mi, ze to, co bylo miedzy nami, bedzie prawdziwe. I bylo. Prawdziwe jak noz, ktory tnie az do kosci. Tyle, ze wowczas, na brzegu Mare Ultimo, bylismy dziecmi, ktore rzezbia zamki z morskiej piany, slepi i niebaczni, choc przeciez urodzilam sie corka maga i powinnam byla przeczuc, ze demony przyjda kiedys upomniec sie o zaplate. Ale zamknelam oczy i pozwolilam, zeby Duilio zabral mnie na wyspe posrodku morza, gdzie nie siega rozpacz ani szalenstwo. I bylam szczesliwa, przez czterdziesti lat bylam tak szczesliwa, ze kazda chwila zdawala sie rozrywac serce. Tego rowniez nie zrozumiesz.**

**–Sirocco... – Pochylil sie ku niej, a Sirocco zrobila krok do tyłu i spostrzegl, ze stoja na skraju ogrodu, tuz nad klifem.**

**–Nie zrozumiesz, poniewaz szczescie bylo naprawde i bylo glebokie jak morze. – Odchylila glowe i zobaczyl lzy splywajace po jej policzkach. – Jak Abisso delle Ondine. Glebia, ktora pochlania bez reszty i nie pozwala wynurzyc sie na powierzchnie.**

**Zobaczyl, jak obraca sztylety w dloniach i waska struzka krwi splywa jej wokol przegubu. Nie zauwazyla tego.**

**–Ale byly tez inne rzeczy, ktore odbijaly sie w tafli wody i z kazdym rokiem nabieraly ksztaltow – mowila cichym, rozedrganym glosem. – Widzialam, jak rosna, i nie**

mogłam ich powstrzymać, bo słusznie powiadają, że nie można uciec przed czarodziejem, a magia jest zachłanna i nienasycona. I żąda coraz więcej, a reszta nie ma już znaczenia. Cały świat kurczy się do bierwion mocy, które należy zagarnąć i spopielić. Widziałam, jak Duilio patrzy na naszych synów. Przygląda się magii w ich oczach, smakuje ją z każdym rokiem chciwiej, ponieważ ich magia rosła, dojrzewała jak winne grona, a on poświęcił tak wiele, tak wiele siebie, aby stworzyć tę wyspę. Az na koniec nie mógł zrobić nic innego, tylko posłać nasze dziecko na wojnę, aby zabiło je z dala od domu i obcym ostrzem. Aby demon nie pochwycił go rękami ojca. I gdybym nie powstrzymała Duilia, pewnego dnia, niedługo, sięgnąłby po innego z naszych synów, aby zanurzyć się w jego krwi i zaczerpnąć świeżej mocy. Pamiętaj o tym, Ercole di Brionia, kiedy będziesz świecić zwycięstwo. Pamiętaj, że demony idą krok za tobą i wystarczy, że któregoś dnia spojrzysz im prosto w oczy, a pozra cię bez reszty.

–Albo uniosa. Jeśli spetasz je zakleciem. Lub pieśnią.

–Nigdy nie próbowałam ich okiełznać. Nie mam – zaważała się – nie mam podobnej władzy.

–Ale masz moc! – rozesmiał się gorzko. – Przez tyle lat próbowałam zabić Duilia, który panował nad demonami, lecz nikomu nie przeszło przez myśl, aby wsłuchać się głębiej w pieśń jego pani, która mieszka na wyspie pośrodku morza, wśród białych roz. Która miała tyle mocy, że w rozpadającym się mieście oblaskawiła demony Brionii, by odeszły w pokój. Która zdołała urodzić czterech synów i przetrwać, ponieważ demon był jej akuszerką i demon był ich mamką. Duilio nigdy się nie domyślił, prawda? Nie podejrzewał nawet, że w Golfo delle Spinarello dojrzał w tobie magię i zapragnął jej, jak tylko czarodziej potrafi pragnąć? To właśnie było między wami. Magia i pragnienie.

Uderzyła go w twarz.

–Nie wiedział, że demony – przytrzymał jej przegub, przyciągnął do siebie i przez chwilę stali tak blisko, że czuł na twarzy jej oddech, gorący i suchy jak wiatr, którego imię nosiła – służyły ci gorliwiej niż ktoremukolwiek z nas. I pozwoliły się zamknąć w kształt wyspy dla dźwięku fletu i zapachu roz.

Wydawało mu się, że słyszy wysoko na niebie krzyki demonów wichru. Nie wszystkie udało mu się spetać na Pianura Grigia. Odeszły zbyt szybko.

–Nie masz pojęcia, o czym mówisz – wyszeptwała. – Przez czterdzieści lat słuchałam, jak wyją w udreca, spętane pod warstwą skały, drewna czy metalu. Nawet we śnie dobiegał mnie ich skowyt. Ta wyspa stała się pułapką nie tylko dla demonów. Jak możesz sadzić, że pomogłabym ją stworzyć?

**Była taka krucha. Jak porcelanowa laleczka, która wiele lat wcześniej jego matka wyniosła z upadającej Brionii i która roztrzaskała się, gdy uciekali w głąb ziemi przed kolejnym rajdem slug Duilia. Piękne rzeczy są kruche, nauczył się tego dawno temu.**

**Dziwne, lecz na Isola di Tutti Venti nie czuł już gniewu. Tylko zmeczenie.**

**–A piosenki?**

**–Nie rozkazuje demonom. Ale każdy z nich ma swoją melodię, oddzielną i jedynie sobie właściwą. I niekiedy, gdy wszystko inne zawodzi, niekiedy muszę je prosić o pomoc. Potrafię je przywołać. Na czas jednej piosenki, nie dłużej.**

**–Dostę, aby zabić Duilia. A także, aby odesłać z wyspy jego synów. Wezwałam demony wichru, by uniosły ich i ukryły przed moim wzrokiem.**

**–Im nie pozwoliłbyś odejść.**

**–Nie wiem. Nie umiem nawet zgadnąć. Mnie też omotalas piosenka, Sirocco.**

**Rozesmiała się głośno.**

**–Drwisz ze mnie. Jestem stara kobieta.**

**–Mogę cię odmienić. Wystarczy jedno słowo i znowu będziesz dziewczyną, która śpiewała na marmurowych placach Brionii. Ja także możemy przywołać na nowo. Wszystko, co pamiętasz.**

**Przycisnął jej dłoń do piersi i poczuła miarowe bicie serca, prawdziwego, wciąż prawdziwego. Był zbyt młody, by zwrócić się ku demonowi i połączyć krew z jego mocą, ale wiedziała, że to także przyjdzie wcześniej czy później, bo magowie w końcu ulegają demonom. Również najlepsi z nich.**

**–To się nie zdarzy, dziecko – odparła szeptem. – Nie ufalam magii nawet wówczas, kiedy byłam młoda i wystarczająco szalona, by wierzyć, że miłość może nas ocalić. Dlaczego teraz miałabym jej zaufać?**

**–Ponieważ poszłaś za Duiliem i byłaś szczęśliwa.**

**–Ale wówczas miałam jeszcze nadzieję, że można uciec przed czarodziejem. Teraz wiem, że nie da się tego dokonać.**

**–Mogę cię zatrzymać.**

**–Żeby mieć obok jeszcze jednego demona? – Uśmiechnęła się niemal czule. – Nie sadzę, żebyś właśnie tego chciał, Ercole. Czekalam, żeby ci podziękować za różę.**



**–Dlatego że on nie żyje?**

**–Dlatego że obiecałam go odnaleźć, a pomimo wszelkiej magii, rozpacz i śmierci należy wierzyć, iż niektóre rzeczy są naprawdę. Pamiętaj o mnie. – Delikatnie cofnęła rękę i zrobiła krok do tyłu.**

**Mówiono później, że demony wichru pochwyciły ją i uniosły, zanim sięgnęła morza.**

**Ercole, który odnalazł ją na poszarpanych skałach i zakopał głęboko w korzeniach roz zasadzonych jej własną ręką, nigdy nie opowiedział, co naprawdę zdarzyło się tamtej nocy na Isola di Tutti Venti. Coś jednak musiało się wydarzyć, bo o poranku demony wichrow zbiegły się na nowo i otoczyły wyspę ciasnym pierścieniem, kryjąc ją przed wzrokiem żeglarzy. Być może naciał własny przegub nozami, które niegdyś należały do Duillia, i wlał magię w rozane krzewy, gdyż każdego roku róże w ogrodach Sirocco rozkwitają białymi kwiatami. Nikt jednak nie cieszy się ich widokiem i nikt nie potrafi odnaleźć zaklętej wyspy. A w pierwszą wiosenną pełnię dziewczęta ze wszystkich księstw Polwyspu rzucają w morze białe róże na pamiątkę kobiety, która panowała nad demonami i która na koniec zdołała uciec przed czarodziejem.**

**Choc wcale nie wiadomo, czy tak właśnie było.**

**Zacmienie serca**

**Każdego dnia o zmierzchu cien cytadeli ogarniał Brionie. Smuga mroku pełzła po kamiennych ulicach, od Porta dei Leoni w dół po zboczu góry. Najpierw pochłaniała ogrody wokół Palazzo Ducale, smukłe przeszła akweduktu i cyklopowe mury, co otaczały miasto jak potężny wąż o skorze ze złościstego kamienia. Później opadała na palace możnych i świątynie, na place, gdzie o brzasku kobiety spotykały się u studni, i domki biedoty, stłoczone ciasno wokół murów, rzemieślnicze warsztaty, szpitale, oberże. Kiedy dzwon zawieszony na wielkiej, czterościennej wieży Monastero delle Zodiaco uderzał po raz siódmy, pasmo ciemności wspinało się na próg domu Arachne i jej matka odkładała nici.**

**–Godzina demonów – mawiała, zamykając okiennice, gdzie za dnia pietrzyły się wielobarwne sterty jej kobierców, gobelinów i haftów. – Czas klasnąć do snu, Arachne.**

**Ale dziewczynka już biegła w górę Kamiennymi Schodkami, przeskakując po kilka stopni, aby cien cytadeli nie zdołał jej dosięgnąć. Mrok napelniał ją grozą – wiedziała, że jest utkany z oddechu demonów, które przed wiekiem zaklęto w kształt góry. Kamień był tylko osnowa i wpleciono w nią niezliczone ciemne nici duchów, ściągniętych przez maga z wysokości, sponad księżyca. Tym właśnie zajmowali się magowie. Tworzyli gobeliny z demonów, powietrza, ognia, wody i ziemi. Czasami zaś, jeśli byli wystarczająco potężni, mogli utknać z magii całe miasto i tak też powstała**

**Brionia.**

**Cien cytadeli scigal Arachne, gdy wspinala sie kreta uliczka az do podnoza Beluardo dei Gufi, gdzie bylo przejście na mury miejskie. Straznik bardzo dobrze znal drobna, rozczochrana corke Despiny, hafciarki. Uchylal, wiec Isniaca korseke i pozwalal Arachne przemknac sie jeszcze dalej, waskim przejściem az na machikule. Tam, w najwyzszym miejscu miasta, mogla wreszcie przystanac i spojrzec w dol. Kiedy obracala glowe w strone portu, widziala na falach zlote odbicie zachodzacego slonca. Przez chwile czula jedynie niezmierna ulge, ze swiat wciaz istnieje i nie zostal bez reszty pozarty przez cien cytadeli i demony gory.**

**Kazdego wieczoru Arachne miala nadzieje, ze cos sie wydarzy, zlomie zaklecie i ciemnosc nie zdola jej dosiegnac.**

**Stala przy blankach, wycietych w ksztalt jaskolczego ogona, i wpatrywala sie w gasnace slonce. Mrok tymczasem wzbieral u jej stop jak przypalona oliwa, podnosil sie do kolan, gestnial wokol ramion, chlodnymi pasmami siegal az do gardla. Gdy wreszcie zamykal sie nad jej glowa, cala Brionia, po najdalsze modyliony murow, wtapiala sie w tafle nocy i az do switu miala nalezec do demonow.**

**Arachne przywierala do chlodnych cegiel krenelaza, slepa w ciemnosci. Bala sie zrobic chocby krok. Stala jak skamieniala, poki na schodach Beluardo dei Gufi nie rozlegly sie szybkie znajome stapaniecia. Yanni, jej brat. Rzucala sie ku niemu na oslep, z wyciagnietymi rekami, jak gdyby skakala ze skaly w morską glebie. Ale Yanni chwytal ja pewnie i sadzal sobie na ramieniu.**

**–Matka da ci w skore – przestrzegal. – A jutro zamknie cie w domu i kaze czesac welne, az palce beda ci krwawic.**

**Jednak o zmierzchu Arachne znow udawalo sie wymknac. Byla cichym, poslusznym dzieckiem, lecz kazdego dnia uciekala z domu, by stanac na blankach i patrzec, jak cien cytadeli maga pozera powoli miasto. Nie umiala sie powstrzymac.**

**Matka Arachne przyplynela do Brionii wiele lat temu. Dul ostry, wschodni wiatr, a lodzie byly zapelnione po brzegi. Kobiety w ciemnych chustach przyciskaly do piersi dzieci, zbyt zmeczone, by plakac. Mezczyzni – zylasci, spaleni sloncem rybacy z wysp po drugiej stronie morza – wioslowali, w milczeniu zmagajac sie z wichrem. Nie zapuszczali sie na polow rownie gleboko, nie znali tej czesci wybrzeza i nie wiedzieli, gdzie cisna ich fale. Ale plyneli juz bardzo dlugo pod rozpalonym sloncem i nie mieli, dokad wracac. Parli, wiec naprzod nawet wowczas, gdy kolejne lodzie wpadaly na ostre skaly i znikaly w rozbryzgach piany.**

**Minelo duzo czasu, nim matka opowiedziala Arachne o odleglych gorzystych wyspach, gdzie nie siega wladza magow z Polwyspu ani moc ich demonow. Despina**

mowila spokojnie, jakby caly zal wypalil sie w niej na morzu. Wyspy bronily sie – tak dlugo, jak garsc rybakow moze zmagac sie z imperium. Jednak w slad za zolnierzami nadeszli bosonodzy, szaleni mnisi w skorach wielbladow. Kiedy zaczeli krzyzowac ludzi z wiosk na wielkich drewnianych kolach, rybacy wsiedli na lodzie i odbili od brzegu. Kierowali sie na wschod. Wiedzieli, ze tam wlasnie rozciaga sie Polwysep, skad ich przodkowie zbiegli niegdys spod wladzy ksiazat-magow.

Tylko nieliczni ocalali wpłyneli na spokojne wody zatoki. Despina pierwsza rozpoznała przystan. Podniosła się w łodzi i wyciągnęła reke ku miastu, które z wolna zanurzało się w mrok.

–Brionia – powiedziała cicho. – Miasto demonow.

Nie powedrowala jednak dalej, choc wielu z rybakow tak uczynilo, bo bali sie osiedlic pod bokiem najpotezniejszego z magow Polwyspu. Owinela Arachne platem sukna, zawiesila ja sobie na piersi i z Yanim, uczepionym spodnicy, weszla o zmierzchu do Lido di Capra, waskiego przesmyku, ktory pomiedzy dwoma pasmami murow prowadzil w gore, do miasta. Kobiety u studni powiedzialy jej, jak znalezc dom Tulli, hafciarki.

–Czego tu szukacie?

Tulla zamykala wlasnie okiennice warsztatu. Byla surowa, wyschnieta ze starosci kobieta. Mierzyla obcych nieprzychylnym spojrzeniem.

–Bede potrzebowala domu dla siebie i moich dzieci – rzekla spokojnie Despina.

Hafciarka zanosla sie ochryplym smiechem.

–A czym mi zaplacisz za goscine? Zlotem, diamentami czy kadzidlem?

–Praca – odparla wyspiarka.

Tulla niecierpliwie zacisnela wargi.

–Nie potrzebuje sluzacej. Idz swoja droga, kobieto. Despina bez slowa polozyla na progu niemowle i odrzucila z ramion welniana oponcze. Suknie miala prosta, z bladoniebieskiej materii, porwanej teraz i poplamionej slona woda. Ale rabek spodnicy, rekawy i gorset suto ozdobiono purpura – nici byly barwione w krwi slimakow, ktore zyja po drugiej stronie morza i sa cenniejsze od zlota.

Tulla przez chwile patrzyla na czerwone pnacza haftu.

–Wejdz do srodka – powiedziala w koncu. – Musisz byc glodna i zmeczona, twoje dzieci takze.

Wieczorem, kiedy Yanni i Arachne spali w jedynym łozku hafciarki, nakarmieni zupa z ciecierzycy i otuleni suchą koldrą, obie kobiety siedziały w kuchni. Na stole, obok misy winogron, migotała słabo oliwna lampka.

–Dobrze znasz rzemiosło – odezwiała się Tulla – a to zasobne miasto. Możesz u mnie poczekać, póki twój mąż nie wróci.

–Mój mąż nigdy nie wróci. – Despina ciasno splótła dłonie na debowym blacie, a hafciarka nie pytała więcej.

\*\*\*

Arachne długo nie rozumiała, dlaczego spośród wszystkich białych miast Polwyspu jej matka postanowiła osiedzieć właśnie w tym, które budzi najgłębszą grozę. Zapewne po części stało się tak za sprawą Tulli. Staruszka zmarła w cztery lata po ich przybyciu, zostawiając uciekinierce z wysp cały swój majątek, dom, warsztat i zapasy nici. Żyło im się dobrze. Kunszt Despiny szybko stał się sławny i każda panna z siedmiu wysokich rodów chciała mieć w posagowej skrzyni, choć jedna suknie ozdobiona haftem przez milczącą kobietę zza morza.

Yanni i Arachne wkrótce poznali dialekt Polwyspu i z ich mowy nie dało się zgadnąć, że urodzili się na odległych wyspach. Jednak nigdy nie stali się częścią Brionii. Kiedy szli wąskimi kamiennymi uliczkami na targ albo do akweduktu, ich rude włosy przyciągały spojrzenia i zdawały się płonąć pod wykuszeniami kupieckich kamienic. Czasami inne dzieci biegły za nimi, wykrzykując obelgi i rzucając kamieniami. Yanni wyrosł na dużego chłopca i potrafił je odpedzić. Arachne miała mniej szczęścia.

–Dlaczego nie możemy mieszkać gdzie indziej? – zapytała pewnego popołudnia, kiedy wróciła do domu w podartej sukience i z policzkiem rozciętym okrucieństwem skały.

Reka, która przemywała jej ramię, znieruchomiała na moment. Matka nie odezwiała się jednak.

–I tak nas tutaj nie chcą – nalegała dziewczynka. – Na ulicy wołają za mną "przybleda" i "strega". Czy nie możemy po prostu wrócić do siebie?

Despina chwyciła córkę za brode i gwałtownie szarpnęła jej twarz ku gorze.

–Nigdy więcej tak nie mów – rzuciła ostro. – Tutaj też jesteś u siebie.

Matka nieczęsto unosiła się gniewem, toteż Arachne przestraszyła się Despiny bardziej niż gromady urwisów z sąsiedztwa. Krew spływała jej po policzku cienką, gorącą stróżką. Biała się jednak rozplakać. Despina rzadko pozwalała córce na łzy.

Po chwili twarz hafciarki zlagodniała nieco. Być może sprawił to rozradowany głos Yanniiego, dobiegający przez drzwi z wewnętrznego ogrodka, gdzie chłopak pił wino i ucierał farby ze starym Gennarem. Despina częściej się uśmiechała, odkąd siwowłosy mistrz postanowił przyjąć chłopca do swojej bottegi. Owszem, kochała Arachne i cierpliwie uczyła ją tajników hafciarskiego kunsztu, choć dziewczynka nudziła się szybko, a jej palce plątały cieniutkie nici. Ale po śmierci męża serce Despiny zamieszkało w jej rudowłosym synu.

Matka zebrała kilimy i hafty z lady, która za dnia stawiała się dolna okiennica, i zamknęła okno na mosiężny haczyk. W wielu domach rygły i zamków strzegły demony, splecione z metalem przez pomniejszych magów i sprzedawane pospolicie na targowisku u Porta dei Ferraii. Jednak w domu Despiny nie było magii. Nawet kolatka o głowie wyrzeźbionej w kształt ognistego smoka była jedynie zwyczajnym kawalkiem metalu, a w trojnogu z zarem nie zakleto żadnej ognistej salamandry, aby w zimowe noce ogrzewała domowników swym oddechem.

– Posłuchaj mnie bardzo uważnie – powiedziała z naciskiem hafciarka. – To twoje miasto, bardziej niż jakiegokolwiek inne z miejsc. Brionia należy do ciebie i będzie należała, dopóki pozostanie, choć jedna ze skal, na których wspierają się fundamenty świątyn.

Arachne przypatrywała się matce ze zdumieniem.

– Kiedyś dawno temu – Despina odchyliła głowę i przymknęła powieki – w Brionii nie było cytadeli. Nie było też żadnego maga, aby panował stąd nad Costa dei Gabbiani. Cały Polwysep należał do księcia o imieniu Duilio i do jego pani, Sirocco, która mieszkała daleko na morzu, na wyspie strzeżonej przez tysiąc wichrów. A Sirocco знаła imię każdego z wichrów i każdy z nich pragnął jej służyć.

Dziewczynka zmarszczyła brwi. Znała to imię. W całej Brionii matki straszyły nim nieposłuszne dzieci i raz po raz w Vicolo delle Tessitrici, Zaulku Tkaczek, rozlegał się czyjs rozsierdzony krzyk: – Jeśli nie będziesz grzeczny, noca przybędą demony Sirocco i cisną cie w sam środek oceanu! ”.

– To były dobre czasy – ciągnęła matka. – Najlepsze. Magowie zbyt lekali się Duilia, aby toczyć swe bezsensowne wojny, a demony mieszkaly posrodku morza, z dala od ludzkich siedzib. Książe pragnął tworzyć rzeczy trwałe i piękne, więc spajał demony własną krwią, aby nigdy nie zdołały się uwolnić i uciec ponad księżyc. Ale kiedy zestarzał się i osłabł, magowie zbuntowali się przeciwko niemu i w grotach pod skalami Brionii poczęli tworzyć golemy...

Arachne skinęła głową. Znała tę część historii. Znał ją każdy na Polwyspie.

– Duilio zginał tuż przy brzegu morza. Sirocco zdołała uciec z pola bitwy, unosząc w

ramionach jego atlas nieba, gdzie zapisano wszystkie sekretne zaklęcia, loty komet i powłoki nieba, a także imiona demonów, co mieszkają wysoko pomiędzy gwiazdami. Popłynęła w głąb oceanu, aż do wyspy, która jej mąż wydzwignął z morskiego dna. Tam się ukryła, w pałacu strzeżonym przez demony wiatrów. Ale buntownicy ruszyli za nią w pościg. Było ich tak wielu, że maszty okrętów wyglądały jak potężny las na gładkiej tafli oceanu.

Dziewczynka wiedziała, co usłyszy dalej. Dzieci z Vicolo delle Tessitrici rzadko dopuszczały ją do swoich zabaw, lecz ukryta pod ciężkim nawisem winorośli patrzyła z oddali, jak odgrywają wielką wojnę magów. W pelerynach ze starych tunik i z workami wiatrów ze swińskich pecherzy przybierały role księząt z Costa dei Gabbiani, którzy trzy pokolenia temu zbuntowali się przeciwko tyranii Duilia. Każdy chciał, choć na chwilę stać się Ercole, ojcem Severa, księcia-maga, który teraz panował nad Brionia. Ercole był najpotężniejszym z magów i czwartego dnia bitwy zabił Duilia pojedynczą strzałą na skraju Pianura Grigia. Później wznosił na nadmorskiej skale cytadelę i w jej cieniu zbudował Brionie, najpiękniejsze ze wszystkich miast Polwyspu. Jego rola nieodmiennie należała do Assunty, czarowniczej córki szewca, która twierdziła, że jej pradziad pozełgował wraz z innymi na Isola di Tutti Venti, gdzie schroniła się małżonka Duilia – stręga o imieniu Sirocco.

Zadna z dziewczynek nie chciała odgrywać roli Sirocco. Ostatecznie musiał ją być zeszłoroczny chochol, skradziony z szopy za domem Crescenza, strzecharza. Po skończonej zabawie wszyscy rzucali się na kukły z kijami i tłukli, aż odpadały wielkie wiechcie słomy. Nigdy jednak nie niszczone jej całkowicie i niezadługo Arachne znów widziała, jak dzieci wyciągają z ukrycia kukłę Sirocco, coraz cięsza i coraz bardziej sterana. I marzyła, że pewnego dnia Assunta pozwoli jej przyłączyć się do zabawy i wraz z innymi będzie mogła uderzać w słomianą twarz stręgi, póki jej ręce nie omdleją.

– Nic nie mogło ich powstrzymać – mówiła dalej matka – ponieważ Duilio nie żył i jego magia topniała z każdą chwilą. I wtedy Sirocco wyszła na nadmorskie skały i zaczęła śpiewać, zwołując do siebie demony wiatrów, które krążyły nad wyspą, otepiałe i przerażone. Splotwszy je w pojedynczy bicz, pchnęła je przeciwko flotylli w największym z huraganów, jaki kiedykolwiek oglądano. Tylko jeden ze statków ocalał, ponieważ zbrojca jej meza był magiem i wicherzy nie zdołały go zatopić. Ercole przeżył, a z każdym pokonanym demonem jego moc rosła. Kolejno chwytł wicher, pchał je zaklęciami i obracał we własnych niewolników. Aż Sirocco zrozumiała, że nie może go pokonać. Wezwała ostatecznie z demonów, aby uniosły jej dzieci, trzech synów Duilia, i ukryły je daleko od Polwyspu i księząt-magów, gdzie Ercole nigdy nie uda się ich odnaleźć.

Arachne zmarszczyła brwi. Tego nie było w zabawach dzieci ani w opowieściach Gennara, który, jeśli wypił wystarczająco wiele wina, sadzał ją sobie na kolanach i snuł stare basnie.

**–Z polnocy nadbiegl etezje i porwal najstarszego syna Sirocco wysoko w gory, gdzie nie zyje nikt, procz dzikich kozic. Znad wschodniego kranca morza podniosla sie laventera, ktora wypelnia zagle rybakow, i zabrala sredniego z synow na morze, na jedna z owych zakletych wysp posrodku oceanu, dokad nigdy nie docieraja zeglarze. Na koncu znad pustyni przyfrunal sirocco, jej imiennik, i uniosl najmlozszego z synow Duilia daleko na polnoc, na obcy brzeg. – Despina podniosla powieki i spojrzala na corke. – I on wlasnie byl twoim pradziadem.**

**Dziewczynka podskoczyla, jakby Yanni zacisnal w ciemnosci mokre palce wokol jej kostki. Kiedy byla calkiem mala, brat zaczajal sie pod lozkiem i godzinami czekal, az we snie wystawi stope spod welnianej koldry. Arachne uwielbiala, gdy ja straszyl.**

**Ale Despina nigdy nie przylaczala sie do podobnych zabaw. Arachne nie rozumiala, po co teraz wymyslila te przerazajaca historie.**

**–To nieprawda? – odwazyla sie zapytac. – To tylko taka opowiesc, mammo?**

**Hafciarka potrzasnela glowa. W milczeniu mierzyla corke spojrzeniem fiolkowych oczu, niepodobnych do zadnych innych w calej Brionii. Z poczatku sporo mezczyzn przychodzilo do warsztatu z powodu tych oczu. Jednak Despina, nieodmiennie okryta ciezkim, wdowim welonem, z jednaka uprzejmoscia odpowiadala, ze jej maz Merigo zostal na morzu. W koncu przestali przychodzic. Nawet w Brionii niewiele dalo sie poradzie na nierozwazny upor kobiet.**

**–Cala reszta jest klamstwem – odpowiedziala wreszcie hafciarka. – Tylko ta opowiesc jest prawdziwa.**

**W wirydarzu rozlegl sie glosniejszy wybuch smiechu. Zapewne Gennaro osuszyl juz dzban i niedlugo Yanni bedzie musial go odprowadzic do domu. Arachne wydawalo sie, ze ostatnimi czasy mistrz pije coraz wiecej. Kilka razy widziala go, jak w samym srodku dnia spi na ulicy, w podcieniach kamienicy albo oparty o brzeg miejskiej sadzawki. Jednak ani matka, ani Yanni nie wspominali o tym ani slowem.**

**–Sirocco nie byla strega. Nie byla takze demonem splecionym ze smiertelnym czlowiekiem ani zadnym innym zlem, sciagnietym przez magow z wysokiego nieba. I rzucila sie w morze z najwyzszej skaly Isola di Tutti Venti, aby Ercole jej nie pochwycil.**

**Arachne milczala, mnac w palcach zakrwawiona szmatke. Byla pewna, ze opowiesc jest prawdziwa – Despina nie miala zwyczaju klamac. Dziewczynka nie wiedziala jednak, co zrobic z ta straszliwa, nieprawdopodobna prawda.**

**–Zdolala jednak ocalic swoich synow. Ich oczy byly blekitne od magii, a caly Polwysep stanowil ich dziedzictwo. Wtedy i teraz. Dopoki ktorys z nich nie wroci, aby przepedzic samozwanczych magow i odebrac swoja wlasnosc.**

**Z glebi ogrodka dal sie slyszec nagly loskot, trzask rozbijanego dzbana i stlumione przeklenstwa. Mistrz Gennaro najwyrazniej nie zamierzal przespac u nich wieczornego zaru, bo podniosl sie i czlupal ku kuchni, podpierany przez rudowlosego syna hafciarki.**

**–Czy Yanni...? – zapytala dziewczynka.**

**Despina drgnela, jakby ocknela sie ze snu.**

**–Cicho! – Pochwycila Arachne za ramiona i potrzasnela mocno. – Obiecuj, ze nigdy nie bedziesz o tym mowic. Z nikim. Nawet z Yanim. Obiecuj mi na smierc Meriga!**

**Arachne przerazila sie jeszcze bardziej. Matka nigdy nie wspominala o ojcu.**

**–Obiecuje – zdolala wykrztusic, zanim Yanni wtoczyl sie do izby, niemal niosac siwowlosego malarza.**

**–Odprowadze mistrza – rzucil chlopiec przez ramie, a Gennaro zawtorowal mu niezrozumialym belkotem.**

**–Dobrze. – Despina podniosla sie i wygladzila suknie. – Ale nie spoznij sie na wieczerze.**

**–A co sie stalo z atlasem nieba? – zapytala Arachne, kiedy w Vicolo delle Tessitrici ucichly juz ciezkie kroki mistrza.**

**–Tego nikt nie wie – rzekla sucho matka i zaczela trzaskac przy kuchni garnkami na znak, ze rozmowa skonczona.**

**Wieczorem Arachne znow patrzyła z blankow Beluardo dei Gufi na morze. Jednak, kiedy cien siegnal jej stop, odwrocila sie ku cytadeli maga, ktora na szczycie gory wznosila sie ponad miastem jak olbrzymie, mroczne gniazdo drapieznego ptaka. I pierwszy raz ciemnosc wydala sie jej mniej przerazajaca.**

**–Nie boj sie – powiedzial Yanni, kiedy wreszcie zdolal ja odnalezc. – Nigdy cie nie zostawie samej.**

**–Nie boje sie – odparla i byla to prawda, choc brat rozesmial sie tylko i nie uwierzył.**

**Jednak tamtego wieczoru Arachne naprawde nie czula leku i postanowila zawrzec z Brionia krotki rozejm. Ostatecznie bylo to jej miasto i mialo kiedys nalezec do Yanniego – oraz do niej.**

**\*\*\***

**Przez nastepne trzy lata mistrz Gennaro rozpil sie do reszty. Nigdy nie byl**



szczególnie biegły w swej sztuce. Książę od lat nie zapraszał go do cytadeli, ale teraz stary malarz nie dostawał już zleceń w domach wielkich rodów ani nawet w mieszczańskich kamienicach. Z rzadka udało mu się wykonać krótkochwilne malowidło na ścianie gospody, bo oberżyscy wiedzieli, że będzie ich kosztował kilka dzbanów rozcienczonego wina, zeschle podplomyki i odrobine oliwy do maczania chleba. Zazwyczaj jednak siedział w lupanarze i kreslił węglem na sosnowej desce wizerunki ladacznicy, a one śmiały się i rzucały mu resztki ze stołu, jak oswojonej małpce.

Bottega rozsypała się. Najzdolniejsi z uczniów przystali do innych mistrzów, reszta rozbiegła się po Polwyspie w poszukiwaniu zajęcia. Tylko Yanni został przy Gennarze – wprawdzie powszechnie uważano, że hafciarka Despina jest zacna, uczciwa kobieta, ale żaden inny malarz nie chciał wziąć do terminu jej rudowłosego syna. W Brionii nigdy nie ufano obcym. Teraz zaś po mieście krążyły słuchy, że jeden z południowych magów szykuje bunt przeciwko ich księciu, więc ludzie podejrzliwie patrzyli na przybyszów. Owszem, w porcie znalazłby się zapewne zdesperowany cieśla czy bednarz, który najalby do terminu chłopaka wdowy, bo Yanni był silny i odziedziczył po matce zreczne palce. Ale nie takiej przyszłości chciała dla niego Despina. I nie takiego mistrza potrzebował Yanni.

Coraz częściej chłopak znikał na całe dni. Nie mówił, dokąd idzie. Zakradał się do domu po zmroku, w poplamionej tunice, cuchnąć winem. Arachne słyszała, jak objada się w kuchni o sprząty, trząska misami, wygrzebuje z garnków resztki wieczerzy. W końcu walił się na posłanie w swojej izdebce nad warsztatem i spał aż do południa. A następnego dnia znowu wymykał się z domu, zanim Despina zdołała go zapytać, dokąd chodzi.

Jednak tamtego dnia wrócił wcześniej.

Arachne siedziała przy oknie, wyszywając na pasmie lnianego sukna czarne konie, które zdobiły herb Arnolfinich. Matka powierzała jej czasami pomniejszych roboty, a tym razem zamówienie było naprawdę znaczące: najmłodsza z córek Arnolfinich miała za dwa tygodnie wstąpić do klasztoru szarych mniszek, zatem jej ojciec postanowił obstałować wyprawę odpowiednią dla godności rodziny.

Warsztat był zamknięty, jak co roku w rocznicę dnia, kiedy przyплыли do Brionii. Despina siedziała w mrocznym kącie izby, bo kaganek zgasł wiele godzin temu, przy stole zasłanym kawalkami barwnych materii, zwojami nici, drewnianymi ramami, klebami wełny. Od rana nie odezwała się ani słowem. Być może rozmyślała o domu, pozostawionym po drugiej stronie morza, albo o mezu, który nigdy nie przybył do Brionii. Arachne nie śmiała jej zagadnąć. Matka nie była rozmowna, a tego dnia wydawała się jeszcze odleglejsza niż zwykle.

Dziewczyna pracowała w milczeniu. Czasami tylko zerknęła znad ścięgu ku matce,

ale myslami byla zupełnie gdzie indziej – przy synu Crescenza. Chłopak zaczepił ją wczoraj u studni i zaprosił na zabawę przed oberza. Jeszcze zeszłej jesieni żaden chłopiec z Vicolo delle Tessitrici nie oglądał się za rudowłosa córka hafciarki. Jednak przez zime Arachne wystrzeliła w górę jak młody ped i nabrała kształtów. Miała prawie czterdzieści lat. Stosowny wiek, aby włożyć długą suknie i tańczyć aż do późnej nocy na placu oświetlonym setką latarni, a może nawet pozwolić się ukradkiem pocałować synowi strzeżarza.

Zastanawiała się, czy zdoła namówić Yanni, aby wybrał się z nią na zabawę. Bo była pewna, że matka nie pozwoli jej samej ani tym bardziej w towarzystwie jednego z tych czarnowłosych urwisów, jak Despina zwykła nazywać potomstwo sąsiadów. Ale Yanni na pewno ulegnie prośbom. Ostatecznie Arachne była jego małą siostrzyczką.

Podsłuchiwała na dźwięk otwieranych drzwi. Yanni stał na progu. Policzki miał zaczerwienione od wina i pokryte kilkudniowym zarostem, tunika brudna i poszarpana na boku. Przemierzył warsztat kilkoma szybkimi krokami i wyrwał coś matce z dłoni.

–Znowu to robisz? – zapytał ze złością, unosząc płaski, oprawny w skórę przedmiot. – Czy chcesz, żeby nas wszystkich ukamienowano przez twoją głupotę?

–Oddaj. – Despina wyciągnęła w górę ręce, ale Yanni odtracił je bez trudu. – Oddaj – powtórzyła z błaganiem w głosie. – To tylko brewiarz. Nic więcej nie zostało mi po waszym ojcu.

Arachne ze zdumienia upuściła robotkę. Yanni trzymał w dłoni księgę, kodeks magów, pełen zaklęć i tajemnych znaków.

–Nie obchodzi mnie, co to jest – syknął przez zacisnięte zęby. – I strażnicy też nie będą o nic pytać, kiedy powłoka nas wszystkich do lochów pod Torre dei Falconi. Wystarczy, że cię przyłapają na zakazanych sztukach.

–Nie jestem...

–Wszystko jedno, kim jesteś – przerwał brutalnie chłopak. – Lamiesz rozkaz księcia.

–Nie dbam o barbarzyńskie zakazy Severa. – Despina podniosła się, a na jej twarzy wystąpiły czerwone plamy. – Kiedy się urodziłeś, wpisałam do tej księgi twoje imię, a twój ojciec odczytał modlitwę do Jedyne, aby twoje życie było długie i szczęśliwe. Podobnie jak wcześniej zrobił jego ojciec i jak kiedyś ty uczynisz dla swojego pierworodnego. W tej księdze nie ma ani odrobiny magii, tylko pamięć i modlitwa. I nie pozwolę jej odebrać wyłącznie, dlatego, że Severo leka się, aby kiedyś nie urodziła się druga Sirocco.

**–Nie rozumiesz, matko – Yanni potrzaskał głową, ale gniew zniknął z jego głosu – że nie będa cię słuchać? Być może ksiądz zechce okazać łaskę, bo urodziłaś się z dala od Brionii i nie ma w tym twojej winy, że nauczono cię zakazanych znaków. Wyklują cię oczy, jak córce kapitana z Centocchio. Zeszłej jesieni pochwycono ją nad księgą i ukarano, choć jej kraj leży nad ujściem Fiume Bianco, gdzie nie sięga władza Severa. Wszyscy mówili, że sama jest sobie winna. Nawet ludzie jej ojca. Bo w Brionii panuje prawo Severa i każdy, kto postawi stopę na jego ziemi, musi go przestrzegać. I nikt nie będzie łaskawym nad stręgą.**

**–Nie jestem wiedźmą! – Despina wyrwała mu księgę i przycisnęła ją mocno do piersi.**

**Arachne wodziła pomiędzy nimi przestraszonym spojrzeniem. Zdarzało się, że Yanni drwił z matki, z jej ciężkich sukni o obcym kroju i dziwacznych zwyczajów. Nigdy jednak nie spierali się równie gwałtownie.**

**–Przejrzyj na oczy, matko – powiedział ze znużeniem Yanni. – Ludzie już teraz gadają, że jesteś stręga. Tak samo jak stara Gallinetta, która mieszka pod cmentarnym murem. Strasza dzieci twoim uroczym okiem. Nocami zakradają się pod nasze okna, aby zobaczyć, jak przywabiasz demony. Jesteś obca i nigdy nie dopuściłaś ich do siebie, więc tylko czekają na powód. Jeśli musisz zatrzymać tę księgę, schowaj ją głęboko w kufrze i strzeż jej jak zrenicy oka, bo inaczej sprowadzisz na nas wszystkich zgubę. A przede wszystkim na nią. – Pokazał na Arachne, która wciąż kulila się na niskim stołeczku. – Jak myślisz, co się z nią wówczas stanie?**

**–A gdzie ty wtedy będziesz? – spytała zniechęcona Despina, – Tego dnia, gdy żołnierze Severa przyjdą mnie zabrać do Torre dei Falconi?**

**Yanni zmienił się na twarzy. Despina miała tę dziwną zdolność, że poprzez wszystkie wypowiedziane słowa sięgała prosto do sedna.**

**–Zaciągnąłem się do armii. – Zadarł brodę i starał się panować nad drzeniem w głosie. – W przyszłym tygodniu odpływamy.**

**–Nie! – krzyknęła bezwiednie Arachne. Despina bez słowa patrzyła na syna.**

**–Na co mam tutaj czekać? – zapytał ze złością Yanni.**

**Dwa dni temu poszedł pod Beluardo dei Gufi, gdzie siedzieli księżcy łapacze. Bał się wrócić do warsztatu i powiedzieć matce o powziętej decyzji. Zaszył się, więc w gospodzie i sumiennie roztrwonil całe srebro wyplacone przy zaciągu. Teraz wino dodawało mu odwagi.**

**–Az mistrz Gennaro zapije się do reszty albo utopi w cysternie? – ciągnął coraz**

**bardziej zapalczywie. – Albo az mnie ktos noca pchnie nozem w gospodzie? Ja nie moze sie ukryc za wdowia szata ani wytyczyc haftem granicy, poza ktora nikt nie wejdzie. Nic tu nie mam. Ani rzemiosla, ani przyjaciol, ani szacunku ludzi. Jaka wiec tu jest dla mnie przyszlosc, matko, oprócz nedzy i marnej smierci?**

**Hafciarka wciaz sie nie odzywala. Yanni pochylił sie nad stołem i zaczął mówić szybciej, biorąc jej milczenie za zachetę.**

**–To tylko jedna wyprawa na południe, nie więcej – tłumaczył gorączkowo. – Widziałem w porcie okręty Severa. Na całym Polwyspie nie ma potęgi, która mogłaby stawic im czoło. Wroce jeszcze tego lata, mamó. Nic mi się nie stanie. Obiecuje.**

**Wargi Despiny drgnęły nieznacznie, jakby mozolnie próbowała wypowiedzieć jakieś słowa. Arachne dała bratu znak, aby zamilkł. Jednak Yanni tego nie spostrzegł, zajęty własną przemową.**

**–Muszę im pokazać, ile jestem wart – mówił łamiącym się, chłopięcym głosem. – Ze jestem jednym z nich, a nie przybleda zza morza. Wtedy zaczną nam ufać i wy też będziecie bezpieczne. Nikt nie odważy się was skrzywdzić, jeśli będę walczyć dla Severa. A ja wróce, zobaczysz, mamó, że wróce z sakwami pełnymi łupów, złota i drogich kamieni. Będziemy bogaci. Kupię dla was winnice na południowym zboczu góry, gdzie nie sięga cień cytadeli, i nigdy już nie będziesz musiała wyszywać dla obcych, mamó... – Urwał, wyczerpany.**

**Arachne słuchała w zdumieniu, nie rozumiejąc, jak Yanni może być tak głupi. Zdarzało się jej z daleka patrzeć na starych żołnierzy. Siedzieli w podcieniach karczem dla najemników czy lupanarów, usuwając w cieniu kikuty rak albo pogruchotane nogi. Jeśli ktoś rzucił im kilka miedziaków do glinianej miseczki lub postawił dzban wina, potrafili snuć cudowne opowieści. Mówili o wyprawach w dzikie rubieże Monti Serpillini, gdzie poza Passo dei Lupi polowali na bezgłowych Ambarytów, stregi i inne potwory. Palcem umaczanym w winie kreslili na drewnianych blatach wizerunki mantikor, salamander i wodnych starców z trójzębem w dłoni. Opowiadali o stepach daleko za ujściem Centocchio, gdzie trawy są błękitne, a w rzekach mieszkają przedziwne potwory z baśni, latające ryby i skrzydlate wrozki, które spią w kielichach kwiatów.**

**Ale żaden z nich nie dorobił się winnicy na południowym zboczu góry. Nie mieli nic, prócz łachmanów na grzbiecie i cudownych opowieści, które wymieniali na czerwone wino.**

**–Nie możesz tego zrobić – odezwała się martwym głosem Despina. – Walczyć dla Severa.**

**–Wiedziałem, że nie zrozumiesz! – wykrzyknął Yanni i odwrócił głowę, ale Arachne**

**zobaczyła, że w oczach ma lzy.**

**Zaczerpnęła głęboko powietrza. Teraz mu matka powie, pomyślała ze strachem. Powie mu o Sirocco i całej reszcie.**

**Lecz Despina tylko mocniej zacisnęła palce na magicznej księdze.**

**–On nie jest nawet twoim księciem – wyszeptała.**

**Yanni opanował się z wysiłkiem.**

**–Ale będzie nim, kiedy wsiądzie na jego okret. Wiedziałem, że nie zrozumiesz – dodał gorzko, po czym kretymi schodkami ruszył do swojej izdebki.**

**Arachne podeszła do matki i niesmiało dotknęła jej ramienia.**

**–Ani słowa! – rzuciła ostro Despina.**

**Zasłoniła dłońmi księgę, nie dość jednak szybko, i dziewczynka dojrzała dziwny srebrny wzór na grzbiecie.**

**–Idź stąd, Arachne – powiedziała bardziej miękko matka. – Zostaw mnie teraz sama.**

**W izdebce Yanniego panował półmrok. Niewiele światła wpadało przez wąskie okienko w dachu, a w powietrzu unosiła się won kurzu, siana i skwasniałego wina.**

**Yanni zdjął tunikę i mył się nad miską. Arachne wzięła dzbanek, a kiedy podeszła bliżej, zobaczyła na zębach brata trzy szramy od sztyletu. Najdłuższa była świeża, pokryta ledwie zaschniętym strupem.**

**Nagle uderzyła ją myśl, że to nie były tylko dziecięce pogrozki. Jej brat odpłynie na białym okrecie Severa i nigdy nie wróci. Matka nie zdoła go zatrzymać. Był dorosłym mężczyzną i mógł uczynić, co zechce.**

**–Naprawdę nie powinieneś tego robić – przemówiła cicho, polewając mu plecy nagrzana woda. – Zostawiac nas.**

**Yanni odwrócił się do niej i wziął świeży lniany ręcznik. Przez chwilę miała wrażenie, że ją przepędzi, ale jego twarz szybko złagodniała. Usiadł na skraju łóżka i oparł dłonie na jej ramionach.**

**–Nie mogę tu zostać, Arachne – powiedział poważnie. – To miasto jest pułapka, zastawiona na nas wszystkich. Kiedyś cień stanie się tak głęboki, że zasłoni nam oczy i stłumi oddech. Muszę uciekać, kiedy jeszcze potrafię żyć pod słońcem.**

**–Nigdzie nie uciekniesz. Będziesz tylko walczył dla Severa.**

**Nie zezłoscil sie. Chyba nie spostrzegł nawet, że mu sie sprzeciwiła.**

**–Trzy dni temu widziałem go na placu. Wyjechał przed Palazzo Ducale do żołnierzy. Był w zwyczajnym czarnym kaftanie, z od kryta głowa i krótkim mieczem u pasa. Za nim stali kondotierzy – Ubaldo Żelazna Reka, Nevio di Mare Ultimo i Gianetto l'Orso – wszyscy w srebrzystych puklerzach i morionach. Ale Severo i tak wydawał się dwa razy większy. Nie umiem tego wytłumaczyć – zawahał się. – Arachne, nigdy nie widziałem kogoś podobnego. Kazał wytoczyć do ogrodu beczki wina, a potem zsiadł z konia i chodził pomiędzy nami. Rozmawiał i przepijał do każdego, kto miał dość śmiałości, aby go pozdrowić. Bez zbroi, bez magicznego płaszcza czy innych cudownych broni. Jakby nie przeszło mu przez myśl, że ktoś go może pchnąć sztyłem w plecy. Jak gdyby nic nie mogło go dosięgnąć.**

**Arachne kiwnęła głową, choć nigdy nie widziała maga, który mieszkał w cytadeli ponad miastem. Owszem, podczas Festa dei Fiori w ogrodach Palazzo Ducale odbywała się huczna zabawa i heroldowie zapraszali na nią wszystkich godnych mieszczan. Ale życie Arachne upływało w mrocznym warsztacie, urozmaicane jedynie wyprawami na targ, do studni albo portu. Despina stroniła od uciech i nie wypuszczała się dalej niż na skraj własnej dzielnicy. Właściwie, zrozumiała nagle dziewczyna, nigdy nie chodzimy na wysokie place, na Tratto Principesco lub do teatrów przy górnym zakolu murów. Matka trzyma się z daleka od miejsc, gdzie mogłoby spocząć na nas oko Severa.**

**Na chwile opanowała ją przemożna chęć, aby opowiedzieć Yanniemu, że pochodzą od Sirocco i Brionia jest w istocie ich dziedzictwem. Powstrzymała się jednak. Dała słowo, a ta historia należała do ich matki. Despina wiedziała lepiej. Z pewnością miała powód, aby trzymać ją w tajemnicy przed synem.**

**–Jaki on jest? – spytała, aby pokryć zmieszanie. – Severo.**

**–Wysoki, wyższy ode mnie – odparł Yanni. – Ma ciemne włosy, jak ludzie z Brionii, i oczy błękitne jak niebo. Zdają się przewiercać człowieka na wylot, przenikac wszystkie myśli. Ale poza tym wygląda jak każdy inny człowiek. Nie ma twarzy ognistego demona ani lwich szponów zamiast dłoni. Jest tylko... – urwał.**

**Najpotężniejszym magiem Polwyspu, dokonała w myślach Arachne. I właśnie nam cie odbiera.**

**–Gdybys go wtedy widziała... – podjął Yanni. – Gdybys, choć raz widziała magię w jego oczach, wiedziałabys, że wroce. Nikt nie zdoła pokonać Severa i południowe księstwa też się przed nim ugną. Wtedy cie stąd zabiorę i nigdy więcej nie zobaczymy tego miasta.**

**–Dlaczego idziesz walczyć dla księcia, skoro tak bardzo nienawidzisz Brionii?**

**–Nie nienawidze jej! – Yanni rozesmial sie. – To piekne miasto i najpoteczniejsze ze wszystkich. Ale jesli zostaniemy tu dluzej, cien pochlonie nas na zawsze.**

**Wzdrygnela sie.**

**–Cien cytadeli?**

**Yanni zmierzwil jej wlosy.**

**–Zawsze sie go balas. – Przyciagnal siostrze i posadzil na krawedzi lozka, tuz obok siebie. – A matka podsycala w tobie strachy, choc nie wiem doprawdy, dlaczego. Ale teraz stalas sie prawie dorosla i powinnas wiedziec, jak rzeczywiscie jest. Ciemnosc to nie przeklenstwo ani pulapka. Severo utkal zaslone z mroku i demonow, aby chronila Brionie skuteczniej niz cyklopowe mury i zastepy zolnierzy. Dlatego jestesmy tutaj bezpieczni. Bo bez zgody ksiecia nikt nie moze przekroczyc bram miasta – ani czlowiek, ani demon.**

**–Nawet za dnia? – zapytala, wstrzymujac oddech.**

**Przestraszyla sie nagle, ze powietrze spali jej pluca trujacym wyziewem demonow.**

**–Nawet, kiedy slonce swieci tak jasno, az lzawia oczy. Severo jest zbyt subtelny, aby jego magia byla po prostu ciemnoscia nocy. Mrok cytadeli nieustannie spowija miasto i to dzien jest pora demonow, nie noc. Kazdego dnia o swicie ksiaze zwycieza mrok, pozwala, by sloneczne swiatlo przesaczalo sie przez zaslone demonow. Jednak bariera pozostaje, jak przezroczyta szklana misa kryje nas przed moca nieprzyjaciol. Czy teraz rozumiesz?**

**Zakrecilo sie jej w glowie, przed oczami zawirowaly ogniste i czarne kregi.**

**–Co ci jest, Arachne? – Yanni zlapal ja za ramiona.**

**Otworzyla usta i ze swistem wciagnela powietrze, a potem rozkaszlala sie spazmatycznie.**

**–Nic – wykrztusila wreszcie. – Zachlysnelam sie.**

**Brat przygladal sie jej podejrzliwie.**

**–Dziwna z ciebie dziewczyna. – Potrzasnal glowa. – Czasami zdaje mi sie, ze was w ogole nie znam. Ani matki, ani ciebie. Ale mrok jest tutaj, w tym zakurzonym warsztacie i w sercu naszej matki. Despina siedzi tu jak pajak w ciemnych katach, nie dbajac o nic, procz swoich nici. Jednak ty nie powinnas zyc w ten sposob. I kiedy jesienia powroce z sakiewka pelna zlota, zabiore cie stad daleko, siostrzyczko. Mrok naszego domu jest niebezpieczniejszy niz wszystkie demony Severa. Nie pozwol, aby**

cie pochlonal.

\*\*\*

Yanni odpłynął z żołnierzami Severa na południe, ale nie powrócił jesienią. Zbuntowani księżta bronili się zaciekle przez wiele miesięcy. Każdego dnia o zmierzchu Arachne wkładała długi płaszcz z szarej wełny i szła w dół wąskimi uliczkami Brionii po zboczu góry, a potem przez Lido di Capra. Stała na gładkich kamieniach nabrzeża, obserwując statki przybijające do brzegu w ostatnich promieniach słońca i ludząc się, że nad burta jednego z nich zobaczy twarz brata. Jednak nigdy się tak nie stało.

Mieszkały daleko od portu i było późno, kiedy wracała do domu. Ale Despina wciąż tkwiła w oknie, z rozpaczliwą nadzieją wpatrując się w ciemność. Arachne musiała powoli rozprostowywać palce matki, zacisnięte na krawędzi okiennicy. Jak ślepcą prowadziła ją do stołu, wtykała jej w dłoń plotno. Dopiero dotyk igły i nici budził hafciarkę z odretwienia. Machinalnie wygładzała materiał, wodziła palcami po wzorze. Zanim Arachne rozdmuchala żar na wygasłym palenisku, Despina haftowała z tą samą biegłością, którą przed laty zachwyciła Tulle. Jednak jej umysł błądził gdzieś daleko i nie rozpoznawała córki, kiedy ta podsuwała jej miske bobu doprawionego czosnkiem i oliwą.

Za dnia siadały obok siebie, przy krosnie, wielkiej drewnianej ramie do haftowania albo przy stole zasłanym wielobarwnymi motkami nici, pracując zaciekle i bez słowa. Arachne ani się spostrzegła, jak zaczęła upinać włosy w ciasną koronę na szczycie głowy i zakrywać je ciemną chustką. Jej suknie mimochodem przybrały barwę popiołu, potem świeżo skopanej ziemi, a nim nastąpiła wiosna, stały się zupełnie czarne. Kiedy szła o poranku po wodę do studni, dzieci uciekały przed nią i kryły się w zaułkach, jak niegdyś przed jej matką.

Co dziwne, szalenstwo Despiny nie budziło strachu. Tego lata nikt nie nazywał jej strega, choć coraz więcej czasu spędzała nieruchomo w oknie, spoglądając wypelzłymi oczami prosto w słońce. W Brionii rybacy często nie powracali z morza, a Severo prowadził wojny od wielu lat i mieszkańcy miasta przywykli do rozpaczki matek.

Sąsiedzi zaczęli wieczorami znowu zachodzić pod warsztat hafciarki. Kobiety zapraszały Arachne na darcie pierza i wicie kwiatnych girland, którymi co niedziele przystrajano posąg Najwyższego w wielkiej świątyni. Mężczyźni rabali drewno na opał, pobieliли ściany i pomagali dziewczynie w cięższych pracach, a syn Crescenza bywał u niej częściej niż inni. Arachne nie umiała się jednak cieszyć ich życzliwością, skoro zaskarbiła ją dopiero śmierć Yanniiego.

W rok później, gdy zaczęły wiać jesienne wichry, wojna skończyła się na dobre.



**Arachne rozumiała, że jej brat nie wróci. W jakiś sposób wiedziała o tym, zanim człowiek Severa przyszedł do ich warsztatu z sakiewką srebra, zapłata za roczną służbę. Wzięła w zimne palce ciężki miśzek z baraniego pecherza i wysłuchała opowieści o śmierci brata. Nie wiedziała nawet, czy jest prawdziwa, choć ludzie mówili, że mag potrafi zajrzeć w płomień serca każdego ze swoich ludzi. Arachne nie rozumiała jednak, dlaczego Severo miałby przypatrywać się śmierci Yanniego, syna hafciarki. Dopiero w środku nocy, kiedy bezsennie przewracała się na twardym sienniku, pojęła jedną prostą rzecz, która, na co dzień starała się spychać głęboko w ton pamięci.**

**Severo musiał przecież znać opowieść o trzech synach Sirocco, uniesionych przez demony wichrow i ukrytych przed wzrokiem Ercole. I być może książe-mag Brionii zdolał dostrzec w rudowłosym synu hafciarki coś więcej niż desperację wyrostka z ubogiej dzielnicy. Tak wiele, że postanowił go zabić. W odległym obcym miejscu, daleko od cyklopich murów Brionii.**

**Po omacku dzwignęła się z posłania. Podniosła wieko matczynego kufra i wśród gładkich materii odszukała ten jeden przedmiot, który mógł jej pomóc. Magiczna księga. Metalowe okucia były tak zimne, że niemal parzyły ją w palce. Ostrożnie zapaliła knot w lampce i przewróciła pierwszą kartę. Nic się nie stało. Żaden demon nie wyskoczył z pergaminu, pokrytego rzędami ornamentów, i nie sięgnął ku Arachne pazurami z żywego ognia. Ale też nie zdołała niczego zrozumieć. Daremnie wodziła palcem po stronicach, starając się wśród obcych kształtów rozpoznać własne imię, zaklęte w ciąg magicznych znaków.**

**–Co robisz?**

**Arachne poderwała się.**

**Despina stała tuż za nią i z głową przekrzywioną na ramię przyglądała się córce. Włosy miała rozpuszczone i nieczesane od wielu dni, suknie wymięta i poszarzała. Ostatnio nie pozwalała się dotykać nawet Arachne.**

**–Chciałam odnaleźć moje imię.**

**Despina rozesmiała się ciepłym, niemal dziewczęcym śmiechem i ku zaskoczeniu córki przytulila ją nieznacznie.**

**–Nie tutaj, kochanie – powiedziała, po czym usiadła obok na ławie, odsunęła dłoń Arachne i zaczęła przewracać karty. – To modlitwa do Najwyższego. Litanie jego imion, z których pierwsze i najpotężniejsze jest Jedność. – Ujęła palec Arachne i delikatnie poprowadziła go po rzędzie ciemnych znaków. – Bog jest przyczyną, zasada, substancja i życiem, i wezwaniem, i zmartwychwstaniem, odnowa i przemiana. Tak właśnie napisano.**

**–Nie widze, mammo – Arachne poskarzyla sie jak dziecko.**

**Despina szeptala jednak dalej do siebie:**

**–Jest zyciem dla zyjacych i trwaniem bytow. Zasada i zyciem kazdego zycia i substancji. Dzieki jego dobroci wszystkie byty istnieja, sa powolane do zycia i utrzymywane w istnieniu. On przywroci nam Meriga z glebi morza i wyzwoli nas spod mocy czarnoksieznikow, ktorzy wielbia demony i skradli nasze dziedzictwo. Na koncu zas sprowadzi na powrot Yanniego z obcych krain. – Usmiechnela sie do siebie. – Tutaj zapisalam jego narodziny. Urodzil sie w czwartej kwadrze ksiezycy i mial oczy koloru letniego nieba. A to jego imie. – Przycisnela palec dziewczyny do czterech znakow, nakreslonych ciemnym atramentem na marginesie ksiegi. – Spojrz.**

**–Nie rozumiem tego.**

**–Naucze cie, skarbie. – Matka objela ja mocniej ramieniem. – Tutaj jest twoje imie. – Przesunela opuszke Arachne nieco nizej. – Wybral je Merigo. Potem wzial cie noca na brzeg morza i uniosl wysoko ku gwiazdom, aby wszystkie rozpoznały twoje imie. Ponizej zapiszesz kiedys imiona swoich dzieci, tak samo, jak kiedys uczynila moja matka i matka mojej matki. Naucze cie, kochanie. Powinnam byla dawno to uczynic. A teraz moze nie zdazyc -dodala z zaduma.**

**–Masz jeszcze wiele czasu, mammo – odpowiedziala przez lzy Arachne.**

**Despina tylko potrzasnela glowa.**

**–Nie sadze, abym byla dobra matka – rzekla cicho. – Ale probowalam was uchronic. Z calego serca probowalam was uchronic. A Yanni byl taki mlody, taki jasny, i nie chcialam, zeby uczynil cos szalonego. I nie udalo mi sie. Ale dosc o tym. – Plynnie nakreslila jakis znak na zakurzonym blacie stolu, tuz obok motka zoltej jedwabnej przedzy. – To alfa. Pierwsza litera twojego imienia. Poczatek i stworzenie swiata.**

**\*\*\***

**Despina zyla jeszcze dziewiec miesiecy. Umarla pewnego jesiennego dnia, przy oknie, skad nieustannie wygladala Yanniego, i tak cicho, ze Arachne spostrzegla to dopiero wieczorem, kiedy mialy usiasc do wieczerzy. Kobiety z Vicolo delle Tessitrici zeszly sie o zmierzchu, aby umyc Despina i przygotowac do pochowku. Polozily cialo na stole uprzątnietym z nici, plotna, przedzy i barwnych skrawkow materii. Arachne trudno bylo uwierzyc, ze ta wysuszona starowinka, ktorej posiwiale wlosy daly sie zebrac w jeden chudy warkoczyk, jest naprawde jej matka. Ale kiedy sasiadki przygotowaly Iniany, pogrzebowy calun, powstrzymala je i wyjela ze skrzynki przy lozku wielka chuste. Wszywala ja ukradkiem przez dlugie, gorace lato i chciala podarowac Despinie w wigilie Festa dei Fiori, kiedy kobiety z calego Polwyspu tancza przed bialymi swiatyniami Najwyzszego i przystrajaja jego posagi w girlandy z**

**kwiatow i winne grona.**

**Gdy Arachne rozwinela chuste, kobiety odsunely sie od niej z trwoga. Najstarsze wdowy, ktore przycupnely na niskich stoleczkach u paleniska i odmawialy modlitwy za dusze zmarlej, przycichly nagle, zmylily rytm slow. Tylko ogien trzaskal pod kominem.**

**Chusta byla blekitna, w kolorze ultramaryny; na Polwyspie przynalezal on jedynie magom i stanowil znak ich mocy. Ale kiedy kobiety spojrzaly z bliska, zobaczyly, ze plotno, utkane z najcienszego lnu, pozostawiono biale. To nici byly blekitne i pokrywaly cale tlo gestym sciegiem, ktory mienil sie i polyskiwal jak letnie morze. Smukle rybackie lodzie z bialego lnu o zaglach wypelnionych wichrem plynely po nim na zachod. Na odleglych wschodnich wyspach kobiety zbieraly plon z winorosli i oliwnych drzewek. Chlopcy pasli na skalkach biale, krzyworogie kozy. Brodaci kupcy pedzili droga osly objuczone ciezкими koszami. Bily rozkolysane dzwony kosciolow. Biale ryby wyskakiwaly nad powierzchnie wody. Gdy Arachne nakryla matke chusta, kobiety z Vicolo delle Tessitrici ujrzaly caly wielki swiat, ktory zamykal prostokatny wzor, spleciony z bialych kwiatow roz i owocow granatu.**

**W Brionii nie znano podobnego haftu. Despina pokazala go corce, kiedy Arachne byla jeszcze bardzo mala. Nigdy nie zdobily nim wyprawnych sukni corek patrycjuszy ani obrusow i zaslon sprzedawanych w warsztacie. Dziewczyna wiedziala tylko tyle, ze pochodził ze wschodu, z wysp, skad przed wielu laty jej rodacy uciekli przed kaplanami w wielbladzie skorach i ich ofiarnymi kolami.**

**–Stamtad przyplynelismy – wyjasnila z prostota.**

**Jednak sasiadki milczaly, przerazone, jakby nawet patrzec na zakazany blekit magow moglo sprowadzic nagla smierc. Dopiero Cettina, najstarsza w Vicolo delle Tessitrici, podniosla sie ze stoleczka przy ogniu. Z trudem przykustykala do stolu i ujela glowe Despiny w kručhe, powezlone palce.**

**–Przybyly z daleka – rzekla starczym glosem. – I nie nam sadzic ich obyczaje. Ale jestesmy tutaj, aby usluzyc tej, ktora odeszla, tak jak ona sluzyla nam za zycia.**

**Kilka sasiadek usluhalo i pokornie przysunelo sie do stolu.**

**–To grzech! – wykrzyknela nagle jedna z kobiet. – Nie przystoi klasc tyle dobytku w trumne! Zwlaszcza, ze powinien налеzec do ksiecia!**

**Arachne wydalo sie, ze to zona Crescenza strzecharza, lecz nie byla pewna, bo tamta zaraz ukryla sie za plecami innych.**

**–Ale nie nalezy do niego! – odparla porywczo dziewczyna.**

**Stara Cettina tracila ja w ramie jesionowym kosturkiem, na którym sie zwykle wspierala. Tak mocno, ze Arachne jeknela z bolu.**

**–Cyt, dziecko – skarcila ja staruszka. – Cyt. Uszanujemy twoj bol, ale nie mow nic wiecej. A wy nie kreccie glowami jak kury, tylko uwijajcie sie zywiej. Czas najwyzszy odniesc ja do swiatyni.**

**Bylo juz zupełnie ciemno, kiedy odmowiono ostatnie modlitwy i zlozono Despina do waskiej sosnowej trumny, podarunku od ciesli Fantina. Mezczyzni w milczeniu zabrali martwa i poniesli ja ciemnymi ulicami do bialej swiatyni, gdzie nigdy nie wstepowala za zycia. Sasiadki rowniez rozchodzily sie po cichu. Kolejno kladly dlonie na czole Arachne i kreslily na nim znak odpedzajacy zle moce. Kilka z nich, takze stara Cettina, ofiarowaly jej swoja goscine, bo nie jest dobrze, kiedy mloda dziewczyna spedza samotnie pierwsza noc w domu, skad wlasnie wyniesiono trupa. Arachne podziekowala serdecznie, gdyz nie spodziewala sie podobnej dobroci, ale odmowila.**

**Malzonka strzecharza zwlekala dluzej niz inne. Kiedy wreszcie zostaly same, zatrzymala sie przed Arachne, ktora na progu warsztatu zegnala zalobniczki.**

**–Masz pojecie, glupia, ile bylo warte to sukno? – wysyczala. – Wiecej niz caly ten nedzny kram. Twoja matka wiedziala, co czyni, gdy wyhaftowala je w tajemnicy i ukryla. Ksiaze kazalby jej uciac glowe za podobna zbrodnie, choc byla tylko oblakana stara kobieta. – Spojrzala ze zloscia na Arachne.**

**Dziewczyna nie odezwala sie jednak ani slowem. Nie zamierzala zdradzic zonie strzecharza, kto wyhaftowal chuste.**

**Kobieta zacisnela usta. Milczenie gniewalo ja jeszcze bardziej.**

**–Widac jednak nie dosc oblakana – podjela – aby nie rozumiec, ze heretycy z poludnia za nic maja ksiazece zakazy i zaplaca szczerym zlotem za podobna szmate chocby po to, aby zadrwic z Severa i jego mocy. Ale omylila sie. Ksiaze dojrzalby zdrade i kazalby twoja matke ukamienowac, jak sie czyni ze strega i jak sie jej z dawna nalezalo.**

**–Zdecyduj sie – odezwala sie cicho Arachne – co cie bardziej boli. Czy to, ze tyle dobra zgnije wraz z moja matka w ziemi, czy tez, ze Severo nie ukamieniuje jej, gdyz uzyla nici w kolorze moich oczu.**

**Tamta wzdrygnela sie jak po uderzeniu, jej policzki nabiegly krwia. Zdolala sie jednak opanowac.**

**–Milcz, bezwstydna dziewko! – syknela przez zacisniete zeby. – Nie mysl, ze pozwole, aby moj syn poslubil strege. Jestes szalona jak twoja matka i bezuzyteczna jak chwast. A bezuzyteczny chwast nalezy rzucic w ogien. Skonczysz w plomieniach.**

**I bedziesz w nich plonac przez cala wiecznosc! – Po czym splunela jej pod nogi i wyszla pospiesznie, zbierajac spodnice.**

**Arachne zamknela za nia i na chwile przycisnela czolo do chlodnego, gladko ociosanego drewna drzwi.**

**–Ma racje – odezwal sie ktos tuz za nia.**

**Podskoczyla, odwracajac sie gwałtownie.**

**Stara Gallinetta wpatrywala sie w nia badawczo, kolyszac glowa i mruzac dziwne, kocie slepia. Jak zwykle, strega nosila bura, polatana oponcze, a pasma skoltunionych siwych wlosow opadaly jej na ramiona.**

**–Ma racje – powtorzyla starucha. – Oszalalas, dziewczyno. Zlamalas zakaz ksiecia. I zamierzasz jeszcze wiecej uczynic.**

**Wzrok Arachne mimowolnie pomknal ku skrzyni: na jej dnie spoczywal modlitewnik.**

**–Jestes glupia! – Strega prychnela jak kot. – Nie zdolasz zabic Severa. Nie tym sposobem.**

**Naciagnela glebiej kaptur i minela oniemiała Arachne. Jeszcze przez moment drewniane chodaki stregi stukotaly glucho na bruku Vicolo delle Tessitrici. Kocury wtorowaly im wrzaskami z bram i ciemnych zalomow murow.**

**\*\*\***

Nikt więcej nie nagabywał Arachne o chustę, w której pochowano jej matkę, ani o haft koloru ultramaryny. Jednak zona strzecharza musiała rozmówić się z synem, gdyż ten nie pojawił się już pod warsztatem hafciarki. Dziewczyna właściwie nie odczuła jego braku. Nie neciły jej gwarne ulice Brionii. Owszem, grzecznie mówiła z matronami, kiedy zamawiały stolowe plotna albo wyprawy dla córek. Wyszywała złota nica paradne kaftany rajców z magistratu. Spotkał ją nawet ten zaszczyt, że dwóch zakapturzonych bosonogich mnichów z Monastero delle Zodiaco stanęło przed jej warsztatem, aby obstałować nową szatę dla cudownego obrazu, który był największym skarbem klasztoru. Ale najszczęśliwszą czuła się dopiero o zmierzchu, kiedy mogła zamknąć drzwi, zatrzasnąć okiennice i otworzyć modlitewnik matki.

Ani spostrzegła, jak minęła zima. Zamówień było tak wiele, że niemal nie wychodziła z domu. Najęła dziewczynę, aby codziennie rano przynosiła wodę i sprawunki z rynku. Za dnia Arachne stała przy krosnie albo wyszywała, noca zaś czytała modlitwy z brewiarza matki. Wreszcie znalazła na pamięć każdą literę. Otworzyła metalową skrzynkę, gdzie Despina trzymała monety z wizerunkiem Severa, przeliczyła je starannie. Odsunęła na bok cztery denary i położyła je w glinianej miseczce, gdzie spoczywała garść miedziaków, które wydzielala służącej na chleb, ser, oliwę do kaganka i suszone figi. Pozostałe monety zsyłała do skorzanej sakiewki. Określiła się w grubą wełnianą płaszcz i wyszła na ulicę.

Słońce było wciąż blade, powietrze chłodne, ale pachniało wiosną, a po mroku warsztatu mrużyła oczy od bladego światła poranka. Przeszła Vicolo delle Tessitrici. Pozdrowiła sąsiadki, które rozwieszały pranie na sznurach przeciągniętych nad ulicę. Zamieniła kilka słów ze starą Cettina, która przycupnęła na niskim stołeczku na progu warsztatu syna, ciesli Fantina. Potem ruszyła dalej poprzez dzielnice rzemieślników, rozciągającą się pomiędzy Porta dei Ferrai i Monastero dello Zodiaco.

Zmierzala ku Lido di Capra, gdzie gniezdziła się miejska biedota. Uliczki stawały się coraz węższe i bardziej zaniedbane. Kamienne warsztaty rzemieślników zniknęły, ustąpiwszy miejsca chatynkom, skleconym naprędce z drewna i chrustu. Lido di Capra należała do księcia. Wąski przesmyk pomiędzy dwoma murami łączył miasto z portem i Severo nie pozwalał w nim wznosić kamiennych budowli ani niczego, co utrudniłoby obronę Lido w razie ataku nieprzyjaciela. Czasy były jednak spokojne i niepostrzeżenie na owym małym kawałku ziemi wyrosło osiedle niedzarzy.

Właśnie tutaj gniezdziła się przybyszka z innych miast Polwyspu, jeśli nie stać ich było na wynajęcie pokoiku w jednej z czynszowych kamienic w wysokim mieście. W niepozornych szopkach handlowano towarami wykradzionymi ze statków w porcie i wybijano fałszywe monety z wizerunkami obcych książąt – bo nikt nie osmielał się podrabiać denarów Severa. Z chat, ruder i ziemianek wypelzały gromadki obdartych dzieci i ziewając, ciągnęły ku lepszym dzielnicom w poszukiwaniu jalmuzny albo okazji do kradzieży. Kiedy mijaly Arachne, oglądały się na nią ciekawie,

ale nie probowaly jej okrasc ani ublizyc.

Wbrew pozorom, Lido di Capra byla najbezpieczniejsza dzielnica Brionii. Przed kilkoma laty pewien nieroztropny rzezimieszek poderznal tu gardlo mnichowi z ksiazeczej capelli. Krew jeszcze dobrze nie skrzepla, kiedy mag pchnal ku Lido demony ognia. Plomienisty podmuch w jednej chwili ogarnal drewniane chatki, bosonogie dzieciaki, handlarzy starzyzna, przemytnikow, falszerzy, sparszywiale szare kundelki i kozy wypasane pomiedzy ruderami. Splonelo wszystko, co znajdowalo sie pomiedzy dwoma pasmami murow. Az do golej ziemi. Ale ogien nie osmalil nawet kit na morionach straznikow, co z wysokosci murow przygladali sie pozodze.

Odtad obcy byl bezpieczny w Lido di Capra, chocby spacerowal w srodku nocy z sakiewka pelna zlota u pasa. Owszem, zlodzieje obserwowali go z dala i gdy tylko zszedl do portu, podrzynali mu gardlo, zanim zdazyl przelknac sline. Ale nie u siebie. Nie w Lido.

Arachne chwycila za ramie jednego z bosonogich urwisow, ktorzy bawili sie w blocie obok przeciekajacej cysterny na deszczowke.

–Ktoredy do Kulawego Tuillia?

Chlopiec popatrzył na nia spode lba. Arachne wcisnela mu brudne palce miedziany pieniazek.

–Tamtedy – pokazal przeswit pomiedzy dwiema niskimi szopami; ich koslawe, przegnile dachy niemal sie stykaly. – Az do samego muru. Oddzielny budynek. Mech na dachu – dodal, a potem szarpnal sie mocniej i juz go nie bylo.

Kulawy Tuillio nie otworzyl, choc glosno stukala w drzwi kawalkiem suchej galezi, zawieszanej na sznurku jako kolatka. Wreszcie weszla do srodka, zdecydowana poczekac na gospodarza. W szopie bylo ciemno, a drzwi zamknely sie same za jej plecami. Z poczatku nic nie widziala. Zrobila kilka krokow naprzod i otoczyla ja won ziol, spalonej oliwy, mysich odchodow i zepsutego sera. Wyciagnela przed siebie rece i na oslep natrafila na jakis pierzasty, wilgotny przedmiot. Cofnela sie gwaltownie, uderzajac plecami w wysoka skrzynie. Tuz nad jej glowa cos zaszuralo i z piskiem umknelo. Podskoczyla mimowolnie. Z dachu posypalo sie na nia prochno i drobne galazki.

–Dosyc – odezwal sie glos w glebi pomieszczenia.

Ktos skrzestal ognia i zapalil knot oliwnej lampki. W niebieskawym swietle Arachne zobaczyła mezczyzne. Mial dziobata twarz, niechlujna, rzadka brode, a jego nos wygladal jak wielkie ziarno fasoli. Siedzial za blatem, na którym pietrzyly sie worki, dlugie noze, sakwy, mosiezne garnki, kosciane rurki, kawalki kolczug, oselki i wiele

innych przedmiotów. Skraj stołu pozostawiono dla wagi z rzedem małych odważników i wielkiego drewnianego liczydła.

–Odsłon twarz – zazadał, unosząc kaganek.

Posłusznie zdjęła kaptur. Gospodarz przyglądał się jej przymrużonymi oczami.

–Czego panienka z wysokiego miasta szuka w Lido? – spytał w końcu z drwiną. – Zbladła może?

Po jednej z belek pod dachem przebiegł olbrzymi brązowy szczur. Arachne przelknęła ślinę.

–Szukam Tuillia. Lichwiarza.

Pokrecił głową z udanym zdumieniem.

–A po co on panience potrzebny? I w mieście znajda się kramy, gdzie chętnie przyjma w zastaw klejnoty. I pewnie więcej złota dadza.

–Mam złoto – wyrwało się Arachne.

Chwyciła za sakiewkę przywiązana do pasa. Monety zadzwieczyły. Na twarzy gospodarza pokazało się zdziwienie.

–Ma złoto. – Znow pokrecił głową. – No, no.

Arachne natychmiast pożałowała nieostrożnego gestu, lecz było już za późno.

–Tuillo skupuje nie tylko klejnoty zubożonych rodów, ale i księgi.

Tym razem, zdumienie lichwiarza było prawdziwe. Spowazniał.

–Po co ci księgi, dziewczyno? Przygryzła wargę.

–Moja rzecz.

–Nie masz dość złota, aby mnie wykupić z Torre dei Falconi, jeśli Severo dowie się, że zламаłem zakaz i rozkaze mnie uwięzić.

–Nie zabronił kobietom posiadać ksiąg, tylko je czytać.

–Masz mnie za głupca? – prychnął. – Po co komus księga, skoro nie może jej przeczytać?

Uniosła hardo głowę.



**–Mam kochanka. Ciekawia go sprawy magow, wiec chce mu podarowac prezent. Ksiege.**

**Lichwiarz chwile patrzyl na nia badawczo.**

**–A inaczej go nie zatrzymasz?**

**–Nie – odparla oschle. – Jest wielkiego rodu i znudzi sie mna szybko.**

**–Znajdz sobie innego – poradzil, wykrzywiwszy z drwina miesiste wargi. – Kogos, kto cie pokocha bez podarunkow. Przez kogo nie skonczysz pod stosem kamieni.**

**–Chce tego. I chce ksiege. Przynioslam zloto.**

**–A nie przyszlo ci czasem do glowy, ze dostane wiecej zlota, jesli pojde do Torre dei Falconi i powiem ksiazecym inkwizytorom, ze pewna mloda panienka postanowila bawic sie zakazana wiedza?**

**–Przyszlo. Ale uznalam, ze czlowiek taki jak ty, nie moze wydawac swoich klientow.**

**–Czlowiek taki jak ja? – Lichwiarz zasmial sie przyciszonym, suchym smiechem. – Dobrze, wiec, panienko. Znajdziemy ksiege dla twojego kochanka. Chodz!**

**Wyszedel zza stolu i zobaczyła, że jest niewysoki. Utykając mocno na prawa nogę, powiodł ją pomiędzy skrzyniami, beczkami i szafami, które szczelnie wypełniały pomieszczenie. Odchylił narzute w otworze drewnianego przepierzenia i wprowadził Arachne do niewielkiej izdebki. Za łozkiem, nakrytym spłowiałą żółtawą koldrą, stała masywna, ciemna szafa bez żadnych zdobien. Tuillio zdjął haczyk i powoli rozchylił skrzydła. Arachne wstrzymała oddech. Na zwyczajnych deskach stało kilkanaście ksiąg w skorzanych oprawach. Niektóre były duże, formatu folio, z ciężkimi, metalowymi okuciami i napisami tłoczonymi na grzbietach. Większość jednak miała skromne rozmiary, takie jak brewiarz Despiny. Arachne bez namysłu wyciągnęła dłoń ku manuskryptowi w błękitnym safianie, ozdobionemu symbolem feniksa z wielką gwiazdą na czole.**

**–To atlas? – spytała ze zdumieniem. – Prawdziwy atlas nieba?**

**Lichwiarz odtracił jej reke.**

**–Złoto – rzekł oschle. – Teraz chce zobaczyć złoto.**

**Spoconymi palcami rozsypała rzemien sakiewki, wysypała monety na łozko i spojrzała pytająco na gospodarza. Tuillio unosił brwi.**

**–Nie sprzedaje na stronie – zakpił. – Wroc, dziewczyno, za rok. I przynies po**

**dziesięciokroc tyle złota. Wówczas pogadamy.**

**–Ale ja nie mam tak wiele czasu! – zaprotestowała.**

**–Wiec zmien kochanka – ucial i zamknal szafe. – A teraz idz juz. I zabierz to. – Lekcewazaco pokazal złote monety. – Moje uslugi sa kosztowne. Kosztowniejsze, niz sadzisz.**

**Niemal placzac z upokorzenia, zebrała złoto do sakiewki i wybiegła na zewnatrz.**

**\*\*\***

**Trzy dni Arachne lezala jak martwa w warsztacie. Nie jadla, nie podnosila sie nawet z poslania. Pucolowata sluzaca stala dlugo o swicie pod drzwiami. Skoro nikt nie otworzyl, wzruszywszy ramionami, poszla do swoich zajec i nie wrocila wiecej. Sasiedzi stukali kolatka i usilowali zajrzec przez szczeliny w okiennicach, chyba zaniepokojeni zniknieciem hafciarki. Warsztat byl jednak zamkniety na glucho i w koncu dali sobie spokoj. Tylko zona strzecharza wyglosila na srodku ulicy kilka cierpkich uwag o plochych dziewczetach, ktore przepadaja bez sladu.**

**Trzeciego dnia Arachne zwlokla sie z lozka. Na zewnatrz krzyczaly ptaki. Otwarla waskie drzwiczki prowadzace do wirydarza. W warsztacie pojasnialo. Znad miski z zaschnieta strawa podniosly sie muchy. Wzrok Arachne padl na zwoj ciezkiego lnianego plotna o podwojnym splocie. Kupila je tuz po smierci matki, choc nie bylo jej do niczego potrzebne – za kosztowne, aby uszyla z niego cos dla siebie, i zbyt grube dla patrycjuszek, bo te wolaly suknie i przescieradla z najdelikatniejszych materii. Chwile obracala w palcach krawedz lnu, szacujac jego wytrzymalosc i ciezar. Potem jednym szybkim ruchem zrzucila ze stolu motki, igly i barwne szmatki. Rozpostarla na blacie plotno i zweglonym drewnkiem zaczela rysowac wzor.**

**Wiosna i lato minely jej jak we snie. Kiedy nastaly pierwsze przymrozki, zapakowala swoje dzieło w worek i znow ruszyla do Lido di Capra.**

**Lichwiarz nie okazal na jej widok zdziwienia. Odsunal sie tylko, kiedy ruszyla pomiedzy kuframi i skrzyniami prosto do izdebki na tyłach szopy.**

**–Przynies lampe – rzucila przez ramie.**

**Slyszala za soba jego niecierpliwie posapywania. Ale kiedy rozwiazala worek i rozlozyla na lozku plaszcz, ucichl gwałtownie.**

**W mdlym blasku oliwnej lampki plotno mienilo sie srebrem, blekitem i ultramaryna.**

**–Co to jest? – zapytal slabo Tuillio.**

Pochylił się, oświetlił z bliska demona o twarzy młodzieńca. Każde pióro jego rozpostartych skrzydeł wyhaftowano z taką dokładnością, że zdawały się drzeć na wietrze. Piórek zatoczył i coś zasnęło w srebrnej teczówce demona – Lichwiarz cofnął się gwałtownie.

–Chcę księgę – powiedziała Arachne. – Przyniosłam zapłatę.

–Cos ty zrobiła, dziewczyno? – W głosie Tuillia był lek.

–Uszyłam płaszcz wart twojej księgi. Ale jeśli go nie chcesz, sprzedam na rynku.

–Zostaw! – Lichwiarz stanął między nią a posłaniem. Otworzył szafę, spozierając zachłannie na szatę. – Wez – podał jej manuskrypt. – I jeśli potrafisz, nie wracaj tu więcej.

Pochwyliła księgę, schowała ją pod oponczę i niemal pobiegła w górę uliczkami Lido. Przepelniało ją dziwne uniesienie. Miała ochotę na przemian śmiać się i płakać, jakby upiła się mocnym, niemieszanym winem. Wirowało jej w głowie. Fasady domów zdawały się pochylać ku niej, a marmurowe demony spoglądały z portalu Monastero dello Zodiaco, jak gdyby dobrze wiedziały, że ścisną w dłoniach zakazaną księgę.

Dopiero późno w nocy odważyła się ją otworzyć. Najpierw bez tchu patrzyła na mapy nieba, wizerunki demonów wpisane między gwiazdy i zaklęcia, które pozwalają obliczyć trajektorie ich lotów, a potem sciągnąć w dół, do podksiezykowego świata, i nieodwracalnie spętać materia. Wczytywała się w nie powoli, z mozolem. Jednak z każdą przewróconą kartą zaklęcia traciły sens, choć wpatrywała się w nie tak długo, aż oczy zaczęły jej łzawić i piec z wysiłku.

Rozplakała się wreszcie ze złości i rozczarowania. Nic tu nie było. Tylko garść głupich formuł wykradzonych pomniejszym magom, aby stworzyć magiczną kółkę albo kajdany, których nie rozerwie nawet najsilniejszy niewolnik.

Ale nie był to atlas nieba, przed wiekiem ocalony przez Sirocco z Isola di Tutti Venti. Nawet nie jego marna kopia.

Nie umiała teraz zgadnąć, dlaczego sądziła, że pierwsza księga, znaleziona u drobnego lichwiarza, będzie ta właściwa. Może, dlatego, że księżniczki w baśniach zawsze bez trudu łamały wszelkie zaklęcia i spomiędzy setki marmurowych posągów wybierały ten jeden, jedyny, w którym było serce ich ukochanego. A może wydawało się jej, że magia rozpozna krew Sirocco, płynącą w jej żyłach, i sama znajdzie do niej drogę. Nie pojmowała, jak mogła być tak głupia.

\*\*\*

Tuillio skrzywił się na jej widok.

**–Nie tego szukam – odezwala sie od progu.**

**–Ale to kupilas, a ja przyjalem zaplate. – Polozyl na szalce kilka grudek srebra i waga zakolysala sie gwałtownie. – Jestem zajety. Idz stad.**

**–Znajdz mi inna ksiege.**

**Lichwiarz uniosl brwi.**

**–Masz kosztownego kochanka, dziewczyno. I nie wyglada, aby czynil cie szczesliwa.**

**–Nie twoja rzecz. Po prostu powiedz, czego chcesz.**

**Zastanawial sie chwile.**

**–Przynies mi nastepny plaszcz. Blekitny jak niebo i purpurowy jak plomien.**

**–To zajmie mi, co najmniej pol roku! – wybuchnela z rozpacza. – Nie moge tak dlugo czekac.**

**–Wszystkim mlodym sie tak wydaje – zadrwil Tuillio. – Ale ja jestem stary i wycwiczony w cierpliwosci. Moge poczekac. I znajde ci magiczna ksiege, ktora pozwoli odnalezc demona na niebosklonie i uczynic go swoim niewolnikiem. Czy tego wlasnie szukasz?**

**Na moment przerazila sie, ze rownie latwo przejrzal jej zamysly. Mogl doniesc na nia ksiazeczej strazy i jeszcze tej nocy warta zaprowadzilaby ja do katowni pod Torre dei Falconi. Opanowala sie jednak.**

**–Szukam daru dla mojego kochanka – rzekla z godnoscia – a on nie przywykl zadowalac sie byle, czym. Smial sie, ze przynioslam mu garsc jarmarcznych zaklec i kazal mnie przepedzic. Potrzebuje czegos lepszego. Czegos, co go zadziwi i przerazi jednoczesnie.**

**Lichwiarz pokiwal glowa.**

**–Skoro tak wolisz, dziewczyno... Wroc tu z plaszczem.**

**\*\*\***

**Zajelo jej to jednak wiecej niz szesc miesiecy. Przeszla jesien i minela zima. Przekwitly kwiaty w wirydarzu, ale Arachne nie miala czasu ich zrywac i wplatac we wlosy. Kiedy noce staly sie gorace i krotkie, mlodziency i dziewczeta z Vicolo delle Tessitrici zaczeli sie zbierac na placach i tanczyc przy dzwiekach piszczalek i bebenkow. Jednak Arachne ani razu nie przylaczyła sie do ich zabawy. Do poznej**

nocy siedziała w warsztacie. Gdy słońce zachodziło, rozpalala lampkę i pracowała dalej, aż dłonie dretwiały jej ze znużenia i krew z poklutyh palców drobnymi kropelkami sciekala na plotno.

Czasami w glinianej miseczce z miedziakami ukazywalo sie dno i musiala przyjmowac drobne zlecenia. Wyszywala choragwie do swiatyn i ozdabiala bialym haftem delikatne koszule patrycjuszy, a mieszkancy Brionii podziwiali jej prace, jak niegdys kunszt Despiny. Jednak pochwały tylko niecierpliwily Arachne. Wysluchiwała ich ze zdawkowym usmiechem, jej mysli zas krazyly nieustannie wokol purpurowo-blekitnego plaszcza. Nie mogla sie doczekac, az zamknie drzwi warsztatu, zasunie rygle i pochyli sie nad wizerunkiem powietrznego demona z ognistym mieczem w reku. Nawet, kiedy zapadala w plytki, niespokojny sen, czula na policzkach zar jego oddechu, a spod powaly dobiegal ja przyciszony szelest skrzydel.

Minal prawie rok, zanim skonczyla prace.

–Usiadz – powiedzial Tuillio, kiedy zobaczyl, ze oponcze ma doszczetnie przemoczona jesienna ulewa. – I napij sie. Mam grzane wino.

Popchnal ku niej gliniany, brazowy kubek.

–Nie przyszlam tu z wizyta, tylko po ksiege – odparla, lecz byla tak zziebnieta, ze glos jej drzal i nie mogla rozwiaczac troczkow. – Pomoz mi! – Cisnela mu ponad stołem sakwe.

Lichwiarz pochwycil ja w locie, ale nie spuszczal wzroku z dziewczyny. Zrobilo sie jej nieswojo. Odgarnela za ucho kosmyk rudych wlosow, ktory wysunal sie jej spod kaptura, i aby pokryc zmieszanie, pociagnela lyk wina. Bylo mocne, zaprawione korzeniami oraz miodem.

–Mialem nadzieje, ze nie wrocisz.

–Ale zdobyles dla mnie ksiege? – Wychylila sie ku niemu nad stołem, zaniepokojona, ze jej wysilek poszedl na darmo.

Wydalo sie jej, ze po obliczu Tuillia przeniknal cien.

–Tak, mam ksiege. – Podniosl sie powoli. – Chodz za mna.

Serce zaczelo jej szybciej bic. Pospiesznie dopila resztkę wina, jakby trunek mogl jej dodac odwagi.

Wciaz sciskajac pod pacha sakwe z plaszczem, lichwiarz otworzyl szafe i wyjal ostrocznie wielki manuskrypt, kryty brunatna skora. Czesci okuc brakowalo, inne byly wygięte i poczerniale od starosci.

–Człowiek, od którego dostałem te księgi, zaklinał się, że to legendarny kodeks Ugo di Monteverde, twórcy mostu nad Abisso delle Ondine. Kolejni właściciele dodawali na marginesach własne zaklęcia, a także te wykradzione z cudzych pracowni lub kupione ukradkiem od kopistów. Podobno są tutaj nawet fragmenty z atlasu nieba, który niegdyś należał do Duillia. Czy twój kochanek będzie wreszcie zadowolony?

–Tak – wyciągnęła dłonie po księgi. – Bardzo zadowolony.

Kiedy wychodziła, wydało się jej, że pomieszczenie pojaśniało nagle. Odwróciła się. Lichwiarz rozprostował na łóżku płaszcz i purpurowy miecz w reku demona zdawał się płonąć prawdziwym ogniem.

\*\*\*

Lichwiarz nie klamał. Arachne nie miała wprowadzić pewności, czy Ugo di Monteverde kiedykolwiek oglądał te księgi, ale zaklęcia były prawdziwe. W każdym razie tak jej się wydawało. Przyglądała się im ze strachem. Przewracała kilka kart i odkładała księgi, bojąc się głośno wypowiedzieć inkantacje. Odważyła się dopiero w nocy. Wyszła do wirydarza. Przymrozek zwarzył resztki kwiatów na grządkach, nieplewionych od śmierci Despiny. Stała w kregu pozółklej, przegnij trawy. Wichur pedził po niebie ciężkie chmury, raz po raz przesłaniając księżyc w pełni.

Przelknęła ślinę. Wargi miała suche i spekane.

Otworzyła kodeks.

–Zaklinam cię, demonie, który jesteś zapisany na tej karcie – rozpoczęła inkantację. – Przyzywam, przywołuję i rozkazuje poprzez potęgę bożej mocy, poprzez Trony i Władztwa, poprzez Księstwa i Moce, a także poprzez potęgę tej księgi i moje pragnienie. Przybądź na wezwanie! – dokonała, niemal krzykając.

Chmury zbiegły się, a potem rozdarły z hukiem. Ostatnim, co zobaczyła, była błyskawica pelznąca po nocnym niebie prosto do niej.

\*\*\*

Gorąca kropla ściekła jej z ust, potoczyła się po brodzie. Jęknęła, próbując otworzyć oczy.

–Spokojnie. – Poczula na czole czyjaś chłodna, szorstka dłoń. – Spij teraz. Odpoczywaj.

Uśluchoła. We śnie demony w ognistych płaszczach nadleciały z wysoko, sponad księżycy, i przysiadły na krawędziach jej łóżka, straszac piora jak żar-ptaki.

**Obudzil ja szczek garnkow i przyciszone sarkniecia. Z wysilkiem uniosla sie na lokciu. Przy kuchni krzatala sie stara Gallinetta. Zamieszala drewniana kopystka w kociolku, zamokala z aprobata i odwrocila sie ku dziewczynie.**

**–Obudzilas sie – powiedziala. – To dobrze. Czas po temu najwyzszy.**

**Podeszla do poslania z miska dymiacej zupy.**

**–Co to?**

**–Wywar z sadla ropuchy i zmijowego jadu – syknela przez zeby strega.**

**Arachne wzdrygnela sie, niemal wytracajac starej z rak naczynie.**

**–Lez spokojnie – napomniala ja Gallinetta. – Zartowalam przeciez. To rosol z gawronow, na wzmocnienie. Najwyzszy swiadkiem, ze go potrzebujesz.**

**–Jak...? – wyszeptala Arachne.**

**–Jak dlugo? – Strega wykrzywila sie drwiaco i ostroznie zaczela ja karmic. – Cztery dni. Wystarczy.**

**Rosol byl tlusty, sycacy, choc smakowal dziwnie. Zapewne strega dodala do niego jakichs ziol, lecz Arachne nie osmielila sie o nie spytac.**

**–Jak sie tu znalazlas?**

**–A o co pytasz, dziewczyno? – odrzekla szorstko. – Czy przylecialam na skrzydlach demonow czarnych jak smola? Nie, weszlam przez furtke od sasiada. Benetto powinien lepiej pilnowac swojego ogrodu. Jakim sposobem wiedzialam, ze lezysz prawie martwa w wirydarzu? Bo nie, co dzien sie zdarza, zeby w spokojna noc piorun uderzyl w sam srodek miasta i spopielil do golej ziemi cztery ulice. Wlasnie tak – dodala, widzac, ze Arachne poszarzala na twarzy. – I wiem, dlaczego.**

**–Czy inni... tez odgadli? – spytala z trudem.**

**–A skad? – ofuknela ja strega. – Ledwie zgliszcza przestygly troche i przestaly dymic, jely baby u studni rozprawiac, jak to Severo glucha nocka draznil demona ksiecia Benedetta di Raperonzola, az ten zniecierpliwil sie wreszcie i smagnal ognistym biczem Brionie.**

**–Przeciez to bzdura – zaprotestowala slabo dziewczyna.**

**–Czyzby? – Strega odslonila w usmiechu pozolkle zeby. – Od trzech dni Severo sciaga ludzi i gromadzi w porcie okrety. Ponoc jeszcze przed zima uderzy na Raperonzole.**

**Arachne skulila sie na lozku.**

**–Nie wiedzialas, ze nie mozna przywolic demona, ktory jest we wladaniu innego maga? – spytala po chwili Gallinetta.**

**–A skad moglam wiedziec?**

**–Wystarczy posluchac bardow w gospodzie! – zachnela sie strega. – No, ale ciebie matka nigdy nie posylala do gospody. Po co mialas sobie zaprzatac glowe naszymi bagedami? Nie mozna pochwycic demona, jesli nalezy do innego maga. Wszyscy o tym wiedza.**

**–Ale nie ja.**

**–Och, ani twoja matka, ani ty nigdy nie zadalyscie sobie trudu, aby poznac nasze zwyczaje. Tyle lat przezylyscie obok, nic o nas nie wiedzac, a teraz postanowilas przywolic i zaklac demona. – Potrzasnela glowa. – Moglas zginac. Moglas zabic nas wszystkich. Czy wyciagnelas z tego nauke?**

**Arachne zacisnela wargi.**

**–Tak sadzilam – prychnela strega. – Mlodzi nie uczą sie szybko. Ale kiedy zechcesz znow sprobowac, pamietaj, ze mozna przyzwac tylko wolnego demona, jednego z tych, co kraza pomiedzy gwiazdami. Jesli zostanie spetany wczesniej, nie usluCHA twojego wezwania, ale jego pan latwo wyczuje podstep. Nastepnym razem mozesz nie miec tyle szczescia.**

**Dziewczyna podniosla glowe, tknieta nagla mysla.**

**–Skad w takim razie magowie wiedza, ktore z demonow pozostaly swobodne?**

**–Po prostu wiedza. To sprawy czarodziejow – dodala ostrzej Galinetta. – Ja ci w nich nie pomoge. Maja wielkie spisy wszystkich duchow, jakie kiedykolwiek widziano na Polwyspie. Tych, ktore po wypelnieniu trzech zyczen uwolnily sie spod wladzy czarnoksielnika i ulecialy ponad ksiezyc, oraz tych, ktore sa w sluzbie magow, uwieziane i zwiazane z materia. Kiedy jeden z ksiazat wypowiada trzecie zyczenie, po jego spelnianiu demon wyrywa sie na swobode. Wtedy inni magowie gromadza sie wokol jak sepy, aby wyprobowac wlasne zaklecia, bowiem przez moment wiadomo, gdzie dokladnie sie demon znajduje, i mozna go latwo okielznac. Sa ogromne biblioteki, pelne ksiag z inkantacjami i wyliczeniami pozycji demonow na niebie. Mnisi z ksiazeczych klasztorow zglebiaja je przez cale zycie, aby odkryc duchy, ktore mozna przywolic i zaklac. Kazdy nowo odkryty demon oznacza slawe i wladze dla swego pana.**

**–Jak wiele ich jest?**



**–Tyle, co gwiazd na niebie. Jeszcze wiecej moze. Dosyc, abys cale zycie wertowala ksiegi i zaklecia. Jesli nie dopisze ci szczescie, nigdy nie odszukasz swobodnego demona. – Polozyla na ziemi pusta miske i splotla rece na podolku. – Nie zabijesz Severa. Tylko zmarnujesz sobie zycie.**

**–Dlaczego sie o to troszczysz?**

**–Zastanow sie nad tym, dziewczyno. – Gallinetta rozesmiala sie piskliwie. – Jestes taka madra, nauczylas sie zakazanych znakow czarodziejow i probowalas wezwac demona. Z pewnoscia, wiec odgadniesz, dlaczego stara strega postanowila uratowac ci zycie. A teraz dosc gadania. Rosol cie wzmocni i ziola tez. Zasnij.**

**Arachne chciala jeszcze cos powiedziec, ale nie zdazyla. Gallinetta polozyla palec na jej wargach i zanucila chrapliwym glosem kilka taktow kolysanki. Dziewczyna zasnela, lecz w tej jednej krotkiej chwili pomiedzy snem i jawa wydalo sie jej, ze dach warsztatu rozwarl sie ponad lozkiem, odslanjajac rabeek wygwiezdzonego nieba. Gwiazdy zaczely sie sypac ku niej jak deszcz, a kazda byla demonem. Lecz gdy opadly juz calkiem blisko, znad morza nadlecial wichur, rozpedzil je na wszystkie strony i gasil kolejno niczym knoty oliwnych lampek, az stalo sie zupełnie ciemno.**

**Kiedy sie ocknela, w warsztacie nie zostal ani slad po starej stredze. Ale Arachne wiedziala juz, jak spomiedzy wszystkich demonow znalezc tego jednego, jaki pozostal wolny. On pomoze jej zabic Severa, syna Ercole, ktory doprowadzil do zaglady Isola di Tutti Venti.**

**Sirocco. Demon wichru, co sluzyl tylko jednemu panu i przybyl na wezwanie Sirocco, aby ocalic najmlodsze z jej synow.**

**Pomyslala, ze nie bedzie musiala go petac. Zreszta nie wiedzialaby nawet, jak to uczynic. Wystarczy, ze odnajdzie zaklecie i zapis pozycji na niebie. Wowczas go przywola i wyrze zemste na Severze, chocby cala Brionia miala zniknac z powierzchni ziemi.**

**\*\*\***

**Nie mogla jednak pojsc do Tuillia z pustymi rekami. Trzecia szata zajela jej niewiele mniej czasu niz poprzednia, choc niekiedy zdawalo sie jej, ze wzor sam wylania sie spod igly, kieruje sciegiem i kaze dobierac nowe nici. Ale moze po prostu nabrala wprawy.**

**–Wiec znowu jestes – powital ja lichwiarz. – Czy tym razem kochanek porzucil cie na dobre i przyszas zastawic klejnoty, aby wykarmic czworke waszych nieszczesnych dzieci?**

**Zignorowala kpine.**

**–Mam nowy płaszcz.**

**–I jak poprzednio chcesz księgi, aby zadziwić swego kochanka?**

**–Po prostu powiedz, czy masz ją dla mnie – poprosiła ze znużeniem. – Nie chce tracić czasu na rozmowy.**

**–Mam. – Lichwiarz popatrzył na nią dziwnymi oczami, podobnymi do dwóch czarnych węgli. – Ale wcześniej ty wyjął mi jedną rzecz. Dlaczego dziewczyna taka jak ty musi kupować miłość? Każdy inny mężczyzna obsypałby cię prezentami. Dlaczego pragniesz właśnie jego?**

**Zacisnęła mocno dłonie na sakwie. Przez moment zapiekły ją palce i miała wrażenie, że w środku płaszcz poruszył się niespokojnie, jak żywe stworzenie. Niespodzianie pomyślała o Yannim, rozesmianym i radosnym tamtego dnia, kiedy oznajmił jej, że zaciągnął się do armii Severa i wyrusza na wojnę. A także o matce w jej ciężkich, zalobnych szatach, gdy siedziała przy oknie, martwym wzrokiem wpatrując się w bruk Vicolo delle Tessitrici.**

**–Ponieważ nie mam nikogo prócz niego – odparła, czując, jak łzy napływają jej pod powieki.**

**Tuillio potrząsnął tylko głową. Ostrożnie rozwinał pole płaszcza. Nie spytał jednak, kim jest młodzieniec w purpurowym mundurze i złotym pasie, ani dlaczego jego oczy polyskują jak lapis-lazuli. Podał dziewczynie księgi i odprawił ją zdawkowym skinieniem głowy. Ale kiedy stała już w drzwiach, odezwał się raz jeszcze z głębi szopy:**

**–Powiedz mi, jeśli... twój kochanek szuka czegoś szczególnego. Być może będę umiał to znaleźć.**

**Zawahała się.**

**–Atlasu nieba – rzekła cicho.**

**\*\*\***

**–Podobnego temu, który kiedyś należał do Sirocco?**

**Był domyslny. Może nawet zbyt domyslny, jak na lichwiarza z Lido di Capra. Postanowiła jednak odpowiedzieć.**

**–Tak.**

**–Spróbuj go dla ciebie odszukać. Ale to może trwać lata. Postarzejesz się i**

**zbrzydniesz, dziewczyno.**

**–Nauczyłam się już czekać – odparła jeszcze ciszej i zamknęła za sobą drzwi. –  
Bede cierpliwa.**

**Nie była to jednak prawda. Kiedy się okazało, że w nowym kodeksie nie ma ani  
wzmianki o sirocco, Arachne rozplakala się jak dziecko. Czekaly ja długie miesiące  
pracy, a mimo wszelkich zapewnień nie była cierpliwa. Pory roku przepływały wokół,  
nie dotykając jej, jakby nie mogły przestąpić progę warsztatu hafciarki. Nie pamiętała  
już, kiedy ostatnio patrzyła, jak smuga ciemności nadciąga nad Brionie, od Porta dei  
Leoni w dół po zboczu góry. Co gorsza, nie umiała sobie wyobrazić, co się stanie z  
miastem, gdy wreszcie przywoła demona wichru i skłoni go, aby zabił maga, który  
zamknął Brionie w kopule mroku. Ale nie miało to żadnego znaczenia.**

**Haftowała, myślać o wszystkich miejscach, których nigdy nie widziała i zapewne nie  
zdola zobaczyć. W snach zwiadywała się jej wielka pustynia i czerwone skały.  
Wiedziała, że z tamtej strony nadeszli mnisi w wielbłądzich skorach, aby zabić jej  
ojca i wypędzić matkę z wysp po drugiej stronie morza. Ale na lnianym płótnie miała  
na swoje usługi demona o ciele lamparta i mieczu ostrzejszym od ofiarnych noży. I  
mogła przegnać ich precz.**

**Skonczyła ostatni szereg w nocy. Przegryzła nitkę i starannie wygładziła płaszcz, ale  
nie chciała czekać do rana. Znowu była wiosna, czwarta od śmierci Despiny. Fasady  
gospod i lupanarów jasno oświetlono latarniami w kłozach z pergaminu  
nasączonego oliwą. Młodzi śmiali się donośnie na placu przy studni. Arachne  
ominęła ich z daleka, choć jakiś chłopak kiwał do niej, krzycząc, że ma bukłak  
pełen słodkiego wina, którym nie pogardziłaby nawet księżniczka.**

**Nocne powietrze było rozgrzane, przesycone wonią mirtu i lawendy. Arachne nie  
miała ochoty odpowiadać na zaczepki, skreśliła więc w stronę cementarnego muru.  
Mieszkańcy Brionii obawiali się zmarłych i po zmroku woleli nie zbliżać się do ich  
ziemi, ale jej było wszystko jedno.**

**Podskoczyła, kiedy ktoś pochwycił ją zniemacka za pole oponczy. Gallinetta  
siedziała na kamieniu, pod starym cisem.**

**–Dlaczego jesteś taka uparta? – zapytała stręga ze złością. – Tracisz tylko czas.  
Mogę ci pomóc, jeśli koniecznie chcesz go zabić. Są skuteczniejsze sposoby.**

**Arachne nic nie odpowiedziała. Nie miała ochoty urazić starej.**

**–Brzydza ci moje napary, tak? – Gallinetta zaniósł się przyciszonym rechotem. –  
Nie chcesz, aby umierał od trucizny? Aby się zadusił własnym językiem, czarnym i  
opuchniętym od jadu? Kiedy wszystko się skończy, dziewczyno, każdy rodzaj  
śmierci jest równie dobry. Z serca radzę, chodź ze mną. Pokażę ci zioła rosnące na**

**cmentarzu. Sa tak mocne, ze nawet Severo sie im nie oprze. Trupie ziele, tojad, lulek, czarny mech. I cis, ktory otwiera sciezke zmarlych.**

**Dziewczyna tylko pokrecila glowa.**

**–Och, sa jeszcze inne metody – powiedziala starucha. – Jesli wolisz demony, moge je dla ciebie przywabic. Wystarczy utoczyc kilka kropek krwi i zaprosic je w goscine. Przeciez jestes piekna dziewczyna, swieza i niewinna. Na pewno jakis sie skusi. Moze nawet zabije dla ciebie Severa. Demony nie kochaja magow.**

**–Mozesz przywolac dla mnie demona?**

**–Zaprosic, nie przywolac! – Strega parsknela ze zloscia. – Ale demony nie przyjda, jak dlugo bedziesz na nie czekala z ksiegami pelnymi magicznych znakow, ktore moga je spetac i pozbawic mocy. Jesli mam ci pomoc, musisz najpierw wrzucic ksiegi w ogien i zapomniec o tych mrzonkach. Jestes kobieta, nie magiem. Powinnas sie trzymac kobiecych sposobow.**

**Nieopodal jakas dziewczyna zasmiala sie chrapliwie. W letnie noce cmentarz stawal sie miejscem schadzek, choc mnisi srodze pietnowali z ambon ten bezbozny zwyczaj.**

**–Nie bedziesz druga Sirocco, dziewczyno – powiedziala cicho Gallinetta. – Co roku rzucamy na wode biale roze, przeklinajac jej imie, aby nigdy wiecej nie urodzila sie strega, ktora bedzie rozkazywala demonom. Severo nie dopusci, abys wyrosla mu pod samym bokiem. W miescie stworzonym przez jego ojca na znak zwyciestwa nad Duiliem i Sirocco. Predzej cie zabije. I uczyni to na sposob czarodziejow. Okrutniej, niz umiesz sobie wyobrazic.**

**Arachne wyrwala rabek oponczy z jej zacisnietych palcow i ruszyla dalej wzdluz cmentarnego muru.**

**–Glupia z ciebie dziewczyna! – wykrzyknela za nia strega. – Slysyzs mnie, Arachne? Glupia, po trzykroc glupia!**

**\*\*\***

**–Co robisz z moimi plaszczami?**

**Lichwiarz wzruszyl obojetnie ramionami. Z twarza bez wyrazu wpatrywal sie w plotno i demona o ciele leoparda, ktory rozrywa pazurami mnichow z pustyni.**

**–Sprzedaje. Nie sadzilas chyba, ze przechadzam sie w nich po Lido di Capra?**

**–Komus szczegolnemu?**

**–Czy to ma dla ciebie znaczenie?**

**Zastanowiła się.**

**–Nie – odpowiedziała. – Właściwie nie.**

**–Mam atlas nieba. – Tuillio podszedł do szafy i wyjął niedużą księgę w amarantowej oprawie. – Kosztował mnie wiele wysiłku. Niech dobrze ci służy.**

**Tym razem nie wspomniał o jej kochanku. Nie zareagowała jednak. Jak długo nie zamierzał wydać jej siepaczom Severa, nie dbała, czy odgadł jej tajemnice.**

**–Ale nie wydaje mi się – ciągnął lichwiarz. – Bez względu na to, co znajdziesz w tej księdze, wrócisz do mnie. Po prostu jest już za późno. – Rozesmiał się ochryple. – Nie zdołasz się zatrzymać.**

**Uciekła, lecz echo jego śmiechu biegło za nią poprzez wąskie uliczki Lido di Capra.**

**W siedem dni później była już pewna, że w księdze nie ma ani śladu po sirocco, demonie wicheru, którego oddech niesie won piolunu i pył znad wszystkich pustyn świata. Ale bardzo dobrze wiedziała, co tym razem wyhaftuje. Zdjęła koszyk z polki i ruszyła na targ po nici, srebrne i śnieżnobiałe. A kiedy przeszła jesień i nastąpiła zima, nocami snił jej się demon w hełmie zasłaniającym twarz. Każde pióro na jego skrzydłach lśniło i błyszczało jak sople lodu na okapach dachów.**

**Jednak za ten płaszcz również nie zdołała kupić księgi, w której zapisano tor lotu demona wicheru. Była coraz bardziej zmęczona. Dziewczynki, które niegdyś bawiły się w Vicolo delle Tessitrici w śmierć Sirocco, powychodziły za mąż za synów sąsiadów. Miały teraz własne dzieci, które okładaly kijami kukle przekletej stregi. Piękna Assunta, córka szewca, umarła w pogoście, rodzic martwe niemowlę. Syn Crescenza strzecharza pociągnął z wojskiem Severa na wojnę przeciwko Raperonzoli i nigdy nie wrócił, a jego matka powiesiła się z rozpacz. Umarła stara Cettina. Tylko mrok, każdego wieczoru opadający na miasto znad cytadeli maga, był ten sam. I kiedy dzwón Monastero dello Zodiaco uderzał po raz siódmy, smuga ciemności nieodmiennie zatrzymywała się na progu warsztatu Arachne.**

**Tym razem wyhaftowała demona w królewskiej szacie, z berłem i królewskim jabłkiem w dłoniach. I dała mu twarz Severa – oczy niebieskie od magii i ciemne włosy, które opadały aż na ramiona. Nigdy wprawdzie nie widziała księcia-maga, ale takim go właśnie zapamiętała z opowieści Yanniego.**

**–Jeśli książe się dowie o tej zuchwalności, kaze ci ukamienować – rzekł lichwiarz, kiedy pokazała mu płaszcz. – A dowie się wcześniej czy później.**

**–Nie zdołam mu przeszkodzić – odpowiedziała beznamiętnie.**

**–Ale nie lekasz sie go, prawda?**

**Polozyła lokcie na stole i oparła brode na dłoni. Lichwiarz jak zwykle postawił przed nią kubek wina, lecz nie skosztowała go nawet. Dziwne, ale właściwie nie zastanawiała się, że Severo może odkryć jej zabawy z zakazaną magią. Po prostu nigdy nie przyszło jej to do głowy.**

**–Nie, nie lekam się – odparła.**

**Była to prawda. W istocie bardziej bała się lichwiarza, który spoglądał na nią, jakby znał wszystkie jej sekrety. I może nawet znał je naprawdę. Nie umiała zgadnąć.**

**–Może powinnas – oznajmił Tuillio. – Severo ma umysł subtelniejszy od weza i jest cierpliwy. Cierpliwy jak kamienie, na których osadzono Brionie.**

**–Ja też jestem cierpliwa. – Podniosła się, prostując faldy sukni.**

**–Ale przyszedłam po księgę.**

**–I dostaniesz ją. Lecz świat jest pełen ksiąg, dziewczyno. A także innych rzeczy.**

**Cos zamigotało w jego oczach i przez moment miała ochotę zapytać, przed czym usiłuje ją ostrzec. Potem jednak zobaczyła księgę. Wyciągnęła po nią ręce i zapomniała o wszystkim.**

**Cała noc siedziała w warsztacie przy lampce oliwnej i czytała zachłannie. Przewracała karty o brzegach barwionych purpurą. Przyglądała się wizerunkom demonów, wpisanych w dziewięć sfer nieba, które nieustannie obracają się wokół ziemi. Ale żaden z tajemnych symboli nie naprowadził jej na trop sirocco, demona wichru.**

**Mijało właśnie sześć lat, odkąd pierwszy raz stanęła na progu szopy Kulawego Tuillia. Warsztat hafciarski podupadł. Ludzie otwarcie gadali, że córka Despiny jest równie obłąkana, jak jej matka. Były takie chwile, gdy Arachne przyznawała im rację. Zyla jak we śnie, haftując siódmy płaszcz, ozdobiony wizerunkiem demona w koronie. W dłoni trzymał szale, srebrzyste i idealnie zrównoważone, zasiadał na gwiazdnym dysku, a wokół niego rozposcierał się owal z wielobarwnej tarczy. Nigdy wcześniej nie udało się jej stworzyć czegoś równie doskonałego. Gdy patrzyła na płótno, tęcza lśniła jak kryształ, kiedy załamało się w nim światło.**

**Gallinetta czekała na nią, zaczajona pomiędzy kramami w podcieniach Porta dei Ferraii. Był wieczór i ciemność opadała na miasto jak półprzezroczysty żalobny welon.**

**–Nie idź tam dzisiaj! – Wczepiła się w ramię Arachne palcami mocnymi jak szpony**

drapieżnego ptaka. – Patrzyłam w wodę i słuchałam szeptów demonów. One już wiedza. Słysza w powietrzu łopot płomieni.

–Czekałam na to od zawsze – powiedziała cicho dziewczyna. – Całe moje życie.

–Wiec zawsze zacznie się jutrzejszej nocy – odrzekła glucho strega. – Nie zatrzymam cie. Ale masz wciąż czas. Do jutrzejszej nocy możesz się cofnąć – dokonczyła i odeszła, podpierając się na kiju i mamrocząc do siebie pod nosem.

Arachne puscila się biegiem przez Lido di Capra. Teraz była pewna, że lichwiarz odnalazł tę jedną, jedyną właściwą księgę, która skrywa odpowiedź na wszystkie pytania i zna pragnienie jej serca. A ludzie oglądali się za rudowłosa dziewczyną i uśmiechali pobłaźliwie, przekonani, że spieszy się w tę pogodną letnią noc do kochanka.

Być może Tuillio również się jej spodziewał, bo nie okazał zdumienia, kiedy zadyszana wpadła do szopy. Krótkim skinieniem dłoni odprawił dziobatego czleka. Ten zebrał w brązową szmatę jakieś srebrne błyskotki i odszedł pośpiesznie.

–Piękna noc – zagaił z osobliwym uśmiechem lichwiarz. – Wigilia Festa dei Fiori. Kobiety plota wieniec z kwiatów, aby przystroić posagi Przedwiecznego, a dziewczęta szykują świeże suknie na jutrzejsze tance. Niektóre, najpiękniejsze, wdzieją pewnie maski i wybiorą się na bal do ogrodów Severa i przez jedną noc w roku będą udawały wielkie panie. Mogłabys pojsc z nimi.

Arachne jedynie uniosła brew. Matka nigdy nie pozwalała jej brać udziału w maskaradzie, która rozpoczynała się po wieczornym nabożeństwie. Zresztą nie chodziły również na modły do Monastero dello Zodiaco. Despina uważała wszystkie te publiczne śpiewy i kwietne korowody za herezję. Ale nawet po śmierci matki Arachne nie przeszło przez myśl, aby wybrać się w Festa dei Fiori do ogrodów maga. Wiedziała, że otwierano je tylko na tę jedną noc. Z fontann płynęło wino, demony w przebraniach służących roznosiły kandyzowane owoce i migdały w cukrze. Każda z dziewcząt marzyła, że kiedyś oko Severa spocznie właśnie na niej i że zatancy z nim pierwszy taniec na marmurowym placu przed cytadela. Lecz nie ona. Nie Arachne.

–Przyszedłam po księgę – powiedziała cicho.

–Coż, ciesze się, że przedłożyłaś mnie nad modły i kwietne korowody – zadrwił lichwiarz. – Ale tak, mam dla ciebie kodeks. Ten, którego szukałaś przez te wszystkie lata.

–Naprawdę? – spytała, nieswiadomie przybierając ton małej dziewczynki.

–Sama zobacz. – Tuillio wziął ją za rękę i poprowadził na tyły budynku. – Przytrzymaj lampkę – nakazał, otwierając szafę.

**Wyjął księgę, niewielką i postrzępioną na brzegach, po czym przysunął ją Arachne na wyciągniętych dłoniach, aby mogła odczytać napis.**

**Nie powstrzymała się. Pokusa była zbyt silna. Zdążyła tylko dostrzec imię sirocco i skomplikowany ciąg obliczeń, wpisanych wstęga na boku mapy nieba. Potem handlarz zatrzasnął księgę.**

**–Dotrzymałem słowa – oznajmił.**

**Zabrał jej kaganek, postawił go na skrzyni obok łóżka, a potem wyjął z sakwy siódmy płaszcz i jednym ruchem rozpostarł go na posłaniu. Owal teczki wydawał się wyhaftowany z macicy perłowej, a rubiny w koronie demona polyskiwały jak krew. Tuillio wstrzymał oddech.**

**–Czy teraz dasz mi księgę? – spytała płaskim głosem Arachne.**

**–Tym razem płaszcz nie wystarczy.**

**Drgnęła.**

**–Nie mam złota – odparła. – Nie mogę więcej zapłacić.**

**–Złota? – Lichwiarz rozesmiał się piskliwie. – Czy naprawdę myślałaś, dziewczyno, że kiedykolwiek chodziło o złoto?**

**Cofnęła się o krok, ale Tuillio mimo kalectwa poruszał się bardzo szybko. W jednej chwili był przy niej. Popchnął ją na szafę, tak, że jej twarz znalazła się tuż przed nim. Nie mogła się cofnąć.**

**–Uwierzyłaś, że ryzykowałbym katownie w Torre dei Falconi i gniew Severa z powodu kilku złotych monet albo kawałka sukna? Masz mnie za głupca?**

**–Wiec dlaczego?**

**–Najpierw ty mi powiedz, dlaczego przyszłaś właśnie do mnie.**

**–Ktoś wymienił przy mnie twoje imię. Przy studni albo na placu, nie pamiętam. Opowiadał, że handlujesz tym wszystkim, czego nie można kupić w uczciwym kramie.**

**Jakis dziwny, nerwowy grymas wykrzywił usta lichwiarza.**

**–Tylko tyle? Bo ktoś wymienił moje imię?**

**Cos ją przeraziło w jego głosie.**



**–Tak – odparła, zwilzając czubkiem języka suche wargi.**

**–Po prostu przyszłaś do mnie z wysokiego miasta, ślepa na niebezpieczeństwo i całkowicie pewna, że wiesz, kogo zastaniesz. To właśnie mi powiedziałas. Dawno temu, za pierwszym razem. Pamiętasz?**

**Przecząco pokręciła głową.**

**–Człowiek, taki jak ty, powiedziałas wtedy. Nie masz pojęcia, jakim jestem człowiekiem, Arachne.**

**Wymówił jej imię tak, jakby to była bron. I nie pomylił się.**

**–Skąd wiesz, kim jestem?**

**–Och, wiem też o twojej matce i bracie, który dziewięć lat temu zaciągnął się do wojska Severa i zginął. Wiem, że złamałaś zakaz księcia i po co to uczyniłaś. Wiem o tobie bardzo dużo, Arachne. Ale ty nie wiesz nic o mnie. Nigdy nie chciałaś wiedzieć. Nigdy o nic nie spytałaś. Nie byłaś ciekawa. Przychodziłaś po księgę, daleka i obojętna, i znikalas na wiele miesięcy. A potem pojawiałaś się, jak gdybys widziała mnie wczoraj – mówił coraz szybciej, z rosnącą wściekłością. – Nawet przez myśl ci nie przeszło, że pewnego dnia możesz mnie tutaj nie znaleźć. Ze w moim życiu istnieje coś więcej niż poszukiwanie zakazanych ksiąg o demonach. Nie tylko ty i twoja przeklęta tajemnica.**

**–A istniało?**

**Zwinał się jak po uderzeniu w twarz. Ale odpowiedział.**

**–Nie. Nie istniało. Przez trzy lata szukałem twojego kochanka. Zamierzałem go zabić. I wydawało mi się, że jesteś sprytniejsza ode mnie, że znalazłaś sposób, aby się z nim potajemnie spotykać. A potem zrozumiałem, że nie ma kochanka i nigdy go nie było. Oszukałaś mnie, a ja uwierzyłem jak głupiec. Lecz przez to tylko jeszcze bardziej pragnąłem twojej tajemnicy. Jednak nie mogłem jej przeniknąć. Nawet wówczas, gdy wiedziałem już, że potrafisz odczytać zakazane zaklęcia magów i tropisz demony na nieboskłonach. Nie umiałem pojąć, dlaczego taka dziewczyna jak ty potrzebuje magii. A ty nie chciałaś mi powiedzieć. Mogłem zmusić cię, abyś pracowała ponad siły, i doprowadzić do niedzy, ale nie mogłem dosięgnąć. I wtedy postanowiłem, że znajdę dla ciebie te księgi. Te, której pozadasz bardziej niż własnego życia. A kiedy będę ja wreszcie miał, wówczas cię dostanę. Cała twoja tajemnica.**

**–Czego ode mnie chcesz?**

**–Rozpuść włosy – zazała, odsuwając się o krok. – Sa czerwone jak ogień i długie**

az do samej ziemi, prawda? Zawsze chciałem je zobaczyć, rozrzucone dla mnie na jednym z twoich płaszczy.

–Nie jestem dziwka.

–Och, jesteś od niej gorsza! – rozesmiał się lichwiarz. – Sprzedałaś siedem lat życia za sześć bezużytecznych ksiąg, a teraz uczynisz, co zechce, aby dostać siódma. Wiesz o tym bardzo dobrze, więc zrób, jak kaze.

Kiedy wyjęła długie szpilki i rozpuściła włosy, Tuillio wsunął w nie palce i przytrzymał ją za brode, kiedy próbowała się odwrócić.

–Tak właśnie myślałem, że będą miękkie i śliskie jak jedwab – powiedział szeptem. – I ty też taka będziesz dla mnie tej nocy, Arachne.

\*\*\*

Dzwon na wieży Monastero dello Zodiaco wybił siedem razy na chwałę Najwyższego. Zapadał zmierzch i z Vicolo delle Tessitrici dochodził coraz donosniejszy odgłos radości, choć daleko stąd było do większych placów, gdzie mieszkańcy Brionii zbierali się właśnie na coroczne święto. Heroldzi głośno zwolowali mieszczan na zabawę w ogrodach wokół Palazzo Ducale. A Arachne siedziała posrodku pustego warsztatu z księgą na kolanach.

Znała, więc w końcu tor jego lotu. Miała przed oczami ścieżkę, wyrysowaną srebrną kreską na mapie nieba i rozpisaną na czterech kartach w tabelach dat. Mogła go przywołać.

Sirocco, demona wichru o oddechu, który wypala oczy i wysusza szpik w kościach.

Tyle, że teraz była po prostu zmęczona. Zbyt zmęczona na radość. Chciała jedynie położyć się na posłaniu i spać tak długo, aż zapomni o tych siedmiu latach, co minęły od śmierci matki. I najchętniej obudziłaby się w jakimś obcym, odległym miejscu, gdzie nikt nie słyszał o Brionii i księżkach, którzy władają magią i mają moc zaklinania demonów.

Jeden z heroldów zapuścił się aż do Vicolo delle Tessitrici i stał pod warsztatem, wykrzykując hałasliwe zaproszenia na rokroczny bal. Jego wrzask aż swidrował w uszach. Arachne miała ochotę go przepędzić precz, ale nagle tknęła ją pewna myśl.

Tej jednej, jedynej nocy mogła zobaczyć twarz Severa, kiedy wezwie demona, aby rozszarpał go na strzępy. Każdy miał prawo wejść do ogrodów i patrzeć, jak księżka rozpoczyna bal, tańcząc na wielkim placu przed cytadelą z najpiękniejszą z dziewcząt. Nawet ona.

Od lat nie nosiła strojnych szat i nie zostały jej żadne klejnoty, aby się przyozdobić. Na dnie skrzyni znalazła stara suknie z błękitnego płótna, podarunek od matki, przybrana jedynie u dołu drobnym wzorem z rozanych kwiatów. Wyrwawszy z księgi kartę z zaklęciem i zapisem pozycji demona, ukryła ją na piersiach pod suknią. Upięła wysoko warkocze i wsunęła w nie kilka białych róż, znalezionych w wirydarzu na jedynym krzaku, który przetrwał po śmierci jej matki. Na kramie przy Porta dei Leoni kupiła malenka, jedwabną maseczkę. Kiedy ukryła twarz, miała wrażenie, że hafciarka z Vicolo delle Tessitrici zniknęła bez śladu. Ktoś zupełnie inny wspinał się w rozradowanym tłumie ku księższej cytadeli. Arachne nie była pewna, czy zna te dziewczyny.

Wydawało się jej, że strażnicy u bramy przyglądają się jej dziwnie, jakby wiedzieli o ukrytym zaklęciu. Przeszła pomiędzy dwoma lwami z żółtego piaskowca. Każdy z nich był ponoć demonem zamkniętym w kamieniu, aby strzegł maga i chronił go przed wszelkim niebezpieczeństwem. Jej jednak nie zatrzymały.

Ogrody mieniły się od światła. Kwitły kwiaty. Na drzewach wisiały owoce z palonego cukru, marcepanu i lukrecji smazonej w miodzie. Na niektórych siedziały pszczoły z czystego złota. Ponad klombami wirował rój polyskliwych demonów, a każdy z nich był ognistą salamandrami, zaklęta w kształt latarenki.

Arachne wędrowała powoli poprzez zaczarowany ogród. Wkrótce została sama na ścieżce, bo goście z miasta rozbiegli się na wszystkie strony w poszukiwaniu nowych cudów. Ona jednak szła prosto na wielki marmurowy plac przed cytadelą. Zbyt długo czekała na spotkanie z Severem. Nie chciała zwlekać ani chwili dłużej.

Ale kiedy podeszła bliżej, tłum znów zgęstniał niezmiernie. Mnóstwo dziewcząt przez cały rok marzyło, że właśnie jej wybierze księż, aby zatęczyły z nim pierwszy taniec i rozpoczęły bal. Tłoczyły się teraz niecierpliwie po bokach placu w swych najlepszych sukniach i Arachne nie zdołałaby się przepchnąć pomiędzy nimi bliżej maga. Cofnęła się, zatem głębiej w ogród. Nikt nie patrzył w jej stronę, więc uniosła spódnicę i wspinała się szybko na jeden z figowców. Teraz ponad głowami zgromadzonych widziała wyraźnie cały plac. Był wciąż pusty, tylko przed wejściem do Palazzo Ducale stały dwa rzędy żołnierzy w barwach maga.

Malenki ptaszek o żółtym brzuszku przyfrunął i usiadł na gałęzi tuż obok jej twarzy. Przechylił głowę i przyglądał się jej uważnie. Ale kiedy wyciągnęła dłoń, by dotknąć delikatnie brązowego grzbietu, poczuła pod palcami chłodny metal. Ptak był demonem, zabawka stworzona przez maga dla rozrywki gawiedzi.

Zagrały trąby i ogromne wrota cytadeli rozwarły się powoli. Rozpoznała Severa od pierwszego spojrzenia. Był cały w błękitnie, a jego płaszcz koloru ultramaryny opadał aż do ziemi. Gdy szedł przez plac, goście chylili się przed nim w pokłonie. Minal pierwszy szereg panien, a patrycjuszki w sukniach z brokatu i jedwabiu rozstąpiły się

przed nim, z trudem kryjąc zawód. Dalej stały dziewczęta z wysokiego miasta, córki kupców i rzemieślników, przemieszane z biedotą miejską, rybaczkami z portu, a nawet ładacznicami. Wszystkie nosiły takie same maski z czarnego jedwabiu i z równą niecierpliwością oczekiwały decyzji księcia.

Severo zwlekał. Z uśmiechem odpowiadał na pozdrowienia. Ucałował dłoń siwowłosej matrony, która miała dość śmiałości, by zastąpić mu drogę. Wciąż jednak nie wybrał partnerki do tańca.

Dopiero, kiedy był prawie pod jej drzewem, Arachne zorientowała się, dokąd idzie. Przywarła mocniej do pnia, przeklinając prozność, która podszeptała jej jasną suknie. Na darmo. Mag dostrzegł ją od razu.

Stał pod figowcem, z rozbawieniem w błękitnych oczach przyglądając się Arachne. On jeden nie nosił maski. Miał szczupłą, smagłą twarz. Kiedyś wyhaftowała ją na płaszczu jako oblicze demona.

–Skocz – powiedział Severo. – Złapie cie.

Inni również zauważyli Arachne i zaczęli spoglądać ku nim z zaciekawieniem.

Mag wyciągnął ręce. Ptaszek zaswiergotał natarczywie. Nie miała, na co czekać.

Skoczyła.

Severo złapał ją, przyciągnął do piersi i usłyszał mocne uderzenie jego serca. Potem postawił ją na ziemi i wyjął kwiat z jej włosów.

–Kwiaty Sirocco – rzekł, obracając w palcach białą różę. – Niebywale.

Zdumiała się, jak mogła być równie głupia i zdradzić się tak prostą rzeczą. Ale wtedy Severo zrobił coś, co zadziwiło ją jeszcze bardziej. Ujął jej dłoń.

–Czy zechcesz mi uczynić ten zaszczyt, pani – wypowiedział ceremonialne słowa – i zatanczysz ze mną tej nocy?

Zaschło jej w gardle. Mogła tylko skinąć głową.

Ludzie wiwatowali, kiedy Severo prowadził ją po trawie na wielki marmurowy plac przed cytadelą. Muzycy na drewnianym pomostku, przystrojonym wielobarwnym kwieciami i złotymi wstęgami, zaczęli grać. Nie знаła kroków. Nie rozpoznała powolnej, rozkolysanej melodii, lecz mag położył jej dłonie na swoich ramionach i objął ją w pole. Potem spojrzała mu prosto w oczy. I nie było nic więcej. Melodia uniosła ją i oszłomiła jak zaklecie.

Srebrne i złote salamandry otoczyły ich i wirowały nad nimi jak roj ogników, a nieboskłon był pełen gwiazd. Coś rozplotło jej włosy – magia albo jego palce – i otoczyły ich jak jedwabna przedza, jak babie lato, kryjąc przed wzrokiem gapiów. I wydawało się jej, że te wszystkie straszne, samotne lata w warsztacie Despiny opadają z niej niczym zwiedle, szerniałe liście. Cała nienawisc, lek i strach, spowijające ją od śmierci brata, podniosły się na chwilę i niczym dym zniknęły na nocnym niebie. To było jak sen. Jak nagle zaciemnienie serca. Po prostu nie pozostało nic prócz tancerki i ramion Severa, które otaczały ją ciasno i unosiły nad ziemią.

Potem melodia znikła gwałtownie. Jak ucieta nożem.

Zakreśliło się jej w głowie. Zachwiała się i byłaby upadła, gdyby mag jej nie podtrzymał. Znowu usłyszała spokojne, równe bicie jego serca. Taniec się skończył, ale on wciąż stał naprzeciw niej, jakby na coś czekał. Nagle Arachne rozpaczliwie zapragnęła, żeby nigdy nie było tych siedmiu lat i siedmiu płaszczy, utkanych, by go zabić. Aby nigdy nie odnalazła kodeksu i nie poznała toru lotu demona, który był jego śmiercią. Ale melodia dobiegła końca i znowu pamiętała. Pamiętała o wszystkim.

Cofnęła się o krok i sięgnęła pod suknię, gdzie na piersi miała ukryte zaklęcie, przywołujące sirocco. Wśród ciszy głuchej jak makiem zasiał wykrzyczała je magowi prosto w twarz.

Pociemniało. Iskry i salamandry zgasły, zdmuchnięte jej głosem. Z wysoka, spod koron drzew i najwyższych wież cytadeli, dobiegł poszum. Zrazu nieznaczny, spotezniał i runął na nich z przerazliwym wyciem. Cisnął Arachne o ziemię. Oczywiście miała pełne piasku i nie widziała, co się dzieje z Severem. A potem coś jeszcze na nią opadło. Ultramarynowy płaszcz maga, który zasłonił ją przed wichurą.

–Dostyc! – usłyszała nad sobą jego głos.

Zadymka uciszyła się bez śladu. Arachne odchyliła pole płaszcza. Wieże cytadeli wciąż trwały, nieporuszone, i żadne z drzew w ogrodzie Palazzo Ducale nie złamało się pod naporem zawiei. Nad nią zaś stał Severo, nadal z tym samym nieodgadzionym wyrazem twarzy.

–Wstan – powiedział, po czym zacisnął dłoń na jej przegubie. – Zdejmij maske.

Usłuchała. Podniósł ją bez wysiłku i wciąż okryta płaszczem przeprowadził przez tłum. Ludzie spoglądali na nich ze zgrozą, szepcząc coś pod nosem i potraszając głowami. Nie próbowała się wyrwać.

Kiedy wartownicy, strzegący bram cytadeli, rozstąpili się przed nimi, Arachne wciąż ścisnęła w dłoni kartę z kodeksu. Zaklęcie nie podziałało. Może nigdy nie było prawdziwe, a może jedynie nie umiała zapanować nad demonem.

**–Zlamalas rozkaz – rzekl Severo, kiedy znalezi sie wysoko, na otwartym tarasie ponad wewnetrznym ogrodem, dokad nigdy nie wpuszczano gosci.**

**–Dlaczego sadzisz, ze mozesz mi rozkazywac?**

**–Dobre pytanie – przyznal mag. – Poniewaz jestem ksieciem tego miasta i twoim wladca.**

**Natychmiast opanowala ja zlosc. Strzasnela z ramion jego blekitny plaszcz.**

**–Nie jestes moim wladca!**

**–Nawet, jesli przyplynelas z za morza, Brionia nalezy do mnie i ja tu stanowie prawo.**

**–Brionia nigdy nie nalezala do ciebie! – wykrzyknela, odgarniajac z twarzy wlosy.**

**–Wybudowal ja moj ojciec i spoil wlasna krwia. Odziedziczylem miasto zgodnie z jego wola i nie bez walki. – Severo wciaz byl spokojny. – Czyzbys chciala przeczyc moim prawom?**

**–Nie masz zadnych praw. Twój ojciec zamordowal prawowitego wladce i wydarl dziedzictwo synom Sirocco. Popelnil jednak blad. Nie zdolal ich zabic.**

**–Skad wiesz o synach Sirocco?**

**Rozesmiala sie z triumfem.**

**–Poniewaz pochodze od najmlodszeo z nich. Tego, ktory zostal uniesiony przez sirocco z Isola di Tutti Venti na wschod, na druga strone morza.**

**Severo dlugo sie nie odzywial.**

**–To nieprawda – powiedzial w koncu.**

**Jego glos byl lagodny i niemal mu uwierzyla. Niemal. Zaraz jednak przypomniala sobie, kim jest.**

**–Nie widzisz moich oczu? Sa blekitne jak niebo i pelne magii. Plynie we mnie krew magow.**

**Severo potrzasnial glowa.**

**–To sie czasami zdarza. Bez powodu. Niektore dzieci rodza sie z oczami blekitnymi jak niebo. Lecz nie ma w tym zadnej magii, jedynie zwykly traf.**

**–Moja matka powiedziala mi, kim jestem.**

**–Sklamala. Zapewne miała powód. Być może zapagnęła dać ci coś, co sprawi, że nie będziesz jedynie dzieckiem wygnanców w obcym mieście. Ale uwierz, że nie płynie w tobie ani kropla krwi Sirocco.**

**Cofnęła się na sam skraj tarasu, oparła plecami o balustradę.**

**–Kłamiesz! – Dlaczego miałbym to robić?**

**–Żeby ukrącić mi wszystko. Do końca. Odebrać mi nie tylko Brionie, ale nawet pamięć o moim dziedzictwie.**

**–Nigdy ci niczego nie zabrałem, Arachne. – Mag podszedł bliżej. Wyjął jej z dłoni zmiętą kartę i cisnął w dół. – Dlaczego mnie tak bardzo nienawidzisz?**

**Zamknęła powieki. Nie chciała, żeby widział, jak płacze.**

**–Zabijesz mojego brata! – krzyknęła. Echo jej słów zawirowało ponad ciemnym ogrodem. – Zaciągnął się do wojska, a ty posłałeś go na południe, aby znalazł się z daleka od Brionii. Z daleka od nas. Potem go zabijesz.**

**Gdzieś daleko, po drugiej stronie cytadeli, znowu grała muzyka. Mieszczanie powrócili do zabawy.**

**–Przykro mi – powiedział cicho Severo. – Żołnierze umierają na wojnie. Nie mogę ochronić każdego z nich.**

**–Zabijesz go – powtórzyła tępo. – Zabijesz.**

**A potem wybuchła szlochami, który tłumila przez te wszystkie lata. Nie spostrzegła, jak to się stało, że Severo był tuż przy niej. Ukryła twarz na jego piersi i płakała. Mag nie poruszył się. Objął ją i po prostu czekał cierpliwie.**

**–Co ze mną zrobisz? – spytała, wysuwając się z jego uścisku.**

**–Złamalas coś więcej niż mój rozkaz. Aby mnie zabić, sięgnęlas po zakazaną wiedzę. Nigdy nie zdołałabys okiełznać demona, nawet gdybys wytropiła go w jednej z ksiąg. Nie masz dość mocy ani dość wiedzy. Ale nauczyłas się czytać, a za to jest dla kobiety jedna kara, starsza od nas obojga.**

**Śmierć, pomyślała Arachne. Kobieta, która nauczy się czytać, zostanie ukamienowana jak strega na placu przed świątynią. Gallinetta miała rację. Powinnam była użyć trucizny.**

**–Zabijesz mnie – rzekła.**

**–Taka naznaczono kare.**

**Miała niejasne wrażenie, że powinna coś zrobić. Rzucić się magowi do nog i błagać o łaskę. Albo przeklinać go i złorzeczyć. I nie potrafiła.**

**A najdziwniejsze było, że nie czuła strachu. Dokadkolwiek zmierzała przez te siedem lat po śmierci brata i matki, dotarła do celu. Nic więcej od niej nie zależało. Była w tym jakaś otucha.**

**–Czy powiesz mi coś wcześniej?**

**–Pytaj.**

**–Kiedy się o mnie dowiedziałeś? Już wtedy, kiedy pierwszy raz spróbowałam sięgnąć demona?**

**Nie zawahał się ani odrobine.**

**–Wcześniej. Lichwiarz wydal cię tej samej nocy, gdy przyszedłaś do niego po księgę. Wyznaczono za podobne wieści nagrodę. Nie jesteś pierwszą kobietą, która usiłowała zgłębić zakazaną wiedzę czarodziejów.**

**Uwierzyła mu. Nie pojmowała, dlaczego.**

**–Skoro wiedziałeś, czemu mnie wówczas nie zabiłeś?**

**–Byłem ciekaw. Dalem lichwiarzowi księgę, bezużyteczną, abyś przez przypadek nie wyrzuciła krzywdy nikomu prócz siebie, i rozkazałem, by ci ją dał, jeśli powrócisz. I nie omyliłem się. Wróciłaś. Wtedy zrozumiałem.**

**–Co?**

**–Chodź ze mną. – Ujął ją za łokieć i poprowadził przez taras ku drzwiom.**

**Zgadła, że to jego komnata i zdumiała się jej surowością – nie było w niej nic, oprócz łóżka, pulpitu do czytania przy oknie i dwóch zwyczajnych skrzyń. Przy posłaniu stał ogarek pojedynczej świeczki. W wielkim kominie buzował ogień. A pod ścianami na drewnianych stojakach rozwieszono siedem płaszczy, które wyhaftowała.**

**–Więc to ty je kupowałaś – powiedziała cicho. – Powinnaś była zgadnąć. Mam nadzieję, że przyniosły ci więcej radości niż mnie.**

**–Nigdy ich nie nosiłem. Czy wciąż nie wiesz, dlaczego?**

**Potrząsnęła głową.**

**–Prawie ci się udało, Arachne. Niemal mnie zabiłaś.**



**Była pewna, że się przesłyszała.**

**–Kiedy Tuillio przyniósł pierwszą szatę, twoja sztuka zachwyciła mnie. Nie sądziłem, że człowiek może bez magii stworzyć coś równie pięknego. Że kobieta może wyrysować demona tak samo biegle jak ja. Od sześćdziesięciu lat patrzę im prosto w twarz, kiedy przybiegają do mnie, rozwścieżone, lecz posłuszne zakleciu. Jednak na zwykłym kawałku płótna zobaczyłem coś innego. Jakąś część wiedzy, której nie znałem. Nawet nie przeczuwałem jej istnienia. Czy wiesz, co zrobiłaś – wtedy i przez wszystkie kolejne lata?**

**–Haftowałam.**

**–Jest dziewięć sfer nieba, a w każdej kraja duchy odmienne i właściwe tylko dla niej. Dziewięć chorów demonów, którymi włada tylko Najwyższy – i magowie, jeśli mają dość rozumu oraz umiejętności. To właśnie zrobiłaś na swoich płaszczach, Arachne. Wyhaftowałaś kolejno siedem demonów, po jednym z każdego choru, od najsłabszego moca po coraz groźniejsze, aż do tronów, nad którymi są już tylko keruby i serafy.**

**–A jak cię prawie zabiłam? – przerwała niecierpliwie.**

**–Nawet teraz dbasz tylko o to? – Coś przemknęło po twarzy Severa. Smutek. – Dobrze, więc. Kiedy niemal włożyłem pierwszy płaszcz.**

**Spojrzała na niego z niedowierzaniem.**

**–Drwisz ze mnie?**

**–Wydawał się dla mnie stworzony – ciągnął szeptem Severo. – Płaszcz godny maga, czyż nie? Błękitny i srebrny jak moja magia. Niebo i gwiazdy. Morze i szron. Kiedy go dotknąłem, tkanina omywała moje palce niczym fala. A gdy go podniosłem, był lekki jak pióro i delikatny jak pajęczyna. Prawie włożyłem go na ramiona. – Potrzaskał lekko głową, jakby dziwił się własnej głupocie. – Prawie mnie pokonałaś.**

**–Nie rozumiem.**

**Spojrzał jej prosto w oczy.**

**–Udało ci się uwieźć w płótnie demona. Wplotłaś go między nici tak zrecznie, że niemal go przeoczyłem. Spętałaś go bez zaklecia, tak, że nikomu więcej nie udało się nad nim zapanować ani zmusić go do spełnienia życzenia. On zaś nie potrafi się uwolnić. Pozostanie w płaszczu, dopóki haft nie zetleje i nie rozpadnie się na strzępy. Chyba, że wcześniej demon zdoła mnie pochwycić, bo twoje pragnienie jest również zapisane we wzorze haftu i pozostawiłaś mu tę jedną drogę ucieczki. Wystarczyłoby włożyć płaszcz na ramiona, a demon pochłoniąłby mnie bez śladu.**

**–To niemożliwe – wyjąkała. – Nie można czegoś podobnego zrobić.**

**–Nikt nigdy nie próbował – przyznał mag. – Ale tobie się w jakiś sposób udało. Bardzo dobrze znałaś swoją sztukę. I nienawidziłaś mnie wystarczająco mocno.**

**Wiec to, dlatego Gallinetta próbowała mnie ostrzec, zrozumiała dziewczyna. Czowała moc, choć nie pojmowała jej natury. A ja nie posłuchałam. Zmarnowałam to. Zmarnowałam wszystko.**

**–Kiedy znalazłem już prawdę – mówił dalej mag – czasami przyglądałem ci się z oddali. Byłaś taka... – zawahał się – kompletna. Zamknięta jak muszla i doskonale nieświadoma. Demony zbiegały się i krążyły wokół ciebie jak przezroczyste płomienie, a ty nie przeczuwałaś wcale ich obecności. Przebijalas je stalową igłą jak motyle i przypinalas do tkaniny, cały czas szukając daremnej, bezużytecznej wiedzy. Pomyliłaś się, Arachne. Tak bardzo się pomyliłaś.**

**Znowu się rozplakała.**

**–Nie musisz mnie upokarzać – powiedziała przez łzy.**

**–Nie upokarzam cie.**

**–Powinieneś mnie ostrzec. Zatrzymać.**

**–Chyba powinienem – przyznał powoli Severo. – Byłem jednak ciekaw. Ciekawość jest największym grzechem magów.**

**–Podobnie jak pycha, zachłanność i okrucieństwo.**

**Potrząsał tylko głową.**

**–Być może. Ale poza wszystkim... – zastanowił się, jakby nie mógł znaleźć właściwych słów. – Chciałem, żebyś pozostała wolna. Żebyś zatrzymała się z własnej woli i w wybranym przez siebie czasie. Tym się różnimy od demonów. Chwytamy je, lecz nie petamy siebie nawzajem.**

**–Wolność jest dziwnym darem.**

**Skoro teraz masz zamiar mnie zabić, dodała w myślach.**

**–Sa dziwniejsze od niej. Tyle, że czasami przychodzą nieproszone i zbyt późno.**

**Wydawało się jej przez chwilę, że na swój irytujący, pokretny sposób mag próbuje jej powiedzieć coś ważnego, ale zaraz odepchnęła te myśli od siebie.**

**–A więc po prostu przez siedem lat napawales się moją głupotą.**

**–Nie napawalem sie! – Pierwszy raz uslyszala w jego glosie gniew. – Nic o mnie nie wiesz.**

**–Ktos mi to juz powiedzial zeszlej nocy – odparla hardo, choc wspomnienie przejmowalo wstretim. – Pewien lichwiarz, ktory bawil sie mna z twojego rozkazu. Czy inne rzeczy rowniez mu rozkazales?**

**Zobaczyła, że Severo zacisnął zęby.**

**–Zabilem go zeszlej nocy.**

**Rozesmiala sie.**

**–Czy sadzisz, ze to mi cos przywroci? Pocieszysz po tych siedmiu latach, kiedy bylam twoja zabawka?**

**Zlupal ja za nadgarstek tak mocno, ze zabolalo.**

**–Nie bylas zabawka. Pozwolilem ci zyc. Nie sadzilem, ze zrobisz cos rownie szalonego. Ze rzucisz mi wyzwanie przy wszystkich moich ludziach.**

**–Teraz, wiec mnie zabijesz.**

**Zawahal sie.**

**–Nie. Nie moge cie utracic. Splote cie z demonem. Umrzesz, lecz jednoczesnie bedziesz zyła. Przy mnie.**

**–Och... – tylko tyle zdolala powiedziec. Potem glos sie jej zalamal.**

**Jak slepa podeszla do lozka i usiadla na poslaniu. Nic wiecej w komnacie nie bylo, wiec Severo uklakl przed nia na posadzce.**

**–Ostrzegali mnie – rzekla glucho, splatajac palce na podolku. – Nie moge nikogo winic. Ostrzegali mnie przed okrucienstwem magow.**

**–Arachne...**

**–Czy wlasnie, dlatego w cytadeli wciaz nie ma pani? – Nie wiedziala, skad bierze odwage, aby mowic do niego w ten sposob. – Bo wszystkie swoje kochanki oddales demonom? Bales sie ich tak bardzo, ze musiales je przemienic i odebrac im dusze?**

**–Nie ma innego sposobu, abys zyła. Zlamalas zakaz.**

**–Wolalabym umrzec! – krzyknela zapalczywie.**

**–Ale nie umrzesz.**

**–Dlaczego?**

**–Masz zbyt wiele mocy, aby to zmarnować.**

**Jednak tym razem zgadła, że skłamał. Pierwszy raz.**

**–Tylko, dlatego? – Podniosła się. Kiedy stała, Severo był dalej i czuła się bezpieczniejsza. – Czy gdybym nigdy nie nauczyła się czytać i nie próbowała cię zabić, wówczas pozwoliłbyś mi odejść swobodnie?**

**Wyszedł za nią na taras. W ogrodach trwała zabawa. Śmiechy dobiegały aż tutaj.**

**–Wiesz, że mój ojciec spotkał kiedyś Sirocco? – spytał. – To znana opowieść, o tym, jak popłynął na Isola di Tutti Venti.**

**–Aby ją zabić – poddała mściwie.**

**Zignorował ją.**

**–Był tam raz wcześniej, zanim rozpoczęła się wojna. Powiedział mi tuż przed śmiercią. Wezwła go, więc popłynął, bo był młody, próżny i nie wierzył, aby cokolwiek mogło go pokonać. Ale tak, potem powrócił po śmierci Duilia. Sirocco czekała na niego. Odmieniła go. Nie magia. Czymś jeszcze głębszym. Tak, że nie potrafił się potem cieszyć ze zwycięstwa. Nie potrafił się cieszyć, że odbudował z popiołów Brionie, z jej różowymi kopułami świątyn, marmurowymi placami i murami jak złote weze. – Severo odwrócił się i oparł rękami o balustradę.**

**Nie patrzył na nią, więc powoli przesunęła się krok do tyłu. Potem jeszcze jeden, najciszej, jak potrafiła. Modliła się do Jedyne go, aby mag mówił dalej i pozwolił jej cofnąć się jeszcze trochę.**

**–Zaczął szastać mocą. Chciał tworzyć rzeczy trwałe i piękne, które zamkłyby pamięć o Isola di Tutti Venti. Ale tak naprawdę próbował wykonać coś, co znalazłoby uznanie w oczach martwej kobiety. A ponieważ ona rzuciła się ze skał w morze, był dla siebie najsurowszym sędzią.**

**Odeszła już o osiem kroków od niego. Wystarczająco daleko. Zresztą mogli odwrócić się w każdej chwili.**

**–Roztrwonil swoją magię. Inaczej żyłby jeszcze wiele lat. Kiedy umierał, obiecałem sobie, że nie pozwolę, aby ktos mnie podobnie opętał. Nie pozwolę sobie odebrać mocy. Nikomu.**

**Przechyliła się nad balustradą i mocno zacisnęła na niej ręce. Ogród był ciemny i bardzo odległy.**

**–Nie rob tego, Arachne! – rzucił ostro. – Wciąż jestem magiem i nie zdołasz mnie tak łatwo oszukać. Nie pozwolę ci się zabić. Jeśli skoczysz, demony pochwycą cię i nieknieta przyniosą z powrotem.**

**–Pomyślałaś o wszystkim? – Nachmurzyła się, choć wobec wszystkiego, co się stało tego wieczoru, ta drobna klęska nie miała żadnego znaczenia.**

**–Nie, nie o wszystkim. – Uśmiechnął się. – Ale o tym tak. Patrzyłem przecież na ciebie przez siedem lat. Jak mogłbym nie zgadnąć?**

**Wzruszyła ramionami.**

**–W jaki sposób zamierzasz to zrobić? Jak sprzegniesz mnie z demonem?**

**Wydawało się jej, że pytanie sprawiło mu przykrość. Może nawet teraz nie chciał się podzielić z nią sekretami tajemnej wiedzy czarodziejów.**

**–Podobnie jak ty chciałaś mnie zabić. Włożysz płaszcz. Tyle, że nie zginiesz.**

**Zadrzała mimowolnie. Była w tym jakaś przewrotna, przerażająca sprawiedliwość.**

**–Czy będzie boleło?**

**Starła się, by nie wyczuł w pytaniu strachu. Ale oczywiście się jej nie udało.**

**–Arachne, to nie jest tak – odparł ze znudzeniem Severo – że wieczorami idę do katowni i słyszę krzyki torturowanych. Nie zadaje bólu bez potrzeby. Niewiele poczujesz. Nalozysz płaszcz, a potem... Potem odpłyniesz.**

**–Umre – sprostowała sucho. – Potem mnie zabijesz.**

**–Jeśli tak wolisz to nazwać. Nie chce się teraz z tobą spierać.**

**–Nigdy więcej nie będziesz miał okazji. Kiedy włożę płaszcz i stanę się demonem, będę cię już tylko kochać. Przez całą wieczność.**

**Zmarszczył brwi.**

**–Nie uda ci się mnie w ten sposób zranić, Arachne. Nie warto próbować. Ostatecznie przyszłaś tu, aby mnie zabić. Słabość nie jest niczym innym niż słabością.**

**–Nikt mnie nawet nie pocałował – powiedziała nagle ze zdumieniem.**

**Severo nie zrozumiał.**

**Przypomnieli się jej wszyscy chłopcy z Vicolo delle Tessitrici, którzy oglądali się za nią, kiedy była młoda, radosna dziewczyna, jeszcze przed śmiercią Yanniego. Syn Crescenza strzecharza, który zaprosił ją na tance więcej niż osiem lat temu i zginął gdzieś daleko od Brionii.**

**–Zaden mężczyzna – dodała, bardziej do siebie niż do maga. – Nigdy.**

**–A lichwiarz?**

**–Nie zależało mu na moich pocałunkach – odparła tak obojętnie, jak tylko umiała. – Myślałam wtedy, że mści się na mnie. A teraz nie jestem pewna. Być może mścił się na tobie. I zdaje mi się, że powinnam być mu wdzięczna. Ale mnie nie pocałował.**

**Był zdumiony. Dopiero teraz udało jej się go zaskoczyć. Podeszła bliżej.**

**–Nie mam sztyletu – wyszeptala. – Możesz sprawdzić.**

**–Wiem – powiedział i bardzo ostrożnie dotknął jej warg.**

**Przyciągnęła go bliżej, objęła z całej siły, aż poczuła obok spokojne, równie bicie jego serca. Zamknęła oczy. Wokół niej znów wirowała muzyka, ta sama rozkolysana, powolna melodia, która grała, kiedy mag poprosił ją do tańca.**

**Za plecami Severa, ponad dachem cytadeli, zaczęły się rozpryskiwać ogniste fajerwerki. Zabawa w ogrodach Palazzo Ducale dobiegła kresu.**

**–Dlaczego? – spytał chrapliwie mag, odsuwając ją na wyciągnięcie ramienia.**

**Jego oczy wydawały się całkiem czarne.**

**–Zebys podczas tych wszystkich lat, kiedy bedziesz calowal demona, pamietal, kim bylam naprawde.**

**Jego twarz zmieniła się na moment.**

**–Teraz wloze plaszcz – dodała, aby go uprzedzić, cokolwiek zamierzał powiedzieć. – Czy pozwolisz, abym zrobiła to sama? Zostawisz mnie na moment?**

**–Tak – zgodził się po chwili. – W mojej komnacie.**

**Pozwoliła zaprowadzić się na powrót do sypialni maga, gdzie czekało na nią siedem płaszczy.**

**–Zapieczętuje drzwi – przestrzegł ją. – Nie wymkniesz się.**

**Na progu obejrzał się jeszcze.**

**–Zaluje, Arachne. Naprawdę.**

**–Wiem.**

**Kiedy wyszedł, usiadła na łozku i patrzyła na siedem płaszczy, które przez nieprzeliczone godziny pokrywała haftem. Siedem lat jej życia. Siedem demonów.**

**Jedna śmierć.**

**Wreszcie podniosła się z westchnieniem, bo wiedziała, że Severo nie będzie czekał w nieskończoność. Ale pomylił się w jednej rzeczy.**

**Drzwi były zamknięte magiczną pieczęcią i być może zastawił jeszcze wiele innych pułapek, bo przecież patrzył na nią przez siedem lat i znał ją bardzo dobrze, a jednak znalazła sposób, aby przed nim uciec. Podeszła do komina i skoczyła prosto w płomień. Lecz ogień także był demonem.**

**Jej cień**

**Strumień Czasu, nieustrudzony, zagarnia wszystko, co się zdarzyło w podziemnym świecie, i unosi w nieprzeniknionej ciemności zarówno czyny bez znaczenia, jak i rzeczy wielkiej wagi, warte uwiecznienia; jak napisano w świętych księgach: "przywodzi na światło to, co było zakryte, i odbiera nam to, co było widziane". Wszakże wiedza Historii jest nieprzemierzalną zaporą przeciwko strumieniowi czasu; ona to ogranicza ów niezmordowany potop i w ciasny uścisk chwyta wszystko, czego może dosięgnąć, a co unosi się na powierzchni, i nie pozwala, aby osunęło się w otchłan Zapomnienia.**

**Ja, Luana, córka Senna, który panował nad Brionia i Adalgisy z rodu książąt Orvieto, zrodzona i wychowana w l'Azzurro, zdając sobie sprawę z niszczycielskich skutków Czasu, zapragnęłam poprzez moje pisma zdać sprawę z czynów moich przodków, które nie powinny zostać litosciwie skazane na Zapomnienie ani uniesione przez strumień Czasu do oceanu Niepamięci, lecz po kres dni służyć za przestrogi i napomnienie. Zamierzam przypomnieć wszystko, co się tyczy ich wyniesienia, i rozliczne plagi, które spadły na Polwysep za przyczyną ich panowania, nade wszystko zaś ich upadek i zniszczenie miasta, które niegdyś było zrenica w oku świata...\* \* [W tekście sparafrazowano fragment Aleksjady Anny Komneny.]**

**Skryba raz jeszcze zmierzył wzrokiem swe dzieło i, zadowolony, odłożył pióro, po czym obejrzał się na opatke. Staruszka drzemiała, pochrapując lekko, z kącika ust ściekała jej ślina. Ostatnio zasypiała bardzo często, a wybudzona zniechęcona, nie rozpoznawała ludzi wokół i z lekiem przyzywała zmarłych przed południem: ojca, matkę, piastunów, a także, ku zdumieniu i odrazie mnichów, swego narzeczonego,**

ostatniego z Principi dell'Arazzo. Czasami zas wsrod innych pojawialo sie jeszcze jedno imie – Arachne, malzonki Severa, ktora dala poczatek przekletemu rodowi wladcow Brionii i ktora powszechnie oskarzano o konszachty z demonami. Staruszka wzywala ja posrodku nocy, lecz ocknawszy sie, nie umiala badz nie chciala wytлумaczyc, po co. Gdy ja o to pytano, wodzila tylko oczami po twarzach mnichow, bezradna, strwozona jak dziecko skarcone przez ukochanego nauczyciela, i kurczowo zaciskala palce na wielkiej perle, symbolu Najwyzszego, ktora zawsze nosila zawieszona u sukni na lancuszk.

W koncu dali jej spokoj. Gdyby pozostal jej wiecej czasu, sprobowaliby rozwiklac i te tajemnice. Jednak mogla umrzec lada dzien, nie chciano, wiec, aby mroczne sprawy czarodziejow rzucaly cien na konanie najwiekszej swietej Polwyspu, jak ja coraz czesciej nazywano. Byc moze przed smiercia jej umysl zablakal sie bezpowrotnie w tamte okrutne czasy, kiedy jako dziewczynka byla swiadkiem ostatecznego upadku Brionii. A moze, jak wierzyli bracia z gorzystej polnocy, tuz przed zgonem jej oczy spogladaly juz w inna kraine, daleka od podksiezycowego swiata.

Staruszka zachrapala donosniej i mnich skrzywil sie niechetnie. Powiadano, ze uchodzila za najwieksza pieknosc swoich czasow, lecz skryba uwazal podobne przechwalki za bluznierstwo. Zreszta z urody ksieni nie pozostal ani slad. Jej twarz zapadla sie i pokryla sinymi wybroczynami, grzbiet przygial sie do ziemi, palce poskrecal artretyzm, slad po latach spedzonych w wilgotnych, mrocznych ruinach katedry Brionii. Worek lajna, pomyslal mnich, z odraza mierzac ja wzrokiem, worek, obciagniety skora niegdys gladka, a teraz pomarszczona i spekana, ale jednako obmierzly.

Zaledwie przed kilkoma tygodniami przybyl do opactwa. Z poczatku nieco oszalamialo go olbrzymie, milczace rumowisko miasta, sterczace w niebo ulomki bialych kolumn, resztki cyklopowych murow, wypalona skorupa cytadeli. Wszedzie tez dostrzegal pozostalosci zakazanej magii – w kamiennych rzygaczach, ktore nasladowaly ksztaltem wypedzone gargulce, w jasnieszym placie na wrotach, ktory byl sladem po zerwanej kolatce z salamandra, w znaku Testa di Cavallo, wyskrobanym ukradkiem w klasztornej bramie. Nawet w oszalamiajacej woni bialych roz, ulubionych kwiatow opatki, jej wlasna reka zasadzonych w klasztornym rosarium, szczepionych i pielegnowanych ze starannoscia, ktora powinna byc zastrzezona jedynie dla zboznych dzieł. Spogladal na blekitne filigrany, ktorymi zdobiono ksiegi w skryptorium, na odkryte glowy wiesniaczek, kiedy o poranku czerpaly wode ze studni, wreszcie na osmolone mury starej katedry, u ktorej zbudowano klasztor. I z kazdym dniem jasnziej pojmul, ze na tej zatrutej glebie nie wyrosnie nic dobrego, bo kazde swiete dzieło zostanie tutaj wypaczone i zatrute magia. Gdyby zalezalo to od niego, zrownalby opactwo z ziemia, a resztki posypal popiolem i sola. Jednak poslano go, aby spisal zywot Luany, opatki Brionii, wiec musial tu tkwic, poki starucha nie szczynie.



Miał nadzieję, że nastąpi to niebawem, bo i tak nie miał z niej żadnej pociechy. Pytana, mamrotała coś w odpowiedzi bezzebnymi ustami, sliniąc się i postekując jak niemowlę. Skryba nie rozumiał ani słowa. Nie starał się zresztą rozumieć, bo wcześniej wiedział, jak należy napisać, aby jego dzieło stało się pokrzepieniem dla braci w tych ciemnych czasach, dopóki ostatni z czarodziejów nie zniknie z Polwyspu i nie splonie ostatnia magiczna księga. Luana, ta żywa, nie była mu do niczego potrzebna. Nie mogli jednak tego wyznaczyć, nie w Brionii, która była kolebką i świadkiem jej cudów.

Pochodził z nadmorskiego klasztoru, z południowego kranca Costa dei Gabbiani. Rodziców zabralo morze, a krewni, ubodzy jak klasztorne myszy, postanowili go oddać na wychowanie szarym braciom. Nie było w tym zlej woli – w czasach, które nastąpiły po zagładzie Principi dell'Arazzo, klasztory padły ofiarą rozszalałych demonów znacznie rzadziej niż rybackie wioski.

Wspólnota była mała, niechętna obcym i dobrze ukryta pomiędzy wapiennymi skałami wybrzeża. Z trzech stron chronił ją woda, miłosierne morze, które popycha statki zdrajców na podwodne skały. Z czwartej strony biegł strumień i pojedyncza ścieżka poprzez wyschłe, jałowe wzgórza, gdzie chadzały tylko zdziczałe kozy. Mnichów nie odwiedzał nikt, prócz rybaków z okolicznych wiosek. Ci skrupulatnie strzegli tajemnicy i wcześniej powiadamiali braci o nadejściu obcych. Zresztą ziemia wokół monasteru, niegdyś władztwo Brionii, po śmierci Principi dell'Arazzo nie należała już do nikogo: żaden mag nie polaszczyłby się na splachetek nagiej, zasolonej skały. Jeśli nawet obcy wiedzieli o wspólnocie, pozostawili mnichów samym sobie, aby wyzdychali z głodu i niedostatku.

Na Costa dei Gabbiani było kilkadziesiąt takich klasztorów i właśnie one stały się zarzewiem zmiany, która przez ostatni wiek przeobraziła oblicze Polwyspu.

Jeszcze nie, pomyślał mnich, obracając się ku staruszce. Jeszcze nie dosyć uczyniono. Czarnoksiężnicy wciąż siedzą w swoich wieżach i panują nad miastami, a pomimo wszelkich przysięg żaden z nich nie ukorzył się prawdziwie przed Panem. Zgorszenie jest podstępne, wciąż rzeźbi nowe ścieżki w twardej skale wiary. Są południowe opactwa, gdzie mnisi starej reguły nadal wyliczają szlaki wśród gwiazd i przepisują kodeksy pełne zaklęć. Jest klasztor świętego Sirona, gdzie udzielono schronienia synowi czarnoksiężnika, aby saczył powolny jad w nasze modlitwy. Jest wreszcie to miejsce, centralny punkt dawnych legend i zakazanej magii.

Potrzeba nam wiele czasu, aby zniszczyć to wszystko.

\*\*\*

W nocy ogromna cytadela Brionii była dziwnym miejscem, pełnym szeptów i drzących cieni. Odgłosy niosły się po opustoszałych korytarzach, budząc zmienne

echa, które zdawały się chichotać i przyzywać do zabawy. Struzki białego światła wypełzały pomiędzy kamieniami jak srebrzyste zmijki, odbijały się od wypolerowanych hełmów strażników i uciekały w mrok. Błędne ogniki tancyły na ostrzach mieczy, którymi ozdobiono sale przyjęć, i zapalały iskierki w oczach posagów z alabastru. Gobeliny falowały, poruszane wiatrem, niewyczuwalnym dla śmiertelników, czy księżat z portretów poruszały się, łowiac najmniejszy ruch pajaka, który snuł pajeczny w mrocznym kącie pod powalą.

Nocą po cytadeli przechadzały się demony i zaden z gości Rocca di Brionia nie odważył się wychylić nosa poza drzwi gościnnej komnaty. Nasuwali koldre na głowy i licząc krople, które przelewały się w wodnej klepsydrze, modlili się do Najwyższego o sen. Kiedy zaś usnęli głęboko, pomiędzy gobelinów wychylały się łamie, lekko jak oddech pelzły w dół po słupach baldachimu, zawisały tuż nad poduszkami, aby łowić słowa szeptane przez gości i spijac z ich ust najskrytsze sny. Czasem za oknami dawał się słyszeć łopot skrzydeł, kiedy zapozniona graja powracała z wiadomościami do księżcego ptaszynca. Podczas pełni kamienne gargulce obracały się ze skrzypem w stronę księżyca i mruzczały ciche pieśni o pięknie ponadksiężycowego świata. Patrolujące mury stymfalidy przysiadły na blankach, ze zgrzytem ostrzyc metalowe pióra. Golemy człapały ciężko, roniąc ziarna piasku na marmurowych posadzkach.

Niekiedy zaś wśród tych wszystkich skrzypów i szelestów rozlegał się płacz dziecka.

\*\*\*

Izba. była ciasna, nie więcej niż cztery kroki wzdłuż każdej ściany. Dwa boki zamknięto kratami – jedna z nich wychodziła na korytarz, druga zaś na kruzganek jednego z wielu wewnętrznych dziedzińców. Obie też zostały zatrzasnięte naглуcho; Rocco przekrecił klucz, po czym odszedł, pogwizdując pod nosem ulubioną pieśń. Kiedy jego kroki przycichły w oddali, salamandra w jedynej latarence, która pozostawiono na korytarzu, wypuściła z nozdrzy klebek dymu i zwinęła się do snu. Golem z piaskowca zastygł na straży pod kratą, czujnie nasłuchując odgłosów ze środka. Płacz mu nie przeszkadzał, w przeciwieństwie do inkantacji wypowiedzianej wciąż od nowa, lecz nieodmiennie z błędną intonacją, złymi akcentami, niewłaściwą melodią. Gdyby potrafił, zasłoniłby uszy, udreczę zwichrowanym zaklęciem, ale ze służby mógł go zwolnić jedynie poprawnie wypowiedziany czar. Czekal, więc nieruchomo, lecz z nadzieją, bo jego kamienny umysł nie potrafił utrzymać w pamięci dziesiątek nocy, które spędził w tym samym miejscu, daremnie wyglądając uwolnienia.

Chłopiec skulił się przy murze. Dygotał, na próżno usiłując powstrzymać łkanie. Dawno już przestał błagać golema, aby go wypuścił. Monstrum miało wprawdzie dość siły, aby roztrzaskać kratę, ale nie słuchało nikogo, prócz swego stwórcy. Nie

bez przyczyny ojciec spomiedzy wszystkich potworow naznaczyl wlasnie owo bezmyslne, niestrudzone stworzenie, odporne zarowno na blagania, jak i grozby. Golem nie potrafil nawet pojac, ze uczyniono go wylacznie po to, aby sluzyl za straznika synowi wladcy, a jesli chlopiec poprawnie wypowie zaklecie, znikna cel i przyczyna istnienia potwora. Rocco byl ostrozny i nigdy nie wystawial swoich stworzen na pokuse. Monstrum rozsypie sie w pyl, a uwolniony demon odleci wysoko ponad gwiazdy i nikt nie bedzie probowal go zatrzymac. Niektore prawa sa niezmiennie. Po spelnieniu trzech zyczen powietrzny duch odchodzi wolno, bo zaden czarnoksiężnik nie moze ponownie spetac tego samego demona. Trzecim zyczeniem Rocca bylo nieodmiennie, aby odszedl spokojnie, nie mszczac sie i nie nekajac nikogo z domownikow.

Zlosliwi szeptali, ze owa zapobiegliwosc jest najwyrazniejszym znakiem upadku Brionii, bo w czasach dawnej potegi zaden demon nie zaatakowalby bezkarnie księcia-maga. Bylo w tym troche prawdy. Od smierci Severa przeminelo szesc pokolen. Jego potomkowie rozplenili sie bujnie i skoligacili z innymi rodami, ale zaden nie dorownal mezowi Arachne. Magia, ktora zalsnila jak blyskawica w Golfo delle Lacrime, zdawala sie stopniowo wygasac w krwi Principi dell'Arazzo i kazdy wladca byl slabszy od poprzedniego. Wciaz jednak panowali nad Brionia, a czego nie potrafili dokonac zakleciem, czynili sztyletem i trucizna. Rocco nie wyroznił sie w tym wzgledzie szczegolnym okrucienstwem, choc zamordowal brata, a po jego smierci zamknal wdowe z dziecmi w klasztorze, aby nigdy nie staneli mu na przeszkodzie.

Nie przewidzial wszakze, iz Diamante, jego wlasny syn, okaze sie glupcem, niezdolnym opanowac najprostszego z zaklec.

Sloma zaszlelescila i chlopiec skulil sie gwaltownie. Czasami ojciec odwiedzal go znienacka w srodku nocy. Stawal pod krata i niespostrzezony, przysluchiwal sie nieudolnym inkantacjom syna, poki wscieklosc nie opanowala go na nowo – wtedy smagal chlopca az do krwi albo okladal go piesciami. Tym razem jednak z resztek siennika wylonila sie niewielka szara mysz. Diamante cofnal sie odruchowo. Mysz wygladala zupełnie zwyczajnie -zabawnie poruszala wasami, a jej oczy polyskiwaly jak dwa czarne paciorki – ale Rocco urzadzil te komnate specjalnie dla syna i niczemu nie mozna bylo ufac. Kiedy chlopiec usypial wreszcie, zmeczony zakleciem i placzem, siennik potrafil zajac sie ogniem, a z sufitu opadaly parzace stonogi i przywieraly do jego karku. Kary zmienialy sie w nieskonczonosc, zawsze jednak byly pomyslowe i okrutne jak jego ojciec. Diamante najbardziej obawial sie twarzy w murze. Pojawialy sie znienacka, odwracaly ku niemu -opuchniete, wykrzywione cierpieniem – a kazda z nich mowila glosem ojca.

Ale teraz byla to naprawde jedynie mysz. Chwile przypatrywala sie chlopcu, az sploszona jego ruchem, pierzchla w ciemnosc. Diamante wytarl policzki rekawem, z trudem usilujac przypomniec sobie slowa zaklecia. Pamiec byla oporna, jak zwykle,

wiedział jednak, że nie opuści celi, poki nie wypowie poprawnie inkantacji. Nikt nie odważy się sprzeciwić woli księcia. Rocco postanowił uczynić ze swego syna potężnego czarnoksiężnika i opór głupców nie mógł go odwieść od tego zamiaru. Nawet, jeśli największym głupcem był jego syn.

Od strony golema coś zasnęło słabo. Diamante znów wciągnął głowę w ramiona i zacisnął powieki. Cios jednakowoż nie nadszedł. Kiedy odważył się spojrzeć, zobaczył smukłą kobietę w bładoniebieskiej sukni. Otworzył usta do krzyku, a ona uśmiechnęła się tylko, położyła palec na ustach i wyszeptała:

–Cyt.

Zaintrygowana dźwiękiem salamandra czknela przez sen, rozszarżając się nieznacznie. Kobieta pochyliła się lekko w przód, jej długie rude włosy opadły aż do ziemi, kiedy bezszelestnie wsunęła się do środka. Diamante przyglądał się temu ze zdumieniem. Był pewien, że nigdy wcześniej jej nie widział. W bladym świetle salamandry wydawała mu się piękna jak jedna z kurtyzan sprowadzanych dla księcia. Ale żadna z nich nie odważyłaby się w środku nocy wyjść na korytarz cytadeli Brionii.

–Kim jesteś? – zapytał trwożliwie.

Uśmiechnęła się znów, kucając na wprost chłopca.

–Obudził mnie twój płacz. Dlaczego nie spisz?

Diamante zawahał się: wciąż bał się, że nieznajoma jest kolejną pułapką.

–Ojciec mi zabronił.

–Dlaczego?

–Bo nie potrafię wypowiedzieć zaklecia.

Spochmurniała.

–W tym nie umiem ci pomóc – rzekła powoli. – Salamandra jednak wkrótce znów zapadnie w sen, więc mogę dotrzymać ci towarzystwa. Jeśli mi pozwolisz.

Zaniemówił ze zdumienia. Nikt wcześniej nie przemawiał do niego w ten sposób.

Kobieta musnęła palcami jego rude włosy.

–Jak masz na imię? – spytała.

–Diamante, syn Rocca di Brionia, niech Najwyższy nigdy nie odwróci od niego

**spojrzenia – wyrecytował.**

**Cofnęła się.**

**–Ach, tak – westchnęła. – A więc to, dlatego...**

**–Nie zostawiaj mnie! – Wyciągnął rękę, chcąc ją zatrzymać, bo ludzie często lekali się jego ojca. – Nie odchodź!**

**Znow się odsunęła, o włos mijając jego palce. Światelko salamandry zamierało z wolna, aż kobieta stała się tylko bladym cieniem na tle ciemności.**

**–Zostanę do świtu – powiedziała bardzo cicho – jeśli obiecasz, że nikomu o mnie nie opowiesz. W przeciwnym razie odejdziesz i nigdy nie powrócę.**

**–Obiecuję! – wyrzucił bez tchu, zachwycony, że odtąd będzie miał swoją własną tajemnicę, niedostępną dla ojca. – Jeśli spotkam cię na uczcie, nawet nie spojrzę w twoją stronę.**

**Rozesmiała się.**

**–Nie spotkasz mnie. Ale jeśli twój ojciec się dowie, zechce mnie pochwycić. Pamiętaj o tym. To ważniejsze niż wszelkie zaklęcia.**

**Z powagą skinął głową. Miał zaledwie jedenaste lat, lecz rozumiał bardzo dobrze, jak niebezpieczny jest książe-mag Brionii. A potem przypomniał sobie siostrę, obrzekniętą twarz matki, po tym jak osmieliła się sprzeciwić mężowi ten jeden jedyny raz i odepchnęła go od syna. Przelknął ślinę.**

**–Będzie lepiej, jeśli odejdziesz. Ojciec dowie się prędzej czy później, że złamałaś jego rozkaz i ukarze cię jak wszystkich innych.**

**Oczy kobiety błysnęły w ciemności.**

**–Nie obawiaj się. Dopóki mnie nie wydasz, nie znajdzie mnie.**

**–Nie ukryjesz się przed nim. Zna te cytadele jak nikt.**

**Usłyszał w jej głosie rozbawienie.**

**–Nie lepiej niż ja, jak sądzę.**

**–Jest potężnym czarnoksiężnikiem – odrzekł z urazą. – Niektórzy mówią, że dorównuje mocą samemu Severowi.**

**Nie wydawała się przestraszona.**

**–Doprawdy? Opowiedz mi o nim.**

**–Był młodszym z braci, ale pokonał mego stryja, aby zdobyć tron Brionii. Krew Principi dell'Arazzo nie ma sobie równych i cały Polwysep uznaje jego władzę.**

**–Principi dell'Arazzo?**

**Zdumiał się, jak mogła nie wiedzieć.**

**–Tak nas nazywają – wyjaśnił. – Kiedyś, dawno temu, Arachne utkala gobelin, a Severo wypełnił go straszliwymi demonami, aby strzegły jego synów i synów ich synów, aż po kres świata. Podobno zapisano w nim wszystkich z krwi Arachne i Severa i hierofanci potrafią odczytać z biegu nici losy przyszłych pokoleń. Ja jednak – wyznał szczerze – widzę tylko dużo kolorowych zwierząt. Ojciec mówi, że gryf i lwy są znakiem naszej odwagi, ale, po co są wydry, lasice i ropuchy?**

**Znow się zasmiała, miękko i pobłaźliwie. Przypomnił sobie, że podobny głos miała jego matka w tych rzadkich chwilach, kiedy zostawali sami. Nie zdarzało się to jednak od wielu miesięcy. Wciąż były nowe księgi do przeczytania, nowe zaklęcia i obliczenia -a także nowe kary.**

**–Kiedy była brzemienna z pierwszym ze swoich synów, Arachne miała sen – powiedziała. – Snilo się jej, że stała na skraju wielkiego morza. Nagle spomiędzy fal wyszła potężna bestia, smok o palającym oku i oddechu, który spopielał drzewa jak sosnowe igły. Tuż za nim z morza wylonili się cztery gryfy o purpurowo-złoty skrzydłach i rozerwały smoka. Zanim jednak wzbily się w powietrze, na brzeg wspieło się dziesięć olbrzymich lwów i w kilka chwil zagryzły gryfy. Zaraz potem z odmetu wynurzyły się dwadzieścia trzy dziki: ziemia trzęsła się od loskotu ich racic, kiedy runęły na lwy i pozabijały je kolejno. Ale za dzikami wybiegła z morza sfora wilków i było ich po trzykroć więcej, więc bez trudu pokonały dziki i pożarły ich mięso do najmniejszej drobiny. Znow przeszło kilka chwil i morze wypchnęło na brzeg wielkie mrowie dzikich lisów; rzuciły się na wilki i nie przestawały gryźć i szarpać, póki nie wyniszczyły ich do ostatniego. Nie zdążyły się nacieszyć zwycięstwem, bo morze zafalowało, wyrzucając na brzeg mrowie pomniejszych bestii, lasic, rosomaków, kun, tchorzy, borsuków i wydr, które rozbiegły się po całej plaży i wymordowały lisy. Jeszcze krew nie obeschła na piasku, a morze wypłulo lawicę ropuch strzykających jadem, pajaków i stonog o parzającej skorze...**

**–I one właśnie pokonały lasice – dokończył sennie chłopiec. – A co było później?**

**Kobieta musnęła dłonią jego czoło. Dotyk był lekki jak pajeczyna i chłodny.**

**–Nic – odparła cicho. – Nic więcej nie było. Spij teraz, kochanie, spij...**

Diamante obudzil sie w pustej izbie skostnialy z zimna i glodny. Poranne promienie slonca oswietlaly nieruchoma twarz golema, lecz nigdzie nie dostrzegl sladu kobiety, ktora przyszla do niego noca. A kiedy kara dobiegla kresu i ojciec przyszedl go uwolnic, wlasciwie nie byl juz nawet pewien, czy nie wysnil jej sobie ze strachu i zmeczenia. Przez nastepne dni krazyl po cytadeli, wygladajac jej wsrod kochanek ojca i malzonek magow, ktorzy przybywali na dwor w odwiedziny. Nie sadzil jednak, ze ja odnajdzie. Nie przypominala zadnej z nich.

Jego niecierpliwosc z kazdym dniem narastala, wiec zapuszczal sie coraz glebiej w korytarze. Byl zbyt zafrapowany, by podczas lekcji uwaznie sluchac slow hierofanty, lecz na szczescie Rocco nie zwracal na niego nadmiernej uwagi. Na dwor przybyl kuzyn Adalgisy, pan Orvieto, skad przed szescioma laty, po jej smierci, przepedzono garnizon Brionii. Ksiaze-mag podejmowal go laskawie i w wiekowej cytadeli nastal czas zabaw, wystawnych uczt i turniejow. Poselstwo mialo podpisac rozejm, a takze wiele pomniejszych traktatow, regulacje cel, zwrot zagrabionych statkow, odszkodowania za wymordowanych zolnierzy. Rocco jednak z dnia na dzien odwlekal rokowania, zupełnie jakby pragnal jedynie olsnic bogactwem poludniowego ksiecia i jego jasnowlosa, brzemienna malzonke. Az wreszcie pewnego dnia, kiedy wyruszali z cytadeli na polowanie z sokolami, Testa di Cavallo przebudzila sie w Porta dei Leoni i oznaczyla plaszcz pana Orvieto trzema kroplami krwi.

Zolnierze Rocca rozniesli go na mieczach w chwile pozniej. Jego okrwawiona glowe rzucono na podolek jasnowlosej ksieznie. Jeszcze tego samego dnia poronila, a ja sama, w poszarpanej sukni i z rozpuszczonymi wlosami, ksiaze-mag kazal wypedzic z miasta jak zebraczke. Ale byl to jedynie spektakl dla mieszkancow Brionii, wojne, bowiem rozstrzygniето daleko na poludniu:, podczas gdy wladca Orvieto ucztowal w cytadeli, okrety Rocca podplywaly chylkiem pod mury jego miasta.

–W ten sposob, wiec Rocco pokonuje wrogow – rzekla powoli rudowlosa kobieta, kiedy Diamante opowiedzial jej o wszystkim.

Ojciec znow wymierzyl mu kare, ale tym razem chlopiec przyjal ja nieomal radosnie. Nade wszystko chcial spotkac nieznajoma i nie przerazaly go nawet czary ojca.

–Ksiaze Orvieto chcial go zabic – odparl niepewnie, bo wydawalo mu sie, ze slyczy w jej glosie przygane. – Byl przeciez znak. Testa di Cavallo uronila trzy krople krwi.

Rudowlosa kobieta stala tuz przy kracie, oparta o sciane. Jej jasna suknia lekko polyskiwala w ciemnosci.

–Wiesz, skad w Porta dei Leoni wziala sie Testa di Cavallo? – spytala.

Chlopiec skinal glowa.

–Severo ja uczynil z konskiej skory, mosiadzu i zywego srebra, aby po kres czasow

**chronila ksiazeta-magow Brionii i przestrzegala ich przed smiertelnym niebezpieczenstwem.**

**–Nie – odparla. – Zrobili ja magowie z Centocchio, kiedy ksiaze Brionii wyprawil sie w ujscie Fiume Bianco i podbijal kolejno ich miasta, az wreszcie zostalo tylko najpoteczniejsze z nich, Isl, wzniesione na skale daleko w morzu i waska grobla polaczone z suchym ladem. Wtedy czarnoksiężnicy wiedzieli juz, ze ostatnie z wolnych ksiestw Polwyspu gasnie bezpowrotnie, a zaden z nich nie ma dosc mocy, aby pokonac Severa. Postanowili jednak stworzyc dzieło, ktore pozostanie, kiedy ich juz zabraknie, i zachwyci nawet ich największego wroga. Zrobili rzecz niespotykana, gdyz czarnoksiężnicy nie slyna z ufnosci: polaczyli sily, aby zwabic demona, ktorego nigdy wczesniej nie ogladano w podksiezycowym swiecie, i zamknac go w ksztalt rumaka w kolorze srebra i zlota. Po siedmiu latach oblezenia armia Severa zlamala wreszcie opor i weszla do miasta. Rzezi nie bylo konca, bo obroncy, nie liczac juz na litosc, walczyli o kazdy budynek, kazdy plac i kawalek muru. Najdluzej bronila sie katedra nad samym brzegiem morza. Kiedy w koncu wylamano wrota, ze srodka wypadl rumak – byl wysoki jak kolumny podtrzymujace portyk swiatyni, a od uderzen jego kopyt pekaly glazy. Zanim ktokolwiek ocenil niebezpieczenstwo, stratowal cale setki zolnierzy i parl naprzod, szukajac samego Severa.**

**–Ale nie pokonal go! – wykrzyknal chlopiec, pochloniety tokiem opowiesci.**

**–Nie, nie pokonal – uslyszal w jej glosie usmiech. – Severo okielznel go, acz nie bez trudu, i na jego grzbiecie ruszyl na spotkanie magow. Niestety, kiedy dotarl do swiatyni, wszyscy juz nie zyli: przelali wiele krwi, aby na zawsze zwiazac demona w ksztalt zwierzecia.**

**–Chcial darowac im zycie? – spytal z niedowierzaniem Diamante. – Przeciez probowali go zabic.**

**–Cenil piekno, nawet smiercionosne, a ow wierzchowiec byl jednym z największych cudow, jakie ogladal. Za kazdym razem, kiedy dosiadal rumaka, ten probowal go usmiERCIC, takie, bowiem bylo zyczenie czarnoksiężników i cel jego istnienia. Severo nie mogl jednak pozwolic, aby tak niebezpieczna rzecz wpadla w obce rece, wiec zanim wyruszył do Golfo delle Lacrime na spotkanie Arimaspi, odcial mieczem glowe konia i przymocowal ja nad wejsciem do Porta dei Leoni. Nikt nie rozumial, po co to uczynil. Jedynie najstarszemu synowi zdradzil, ze odtad Testa di Cavallo bedzie strzegla dzieci zrodzonych z krwi jego i Arachne, a jesli stanie pod nia ktos, kto zechce nastawac na ich zycie, z glowy bestii wyciekna trzy krople krwi.**

**–I wlasnie tak sie stalo, kiedy ksiaze Orvieto z orszakiem przejezdziel przez brame.**

**–Byc moze – odparla z namyslem. – Jednak... Nie tylko twoj ojciec wie dzie swoj rod od Severa i Arachne. Jedna z ich wnuczek poslubila księcia Orvieto i krew ksiazat**



**Brionii plynie takze w ich rodzie.**

**–Co z...? – urwal, pojmujac, co naprawde wynika z jej slow. – Ojciec nie moglby...**

**Kobieta potrzasnela glowa.**

**–Magia nie jest sprawa latwa ani nieskomplikowana. Wiem tylko, ze dwoch ksiazat z rodu Severa stanelo pod Testa di Cavallo i ktorys z nich uknul spisek przeciwko drugiemu. Demon zrobil to, do czego do stworzono. Ostrzegl o niebezpieczenstwie.**

**Diamante zamilkl, rozmyslajac nad opowiescia. Nie radzil sobie zbyt dobrze z zaklecia, ale jak kazde dziecko w rodzie magow znal prawa rządzace magia – spetany demon spelni zaledwie trzy zyczenia wykraczajace poza nature rzeczy, w ktora go zmieniono, jedynie smierc maga wyzwala demona, jesli czarnoksiężnik nie uzyl wlasnej krwi, aby na dobre utrwalic zaklecie.**

**–Jak to mozliwe – zapytal, tlumiac ziewniecie – ze Severo zdolal zmienic zaklecie magow z Centocchio, skoro posluzyli sie wlasna krwia, aby stworzyc rumaka?**

**–Zauwazyles – pochwalila go. – Wierzchowca stworzono, aby zabil Severa. Po smierci maga ustal cel i sens istnienia rumaka, wiec rozpadlby sie bez sladu, pozwalajac demonowi odleciec ponad ksiezyc. Severo wszakze uczynil cos, czego nie probowal nikt wczesniej. Dolaczyl wlasne zaklecie do poprzedniego, wplotl je lekko jak wstazke w konska grzywe. Poki mag zyl, nie mialo to zadnego znaczenia. W tej samej chwili, kiedy umarl i demon odzyskal swobode, zaklecie zacisnelo sie wokol niego niczym jedwabna wstazka, petajac go na nowo. Ani wczesniej, ani pozniej nikt nie dokonat podobnej sztuki.**

**–Ale mnie sie uda – wyszeptal w polsnie chlopiec. – Kiedy dorosne, zadziwie was cudami, jakich jeszcze nie ogladaliscie...**

**Historyk powiada, ze Arachne, umilowana malzonka Severa, byla niewiasta wielkich przymiotow, wprawna w rozlicznych kunsztach, przynaleznych jej z racji pozycji i urodzenia. Szczegolnie wszakze slynela jako hafciarka i gobeliniarka, tworczyni dzieł niezwyklej urody. Przez dlugie lata pracowala w skupieniu, czyniac rzeczy rzadkie, niepodobne do zadnych innych. Spomiedzy owych cudow jeden gobelin byl szczegolny i najdoskonalszy w swoim pieknie. Arachne podarowala go najstarszemu ze swoich synow w ten sam dzien, kiedy wraz z mezem wyruszyła na spotkanie Arimaspi. Kazala zawinac gobelin w plotno i schowala go w skrzyni, te zas zniesiono do nieprzemierzonych lochow pod brionska cytadela i ukryto w miejscu, ktore Arachne wyjawila jedynie pierworodnemu. Wowczas tez przykazala mu, aby strzegł tego gobelinu niczym zrenicy oka, w nim, bowiem zapisana jest chwala i zaglada wszystkich, ktorzy narodzili sie juz i jeszcze sie narodzi w podksiezycowym swiecie z krwi Arachne i Severa.**

**Jak powszechnie wiadomo, oboje zgineli na brzegu morza, w Zatoce Lez, ktorej wody staly sie tamtego dnia czerwone od krwi barbarzyncow. Syn i nastepca ksiecia usluchal ostrzezen matki i poki byl, gobelin pozostawal w ukryciu, pochowany gleboko w skalnych korytarzach pod twierdza. Jego nastepca wszelako drwil ze starych lekow i ufny w potege swojej magii, a takze moc oreza Brionii, przykazal wydobyć cenna opone z lochow i przyozdobic nia sciane sali poselstw ku wiekszej wspanialosci swego dworu. Rychlo wieśc o dziwie rozeszła sie szeroko po Polwyspie i gobelin stal sie jednym z najbardziej pozadanych cudow Brionii. Podziwiano niezwykla zrecznosc gobeliniarki, wiernosc ksztaltow i doskonalosc barw, ktore sprawialy, ze zwierzeta z kobierca zdawaly sie poruszac jak zywe przed oczyma patrzacych. Jednakowoz prawdziwa wartosc gobelinu -przepowiednia o przyszlosci rodu Severa – pozostawala utajona i zaden wroz ani hierofanta nie potrafil jej odgadnac.**

**Stad tez potomkow Severa i Arachne zaczeto pospolicie nazywac Principi dell'Arazzo, Ksiazetami Gobelinu.**

**Niektorzy jednak twierdzili, choc nikt nie osmielil sie rzec tego glosno w obecności ksiazat Brionii, ze kiedy pierwszy raz spojrzala w twarze swoich synow, Arachne dostrzegla w ich oczach pietno demonow, slad po zakazanych praktykach ich ojca. Przewidziala tez, ze pewnego dnia demony zapanuja nad nimi, co naznaczy kres rodu ksiazat-magow Brionii. Aby zapobiec ich zagladzie, dopuscila sie zbrodni, ktora w innych czasach ukarano by kamienowaniem. Siegnela po zakazana wiedze czarodziejow, aby okielznac demony i cienkimi nicmi zwiazac je w formie gobelinu.**

**Omylila sie jednak, jako ze przeklete nasienie demonow, synow uludy i opetania, nie daje sie poskromic ludzkim palcom.**

**Nie docenila rowniez pychy swoich potomkow, ktorzy z wlasnej woli sprowadzili na siebie zaglade.**

**Mrok zgestnial i spomiedzy ruin podniosly sie ciemne ksztalty. Skryba ciasniej otulil sie oponcza i nasunal na czolo szpiczasty kaptur. Szedl szybko, nie rozgladajac sie po bokach, aby jego wzrok nie napotkal przypadkiem jednego z przekletych monstrow, wypaczonych pozostalosci po sztuce czarodziejow. Nawet teraz, pomimo wszelkich staran mnichow, Brionia nie byla bezpiecznym miejscem. Wsrod zgliszczy chimery legly sie jak kocieta – kiedy szedl w ciemnosci wsrod niepojetych szmerow i szelestow, mial wrazenie, ze ocieraja mu sie wlochacymi grzbietami o lydki – graje podrzucaly swe plugawe jaja do klasztornych kurnikow, a po nocach harpie nawolywaly sie ochryplymi glosami znad ruin cytadeli. Principi dell'Arazzo, choc martwi od wielu lat, odcisneli swoj slad w kazdej poczernialej cegle i kazdym nadkruszonym kamieniu tego miejsca.**

**W dawnych kronikach zapisano, ze kiedy zachodzace slonce padalo na rozowe**

**kopuly Brionii i cyklopowe mury, których nie wzniosła ludzka reka, było to najpiękniejsze spośród miast stworzonych z magii i marzeń czarnoksiężników.**

**Skryba prychnął z pogardą. Cała moc i wszelkie skarby nie ustrzegły czarodziejów przed zagładą, kiedy wreszcie nadszedł dzień odpłaty za ich zbrodnie.**

**Spomiędzy tych, którzy tamtego dnia byli w cytadeli, ocalała jedynie dziewczynka, niegdyś oblubienica ostatniego z Principi dell'Arazzo, obecnie zaś opatka najslawniejszego z klasztorów szarych mniszek. Luana di Brionia, ostatnia, która miała prawo do tego imienia. Skryba wyczuwał wyraźnie, że w klasztorze skrycie napawano się jej niezwykłym pochodzeniem, choć w żyłach Luany płynęła przecież skazona krew magów, a oczy, wypelzłe teraz i spłowiałe od wieku, wciąż zachowały cień dawnego błękitu. Spędziwszy kilka tygodni w przekletem miejscu, uznał, że nie bez powodu bracia z Costa dei Gabbiani powatpiwali w prawowierność brionskiego opactwa. Owszem, przestrzegano tutaj zaleceń nowej reguły, ale skrybie nie raz i nie dwa zdarzyło się podsłuchać, jak mniszki nad miskami z soczewicą i grochem opowiadają sobie szeptem o minionej wspaniałości miasta, o kościołach, których sklepienia podtrzymywały niegdyś skrzydła Serafów, dzwonach, w których sercach mieszkały zaklęte keruby o głosach potężnych jak spizowe trąby i słodkich jak miód, o atlantach, co wspierali portyki świątyni, i żywych pnączach oplatających trzony kolumn.**

**W jego rodzinnym klasztorze nic podobnego nie mogłoby się zdarzyć. Sama myśl o tym, że demony miałyby służyć za podpórę świętych murów napelniała skrybę dogłębną odrazą, choć wiedział, że nic takiego już się nie może przytrafić. Mniści z Costa dei Gabbiani wiele lat wcześniej odkryli, że należy zakreslić świętymi olejami okrag tam, gdzie w przyszłości miał powstać przybytek Najwyższego. Ograniczając tę drobną cząstkę świata, wydzielali ją zarazem spod zgubnej władzy demonów, które odtąd nie miały przystępu do świętego miejsca – jeśli by któryś z nich spróbował przekroczyć okrag, jego materialne ciało i sama esencja, zakorzeniona głęboko w ponadświecowym świecie, stawała w płomieniu nie do ugaszenia. Podobnie zresztą działo się z potomstwem demonów, tymi wszystkimi monstrami, pokracznymi krzyżówkami człowieka i złego ducha. Jeśli nie naznaczono ich znamieniem demona, głowa psa albo uszami, które ciągnęły się aż do ziemi, mogły żyć spokojnie pomiędzy ludźmi, całymi latami nieodkryte, z jednym wszelako wyjątkiem: żaden z nich nie mógł postawić stopy na poświęconym gruncie.**

**Plotka głosiła, że właśnie dlatego Servio, przedostatni książe-mag Brionii i ojciec Luany, zgodził się, aby nową katedrę wzniesiono wedle rytuału mnichów z Costa dei Gabbiani. Nigdy nie krył się z pogardą dla brodatych, bosonogich misjonarzy, co przedkładali jalmuzne wiesniaków nad przepych książecego dworu, otaczali go, bowiem mniści starej reguły, spadkobiercy najdawniejszych zgromadzeń Polwyspu. Skoro jednak mógł pognebić tych, którzy upatrywali w nim potomka demona, nie bez satysfakcji skorzystał z okazji i kazał nakreslić świętym olejem okrag, choć**

**patriarcha mocno krzywił się na podobne zabobony.**

**Kiedy katedre wzniesiono – a zajęło to wiele czasu, jako że zaden demon nie mógł być zaprzegniety do pracy przy jej budowie -książę nie opuścił ani jednej mszy w swej nowej świątyni. Rozpierał się tuż przed ołtarzem na tronie o podłokietnikach rzezbionych w kształt lwów, z upodobaniem zmuszając posłów innych księstw do uczestniczenia w wielogodzinnych modłach. Jego najmłodsza córka, jasnowłosa dziewczuszka o imieniu Luana, długo miała wspominać chłopców w bładozłoty szatach – ich śpiew zdawał się ulatywać prosto do nieba – won kadzidła i migotliwe płomienie świec, które ugiwały się płynnie pod jej oddechem.**

**Jednakże pobożność nie ocaliła księcia, kiedy jego młodszy brat Rocco pchnął go sztyłem w kruzganku świątyni.**

**Skryba zastanawiał się, czy córka Servia zapamiętała cokolwiek z tamtych czasów, gdy wraz z matką i braćmi zamknięto ją w klasztorze szarych mniszek. Przeorysza była tam ciotką obu książąt i rychło miało wyjść na jaw, że hojne nadania Rocca nie pozostały bez odpłaty. Obaj synowie zabitego księcia dziwnym trafem nie doczekali wiosny. Wiedli powoli, dreczeni uporczywym kaszlem i nawrotami gorączki. Ich matka, Adalgisa, wkrótce podążyła za nimi, przeklinając Rocca i przysięgając, że nawet po zgonie nie odejdzie i w podkieszycowym świecie będzie czekać, póki Najwyższy nie zesle na bratobójce kary za jego niezliczone zbrodnie. Jednak żadne klątwy nie odstraszyły śmierci i z całej rodziny pozostała jedynie Luana o oczach ciemnobłękitnych jak dwa górskie stawy. Zanim zakwitły białe róże w ogrodach Palazzo Ducale, ogłoszono ją narzeczoną dziedziczką Rocca.**

**Na dworach Polwyspu mówiono z przekasem, że książę-mag nie mógł pozostawić bratanicy odłogiem, podobnie jak nie porzuciłby na zmarnowanie winnicy, która rodzi grona słodsze od innych, ani oliwnego sadu obsypanego owocem. Z każdym pokoleniem magia w żyłach potomków Severa i Arachne ulegała rozrzedzeniu, a sam Rocco nie wyróżniał się sztuką spomiędzy innych czarodziejów. Nic, więc dziwnego, że pragnął, aby chociaż w jego wnuku odrodziła się dawna wspaniałość Brionii.**

**Jednak owo zamierzone kazirodztwo, choć odrażające ponad wszelkie wyobrażenie i gorsze niż inne zbrodnie Rocca, okazało się w istocie zbawienne, doprowadziło, bowiem do ostatecznej zagłady domu książąt Brionii.**

**\*\*\***

**Dni płynęły jeden po drugim, a Diamante wciąż na darmo usiłował odnaleźć rudowłosą kobietę, która odwiedzała go w środku nocy. Czasami wydawało mu się, że widzi ją w ocienionej nawie katedry albo w mroku kruzganku, kiedy dowódca straży, obchodzący o zmierzchu cytadela, powracał do Rocca z kluczami do**

wszystkich bram twierdzy. Widział jej oczy w twarzach zon i corek magow, które przybyły na doroczne obchody zwycięstwa w Golfo delle Lacrime, w łagodnym pochyleniu głowy swojej matki, w lekliwym gescie, jakim zbierała płaszcz nowa kurtyzana, kiedy sprowadzano ją z miasta przed oblicze księcia.

Z początku obawiał się ojca, ale nieoczekiwanie Rocco nie miał mu za złe zakradania się do kobiecej części cytadeli. Kiedy żołnierze przyprowadzili mu syna przydybanego przez pokojowki księżnej Orgentu w jej prywatnych komnatach, wybuchł jedynie tubalnym śmiechem, który niosł się rozgłosnie po l'Azzurro, Lazurze, najpiękniejszej z sal cytadeli, poki wreszcie nie zamarł pomiędzy kamiennymi gryfami, podtrzymującymi kapitele kolumn.

–Dobrze! – huknął, a kariatydy, przestraszone, wtuliły głowy w ramiona. – Przed jesienią wyprawimy w cytadeli weselisko. A wcześniej – zawiesił znacząco głos – wybierzemy się razem do miasta, jak syn z ojcem powinien, żebyś się, chłopcze, napatrzył na piękność kobiet i oswoił z ich czarem. Nie przystoi, aby syn księcia-maga Brionii wycierał katy w alkowie tłustej księżnej Orgentu.

Diamante sciągnął wargi, nie osmieliwszy się odezwać. Wiedział, że przeznaczono mu kuzynkę, bladłose stworzenie, które czasami z rozkazu ojca strażnicy sprowadzali na ucztę z klasztoru o dwa dni drogi na południe od Brionii. Procz kilku słów tamtego dnia, gdy nakazano im wymienić pierścionki, nie rozmawiali ze sobą ani razu i letnie wesele jawiło mu się jak jakiś odległy sen, który wcale nie musi się spełnić. Na razie pragnął jedynie poznać tajemnice rudłosej kobiety, przeczuwał jednak, że w żadnym razie nie powinien się z tym zdradzić przed ojcem.

Rocco szturchnął go jeszcze pobłaźliwie w plecy i kazał wyprowadzić. Zaprzętały go przygotowania do obchodów rocznicy zwycięstwa nad Arimaspi i przedko zapomniał o drobnej przewinie syna. Nie przebaczył mu jednak lenistwa w nauce zaklęć i w kilka dni po odjeździe gości przybyłych na uroczystość Diamante znów wepchnięto na noc do izby kar.

–Długo cie nie było.

Chłopiec poderwał głowę, obudzony gwałtownie.

–Mielismy święto – usprawiedliwił się, tracąc oczy, wciąż piekące od snu. – Z całego Polwyspu zjechali księżta i magowie, aby pokłonic się przed grobem Severa.

Musiał długo spać, bo powietrze wyziebło i zamarło już granie cykad w palacowych ogrodach. Nieznajoma stała w kacie izby. Jej bladoniebieska suknia nikła w mroku, a włosy wyglądały jak smuga popiołu.

–Niepotrzebnie – powiedziała bardzo cicho. – Ich tam nie ma. Żadnego z nich.

**Nie zrozumiał.**

**–Kogo?**

**–Arachne i Severa. Nigdy nie odnaleziono ich ciał. Powinienes o tym wiedziec.**

**–Ale przeciez... – zaprotestował, bo niejeden raz widzial miejsce na dziedzincu przed katedra, gdzie pochowano maga wraz z jego ukochana malzonka, zlamawszy zarazem niejeden z ksiazeczych i koscielnych zakazow, nie bylo bowiem zwyczaju, aby magow grzebac w poswieconej ziemi ani tym bardziej u boku kobiety.**

**Ten jeden raz patriarcha Brionii postanowil sie ugiac przed wladza ksiecia-maga, ktory, oszalaly z rozpaczy po stracie obojga rodzicow, domagal sie, aby ojca pochowano u wejścia do katedry, ktora sam wystawil ku wiekszej chwale miasta i Najwyzszego. Czas nie sprzyjal jalowym targom, bo magowie i hierofanci, ktorzy powrocili calo z Golfo delle Lacrime, szeroko rozniesli wiedze, czego naprawde dokonat wladca Brionii i do czego szykowal sie przez cale zycie. Zreszta ludzie nie potrzebowali napomnien. Nawet w odleglych wioskach morze jeszcze przez wiele dni rzucalo rybakom pod nogi martwe ciala Arimaspi z grymasem przerazenia zastyglym na twarzach. Na dlugi czas ucichly wszelkie pogloski o zbrodniach Severa i nawet w Centocchio, gdzie kazdej wiosny rebelianci roili sie jak dzikie pszczoły, zapanowal krotkotrwaly pokoj. Stare spory nagle stracily znaczenie i caly Polwysep zastygl nieruchomo, w zdumieniu kontemplujac wlasne ocalenie.**

**Cialo Severa wydobyto z dna urwiska i w wielkim pochodzie odprowadzono do Brionii. Zalobnicy zatrzymywali sie w kazdej wsi i w kazdym miasteczku, a ludzie wedrowali z najdalszych stron, aby poklonic sie przed swym wybawca i pozegnac go na ostatniej drodze. Dlatego patriarcha Brionii nie mogl doprawdy odmowic prosbie ksiecia i Severa pochowano tuz przed portykiem katedry w grobowcu z bialego marmuru, posrod nimf, niobe i cyklopow oplakujacych jego odejscie. Pierworodny ksiecia wlasnorecznie przygotowal mauzoleum, a kazda rzezba byla w istocie demonem uwiezionym w kamieniu i zaklętym w ludzkim ksztalcie: z ich oczu nieustannie plynely lzy, o zmierzchu zas zawodzily w zalobnym lamencie.**

**Grobowiec Severa nazwano pozniej jednym z siedmiu cudow Polwyspu, choc zlosliwi mowili, ze jego stworzenie wyczerpalo i tak poslednia moc najstarszego z synow ksiecia, ktory wkrótce potem zmarl bezpotomnie, powierzyszy w ostatniej woli tron bratu. Mauzoleum zas splonelo w wielkim pozarze wraz z innymi wspanialosciami katedry. Ale posagi przetrwaly, ozywione moca uwiezionych w kamieniu demonow. Poczerniale od sadzy i nadpalone, nadal plakaly nad smiercia Severa, lecz ich glosy zmienily sie w przerazajace jeki, ktorych nie mogl zniesc zaden czlowiek. W koncu zniesiono je w czelusci pod cytadela i pokryto gruzowiskiem w najdalszym lochu. Czasami w srodku nocy w niskich korytarzach dawalo sie wychwycic dalekie echo ich szlochow.**

Arachne pogrzebano nieopodal meza, tuż przy murze świątyni, co było i tak zaszczytniejsze od zwykłego losu małżonek magów, szczególnie pomawianych o czary. Patriarcha niechętnie przychylił się do prośb księcia i w tym względzie, nalegał jednak, aby księżne pochowano cichaczem i w nieoznaczonym grobie. Nie zdało się to jednak na wiele. W siedem dni po pochówku ze świeżej jeszcze mogiły wyrósł krzak glogu o długich, giętkich pedach, które popęzły wzdłuż muru katedry aż na dziedzińiec, gdzie owinęły się ciasno wokół konnego posągu Severa, wienieczonego mauzoleum. Dziwowano się wielce temu zdarzeniu, ale patriarcha rozkazał ścinać krzew i rzucić jego gałęzie w ogień. W siedem dni później wyrósł na nowo i znowu przemierzył całą drogę do posągu księcia. Tym razem wykarczowano go wraz z korzeniami. Na darmo. Wreszcie stało się jasne, że ci, którzy byli złączeni za życia, pragną pozostać razem także po śmierci i książę-mag Brionii nakazał, aby Arachne spoczęła u boku swego małżonka, a patriarcha, chcąc nie chcąc, spełnił jego życzenie. Nie było w tym żadnej tajemnicy, choć obecny grobowiec księżnej pary nie dorównywał wspaniałości dawnego mauzoleum.

–Widziałeś groby – powiedziała powoli rudowłosa kobieta – w których nic nie ma. W Golfo delle Lacrime nie znaleziono ich ciał, wszystko pochłonęło morze. Ale ludzie potrzebują legend, więc pozwolono wam wierzyć, że jest inaczej.

Diamante chwilę zastanawiał się nad jej słowami. Przywykł do oszustw – dwór księcia-maga Brionii nawet dla dziecka nie był nieskomplikowanym miejscem. Nie przypuszczał jednak, że można kłamać w podobnej sprawie.

–Nie pochowano ich w Brionii? – upewnił się jeszcze.

–Ani w żadnym innym miejscu na Polwyspie.

–Przeżyli, więc? – zapytał, tknięty nagłym pragnieniem, aby ta baśń o magu, który samotnie stawiał czoło nieprzebranej armii i jego ukochanej, która nie chciała go odstąpić w godzinie śmierci, jedna z najpiękniejszych baśni, jakie znał, miała dobre zakończenie.

Rudowłosa kobieta lekko skłoniła głowę.

–Nie, kochanie. Umarli oboje, choć nie z ręki Arimaspi.

–Opowiesz mi?

Nawet, jeśli opowieść nie miała być prawdziwa, chciał zatrzymać kobietę przy sobie, póki jej słowa nie ukolyszą go do snu.

–To smutna historia – odparła z wahaniem. – Jesteś za mały, aby ci się spodobała.

Urazony, wyprostował się sztywno na sienniku.

**–Jestem synem księcia-maga Brionii – rzekł szorstko. – Mam jedenaste lat i jesienią poślubię kobietę, a rzeczy, o których mówisz, są moim dziedzictwem. Rozkazuje ci mówić.**

**Uśmiechnęła się. Rozbawienie mieszało się na jej twarzy z zalem.**

**–Jak chcesz, skarbie. Nikt nie jest zbyt młody na smutek.**

**Jednak milczała jeszcze długo, zanim odezwała się znowu.**

**–Kiedy wszyscy odeszli – jej głos był cichy jak tchnienie – kiedy nie pozostało już nic prócz żagli Arimaspi na morzu przed nimi, szkarłatnych jak zachodzące słońce i licznych jak krople wody w morzu, Severo po prostu stał i patrzył bez słowa. To było jego marzenie, sen, który od dawna zwidywał mu się pośrodku nocy. I teraz, kiedy wreszcie miał go przed sobą na jawie, nie potrzebował żadnych ksiąg inkantacji ani spisów demonów. Wszystko było jasne i oczywiste, aż wreszcie pierwszy z okrętów wpłynął do zatoki...**

**Chłopiec bezwiednie zatrzymał oddech. Tej części opowieści nigdy przedtem nie słyszał, bo też nikt nie wiedział, co naprawdę wydarzyło się w Golfo delle Lacrime po tym, jak Severo odesłał innych magów.**

**–Nigdy wcześniej na Polwyspie nie oglądano podobnej flotyli. Wydawało się, że morze pokryły setki purpurowych klonowych liści. Przodem płynęły małe, zwiadowcze okręty – ich kapitanowie nie mieli argusów ani wszyskowidzących eosów o różowych palcach, więc zeglowali ostrożnie, zewsząd wyglądając niebezpieczeństwa, wiele, bowiem słyszeli o podstępach czarodziejów. Ale skoro zbliżyli się dostatecznie i spostrzegli, że czeka na nich jedynie dwoje ludzi, mężczyzna w płaszczu błękitnym jak morze i kobieta z rozpuszczonymi włosami, ich niepokój przygasł. Być może rozpoznali na opanczy barwę czarodziejów - ultramaryne, której wyrobem trudni się tylko jeden rod farbiarzy na Polwyspie i przekazują sobie tajemnice z ojca na syna. Uznali mimo to, że jeden człowiek, choćby najbardziej potężny, nie powstrzyma armady. A może oczekiwali starcia wielkich armii, setek żołnierzy, obozujących na wybrzeżu, i demonów przyczajonych za każdą skalą. Ponieważ ich nie dostrzegli, pomyśleli, że to tylko pan najbliższego zameczku przybył, bezbronny, układać się z nimi o ocalenie. Jakiegokolwiek jeszcze snuliby przypuszczenia, dość, że dali znak dymny, aby okręty śmiało wchodziły do zatoki.**

**–Skąd wiesz? – spytał, bo nagle wydało mu się podejrzanym, że mówi z taką łatwością o rzeczach zakrytych dla innych.**

**Kobieta położyła palec na ustach.**

**–Cyt – powiedziała. – Sam pragnęłaś opowieści, więc pozwól teraz wybrzmieć jej do końca. Wejścia do zatoki strzegły dwie skały, nazywane Prefiche, Placzkami – jeśli**



spojrzales na nie z glebi ladu, przypominaly stare kobiety pochylone nad woda w zalobnym lamencie. Okrety Arimaspi przesuwały sie powoli pomiedzy ich zgarbionymi korpusami, a kiedy minal je ostatni z nich, Severo uniosl ramiona i rozpoczel inkantacje, w jednej chwili opasujac zatoke murem z pyłu, wodnej piany i wichru, aby nikt nie zdołal sie wydostac na zewnatrz bez jego zgody. Potem zas...

Przechylila glowe i Diamante zobaczyl w jej oczach odbicie ognia, choc salamandra drzemala przeciez w swojej lampie.

–Sa takie wichry – podjela szeptem – ktore wybrzuszaja zagle okretow i spopielaja je w jednej chwili. Sa podwodne skaly, ktore z rykiem unosza sie ku powierzchni i rozrywaja kadluby niczym dziecięce lodki z kory. Sa trytony uzbrojone w trojzeby o dlugim drzewcu, aby dobijac marynarzy, co wypadli za burte, i harpie, ktore wyszarpuja oczy sternikow, i stymfalidy roniace nad pokladem stalowe piora. Polwysep kryje nieprzebrane mrowie potworow, a wiele z nich przybylo tamtego dnia do Golfo delle Lacrime, poslusznych wezwaniu swego stworca. Jednak nie zatrzymaly Arimaspi, a wtedy Severo przywolal demony. Spadaly ze swistem z niebosklonu jak kule z ognia i siarki, az wreszcie nie mozna bylo odroznic wody od plomieni i dymu. Lecz z pokladow okretow podniosl sie oblok mlecznej mgly i pary i Severo zrozumial, ze nie tylko z ludzmi przyjdzie mu stoczyc walke.

–Niemozliwe! – wykrzyknal chlopiec. – Przeciez Arimaspi zabijaja czcicieli demonow!

–Byc moze – zgodzila sie. – Jednak musieli oszczedzic, choc jednego, poniewaz w olinowaniu okretow, w deskach kadlubow i plotnie zagli, ukryto cala armie maridow i ifrytow, geniuszy powietrza, ktorzy teraz powstali, aby bronie swych panow. Severo uwalnial kolejno swoje demony, siegajac po coraz potezniejszych kerubow i serafow. Tamtych wszakze bylo bardzo wielu i coraz bardziej zblizali sie do brzegu, mag tymczasem slabl z kazdym wypowiedzianym zakleciem i kazdym demonem, ktory, uwolniony po spelnieniu jego zyczen, unosil sie ponad ksiezyc. Jednak walczyl, a slonce przesuwalo sie po niebie, chociaz nikt nie mogl go zobaczyc poprzez zasłone z mroku i duchow. Wreszcie o zmierzchu Severo upadl na kolana i jeszcze raz ogarnal wzrokiem wody zatoki. Z okretow Arimaspi nie pozostalo wiecej niz dziesiata czesc. Wiekszosc ich dzinow wygubiono, inne zas rozpierzchly sie w przestrachu. Wciaz jednak bylo ich wystarczajaco wiele, by ruszyc marszem w glab Polwyspu. Wtedy mag wypowiedzial ostatnie zaklecie i uwolnil najpotezniejszego spomiedzy sluzacych mu demonow, ducha, ktory nie odstepowal go przez ostatnich dwiescie lat i byl wcielonym ogniem...

Diamante zaczel krecic sie niecierpliwie na sienniku, lecz kobieta milczala uparcie, przesuwarzac w palcach pasmo wlosow.

–I co? – nie wytrzymal w koncu chlopiec, choc przeciez wiedzial bardzo dobrze, ze

**tamtego dnia zaden z najezdzcow nie postawil stopy na ziemi Polwyspu. – Demon pokonal Arimaspi?**

**–Demon pokonal Arimaspi – powtorzyla za nim jak echo. – Potem zas zabil Severa i wreszcie byl wolny.**

**Chlopiec podskoczyl jak uderzony rozga. Nie takiego konca opowiesci oczekiwal.**

**–Jak to? – zapytal z pretensja. – Zamiast uciec z podksiezycowego swiata, demon zabil najpotezniejszego z magow? Jego wlasny demon? Przeciez to sie nie zdarza.**

**–Ale zdarzylo sie tamtego dnia w Golfo delle Lacrime. Podobnie jak wiele innych rzeczy, ktore nie mialy prawa, nie powinny sie zdarzyc.**

**Cos go tknelo, jakas nuta w jej glosie.**

**–A Arachne?**

**–Rzucila sie ze skaly, bo nie chciala zyc dluzej po smierci meza.**

**Znow chcial wytknac jej klamstwo, lecz zycie na dworze ojca nauczyl go ostroznosci, wiec tylko marszczyl brwi, w skupieniu rozwarzajac jej slowa. Nie wierzyl w te historie. Nawet najpospolitsi wioskowi czarodzieje potrafili panowac nad wlasnymi demonami, ci zas, ktorzy padli ofiara swej magii, stawali sie po wiek wiekow posmiewiskiem wsrod konfratrow. Mysl o tak nedznym koncu Severa napawala go oburzeniem. Nie wiedzial jednak, dlaczego kobieta mialaby go oszukac.**

**–Skad wiesz? – zapytal po chwili ostroznie.**

**–Zastanow sie, Diamante – odparla lekko i tym razem na dnie jej glosu czaila sie kpina. – Skad moglabym wiedziec?**

**Wyczul, ze oczekuje jego odpowiedzi i z gory wie, ze nie bedzie wlasciwa. Znal dobrze ten podstepny ton, ojciec uzywal go czesto i zwykle zapowiadal szyderstwo i kary. Czekal, wiec, nieswiadomie wciagajac glowe w ramiona. Ona jednak milczala uparcie. Cisza zalegala pomiedzy nimi coraz glebiej, gesta i ciemna jak oliwa na dnie dzbana, i tylko zza krat, gdzie znuzony golem pocieral pietami o nasade kolumny, dobiegal lekki chrobot.**

**Chlopiec poddal sie pierwszy.**

**–Poniewaz jestes naszej krwi?**

**Uśmiechnela sie do niego jak matka dumna z wyczynu ulubienca.**

**–Moja ciotka? – probowal dalej. – Kuzynka?**

Odkad skonczył dwa lata, kazano mu się uczyć genealogii, ale w żaden sposób nie potrafił zgadnąć, kim jest nieznajoma. Wprawdzie prawdziwa, nieskazana krew Severa płynęła wyłącznie w żyłach książąt Brionii, ale ci przez ostatnie dwa wieki rozrodzili się bujnie i skolidowali z większością panujących rodzin – jeśli chcieli ktoś z podległych władców okazać szczególną łaskawość, posyłali mu za żonę córkę lub inną krewniaczkę w stosownym wieku. Nikt nie śmiał odmówić. Panowie Brionii okrutnie mścili zniewagi.

Ona jednak potrzaskała tylko głową i uczyniła krok ku kracie zamykającej wyjście.

– Dobranoc, kochanie. Czas spać. Zrozumiał, że nadmierna ciekawość ją uraziła.

– Zostan dłużej – poprosił. – Opowiedz mi coś jeszcze.

Zawahała się.

– O czym?

Gorczkowo szukał czegoś, co jej nie rozdrażni.

– Czy była już kiedyś wojna podobna tamtej z Arimaspi?

– Nie – odpowiedziała natychmiast. – Ale będzie, kiedy powroca synowie Sirocco.

Zmroziła go łatwość, z jaką wypowiedziała imię przekletej stregi, ciekawość jednak wnet wyparła strach. Nigdy nie słyszał o potomkach Sirocco.

– Skąd powroca?

– Z południa i zachodu – odparła śpiewnie – wschodu i północy. Z morza i lądu, z kamienia i ognia. A teraz śnij, kochanie. Śnij.

Powieki zaczęły mu opadać jak zaczarowane. Zanim usnął, zobaczył jeszcze, że metalowe kraty rozwiewają się przed nim jak dym.

Wbrew temu, co powiadają, Rocco nie był okrutniejszy ani bardziej krwiożerczy od innych książąt swego rodu. Zrodzony późno, w jesieni życia ojca, od pierwszych dni wydawał się wadliwy i chorowity. Nie poświęcano mu, więc wiele uwagi, licząc, że zemrze przedwcześnie, jak się czasami zdarzało nawet w rodach magów, jeśli żywotne siły ojca rozproszyły się pomiędzy wielu synów. Każdy z czarnoksiężników musiał, bowiem stawić czoło nierozwiązywalnemu w istocie dylematowi – czy spłodzić jednego dziedzica, przekazując mu wszelkie moce, które przypadły przyszłemu pokoleniu, czy też pozwolić żyć wielu synom, słabszym wprawdzie, lecz bezpieczniejszym na wypadek wojny czy zarazy. Lekając się, aby tron Brionii nie został bez spadkobierców i nie wpadł w ręce dalszych krewnych, ojciec Rocca

wybrał tę drugą ścieżkę i jego żona wydała kolejno na świat trzech chłopców. Wszyscy wyrosli zdrowo, rokując wielkie nadzieje i ciesząc się miłością poddanych, którzy w harmonii książęcej rodziny widzieli odbicie własnego szczęścia. Potem jednak, podczas wojny z piratami z Centocbio, dwóch książąt wpadło w zasadzkę: powieszono ich na rejach, następnie zaś stracono w morze z kamieniami uwiązanymi do piersi, aby nigdy nie wydobyli się z otchłani.

Zrozpaczony ojciec okrutnie pomścił ich śmierć, spuszczając demony na nadmorskie wioski, które od dawna sprzyjały buntownikom, nie zdołał jednak zamknąć ust tym, którzy szeptali, że oto dziedzictwo Sepera osłabło widac niezmiernie, skoro niemal wyszkoleni magowie pozwalają się pochwyć i potopić jak kocieta. Ze zranionej dumy i gniewu po stracie dzieci książę uczynił rzecz niebywala i szalona – stojąc tuż nad grobem i czerpiąc z resztek swojej mocy, splodził jeszcze jednego syna, Rocca. Ów wysiłek podkopał jego siły tak dalece, że oszczędził kilka miesięcy później, przed śmiercią przekazując trud rządów w ręce dworskich hierofantów, jako że nawet starszy z jego synów nie osiągnął jeszcze stosownego wieku, aby panować nad całym krajem.

Aby zrozumieć, kim był Rocco, należy nieustannie pamiętać, że dorastał w czasie zametu, który nazwano potem l'Anni della Tristezza, Latami Smutku, kiedy na tronie Brionii nie zasiadał żaden władca, a hierofanci niczym zdziczałe psy wyrwali sobie ochłapy władzy. Krewni obu chłopców, oburzeni niezmiernie, że zmarły książę nie wezwał nikogo z nich na pomoc i nie naznaczył regentem na czas małoletności dziedzica, odsuneli się od nich i zaczęli snuć plany, jak na własną rękę wykorzystać niespodziewaną słabość miasta, które dotychczas władalo całym Polwyspem. Prowincje jedna po drugiej odmawiały płacenia trybutu i wysyłania żołnierzy do armii Brionii, naciskane zaś, groziły otwartym buntem. Skoro zabrakło księcia-maga, inni władcy nie przybywali już do cytadeli, by pokłonić się przed najwyższym panem Polwyspu i poprzysiąc mu lojalność oraz pomoc. Hierofanci spoglądali na to bezradnie; żaden z nich nie był wystarczająco silny, by narzucić swoją wolę zbuntowanym, a choćby na krótko nie potrafili zjednoczyć sił. Chcac wyrzec jak największy wpływ na pozostałych, toczyli w dusznych korytarzach swoje nieustanne intrygi i wojenki, zupełnie jakby poza cytadelą nie istniał żaden świat.

Nic, więc dziwnego, że nikt nie zadbał o edukację chłopca, którego powszechnie uważano za słabeusza niezdatnego do magii i panowania. Jego brata natomiast nieustannie otaczano przepychem, który w istocie był tylko zasłoną, mającą ukryć nadzór i ubezwłasnowolnienie. Czujnie dobierano mu towarzyszy, najczęściej spośród szarych mnichów, którzy wyrzekają się wszelkiej magii i nie uczestniczą w sprawach czarodziejów, nie mogą, więc okazać się lojalnymi sprzymierzeńcami. Ponieważ pod ich wpływem książę zwrócił się ku sprawom duchowym, nie tylko nie karcono go za owo niecodzienne zainteresowanie, ale wręcz podsycano w nim pobożność stosowną bardziej u mnicha niżli księcia-maga. Zamiast szkolic go w sztuce czarodziejów, zachęcano młodego władcę, by spędzał długie godziny w

swiatyni, rozmyslajac o bogobojnych sprawach, podczas gdy hierofanci rzadzili krajem, dzielac go i lupiac wedle wlasnego uznania. Na koniec zas wybrano mu malzonke z odleglego Orvieto. Wprawdzie pochodziła z rodu o nieposzlakowanej opinii, bogatego w magie, lecz była zbyt mloda i przerazona zaszczytem, który na nią spadł, aby mogła mu naprawde posluzyc pomoca.

Rocca wszakze pozostawiono samemu sobie. Pozwalano, by wloczyl sie beczynn timer po korytarzach, zagladal do pracowni magow, nasluchiwal ich mamrotan nad wnetrznosciami kozlecia i pomniejszych zaklec, az przestraszony chlopiec zmienil sie w chudego wyrostka, który trzymal sie blisko scian i nigdy nie podnosil oczu. Zagadniety, staral sie prosto unosic glowe, która zwykle opadala mu na ramie – pozostalosc po nieostrojnej piastunce, która upuscila niemowle na kamienna posadzke, przez co watle kosci ulegly zniekształceniu na zawsze – i wyglaszal belkotliwa, niezrozumiala odpowiedz. Kazdej zimy zapadal na zdrowiu i az do wiosny zanosil sie kaszlem, który zdawal sie rozrywac jego wynedzniala postac. Kazdej tez jesieni hierofanci oczekiwali, ze kolejna choroba go zabije. I wlasnie, dlatego litosciwie pozwolono mu zyc, nie chcac wyreczac natury w tym, co nieuniknione.

Skoro jednak wkroczył w wiek meski i bez uszczerbku na honorze rodu nie dalo sie go dluzej pozostawiac bez malzonki, hierofanci wyszukali mu oblubienice, czyniac to w sposob pelen zarazem kpiny i okrucienstwa. Benedetta była corka jednego z gorskich magow, usadowionego w swej wiezy z szarego granitu tuz ponizej Passo dei Lupi. Procz dlugich, pszennozlotych warkoczy nie wniosla mezowi w posagu nic, ani bogactwa, ani wiedzy, ani cennych sojuszy. Przybyla do Brionii z dwoma kufkami, w których miescil sie caly jej dobytek, i ksiega przestarzalych zaklec, która wreczyl jej przejety wspaniala parantela ojciec. Sciskala ow kodeks w rekach przez cala dluga droge – stanowil cale jej dziedzictwo – lecz hierofanci zabrali go pierwszego dnia, a potem zasmiewali sie na weselnej uczcie, odczytujac zaklecia i nieuczzone zapiski jej ojca, który na darmo usilowal przywozywac wymienione w ksiedze demony.

Kiedy uczta dobiegla kresu, wsrod toastow i sprosnych zartow poprowadzono przeleknionych mlodych ku alkowie. Zwykle czynil to ojciec oblubienca, lecz skoro jego zabraklo, wszyscy hierofanci czuli sie w obowiazku sprawdzic, czy wlasciwie rozscielono loze i czy poduszki sa dosc mekkie, by nie urazic delikatnej skory ksiezniczki. Z kielichami wina w reku zachekali Rocca, by sie dobrze sprawil w lozniczy, i glosno wychwalali urode panny mlodej, kiedy sie w koncu przed nimi obnazyla. Nie odstepili tez od loza, gdy Rocco spelnił swój mezowski obowiazek, glosno komentujac jego poczynania i zachecajac do wzmozenia wysilkow. Wlasnie tamtej nocy, nie panujac zupełnie nad swym nasieniem, Rocco splodzil jedyne go syna i dziedzica, nieswiadomie i bez rozmyslu wlewajac w niego cala moc, jaka na ten cel zostala przeznaczona.

O tym wszystkim nalezy pamietac, jesli chce sie zrozumiec, kim byl Rocco.

Starucha zdawała się czuć dzisiaj lepiej. Zanim zapadła w drzemkę, dyktowała dobrą chwilę, za nic mając nerwowe pochrzakiwania skryby, który z najwyższą niechęcią spisywał jej wynurzenia o księciu-magu Brionii. Nie śmiał jej jednak skarcic, bo opiekunka przeoryszy, która nieodmiennie towarzyszyła im w tych spotkaniach przycupnięta na niskim stolku w kacie komnaty, nie spuszczała z nich oczu. Widac zbudowana tym przykładem pokory i miłosierdzia, bo przecież mowa była o Roccu, mordercy ojca Luany, człowieka, który nadto wystawił na straszliwe niebezpieczeństwo jej niesmiertelną duszę, pełnym aprobaty skinieniem kwitowała każde słowo przeoryszy. Skryba był pewien, że gdyby tylko mogła, zaglądałaby mu przez ramię, czy nie uronił choćby jednej litery.

Zacisnął zęby, aby powstrzymać pełen satysfakcji uśmiech. Na szczęście słabość i ulomność natury kobiet nie pozwalała wystawiać ich na pokusy, niesione przez znaki pisma – w tym względzie mnisi i czarnoksiężnicy byli całkowicie zgodni – on zaś stworzył dzieło swojego życia, żywot światobliwej niewiasty, która podeptała lby demonów i cisnęła je w ogień. I nie przeszkodziła mu w tym żadne przedśmiertne mamrotania konającej mniszki.

Szarpnął ją za ramię. Czas płynął nieubłaganie i z każdym dniem była coraz bliżej śmierci, musiała, więc mówić, musiała dokończyć te historie chociażby po to, by wiedział, co w przyszłości przemilczeć i zmienić, aby tym lepiej służyło zbrojnemu dziełu.

Przeorysza wzdrygnęła się i obronnym gestem, na oslep, zacisnęła palce na zawieszanej u pasa perle. Wedle legendy ową klejnot powstał z łez jej matki, która, uwięziona w klasztorze z rozkazu Rocca i zmuszona patrzeć na powolne konanie synów, modliła się, błagając Pana, aby ocalił, chociaż ostatecznie z jej dzieci. Przeczuwając rychły zgon, księżna podarowała klejnot córce, aby odtąd owym znakiem Najwyższego chronił ją i podtrzymywał w wierze.

Z namysłem przygryzł wargę. Tak, te historie mógł zapisać – oto owoc miłości matczynej przeistacza się w mistyczny wizerunek doskonałości i wiary, który towarzyszył opatce w dniach zwątpienia i rozjaśniał mrok, odstraszał potwory. Mówiono, że Luana nic więcej nie wyniosła z gorzejającej cytadeli. Niespełna dziesięcioletnia, przeszła przez dziedziniec wśród płomieni i demonów, które odstreczał cudowny blask bijący z perły. Potem zaś, wciąż sciskając klejnot w dłoni, wkroczyła w ciemny owal portalu świątyni, na zawsze pozostawiając za sobą dawne życie. Była to pobożna opowieść, pełna budującej nauki. Niewatpliwie należało ją zapisać.

–Zostawcie ją, panie. – Opiekunka położyła mu rękę na ramieniu. – Jest zmęczona i coraz częściej osuwa się w sen.

Syknał ze złości, że osmieliła się przemówić niepytana i, co więcej, dotknąć

nieczysta dłoń konsekrowanego mnicha. Rozpoznawał w niej prostą istotę, służkę z najniższego choru, jakąś chłopską córkę albo sierotę przygarniętą do klasztoru z łaski, bez żadnego posagu i zawczasu przeznaczona do służby, która mogła nie pojmować, że przystoi jej posłuszeństwo oraz milczenie, szczególnie w obliczu czcigodniejszych od niej i bardziej zasłużonych w wierze. Ignorancja jednak nie usprawiedliwiała występku. We własnym klasztorze rad byłby ją kazać obić różgą aż do pierwszej krwi. Ale w Brionii życie było odległe od prostych, dobrych obyczajów z Costa dei Gabbiani, a światobliwa Luana dziwnie gustowała w obecności prostaczków i, dopóki przeorysza żyła, musiał cierpieć obecność jej opiekunki.

Zapewne wyczuwszy jego zakłopotanie, mniszka osmieliła się na więcej.

–Pozwólcie jej snic – powiedziała cicho. – Wtedy jest szczęśliwa. Wy także wydajecie się znuzeni, przyda się wam chwila wytchnienia.

Współczucie rozgniewało go jeszcze bardziej. Odrzucił jej dłoń z taką gwałtownością, że kobieta zatoczyła się i upadłaby, gdyby nie przytrzymała się gzymsu przy kominie.

–Precz – wysyczał przez zęby. – Nie prowokuj mnie, kreaturo, abym własną ręką nie nauczył cie pokory, skoro inni zaniedbali twoje wychowanie. I nie bron mi przystępu do starej, bo ona wkrótce zdechnie, ty zaś zostaniesz w klasztorze, na łasce tych, którzy przyjdą po niej, a uwierz mi, że oni nie będą poplecznikami. Zanim jednak tak się stanie, muszę usłyszeć, co ta wywłoka może mi opowiedzieć o upadku domu Brionii i demonach, które ją sprowadziły...

Jakis ruch, pochwycony kącikiem oka, przykuł jego uwagę i zamocował słowa. Odwrócił się i dostrzegł, że przeorysza rozbudziła się zupełnie. Sztywno wyprostowana, wbijała w niego spojrzenie niewidzących oczu. Policzki miała blade jak pergamin, dłonie spoczywały nieruchomo na podolku, zacisnięte wokół perły, lecz był pewien, że usłyszała każde słowo.

Poczuł nieprzyjemną suchość w ustach, ale opanował się szybko. Ostatecznie dobrze, że stara stręga usłyszała przed śmiercią kilka słów prawdy. Nic mu nie mogła zrobić.

Wtedy Luana przemówiła wysokim, świetnie ustawionym głosem, zupełnie niepodobnym do jej codziennego mamrotania.

–Chcesz usłyszeć o upadku domu Brionii, mnichu? Czy jesteś jednak pewien, że zniesiesz wiedzę o demonach, które nie czają się w ciemności, niezdolne postawić stopy na poświęconym gruncie, ale śmiało stają przed tobą w koronie z płomieni, a ich spojrzenie jest władne spopielić twoją niesmiertelną duszę? Czy naprawdę pragniesz stawić im czoło i sprawdzić, jaka osłona okaże się twoja wiara?

Juz pierwsze slowa sprawily, ze poczul sie jak zarosniety, bosonogi rybak, znienacka postawiony przed obliczem wielkiej pani i oskarzony o kradziez kolorowego swiecidelka z jej ogrodu. A ona naprawde byla wielka pania, zrodzona i ukszaltowana do wladzy, wychowana w cytadeli, ktora uwazano niegdys za centralny punkt swiata, poczatek i koniec wszelkich drog i basni. Kiedy wszyscy inni uciekli z Brionii, zostawiajac za plecami dymiace zgliszcza cytadeli, samotnie przetrwala w miejscu grozy, choc byla nieomal dzieckiem, zda sie, niezdolnym przewodnicz innym. Kobiety jednak przybywaly do niej na dlugo przed tym, jak mnisi poblogoslawili jej swiete powolanie. Oddawaly sie w opieke pustelnicy z brionskiej katedry nie dlatego, ze widzialy jej naboznosc i osoblive cuda, ktorymi bronila sie przed zakusami demonow. Nie, dla nich byla po prostu ksiezniczka, ktora nie odstapila swoich poddanych w godzinie trwogi. Swiatobliwosc nie miala zadnego znaczenia. Gdyby poslubila ktoregos z czarnoksieznikow, ktorzy ubiegali sie o jej reke, i naznaczyla go wladca, ludzie Brionii rowniez ulegliby jej woli.

Zrozumial nagle, ze dopiero ze smiercia Luany tamten swiat naprawde zniknie i zatrze sie w ludzkiej pamieci. Poki zyla, istnieli tez magowie, ich czary i demony formowane w ksztalty zwierzat oraz roslin, ich bale i gonitwy za labedziami, ktore, pochwycone, przemienialy sie w dziewczyny, ich piesni, upajajace jak wino, gobeliny, w ktorych zapisano przyszlosc, i krople krwi, przemawiajace ludzkim glosem. W pamieci Luany wszystko to bylo rzeczywiste i tak wyrazne, jakby wydarzylo sie zaledwie wczoraj.

Mysli kolejno pojawialy sie w jego umysle, jedna bolesniejsza od drugiej, ale stal jak oniemiały, nie majac dosc odwagi, by odpowiedziec. Choc poruszal wargami, slowa nie chcialy opuscic jego ust. Byc moze rowniez byla to jakas sztuczka czarodziejow, ktorej nauczyla sie we wczesnej mlodosci. Nie wiedzial.

–Dobrze, wiec. – Luana usmiechnela sie szybkim, waskim usmiechem, ktory byl jak blysk dobywanego noza. – Sluchaj, mnichu, jak ksiazeta Brionii doprowadzili do swojej zguby. Nie uron ani slowa.

\*\*\*

Rocca oskarzano o wiele zbrodni i wiekszosc z nich popelnil naprawde. Nie byl jednak glupcem i rychlo spostrzegl, ze lek Diamante przez nocnym zamknieniem znaczo zelzal. Zrazu przypisal to dorastaniu syna i ucieszyl sie nawet, bo mazgajowatosc potomka od dawna przyprawiala go o niepokoj. Po namysle jednak odrzucil te mysl, albowiem we wszystkich innych rzeczach chlopiec pozostal rownie nieporadny i tchorzliwy, jak przedtem. Postanowil, zatem sprawdzic, co tez sie krylo za ta dziwna sprawa, i wyпытac golema.

Potwor, stworzony do zgola prostszych zadan, z trudem usilowal podolac badaniu. Stekajac i chrzeszczac niezmiernie – jego z grubsza tylko obrobione gardlo nie



sklanialo do dlugich opowiesci – wyrzucil z siebie metna historie o kobiecie, ktora odwiedza chlopca w nocy i opowiada mu basnie. Rocco, nie pojmujac, jak to mozliwe, ze monstrum nie usluhalo rozkazu stworca i nie odegnalo intruza, odeslal je do miejsca kazni. Ale nawet smagany ognistym biczem, golem zaklinal sie, ze nikomu nie pozwolil wejsc do celi Diamante, choc nie potrafil tez wytlumaczyc, jakim sposobem znalazla sie tam nieznajoma. Najwyrazniej nie umial w pelni ogarnac tego osobliwego zjawiska, co zreszta nie bylo dziwne, zwazywszy, ze uczyniono go dla jednego celu, a nie bylo nim rozwiazywanie zagadek.

Zafrapowany i nieodmiennie podejrzliwy, Rocco sam postanowil rozwiklac tajemnice. Rychlo nadarzyła sie okazja. Wlasnorecznie zamknal syna w sekretnej komnacie i oszedl, udajac wielkie zagniewanie z powodu jego nieuctwa. Odczekal w glebi korytarza, az Diamante uspokoil sie nieco – jego lkania ucichly zdumiewajaco szybko – po czym okrecil sie plaszczem i przysiadl na marmurowej laweczce w zaglebieniu muru. Dobył z sakwy ulubiona salamandre, zamknieta w ksztalcie malenkiej mosieznej lampki, i delikatnie umiescil ja posrodku fryzu zdobiacego sciane. Był to jeden z jego pierwszych sluzebnych demonow, schwytany jeszcze przed zamachem, ktory kosztowal zycie jego brata i wszystkich brionskich hierofantow. Nie miał zbyt wiele mocy, ale w czasach, gdy Rocco nieustannie obawial sie zabojcow, zwykl nocami stawiac go na strazy przed wejsciem do swojej komnaty. Lampa, przewaznie uspiona, rozjarzala sie jasnym swiatlem, kiedy ktos do niej podchodzil. Rocco wprawdzie byl pewien, ze nie zdola pokonac siepaczy rady, chcial jednak byc przytomny i spojrzec im w twarz, kiedy nadejda.

Tej nocy wszakze salamandra zawiodla. Ksiaze usnal, znuzony czuwaniem i ukolysany monotonnym szelestem lusek strazniczych demonow, ktore przemierzaly sciany pod postacia kekropsow, potworow o wezowych splotach i ludzkich glowach. Nic go nie ostrzeglo. Ani syk weza, ani pulsowanie mosieznego ciala salamandry, ani nawet odglos krokow.

Ocknal sie sam, czujac na twarzy powiew lodowatego powietrza. Zamrugal, aby odpedzic resztki snu, i dopiero po chwili zorientowal sie, ze slyszy w oddali echo dwoch glosow. Jeden znal bardzo dobrze, nalezal do jego niemadrego potomka, kobiety jednak nie potrafil rozpoznać. Dal znak i kekropsi ruszyli przodem poprzez mrok, badajac wezowymi odnozami kazda piedz ziemi. Mineli zastyglego w bezruchu golema i popelzli dalej, ale nie udalo sie im zaskoczyc nieznajomej.

Kiedy staneli pod krata, w izbie kar nie bylo nikogo, oprócz chlopca, ktory siedzial na skraju poslania, obejmujac ramionami kolana. Rocco z bezsilna wsciekloscia wpil rece w zelazne prety. Był gotow przysiac, ze jeszcze przed chwila ja slyszal, mimo to zdolala mu sie wymknac. Nie zgadywal nawet, jak mogla tego dokonac, ale sama mozliwosc, ze obca kobieta wedruje w ciemnosci, niezauwazona, korytarzami cytadeli, napelniala go zloscia i groza.

Jego syn czekał ze spuszczonej głową, lekko poruszając wargami. Wysłuchawszy się uważnie w jego szept, mag wychwycił strzepy inkantacji. Wiedział jednak doskonale, że przed chwilą chłopiec był pochłonięty czymś zupełnie innym.

–Gdzie ona jest, Diamante? – rzucił ostro. – Gdzie się ukryła?

Chłopiec potrząsnął głową i bezradnie rozłożył ręce.

Ta nieudolna próba oszustwa rozsierdziła ojca jeszcze bardziej.

–Przestan kłamać!

Kekropsi odskoczyli w mrok, przerażeni. Wprawdzie Rocco nie zdołałby mocno ich uszkodzić, ale w złości mógł im zadać ból na wiele sposobów.

Chłopiec spoglądał na ojca szeroko rozwartymi oczami. Salamandra Rocca przybiegła ku nim po gzymsie, pulsując czerwonym światłem, które zdawało się odbijać furie czarnoksiężnika. Latarenka na ścianie także ocknęła się, obudzona blaskiem bliźniaczego demona, lecz jarzyła się najlżejszą poświatą. Była jedynie słabym monstrum, jakich tysiące od wieków służyły w cytadeli Brionii, ale nawet ona rozumiała, że w podobnych chwilach nie należy sציagac na siebie uwagi maga.

–Nie kłam, nicponiu – wycedził przez zęby Rocco. – Słyszałem ja bardzo dobrze.

–Tu nic nie ma. – Diamante powiodł dłonią po pustej komnacie. – Możesz sprawdzić, ojczu.

Po raz pierwszy chłopiec spróbował stawic mu czoło i owi dziecięcy sprzeciw nieomal napelnil Rocca zadowoleniem. Zaraz jednak wydalo mu sie, ze na bladej twarzy Diamante dostrzega szybki, chytry uśmiezek. Najwyrazniej nie tylko klamal, ale tez rozkoszowal sie wlasnym sprytem.

Mag zagryzil zęby. Nie musial sprawdzac, aby wiedziec, ze kobiety nie ma w komnacie. Nie pozostawiono tu zadnych gobelinow, skrywajacych tajemne przejścia, magicznego kominka ani dywanow, w ktore wpleciono latajace demony. Rocco osobiscie dopilnowal zaklec, ktorymi wzmocniono kraty i oblozono kamienie. Wciaz nie rozumial, jak zwyczajna kobieta mogla je ominac, ale byl pewien, ze nie ma jej w srodku.

Uczynil nieznaczny gest i golem z niezdarkim pospiechem rozsunal kraty. Chłopiec wstal, zadzierajac brode z udawana hardoscia.

–Kim ona jest? – zapytał na pozor obojetnie Rocco.

–Nie wiem, o czym mowisz, ojczu.

Odpowiedz była gładka i w oczywisty sposób nieprawdziwa. Nie zmieniając wyrazu twarzy, Rocco uderzył chłopca na odlew tak mocno, że ten poleciał trzy kroki w tył i osunął się po ścianie.

–Drażnisz mnie, Diamante. Nie rob tego więcej – powiedział lekko, po czym dał znak kekropsom.

Monstra przybliżyły się pospiesznie. Wiedziały dobrze, co teraz nastąpi, więc żadne nie chciało zostać w tyle, ale Rocco pochylił się szybko i na chybił trafił złapał jedno z nich.

–Nie! – wykrzyknął chłopiec. – Ojczy, prosze, nie!

Ale potwory już pochwyciły go wezwowymi ramionami i unieruchomiły, wciskając mu twarz w chłodne kamienie. Wrzasnął przeraźliwie, kiedy ojciec zadał pierwszy cios. Kekrops również piszczał cienko, lecz nie osmiał się wyrwać z uścisku maga, a jego wezowe sploty raz po raz spadały na plecy chłopca. Wkrótce ich parzydelka otwarły się, wydzielając trująca sline, która raniła po równo chłopca i potwora, bo jego podrażniona uderzeniami skóra zaczęła także pekać i ronic łuski. Wreszcie zmęczony Rocco opuścił ramie, dysząc z ciężką. Zmasakrowany potwór zwinął się w ciasny klebek i odtoczył w mrok. Z jego oczu płynęły łzy, fioletowe jak krew matwy.

–Nie śmieję mnie dłużej zwodzić, synu – rzekł mag, posapując przez nos. – Kimkolwiek jest ta kobieta, nie ochroni cię przed moim gniewem.

Potwory odwróciły chłopca twarzą do ojca. Diamante był brudny i opuchnięty od płaczu. Z poranionych pleców spływała krew.

–Nie wiem, kim jest. – Unikał wzroku maga. – Naprawdę nie wiem.

Rocco uśmiechnął się chłodno.

–Lecz przyznajesz, że jakaś kobieta istnieje?

Chłopczyk skinał głową.

–Ale nie wyjawiała mi imienia i nigdy nie widziałem jej w cytadeli.

Potwory, które go podtrzymywały, z napięciem śledziły każde słowo. Los dziecka był im obojętny, ale również miały nadzieję, że chłosta się już skończyła. Stworzono je na skrytobójców i mogły w każdej chwili skrecić mu kark wezwowymi ramionami, lecz sposób, w jaki Rocco ich używał, sprawiał im ból.

–Czego od ciebie chciała?

**Diamante patrzył na niego, jakby nie rozumiał pytania.**

**–Opowiadała mi tylko historie. Nic więcej.**

**–Jakie historie?**

**–Rozne. – Wzruszył ramionami, ale z twarzy ojca odgadł zaraz, że nie jest to właściwa odpowiedź. – O dawnych czasach -dodał pośpiesznie. – O tym, jak Severo stworzył Testa di Cavallo, a Arachne utkala gobelin...**

**Mag lekceważąco machnął dłonią. Nie interesowały go bajki, lecz podejrzewał, że w całej sprawie kryło się znacznie więcej. Przymrużył oczy.**

**–A co ty jej opowiadałeś? Wypytywała cię o ojca, czyż nie? I ty jej wszystko opowiedziałeś w zamian za kilka bajek, nieprawdaz?**

**Diamante potrząsnął przecząco głową.**

**–Wcale nie pytała. I nic jej nie mówiłem.**

**–Naprawdę chcesz, abym uwierzył, że przychodziła tutaj wyłącznie z dobroci serca?**

**Chłopiec milczał.**

**–Diamante – mag przybliżył się do niego – ta kobieta przeszła niepostrzeżenie obok golema i wywiodła w pole kekropsów, którzy strzegli korytarzy. Nie mów mi, więc, że to jakaś babina z miasta, która w środku nocy opowiada bajki dzieciom. Ktoś ją tu przysłał. Jakiś mag wystarczająco silny, aby sforsować moje zabezpieczenia. Być może w korytarzach cytadeli krąży teraz zbrojca, więc nie czas na dziecięce dasy i fochy. Chce, żebyś mi wyjawiał wszystko, co o niej wiesz i czego się domyślasz. Natychmiast.**

**Chłopiec wyprostował się, a kekropsi zaszepeszcili łuskami po murze, ostrożnie dopasowując się do nowej pozycji. Ich twarzyczki przybrały nadany wyraz. Potwory nie lubiły tych dziwnych gier maga. Oczywiście były mu posłuszne i nie zamierzały zmiąć watłych kości jego potomka, ale utrzymywanie go dość mocno, by nie uciekł, i wystarczająco delikatnie, by go nie uszkodzić, nastreczało im niemal wysiłku.**

**–Jest naszej krwi – wyznał cicho chłopiec.**

**Mag roześmiał się cierpko.**

**–Polowa książeczych rodzin pochodzi z tego samego pnia, ci zaś, którzy przez ostatnie dwa wieki nie spokrewnili się z naszym rodem, również klina się na wszystkie**

swietosci, ze pochodza od Severa. Mozna by pomyslec, ze jego bekarty byly liczniejsze od armii Arimaspi. Powiedz mi, jak otworzyla kraty, jesli nie chcesz spedzic reszty zycia w ciemnicy wraz z kekropsami.

Diamante zalkal cicho – spomiedzy wszystkich potworow najbardziej obawial sie milczacych, wezowatych stworow – lecz zaraz umilkl pod karcacym wzrokiem ojca.

–Nie otworzyla ich. Zmienila je w dym i po prostu wyszla stad, jakby ich w ogole nie bylo.

Rocco z zamachu uderzyl chlopca w twarz.

–Czasami sadze, ze jestes zbyt tepy, aby byc moim synem. I tak ja odnajde, a ty powiesz mi, gdzie jej szukac. Zadna kobieta nie ukryje sie przede mna w tym miejscu.

Chlopiec wzdrygnal sie, choc tym razem nie ze strachu. Rocco mial racje, zadna zywa kobieta nie znala cytadeli lepiej niz jej pan. Ksiaze-mag nawet wlasnej malzonki nie wprowadzil w sekrety podziemnych lochow, korytarzy, ktore wily sie jak serpentyny i opadaly w ukryte sztolnie, przejsc najezonych pulapkami i prowadzacych poza granice miasta, aby w razie potrzeby wladca wraz z rodzina zmylil pogon i bezpiecznie wymknal sie z twierdzy. Tylko jedna kobieta mogla go przechytrzyc. Ostatecznie byla towarzyszka największego z magow Polwyspu i spedzila w tym miejscu dwiescie lat.

–Ojczy, ona nie jest prawdziwa! – wykrzyknal Diamante, zdumiony wlasnym odkryciem.

Mag uczynil gest, jakby chcial go znow uderzyc, ale powstrzymal sie w pore.

–Ona cie zdradzi, synu – powiedzial Rocco, a politowanie w jego glosie zabolalo chlopca bardziej niz wczesniejsza wscieklosc. – Kiedy oddam ja w rece potworow, bedzie wic sie i blagac o litosc. Uczyni wszystko, aby uzyskac moja laske. Wszystko, synu, chocby to mialo oznaczac twoja smierc. Pozwole ci zastanowic sie nad tym az do switu, lecz nie wodz mnie dluzej na pokuszenie.

Potwory odczekaly, az kroki ksiecia scichna w oddali, po czym ulozily sie wygodniej, wykorzystujac kazda szczeline i nierownosc muru. Potrafiły bez wysilku poskromic doroslego mezczyzne, wiec chlopiec nie byl dla nich zadnym przeciwnikiem. Syczaly jeszcze troche i wodzily po jego skorze rozdwojonymi jezykami, a w koncu znieruchomialy, uspione chlodem kamieni.

Dopiero wtedy chlopiec otworzyl oczy. Poranione plecy bolaly go niezmiernie, ale jeszcze bardziej doskwieral mu dotyk luskowatych ramion na skorze. Staral sie, wiec stac nieruchomo, by nie zaniepokoic monstrow, a jednocześnie, mimo zmeczenia, bal sie usnac. Watpil, czy nieznajoma sie pojawi i zdola go wybawic z pet kekropsow.

**Ale tuż przed switem, kiedy obrazy zaczynały się rozmywać przed jego oczami, osmielił się w końcu wypowiedzieć jej imię:**

**–Arachne...**

**Wynurzyła się ze ściany jak obłok mgły, bezszelestnie, bez najmniejszego ostrzeżenia. Uśmiechnęła się do Diamante, kładąc palec na wargach. Jej suknia falowała, poruszana nieistniejącym wichrem.**

**–Jednak się domyśliłaś – powiedziała cicho. – Sądziłam, że zajmie ci to więcej czasu.**

**–Czego ode mnie chcesz? – zapytał zmartwiałymi wargami.**

**Nigdy wcześniej nie widział zblakłego ducha. Mnisi utrzymywali, że dusze po śmierci zmierzają do Najwyższego, unoszone jego łaską przez kolejne kregi nieba, poki nie roztopią się w jego miłości. Oczywiście istniały też dusze zbrodniarzy, które nigdy nie mogły ulecieć z podziemi świata, te jednak stracono w otchłan, pomiędzy złe duchy, skąd nadaremnie wołały miłosierdzia. Jedynie stare kobiety opowiadały baśnie o przeklętych upiorach, które blakają się wśród żywych, poki nie odprawia pokuty lub nie ukarzą tych, co je skrzywdzili. Zwykle były podstępne i okrutne, dlatego w najdłuższą z zimowych nocy w rybackich wsiach utaczano kilka kropli krwi, aby je przebłagać.**

**–Wypowiedziałeś moje imię, więc jestem.**

**Jeden z kekropsów zasyczał tuż przy oku chłopca. Diamante szedł, bo potwory w każdej chwili mogły wezwać jego ojca. Arachne uśmiechnęła się tylko znowu i, nuciąc jakąś melodię, podeszła kilka kroków. Monstrum zakolysało się ospale i skłoniło głowę, na nowo zapadając w drzemkę.**

**–Czy on cie nie widział? – zdumiał się chłopiec.**

**–Rozpoznał mnie bardzo dobrze. – Arachne zbliżyła się jeszcze bardziej i zanurzyła palce w wezowych splotach.**

**Diamante wyczuł, jak ciała potworów rozluźniają się i mięknie. Kekropsi wciąż byli tuż obok, słyszał cichutki szelest lusek, pelznących po kamieniach, ale teraz mogli usiąść. Nie wiedział, jak to możliwe. Nigdy wcześniej nie zlekcewazyli rozkazu księcia.**

**–Sa stworzeniami mojego meza – wyjaśniła kobieta – i nakazano im, aby strzegły naszych dzieci, a pamięć weza jest długa.**

**Rozgniewało go, że przypisuje Severowi czary jego ojca.**

**–Byc moze kiedys naprawde tak bylo – rzekl zapalczywie. – Te jednak naleza do Rocca i on jest ich tworca.**

**Spojrzala na niego lagodnie, z rozbawieniem.**

**–Mylisz sie, kochanie – odparla. – Severo uczynil wiele dziwow i wiele jest w podziemiach komnat, opatrzonych piezczeciami, ktore otworzy tylko krew jego prawdziwych potomkow, gdzie czekaja na swoj czas. Nie nalezy jednak ich uwalniac bez wielkiej potrzeby i nie sadzilam, ze ten czas nadejdzie tak predko.**

**–Skad wiesz? Przeciez pozostaly zaklecia...**

**–Nie – przerwala. – Severo nie zapisywal zaklec, a w kazdym razie tych najgrozniejszych i najbardziej skomplikowanych nigdy nie powierzylby w rece kopistow. Magiczne kodeksy sa cenniejsze niz ziemia i klejnoty, wiec predzej czy pozniej jego synowie albo synowie ich synow zaczeliby walczyć i zabijac sie o takie dziedzictwo. Nie chcial tego. Ponadto – usmiechnela sie nieznacznie – nie ma dwoch identycznych zaklec, kazdy czarnoksiężnik czyni je na sposob tylko sobie wlasciwy. Uwierz mi, ze potrafie rozpoznać reke Severa. Kekropsi nalezeli do niego, wiec beda sluzyli twemu ojcu zgodnie z tym, do czego ich stworzono, lecz nigdy nie skloni ich, aby spelnili zyczenie wykraczajace poza ich nature. Golem wszakze – skinela ku nieruchomemu monstrum, ktore znow popadlo w swe zwykłe odretwienie – jest od poczatku do konca dzielem twego ojca i znac w nim jego reke.**

**Nie musiala dluziej tłumaczyc: potrafil porownac morderczy, precyzyjny wdziek kekropsow i doskonalosc ich wezowych ksztaltow z ledwie obrobiona bryla golema, jego topornymi ruchami i ociezala mowa. Hierofanci od dziecka powtarzali mu, ze prawdziwy czarnoksiężnik potrafi spajac demony z materia w taki sposob, by wydawaly sie czescia Stworzenia, nie zas pokracznym wybrykiem natury. Ale nawet w czasach wielkich mistrzow z rzadka tylko powstawaly dzieła naprawde piekne i zadziwiajace. Wiekszosc magow snula drobne czary, zapewniajac sobie bezpieczenstwo i dostatek. Nie probowali siegac po demony z najwyzszych kregow ponadksiezycowego swiata, po keruby i serafy, zdolne oddechem przeslonic slonce i zacmic ksiezyc. Podobno w wielkich opactwach wciaz przechowywano ksiegi zaklec, ktore niegdys pozwolily Duiliowi wydzwignac z dna morza wyspe i uczynily go wladca wichrow. Jednak nikt juz nie wyciagal po nie reki. Nie toczono wojen o najcenniejsze atlasy nieba i nie szczycono sie spisami zaklec, siegajacymi pierwszych magow Polwyspu. W szesc pokolen po smierci Severa magia stala sie przyziemna jak kolowroty u studni, napedzane przez drobne demony, i rownie pozbawiona tajemnic.**

**Rocco wszakze czesto sie pysznil, ze w Brionii, gdzie ocalaly pradawne sekrety protoplastow ksiazeczej rodziny, nadal mozna ogladac magie w jej prawdziwej postaci, zmienna jak ogien, pelna niebezpieczenstw i cudow. Cytadela wciaz skrywala przedziwne monstra, posluszne jedynie woli ksiecia-maga i smiertelnie**

grozne dla każdego, kto zechciałby wystąpić przeciwko niemu. Tylko, dlatego odległe prowincje wciąż uznawały zwierzchność księcia-maga. Wprawdzie w większej części była to jedynie gra pozorów, pusty ceremonial dworski, za którym nie stało prawdziwe przywiązanie ani obietnica pomocy, ale chwiejne rządy hierofantów mocno nadszarpnęły znaczenie miasta i na razie Rocco nie mógł liczyć na nic więcej. Nie przestawał jednak powtarzać synowi, że magia, która płynie w żyłach potomków Severa, wyniesie ich ponad wszystkich innych – jeśli nawet nie teraz, to za panowania Diamante.

–Dlaczego do mnie przychodzisz? – zapytał chłopiec, tknięty nagle podejrzeniem, że rozmowy z widmowa kobieta także są częścią planu jego ojca, jakas próba, której z pewnością nie zdola sprostac. – Dlaczego opowiadasz mi te wszystkie rzeczy?

Arachne usiadła pod przeciwległą ścianą. Jej twarz była jasna w ciemności i tak rzeczywista, że przez chwilę znów uwierzył, iż jest żywa. Potem zobaczył, jak kekropsi suna ku niej po posadzce i układają się tuż za jasnym kregiem jej sukni. Wyciągnęła dłoń, aby pogłodzić najbliższego po skórze, lecz przeszedł przez jej palce, jakby uczyniono je z dymu. Monstrum zasyczało z rozczarowaniem, a jego wezowe ramiona wily się jeszcze przez chwilę, na darmo usiłując jej dotknąć.

–Usłyszałam, jak płaczesz – odpowiedziała. – Kiedyś obiecałam Severowi, że będę chronić naszych synów. Dlatego przyszłam.

Pomyślał o zasztyletowanym stryju i jego dwóch synach, których otruto w klasztorze.

–Nie ja jeden cie potrzebowałem.

–To prawda. – Skinęła głową. – Ale ja nie żyję. Moja moc niknie o brzasku i nie sięga poza te korytarze.

Mogła mówić prawdę, lecz wychował się w miejscu, gdzie słowa były najtanszą z broni, a plecy wciąż paliły go od uderzeń.

–Ojciec powiedział, że mnie zdradzisz.

–Nie, skarbie. – Pochyliła się lekko ku niemu. – Tej jednej rzeczy nie potrafię zrobić, choćbym chciała. Być może jednak nie zdołam ci pomóc. A teraz spij. Póki tu jestem, kekropsi cie nie skrzywdzą.

Kiedy Rocco wysłuchał wreszcie syna i dowiedział się, że po korytarzach cytadeli wędruje duch Arachne, najpierw nie dowierzał chłopcu, potem wpadł we wściekłość, na końcu zaś postanowił go pojmać. Przywykł wierzyć, że jest panem twierdzy, być może słabszym od poprzednich, ale niepodzielnym, i myśli, że ktokolwiek, choćby duch zmarłej dawno temu niewiasty, drwi sobie z jego władzy, przyprawiała go o



wscieklosc. Zamykal syna w coraz bardziej wyszukanych lochach tortur, kazac mu przyzywac Arachne, choc doradcy przestrzegali go, ze wystawia na szwank zycie swego jedynego dziedzica. Nie dbal o to, ogarniety obsesja i furia, ktora wzmagala sie z kazda noca, albowiem duch nieodmiennie wymykal sie z pulapek, niepomny na zaklecia i potwory majace go okielznac. Wkrotce Rocco zrozumial, ze monstra, stworzone niegdys przez meza Arachne, wciaz klonia przed nia glowy, a inkantacje sa bezsilne wobec zjawy. Nigdy tez nie zdoal zobaczyc nawet skrawka jej sukni, choc czesto slyszal jej glos i biegl jak szalony, aby chociaz spojrzec na Arachne, skoro juz nie dostawalo mu sil, aby ja uwiezic.

Miotajac sie w bezsilnej zlosci, zaczal sprowadzac do cytadeli hierofantow i magow, ktorzy pomogliby mu pozbyc sie nieproszonego goscia. Bezskutecznie. Nie pomogli ani slynny Grajek z Solerno, ktory dzwiekiem piszczalek przeplaszal z miast zablakane demony i monstra, ani Sztukmistrz z Centocchio, twórca niezwyklych lustrzanych pudelek, w istocie bedacych pulapkami na duchy. Nie pomogla nawet strega, ktora strapiony wladca wezwal na pomoc i noca rozkazal wpuscic do cytadeli. Skoro zawiodly zarowno kunszty wysokie, jak i plugawe gusla, ksiazce postanowil jasc sie swietych sposobow. Patriarcha dlugo tłumaczyl mu, ze nie jest wladny wypedzic ducha precz, poniewaz to nic innego, jak zludzenie umyslu dziecka, ktore nazbyt latwo udzielilo sie innym. Wreszcie ulegl nagabywaniom, ale jego wysilki rowniez spelzly na niczym, choc poprowadzil wielka procesje przez komnaty, tarasy, podziemne korytarze i lochy twierdzy, kreslac swietymi olejami znaki na murze, aby odstraszyc niespokojnego ducha. Odszedl jak niepyszny, obiecujac modlic sie za spokoj duszy ksiecia, w skrytosci ducha piastujac jednak przeswiadczenie, ze odwiedziny zmarlej ksieznej sa zapowiedzia kary, jaka niebawem spadnie na Rocca w odplacie za jego wczesniejsze niegodziwosci.

Rychlo tez wiesc o zgryzocie trapiacej ksiecia przedostala sie do miasta, stamtad zas niepostrzezenie powedrowala dalej, az po najdalsze krance Polwyspu. Rocco wil sie w bezsilnej zlosci, kiedy kolejni ksiazeta przesyrali mu dobre rady i wyrazy wspolczucia, rozumial, bowiem, ze ow duch, ktory uparcie odmawial poddania sie jego woli, osmiela do dzialania jego zywych i znacznie niebezpieczniejszych nieprzyjaciol. Najbardziej jednak niepokoila go pogloska, zrazu szerzaca sie wsrod plebsu Brionii, potem rozniesiona przez wedrownych handlarzy i zebrakow po calym Polwyspie. Glosila ona, ze cytadele nawiedza nie Arachne, lecz Adalgisa, zona zamordowanego brata Rocca, ktora, mszczac sie za okrutna smierc wlasnych dzieci, na dobre opetala potomka obecnego wladcy. Szeptano, ze odebrala Diamante rozum, zmieniajac go w sliniaca sie, przerazona kukle, ktora ojciec musi zelaznymi lancuchami przykuwac do sciany w najglebszych lochach cytadeli, gdz byle promien slonca wprawia chlopca w mordercza furie.

W odpowiedzi Rocco zaczal przyjmowac poselstwa z synem u boku i czesto zabieral go na konne przejazdki do miasta, aby wszyscy mogli sie przekonac, ze nastepca tronu jest zdrowy na cielem i umysle, Brionii zas nie grozi powrot do rzadow

hierofantów. Ale ta nagła odmiana zwyczajów księcia, który wcześniej niezwykle rzadko ukazywał się wraz z dziedzicem, natchnęła ludzi jeszcze głębszą nieufnością. Wnet rozeszła się plotka, jakoby prawdziwy następca konał w ciemnicy, podczas gdy jego miejsce zajął sobowtór, wynaleziony w odległej wiosce przez siepaczy władcy, albo, co gorsza, demon obleczony przez maga w ludzkie ciało na kształt jego syna. Rocco zrozumiał, więc, że cokolwiek czyni, obraca się to na jego zgubę, i zalewał wielce, że nie zabronił po prostu synowi nocnych spotkań, pozostawiając zjawę samej sobie. Teraz wszakże było już za późno, a niefrasobliwość, z jaką wystawił się na posmiewisko, mogła go niezadługo przyprawić o jeszcze większy koszt, jako że śmiech jest często pierwszym zwiastunem buntu.

Skoro, więc nie mógł przemoc nad duchem innym sposobem, postanowił poznać jak najdokładniej żywot Arachne i przekonać się, dlaczego zmarła darzy go tak zapiekłą nienawiścią. Choć nie był wcześniej miłośnikiem ksiąg i innych starożytności, całe dnie spędzał teraz na lekturze rodzinnych zapisek, pamiętników, ksiąg magicznych i kronik, nade wszystko pragnąc odnaleźć coś, co da mu władzę nad nieuchwytnym duchem.

Tak też wpadł na trop tajemnicy, która wstrząsnęła podstawami Polwyspu i zmiotła z powierzchni ziemi Principi dell'Arazzo.

Tygodnie płynęły nieprzerwanie, zamieniając się w miesiące, a starucha nadal uparcie czepiała się życia. Skryba, który ściągnął do Brionii w przekonaniu, że spędzi tu nie więcej niż kilkanaście dni, wystarczająco dużo, by zamienić parę słów ze światobliwą niewiastą i spisać świadectwa jej nabożnych czynów, popadał w coraz większą złość i rozgoryczenie. Wyznaczono mu komnatę tuż pod dachem, z dala od cel mniszek, i zamiast spać, nocami leżał nieruchomo, nasłuchując na dachu chróbotu stymfalid i harpii. Rankiem nie mógł zwleć się z łóżka, głowa ciążyła mu niezmiernie podczas posiłków, a w sercu budziło się zwątpienie i żal, że niepotrzebnie przybył do tego przekletego miejsca.

Jedynie spisywanie żywotu Luany szło dobrze, choć z każdym dniem coraz mniej przypominał on wymarzone przez skrybę dzieło. Tuż przed śmiercią umysł staruszki odzyskał, bowiem dawna bystrość. Co gorsza, odkąd nazwał ją wywłoką, przeorysza zapalała niezwykłą ciekawością do dzieła mnicha i codziennie kazała go sobie sprowadzać. Jeśli czuła się gorzej, przyjmowała go w swojej celi, nie podnosząc się z łóżka, wypytywała w nieskonńczoność o życie w klasztorach Costa dei Gabbiani i bez opamiętania dyktowała kolejne stronicę. Zabrakło na nich wszakże wspomnienia o jej zwyczajnych walkach z demonami czy też katalogu wyrzeczeń i miłosiernych uczynków, co mogłoby posłużyć w przyszłości za naukę młodym mniszkom. Nie, z nieodgadzionych powodów Luana postanowiła dyktować mu historie swego przekletego rodu oraz zdarzeń, które doprowadziły do zagłady Principi dell'Arazzo. Na początku każdego spotkania zadawała, by odczytał jej wczorajsza część, toteż chcąc nie chcąc, skryba zapisywał słowa, choć w duchu uważał je za bezbożne i

wszeteczne. Staral sie nie wypuszczać manuskryptu z rąk, aby nie znalazł go ktoś niepowołany i plugastwo nie rozpełzło się jeszcze szerzej. Nie mógł jednak spożywać posiłków z księżą pod pachą, zbyt wiele oczu go obserwowało w refektarzu, nie był, więc pewien, czy pod jego nieobecność nie dopadł jej jakiś sprytny kopista. Wszystko to przygotowało go o straszliwe meki i wyrzucał sobie, że oto przyczynia się do zachowania pamięci o świecie, który ze wszelkich miar powinien zostać zapomniany.

Kiedy już bez reszty podupadał na duchu, wybawienie przyszło z zupełnie nieoczekiwanej strony. W magicznej burzy, która rozpetała się po śmierci Principi dell'Arazzo zwycięskie demony, niszczył akwedukt doprowadzający do miasta wodę z górskich źródeł. Większość studni wykopanych za murami dla biedoty i marynarzy z portu, pokryły gruzy albo też ich wody zatechły i stały się niezdatne do picia. Przez długi czas nieliczni ocalali mieszkańcy chwytały w beczki deszczówkę i dopiero, kiedy powstał klasztor, Luana rozkazała wykopać na jego dziedzińcu nową studnię. Własną dłonią wskazała miejsce, gdzie należy to uczynić, a skoro robotnicy zeszli na odpowiednią głębokość, z dna trysnęła woda o słodkim, orzeźwiającym smaku i kryształowo czysta. Odtąd wszyscy, którzy tylko zapragnęli, mogli z niej czerpać do woli i o świecie wiele kobiet stało z dzbanami pod klasztornym murem, czekając na otwarcie wierzei.

Az pewnego ranka woda okazała się zatruta. Niewiasta, która zaczerpnęła jej jako pierwsza, upiła kilka łyków i padła martwa, zanim jeszcze wyszła z opactwa. Pospiesznie uczyniono próbe i napojono osła wozowody, który rozprowadzał pełne beczki po okolicy. Zwierze skonało, a studnię zabito natychmiast deskami, aby na nikogo więcej nie spadła zguby.

Mniszki zataiły nieszczęście przed opatkiem z leku, że zgryzota dodatkowo nadwzięła jej i tak słabe ciało. Jako że pora była sucha, kto tylko mógł, wyjechał do krewnych lub poprosił o gościnę w okolicznych monasterach. Dla pozostałych wodę sprowadzono na wozach z najbliższego źródła, które było oddalone o pół dnia drogi.

Skryba, który początkowo upatrywał w tym nieszczęsnym zdarzeniu widomego znaku gniewu Pana, po kilku dniach zrozumiał, że nadarza mu się wysmienita sposobność, by wreszcie uwolnić się od staruchy i jej obmierzłych wspomnień. Odczekał, aż siostra służebna wyjdzie na chwilę z komnaty, by zwilżyć ręcznik, którym ocierano twarz cierpiacej, i wówczas niezobowiązująco napomknął o trapiącym klasztor nieszczęściu. Na darmo jednak wyglądał w twarzy księżki oznak przestraszenia. Luana przyjęła nowinę tak obojętnie, że przelotnie pomyślał, iż zdrzemnęła się znowu i wcale go nie usłyszała. Ale kiedy służebnica wróciła, opatka otwarła swe niewidzące oczy i od razu wiedział, że stara strega znowu wywiodła go w pole.

–Woda w studni jest nieczysta, czy tak? – odezwiała się suchym, starczym głosem

**Luana.**

**Siostra rzuciła skrybie pełne wyrzutu spojrzenie.**

**–Tak, matko – odparła cicho. – Chcialysmy oszczędzić ci wiedzy o tej zgryzocie.**

**–Niepotrzebnie zgola. A teraz sprowadźcie mnie na dół. No, nie ociągaj się, dziecko – dorzuciła zdumiewająco różnym głosem. – Moje krzesło. Szybko!**

**Mniszka bez zwłoki podreptała w kat komnaty, gdzie stało wyscielane krzesło na kolkach, sporządzone specjalnie dla opatki przez rzemieślników z Brionii. Luana przywołała skrybę i z jego pomocą uniosła się z posłania. Jej palce zacisnęły się na jego ramieniu jak szpony i przez chwilę czuł kwasny, dławiaczy zapach choroby. Z trudem ukrył grymas obrzydzenia. Na szczęście dotyk nie trwał zbyt długo, zakonnica zaraz podtoczyła krzesło i mógł się bezpiecznie cofnąć do pulpitu, gdzie spoczywał cenny manuskrypt. Ale starucha od razu to spostrzegła.**

**–Ty także chodź z nami, braciszku.**

**Nienawidził, kiedy zwracała się do niego tym zdrobnieniem. Miał wrażenie, że z niego kpi.**

**–Przypatrzysz się – dodała – abys lepiej zdał świadectwo z naszych zajęć.**

**W ostrym, południowym słońcu mury klasztoru stały się nieomal białe. Przy studni nie było nikogo, ale na wieść, że przeorysza wyszła ze swej celi, mniszki zbiegły się z całego klasztoru, aby ją powitać. Od razu też na dziedzińcu skades zaroilo się od błagalników, w przeważającej części kobiet z dziećmi na ręku, które przybyły prosić o błogosławieństwo Luany. Laskawie dotykała ich drzącymi dłońmi, gładziła główki niemowląt i przygarniała, co większe dzieci, choć nawet skryba widział, że była już beżmiernie słaba. Wreszcie zdolali ją przepchnąć przez cizbę ku cembrowinie zakrytej grubą warstwą desek.**

**–Podnieście pokrywę – rozkazała Luana.**

**–Ależ, matko, woda jest nieczysta... – sprzeciwiła się słabo jedna z siostr.**

**–Dobrze, więc – opatka wymacała skraj wieka – sama to uczynie.**

**Spoza kobiet wysunął się mężczyzna z toporem na ramieniu.**

**Skryba rozpoznał w nim ogrodnika, który mieszkał w małym domku tuż przy klasztornym murze. Podobno niegdys był czarnoksiężnikiem i przybył tu prosić Luane, by odpuściła mu dawne zbrodnie, a kiedy z nią pomówił, postanowił na zawsze zostać. Jego obecność w żeńskim klasztorze napawała skrybę świętym**

oburzeniem, ale za życia przeoryszy nic nie mogli uczynić, szczególnie, że ogrodnik zdawał się z góry odgadnąć jej życzenia i od nikogo więcej nie przyjmował rozkazów.

Właściwie, pomyślał skryba, dziwna jest ta zazyłość sługi demonów i światobliwej niewiasty. Gdyby oboje byli młodszy, kto wie, co jeszcze mogłoby się zdarzyć...

Ogrodnik rzucił mu ironiczne spojrzenie, zupełnie jakby odczytał te myśli w jego umyśle, po czym odsunął go szorstko od studni. Choć już mocno starszy, wciąż był postawnym mężczyzną, a na jego nagich ramionach grały węzły mięśni. Spod topora posypały się jasne drzazgi, pryskając szeroko pomiędzy ludźmi.

–Dobrze – rzekła opatka, kiedy pokrywa została już rozrabana na części. – Teraz zaczerpnijcie wody.

Dwie mniszki spiesznie podpięły wiadro do kołowrotu, opuściły je na dno i zaraz wyciągnęły z powrotem. Woda była przejrzysta, słońce grało na jej powierzchni lśniącymi refleksami.

Luana pochyliła się nad naczyniem z perła w stulonych dłoniach, po czym z mówiła krótka modlitwa i zaczerpnęła wody.

–Matko! – wykrzyknęła ze strachem służebna mniszka.

Opatka powoli uniosła dłonie do ust. Woda przelewała się przez jej palce, sciekła po lancusku z perła na cembrowinę i do wnętrza studni. Luana tymczasem piła powoli, smakując każdy łyk.

–Jest dobra – oznajmiła spokojnie; na jej wargach i brodzie osychały krople. – Sami spróbujcie.

Skryba cofnął się odruchowo – kilka dni temu widział trupę kobiety, która zmarła od trucizny, zanim jeszcze zdążyła wyjść poza klasztorny mur – i żadna z mniszek nie kwapiła się usłuchać przeoryszy, więc ostatecznie ogrodnik napił się pierwszy. Luana nie czekała dłużej. Dała znak, aby odprowadzono ją do celi. Skryba ruszył jej śladem. Bez przykrości przyjąłby śmierć ogrodnika, lecz nie zamierzał tkwić w środku ludzkiej tłuszczu, kiedy, przerażona kolejnym zgonem, rzuci się na oslep do ucieczki.

Ale jeszcze w kruzgankach dobiegła ich nagła wrzawa i nie były to okrzyki trwogi.

–Cud! – wolano na dziedzińcu. – Mateczka Luana uczyniła cud!

Skryba spojrzał na nią niechętnie, szukając w twarzy opatki znaków triumfu. Nie odnalazł ich jednak. Krancowo wyczerpana, przeorysza przytknęła oczy i siedziała

bezwładnie, z głową opuszczoną na ramie. Na podolku, w zacisniętych palcach, wciąż trzymała perle i skryba pomyślał, że po jej śmierci kaze oprawić cudowny klejnot we wspaniały relikwiarz. Niech Brionia zachowa sobie doczesne szczątki opatki, nie dbał o nie. Lecz ta ogromna, przezroczysta perła była nie tylko znakiem Najwyższego, ale też obiektem jego szczególnych łask, należało, więc wywieźć ją z miasta czarodziejów w jakieś godniejsze miejsce, gdzie znajdzie stosowną oprawę i przyczyni nowych cudów. Uśmiechnął się do siebie. Jego ojczysty klasztor z pewnością chętnie przyjmie ów wyjątkowy przedmiot.

Luana rozwarła powieki.

– Nawet o tym nie myśl – ostrzegła, zazdrośnie zaciskając palce na perle. – Ta rzecz jest znakiem przymierza, które zawarłam dawno temu, i zabiorę ją ze sobą do grobu.

\*\*\*

Diamante stał bezradnie w deszczu, przyglądając się, jak ojciec kresli magiczne kregi wokół grobu Arachne. Już nie próbował go przekonywać, że wewnątrz jest jedynie trumna pełna ziemi, bo ciała Severa i jego ukochanej małżonki znikły w głębinie Golfo delle Lacrime. Rocco nie uwierzyłby w jego zapewnienia, najwyżej kazałby jednemu z golemów bić chłopca, póki ten nie zamilknie. Odkąd posel z Lirne z ledwie skrywanym śmiechem zagadnął władce, czy prawda jest, że w cytadeli załagł mu się wyjątkowo szkodliwy pasożyt, Rocco winił syna, że uczynił go obiektem powszechnych szyderstw, i bez opamiętania wymierzał mu kary. Diamante nauczył się z nieruchomą twarzą znosić kolejne wybuchy ojca, a teraz wołał moknąć, choćby do białego switu, niż otwarcie mu się przeciwstawić.

Dzisiaj Rocco był, bowiem w szczególnie złym nastroju, jak zwykle zresztą, kiedy musiał wezwać obcych magów, by wspomogli go w rzeczy, która opierała się jego zakleciom. Wypełnienie misji bynajmniej nie gwarantowało wdzięczności księcia i obaj hierofanci, pomagający mu wytyczyć kregi wokół mogiły, byli tego doskonale świadomi. Nawet, jeśli ich zaklęcia poskutkują, potężne monstra, służące od wieków księżetom Brionii, mogły ich rozszarpać, a ciała wrzucić w biegnące do portu kanały. Jednak niepowodzenie oznaczało pewną śmierć, trudzili się, zatem ile sił pod czujnym okiem lamii i harpii, które przyglądały im się z blanków najbliższej wieży.

Stojący obok chłopca golem westchnął chrapliwie, kiedy z twarzy spłynęła mu kolejna warstwa gliny. Czekali na deszczu już od wielu godzin, pilnując, aby nikt niepowołany nie zbliżył się do tego miejsca, i ich ciała zdążyły nasiaknąć wodą niby gąbki. Diamante z przerażeniem patrzył, jak rysy potworów rozmywają się, a zacisnięte na magicznych glówniach palce zmieniają się w bezkształtne bryły błota. Wcześniej nie zwracał uwagi na kruchość stworzeń Rocca, podobnie jak ojciec upajając się siłą, z jaką rozłupywały kamienne bloki i miażdżyły głowy nieprzyjaciół księcia. Teraz jednak nie potrafił zapomnieć słów Arachne i morderczego wdzięku

kekropsow, kiedy ukladaly sie wokol niej, nucac wezowe piesni. Owszem, dla odwiedzajacych cytadele golemy byly kolejnymi spomiedzy niezliczonych potworow, ktore stworzono dla wygody i obrony ksiazeczej rodziny – moze nieco bardziej topornymi i niezdarnymi od innych, ale przynależnymi temu miejscu jak wszystkie inne. Diamante jednak poznal nieuchwytnie znamie, jakie wyciskal na swoich dzielach Severo, i nie potrafil o nim zapomniec.

Jego ojciec nigdy nie oddalby czastki mocy, aby uczynic swe stworzenie doskonalszym czy chocby piekniejszym. Zadowolal sie prosta uzytecznoscia golemow, a zniszczone monstra wedle potrzeby zastepowal nowymi.

Chlopcu wydalo sie, ze jeden z potworow lypnal na niego znacząco slegiem zolтым jak siarka. Wyprostowal sie odruchowo i struzka dzdzu pociekla mu za kolnierz. Stojac dokladnie posrodku wyrysowanych znakow, z ramionami wzniesionymi ku deszczowemu niebu, Rocco dokonczyl wlasnie kolejna inkantacje. I znow nic sie nie stalo. Marmurowa plyta mogily ani drgnela i nigdzie nie bylo widac wzywanego ducha.

Dwaj hierofanci, mimowolni swiadkowie kleski ksiecia, milczeli ze wzrokiem uprzejmie zwroconym w bok. Procz nich i maga z synem na dziedzincu katedry nie bylo ni jednego czlowieka. Patriarcha, acz nie bez oporu, przychylil sie do prosb ksiecia, odeslal straznikow i nakazal mnichom, odprawiajacym az do switu modly przed oltarzem Najwyzszego, nie wychylac tej nocy nosa z dormitorium.

–Zawolaj to – wysyczal przez zeby Rocco.

Jego glos az wibrowal od furii.

–Wolalem – odparl cicho chlopiec.

–Wiec postaraj sie bardziej! – ryknal mag.

Przestraszone stymfalidy wzbily sie w powietrze i z trzepotem zatoczyly nad nimi krag. Pojedyncze zelazne piro upadlo tuz obok stop Rocca. Mag wzdrygnal sie i pogrozil piescia niezdarnemu ptaku.

–Przeciez ostrzegalem, ze Arachne nie ma w grobowcu, a jej moc nie siega poza mury cytadeli.

Ojciec z calej sily uderzyl go w twarz.

–Mowilem ci, abys nie nazywal tego jej imieniem. To tylko demon. Zwyczajny demon zeslany przez nikczemnikow, aby opetal kobiete, ktora byla matka naszego przodka.

Diamante zlizal z warg krew. Juz nie plakal. Przez ostatnie trzy miesiace

doswiadczył wielu takich nocy i wiele rozmow zakonczono biciem. Czasami myslal, ze pewnego dnia ojciec kaze go bezpowrotnie okaleczyc, a jednocześnie byl ciekaw, jak daleko sam moze sie posunac. Wczesniejszy strach zastapila jakas zapiekla niechec, ktora sklaniala chlopca, by draznil dume Rocca i prowokowal go do kolejnych kar. Nie przyjal tez dobrze najnowszego odkrycia ksiecia, choc przeczuwal, ze ojciec rowniez jest zmeczony walka i gdyby syn, chocby pozornie, dal wiare jego rewelacjom, w rodzinie zapanowalby kruchy, lecz wyteskniony przez domownikow rozejm. Diamante jednak nie potrafil sie ugiac, mimo ze widzial, jak bardzo szkodzi mu poglebiajaca sie z kazdym dniem niezgoda. Mial wrazenie, ze jesli uwierzy, pozwoli tym samym, aby ojciec ostatecznie odebral mu Arachne – tak samo, jak odebral mu poprzednio dzieciace zabawki, wieczory w komnacie matki, przejazdki na kucyku w otoczeniu synow dworzan i jeszcze wiele innych rzeczy, ktore uznano za niegodne ksiazecego dziedzica.

Spokojnie wysluchal, wiec opowiesci, ktora ojciec – nie bez satysfakcji – powtorzyl mu, kiedy wreszcie ze sterty ksiag i pergaminow wylowil wlasciwe wyjasnienie trapiacej ich plagi. Choc w Brionii okrutnie karano oszczerstwa wymierzone w ksiazeca rodzine, chlopiec juz wczesniej slyszal pogloski, jakoby Arachne zostala w istocie opetana przez demona. Pomiedzy wrogami Rocca bylo kilku minstreli, ktorzy skomponowali calkiem udane piesni, demonicznemu pochodzeniu przypisujac jego sklonnosc do okrucienstwa i przelewu krwi. Glosili, ze Severo ulegl wdziekom najpiekniejszej kobiety swoich czasow, spadkobierczyni rozlicznych sekretow magicznych, i pokonal wielu rywali w walce o jej reke. Z poczatku byli szczesliwi, gdyz Arachne prawdziwie pokochala swego meza-maga. Mimo to Severo, z natury nieufny, rychlo zaczal podejrzewac, ze jej przywiazanie jest jedynie pozorem, pod ktorym kryja sie falsz i wielkie niebezpieczenstwo na przyszosc. Poniewaz jednak nie chcial jej utracic, zwiazal ja z demonem, aby nigdy nie mogla od niego odejsc. Byly to calkiem ladne piosenki, Diamante nie raz slyszal, jak sluzace nuca je u studni, kiedy ochmistrzyni i kucharka odeszly wystarczajaco daleko.

Opowiesc Rocca byla jednak inna. Oto na wiesc, ze malzonka ksiecia Brionii spodziewa sie potomka, magowie z Centocchio postanowili go ugodzic jak najdotkliwiej, mszczac sie za proby podboju ich ojczystej ziemi. Jako ze w zaden sposob nie mogli zaszkodzic Severowi, ktory moca przewyzszal ich wszystkich, zamierzali jednoczesnie pozbawic go ukochanej i wytesknionego dziedzica. Przywolali demona, nedznego wyrzutka spomiedzy tych, ktore byly wczesniej spetane materia i po smierci maga nie zdolaly uciec z podksiezycowego swiata, po czym wyslali go do Brionii. Mial opetac Arachne, przyprawic ja o utrate zmyslow, aby zabila dziecko w swym lonie, potem zas rzucila sie ze skaly w blekitne morze.

Demona zamknieto w pudelku, a jeden z magow, utajony pod postacia zebraka, powedrowal z nim do Brionii. Tam ukryl go w ksiazecym ogrodzie we wnetrzu swiezej figi, dowiedzial sie, bowiem, ze ksiezna wlasnie te owoce szczegolnie ceni. Nikt nie spostrzegl pulapki i Arachne polknela wraz z figa demona. Ale kiedy w nocy siegnela



po sztylet, Severo ocknal sie i zdazyl ja powstrzymac. Az do switu walczył z demonem, nie mogl go, bowiem wypedzic ani zniszczyc, nie usmiercając zarazem zony i dziecka. Zdolal go jednak uspic i oblozyc zakleciami tak poteznymi, ze Arachne, kiedy obudzila sie o poranku, nie wiedziala nawet o jego istnieniu. Sam Severo wszakze nigdy nie przebaczył magom z Centocchio, ze powazyli sie zagrozić jego rodzinie i dlatego z tak wielkim uporem i okrucienstwem kontynuowal podboj ich ziemi. A demona, który stal sie narzedziem w tej zbrodni, za kare niewidzialnymi nicmi zaklec zwiatal z cytadela Brionii, aby po kres czasow nie opuscil tego miejsca.

Diamante nie uwierzył w ani jedno slowo ojca. Przez chwile podejrzewal nawet, ze Rocco wymyslil sobie cala te historie, aby go przerazic i odstreczyc od widmowej kobiety. Ale nie. Ksiuze wydawal sie szczerze uradowany, ze wreszcie znalazl wyjasnienie zjawiska, ktore dotad wymykalo sie jego poznaniu.

–Skoro to tylko zwyczajny demon – wycedzil chlopiec – dlaczego nie potrafisz go pochwycic? Wszak jestes ksieciem-magiem Brionii, zrodzonym z krwi Severa dziedzicem jego mocy i sekretow. Czyzby ostatecznie mial pokonac cie posledni demon, zbyt slaby, by uleciec ponad ksiezyc?

Hierofanci wymienili przerazone spojrzenia. Cokolwiek opetalo chlopaka, aby mowic w ten sposob z ojcem, nie chcieli uczestniczyc w jego szalenstwie.

–Nie prowokuj mnie, synu – Rocco znizyl glos do szeptu. – Sam sprowadziles na nas to nieszczescie, wiec teraz milcz. Trzeba ci bylo raczej zagladac sluzacym pod spodnice albo sprowadzic z miasta kurtyzane, zeby cie objasnila w sprawach przynaleznych mezczyznom. Ale skoro przedlozyles demona ponad rozkosze zywych kobiet, zadbam, abys dostal to samo, co mial niegdys Severo. Jutro rozkaze sprowadzic z klasztoru Luane.

Wesele Diamante szykowano pospiesznie, lecz z wystawnoscia niezwykla nawet w rodach magow, dla ktorych wszak niewiele rzeczy bylo niedostepnych. Rocco pchnal goncow, aby pospraszali gosci spomiedzy wszystkich panujacych rodzin, a narzeczona wezwano z klasztoru i umieszczono w Torre dei Leoni, starannie przepatrujac wszystkich, ktorzy ja odwiedzali. Sprowadzono tez szwaczki, kaletnikow, zlotmistrzow i kusnierzy, aby przyszykowali dla niej wyprawe, jakiej wczesniej nie ogladano na Polwyspie. Nie chcac, by podniosla sie wieśc, ze wydaje bratanice w jednej koszuli, ksiuze nie zalowal grosza, swiadom, iz wszystkie te wspanialosci ostatecznie i tak przypadna jego synowi. W warsztatach pod zamkiem grawerzy mozolnie ozdabiali inicjalami mlodej pary niezliczone kubki, miednice, wazy, dzbany, misy i talerze. Szlifierze przywracali blask starym klejnotom, a zlotnicy goraczkowo szykowali misterne cuda ze szlachetnego metalu i najkosztowniejzych kamieni: wszystkie one byly prawdziwe, nietkniete magia, aby nikt nie zarzucil Roccowi w tym niecodziennym dniu oszustwa. Mimo ze czasu pozostalo niewiele, tkaniny barwiono ultramaryna magow, najkosztowniejszym z barwnikow swiata,

ktorego wyrobem para sie tylko jeden rod. Od kupcow ze wschodu zakupiono bele jedwabiu na obicia, weselne bramy i zaslony, ktorymi zostanie przystrojona sala zaslubin – a byl to dowod niezwyklego bogactwa, jako ze Arimaspi zamkneli szlaki handlowe i bardzo nielicznym karawanom udawalo sie przebyc ich ziemie z cennym ladunkiem. Wszystko to mialo uswietnic zaslubiny i zamiec pamiec o nieslawnym duchu, który kolatal sie w korytarzach cytadeli.

Kiedy rzemieślnicy skonczyli, wyprawe Luany wystawiono na pokaz w niskich salach cytadeli i mieszkancy Brionii przybywali dumnie, by ja ogladac. Szczegolnie dziwowano sie malzenskiemu lozu, przyozdobionemu mahoniem oraz macica perlowa i rzezbionemu w winne grona, prastary motyw plodnosci i szczescia. Zachwyt budzily rowniez tkaniny, od stolowych plocien do najmniejszych chustek powleczone barwa magow, a takze kielichy z krysztalu przejrzystego jak woda. Na poduszkach ze zlotoglowiu umieszczono wyjatkowo kunsztowne klejnoty, a wsrod nich trzy korony – jedna z nich byla ozdobiona szafirami, druga lapis-lazuli, trzecia zas ametystami, aby jeszcze lepiej podkreslaly niezwykly blekit oczu Luany. Tuz za nimi rozwieszono jej stroje, w tym przepieknej urody suknie slubna wyszywana srebrna nicia i perlami, a tak ciezka, ze ledwie mozna ja bylo podniesc. Dalej byly plaszczce podbite sobolami, kapelusze przyozdobione ptasimi piorami, a nawet pantofelki o zawinietych noskach, na ktorych umocowano malenkie dzwoneczki.

Wiecezosc odwiedzajacych odchodzila z cytadeli zadziwiona i ukontentowana, bo wsrod owego niezwyklego przepychu bardzo latwo bylo zapomniec, ze narzeczona nie osiagnela jeszcze wieku stosownego do zamazpojscia i nie z wlasnej woli wstepuje w ow uswiecony zwiazek. Niektorzy tylko utrzymywali, ze Rocco umyslnie pyszni sie wspanialoscia wyprawy, chcac odwrocic uwage od szalenstwa swego dziedzica. Jednakowoz znaczna czesc mieszkancow Brionii radowala sie na nadchodzaca uroczystosc, tym bardziej, ze hierofanci nie urzadzili hucznych zaslubin Roccowi i jego bratu, totez od wielu lat w miescie nie swietowano malzenstwa ksiazat. Jesli nawet ktokolwiek wiedzial, ze narzeczona, ktora za niechetnym pozwoleniem wladcy zwykla, co dnia chadzac do katedry na nabozenstwo, przypadla patriarsze do nog i ze lzami w oczach blagala go, by ocalil ja przed niechcianym slubowaniem, uwazal jej zachowanie za kaprysy dziecka, ktore nie potrafi nalezycie ocenic spadajacego na nie zaszczytu.

Kiedy nastal dzien wesela, komnaty cytadeli wypelnily sie znakomitymi gosciami, a na dziedzincu przed katedra zgromadzilo sie tak wielu gapiow, ze drabanci musieli sila torowac droge dla orszaku panstwa mlodych. W mroku swiatyni nikt tez nie wiedzial, czy lzy, ktore poplynely z oczu Luany, kiedy Diamante wkladal jej na palec pierscien zaslubin, byly lzami szczescia czy rozpacz. Jednak widok tych dwojga dzieci, przybranych w blekit i srebro, zmieczył serca nawet najzacieklejszych nieprzyjaciol ksiecia i tego dnia mieszkancy Bronii zyczyli im jak najlepiej.

Nikt oczywiscie nie wiedzial, jaki los naszykowal dla nich Rocco.

**Mniszka obudziła go w środku nocy ze słowami:**

**–To już nie potrwa długo.**

**Ze strapienia w jej głosie wywnioskował, że sprawy pogorszyły się nagle, i nie ofuknął jej nawet, że śmiała wejść do jego komnaty. Odesłał ją na korytarz, ubrał się pośpiesznie i ruszył za przewodniczką. Kiedy mijali klasztorną kaplicę, dobiegł go przytłumiony szmer wielu głosów: mimo późnej pory zakonnice modliły się żarliwie o ocalenie swej mistrzyni. Sennosc i rozdrażnienie przeszły mu w jednej chwili. Wyprostował się, a manuskrypt przestał mu ciążyć. Najwyraźniej wyprawa do studni zaszkodziła opatce bardziej niż sadzono. A skoro tak się stało, zamierzał bardzo dokładnie przyjrzeć się ostatnim chwilom staruchy i na własne oczy ocenić, jakiej próby była jej nabożność. Wiedział, bowiem, że demony często dopiero u samego kresu życia przybywają do dłużnika po należną im zapłatę, a Luana, córka i narzeczona czarnoksiężnika, wydawała mu się skazona zakazanymi sztukami jak mało, kto.**

**Już od progu usłyszał jej chrapliwe rzezenie. Spoczywała na wysoko ułożonych poduszkach, a splecione na piersi ręce unosiły się wraz z nierównym oddechem. Rzadkie, siwe włosy pozlepił pot. Skryba pierwszy raz widział ją bez nakrycia głowy i zdziwiło go, że są obcięte tuż przy skórze.**

**Przyglądał się jej w mdłym świetle świecy, zastanawiając się, jak równie szkaradne stworzenie mogło kiedyś budzić podziw i pożądanie tak wielkie, że uczyniono ją narzeczoną ostatniego z Principi dell'Arazzo. Och, pamiętał, że największe znaczenie miała oczywiście krew czarnoksiężników, płynąca w jej żyłach, nieskazywane dziedzictwo Severa, który przed dwoma wiekami pokonał w Golfo delle Lacrime Arimaspi. Ale nawet później, kiedy została już pustelnica w ruinach katedry, krążyły rozmaite pogłoski o jej małżeństwie.**

**Wiedziano wszem i wobec, że magiczna burza, która zmiotła cytadela wraz z mieszkańcami, nastąpiła właśnie w noc zaślubin syna Rocca. Niektórzy upatrywali w niej kary za okrucieństwo, z jakim patriarcha i książe zmusili do małżeństwa dziewczynkę, która pragnęła służyć jedynie Najwyższemu. Młodzi nie mieli wiele czasu dla siebie, zresztą oboje byli dziećmi, zbyt małymi, by prawdziwie świętować swe zjednoczenie. Sama Luana, nagabywana w wiele lat później przez szarych braci, również poprzysięgła przed ołtarzem, że pozostała czysta, dlatego powszechnie nazywano ją narzeczoną, nie zaś zoną ostatniego z Principi dell'Arazzo.**

**Plotki jednak szerzyły się niestrudzenie nawet wtedy, gdy światobliwa księżniczka zasłynęła pierwszymi cudami. Głoszono, że Luana nie tylko bez żadnego oporu uległa Diamante, ale też wcześniej była kochanką jego ojca, który, uprzykrzywszy ją sobie po miesiącach rozpusty, przekazał ją synowi. Utrzymywano też, że jej niezwykła uroda zwabiła demona, który wielce ją sobie upodobał i rozjuszony owym**

malzenstwem, spuscil deszcz ognia na cytadele.

Skryba domyslal sie, ze pogloski owe rozsytaja sami czarodzieje, ktorzy niechetnym okiem spogladali na szerzacy sie na Polwyspie kult Luany. Nie bez przyczyny. Ksiezniczka, jak malo, kto doswiadczywszy niegodziwosci czarnoksiężników i furii demonow, nigdy nie przestala nawolywac, by porzucono magiczne kunszty. Jej nauki byly w tym wzgledzie zbieżne z doktryna szarych braci, ale skryba powatpiewal w ich szczerosc i w slowach Luany upatrywal rzadkiego wyrachowania. Kiedy sluchal jej wspomnien, coraz mocniej utwierdzal sie w przekonaniu, ze opatka w sercu przechowuje obraz miasta, jakim bylo w minionych czasach czarnoksiężników, i tylko je naprawde darzy miloscia. Wlasciwie nie bylo w tym nic dziwnego. Wiez, lacząca magow Brionii z ich ukochanym miastem, zawsze wykraczala poza zwykłe przywiazanie, a Luana nigdy nie przestala byc spadkobierczynia ostatniego z Principi dell'Arazzo.

Przeorysza poruszyla sie. Blysnela perla w jej zlozonych palcach.

–Diamante – odezwala sie opatka, z osobliwa tkliwoscia wymawiajac imie narzeczonego. – Moj biedny Diamante.

\*\*\*

Diamante w rozterce przygladal sie dziewczynce, swojej zonie. Teraz, kiedy sluzace odwinely welon, zdjely z jej ramion kunsztownie wyszywana suknie i uwolnily wlosy spod wysadzanej szafirami korony, wygladala jak male dziecko zagubione wsrod przepychu ich slubnej komnaty. Siedziala na skraju loza, a jej bosc stopy nie siegaly posadzki. Nie umial zgadnac, co mysli. Na twarzy wciaz miala maske z bielidla.

Owszem, widywali sie wczesniej, choc za zycia jej ojca Rocco nie mieszkal w cytadeli, tylko w letnim palacu nieopodal murow miejskich. Ale podczas rodzinnych spotkan i uroczystosci Diamante wolal sie bawic z kuzynami. Nie zwracal uwagi na ich mala siostrę, ktora z rzadka tylko pokazywala sie u boku matki. Nalezala do dziwnaczego swiata kobiet, gdzie nie istniaty ksiegi, muzyka ani magia.

–Nie boj sie – powiedzial, chcąc zagluszyć także swój strach. – Nie skrzywdze cie.

Luana poruszyla sie i na wpol rozpleciony warkocz opadl na ziemie. Kiedy sluzace ja rozbieraly, zobaczyl, ze jej jasne wlosy siegaja az do kolan. W milczeniu poddawala sie ich zabiegom i Diamante wyczuwal, ze jest u kresu sil. Juz wczesniej doszla go wieśc o walce, jaka Rocco stoczyl z jego kuzynka, zanim zmusil ja, by ulegla temu malzenstwu. Podobno przez dlugi czas trzymano ja w ciemnicy, glodząc do utraty sil i drecząc coraz bardziej wyszukanyimi grozbami. Byc moze, dlatego Diamante nie pozwolono jej wczesniej zobaczyc. Mogl podziwiac wszystkie skarby, ktore wniosla mu w posagu, ale sama Luane ujrzal dopiero w katedrze, u stopni oltarza.

**–Jestes synem swojego ojca – rzekla jasnym, dziewczecym glosem. – Nie chcialam cie.**

**Wystarczylo jej tak niewiele slow, aby go oszacowac i odrzucic raz na zawsze.**

**–Ja tez cie nie chcialem – odparl z uraza. – Zadnego z nas nie pytano o zdanie.**

**Odwrocila sie lekko ku niemu, oczy, obwiedzione czarna farbka, blysnely w bialej twarzy jak dwa blekitne klejnoty.**

**–Zamknij drzwi – poprosila.**

**–Sa zamkniete.**

**–Nie tak – ponaglila go niecierpliwie. – Zaprzyj je krzeslem.**

**Mial ochote rozesmiac sie, bo skoro sadzila, ze Rocca zdola powstrzymac pojedyncze krzeslo, doprawdy niewiele wiedziala o sprawach czarnoksiężników. Zaraz jednak uswiadomil sobie, ze ona nie przeczuwa jeszcze, co ja czeka. Dla niej noc poslubna byla ostateczna proba, na ktora szykowala sie przez wiele dni, a poniewaz ksiazce nadal nie zlamal jej ducha, zamierzala stawic mu czolo najmezej, jak potrafila. Z weselnej sali wciaz dochodzily odglosy zabawy i spodziewala sie zapewne, ze niebawem ksiazeta, a moze nawet patriarcha we wlasnej osobie, przybeda do komnaty, aby sprawdzic, czy malzenstwo zostalo nalezycie spelnione. Jesli zechca okazac delikatnosc, przysla jedynie jakas stateczna matrone, aby zebrala poscielowe plotna i wychyla pod drzwiami kielichy wina za szczesliwe poczenie nastepcy. Jezeli jednak Rocco zechce upokorzyc bratanice, pozostanie w tej komnacie az do switu, a Luana poznala go wystarczajaco dobrze, by nie oczekiwac zbytnej laskawosci.**

**Diamante, choc doskonale wiedzial, ze ta noc jest calkowicie pozbawiona znaczenia, nie chcial przerazac jej jeszcze bardziej. Dlatego z powaga na twarzy zaparl drzwi, ktorych nikt nie zamierzal forsowac, i nalozyl kapturek na glowe salamandry, sluzacej im za latarnie. Bestia prychnela z niechecia, lecz zaraz przycmila swiatelko.**

**–Spij teraz – zwrocil sie do Luany. – Nikt tu nie wejdzie.**

**Nie docenil jej jednak. Chwile jeszcze siedziala nieruchomo, jej ramiona drzaly lekko, jakby powstrzymywala lkanie, ale przemowila zdumiewajaco opanowanym glosem:**

**–Cos wiesz. Powiedz mi.**

**Zawahal sie. Byla od niego mlodsza i byla dziewczynka, powinien, wiec ja chronic**

przed strachem, skoro nie mogli uczynic dla niej nic wiecej.

Luana wyczula jego opor.

–Jestem silna. I chce wiedziec.

Powoli, urywanymi zdaniem opowiedzial jej o nocnych spotkaniach z widmowa kobieta, klotni z ojcem i obietnicy Rocca.

–Chce mnie opetac? – spytala Luana, kiedy skonczyl. – Na zawsze sprzegnac z demonem?

Spodziewal sie, ze wybuchnie placzem, jak jego matka, ktora na wiec, ze do cytadeli sprowadzono kolejna kurtyzane, wila sie na posadzce, zawodzac przerazliwie, drapiac twarz i wrywajac wlosy. Luana jednak nie poruszyla sie i jedynie palce, drgajace kurczowo na podolku, swiadczily, ze zrozumiala grozbe. Nieoczekiwanie zdjal go podziw dla tej jasnowlosej kuzynki, ktora nigdy wczesniej nie zaprzatala jego uwagi. Byc moze sprawilo to uwiezienie w klasztorze, zabojstwo ojca albo powolna smierc braci i matki, ale byla odporniejsza niz on na strach i knowania Rocca. Wydawala sie odmienna od kobiet z cytadeli, podobna raczej do jednej z owych swiatobliwych dziewic z drugiej strony morza, o ktorych czasami czytali mu mnisi i ktore bez leku stawialy czolo kaplanom Arimaspi. Gdyby tylko mogl, zatrzymalby ja przy sobie, poki oboje nie dorosna, a wowczas moze naprawde zapragnalby sie z nia ozenic.

Zastanawial sie, czy nie wyznac jej tego wszystkiego, ale zanadto sie wstydzil, wiec tylko usiadl obok na wielkim malzenskim lozu.

–Czy ta kobieta... Arachne... – odezwala sie z namyslem – uczynila ci kiedykolwiek krzywde?

–Nie. Dlaczego pytasz?

Uciszyla go krotkim zmarszczeniem brwi.

–Ty rowniez nie zdradziles jej przed ojcem, prawda?

Potrzasnal glowa.

–Wezwij ja, wiec – powiedziala, jakby byla to najzwyczajniejsza, najbardziej oczywista rzecz pod sloncem.

Nie mogl jej ofiarowac nawet krztyny nadziei.

–Ojciec po wielekroc kazal mi ja przywolywac, ale nigdy nie przyszla.

**Dziewczynka obrocila sie ku niemu.**

**–Ale tym razem przyzwij ja dla nas. Na pewno przybedzie.**

**–Nie boisz sie, ze jest demonem, jak twierdzi ojciec? – zapytal, bo wiele slyszal o poboznosci Luany i o tym, ze pragnela pozostac w klasztorze, a mnisi nienawidzili przeciez demonow, nazywajac je najgorszymi nieprzyjaciolmi rodzaju ludzkiego.**

**–Demony nie moga nam uczynic nic, na co nie przyzwolimy – odpowiedziala stanowczo. – Bardziej lekam sie ludzi. Poza tym nikt inny nie zechce nam pomoc.**

**Powatpiewal, czy duch okaze sie wystarczajaca pomoca, ponadto nie umial oszacowac, jakimi zakleciaми i magicznymi pulapkami Rocco naszpikowal te komnate. Byc moze ojciec przewidzial nawet, ze wbrew wszelkiemu rozsadkowi syn zechce tej ostatniej nocy uratowac narzeczona i czekal tuz za drzwiami na przybycie zjawy.**

**Luana jednak spogladala na niego z taka pewnoscia w blekitnych oczach, ze nie mial serca jej odmowic. Westchnal gleboko i szeptem wypowiedzial imie swojej przyjaciolki:**

**–Arachne...**

**Plomienie swiec zalopotaly, poruszone niewyczuwalnym wichrem, i duch pojawil sie natychmiast po przeciwleglej stronie komnaty, w ciemnej wnece u okna. Dziewczynka drgnela nerwowo i jej palce zacisnely sie na dloni Diamante, gdy Arachne sunela ku nim po dywanie utkanym w blekitno-zloty wzor. Jej policzki byly blade, lecz piers poruszala sie w oddechu, rude wlosy falowaly przy kazdym kroku – wygladalaby jak zywa kobieta, gdyby jej bosc stopy nie przechodzily na skros przez nogi kandelabrow i kosze kwiatow, ktore rozstawiono w komnacie.**

**Przystanela kilka krokow przed lozem, nie spuszczajac oczu z dziewczynki. Diamante otworzyl usta, aby przedstawic kuzynke, ale ta uprzedzila go. Zeskoczyla z lozka i wykonala formalny uklon, jak przed kims niezrownanie przewyzzajacym ja godnoscia i urodzeniem. Byl to osobliwy widok, poniewaz ksiezniczki z rodu Severa przed nikim nie klonily sie az do ziemi i nikogo nie uznawaly za lepszego od siebie.**

**–Jestem Luana di Brionia – dziewczynka wymawiala slowa z taka starannoscia, jak gdyby w l'Azzurro przemawiala przed calym dworem – i skoro Rocco nie mogl cie pochwycic ani ukarac w zaden inny sposob, postanowil splesc mnie z demonem, podobnie jak z toba niegdyś uczynili nieprzyjaciele naszego rodu.**

**–Moze nie zdola tego zrobic – wtracil niepewnie Diamante. – Mnisi groza anatema kazdemu, kto bedzie sie paral opetaniem. Nadto to trudne czary i nie probowano ich na Polwyspie od wielu lat.**

**One jednak nadal mierzyły się wzrokiem.**

**–Ach, tak – odezwiała się płaskim głosem Arachne. – Wiec postanowili cie oddać demonowi.**

**–Ale to, co dla ciebie trwało jedna noc, dla mnie ma trwać całe życie. Nie potrafisz nawet pojąć, co mnie czeka.**

**Widmowa kobieta rozesmiała się chrapliwie.**

**–Mylisz się, dziecko. Spomiedzy wszystkich ja potrafię najlepiej to zrozumieć, choć tobie uczynia to dla kaprysu, mnie zaś...**

**Wyczuł w jej głosie coś, czego nie było w nim nigdy wcześniej. Rozpacz.**

**–Pani? – ponagliła ją Luana.**

**Arachne uniosła głowę. W jej oczach odbijały się płomienie świec.**

**–Z miłości – dokonczyła miękko. – Mnie uczyniono to z miłości.**

**Diamante chciał się odezwać, bo jeśli nawet Rocco miał racje i magowie z Centocchio wysłali po nią demona, te słowa były pozbawione sensu. Ale nagle zdał sobie sprawę, że dwie kobiety, jedna u progu życia, druga poza jego kresem, mówią tylko ze sobą i żadna z nich go nie potrzebuje.**

**–Jak to możliwe? – spytała dziewczynka.**

**–Po prostu. – Arachne opuściła na moment powieki. – Pragnęłam śmierci Severa, więc przyszedłam do ogrodów Palazzo Ducale, aby go zabić i raz na zawsze uwolnić Brionie spod władzy magów. Nie przewidziałam, że zatancy ze mną jeden raz i oboje zagubimy się w tym tańcu na zawsze. Czasami tak się zdarza – dodała cicho. – Bez powodu, choć magowie twierdzą, że magia w naszej krwi ciąży ku sobie, byśmy dokonywali właściwych wyborów, a mnisi opowiadają baśnie o tym, że tuż po stworzeniu świata nie było kobiet i mężczyzn, tylko idealne istoty, które rozcięto na pół i rozdzielono, by do końca czasu poszukiwały swego dopełnienia. Ale to nieprawda. Pewne rzeczy się dzieją bez powodu i można zatracić się bezpowrotnie w jednym tańcu.**

**Chłopiec skinął głową. Oczywiście znalazł opowieść o tym, jak Severo po raz pierwszy zobaczył Arachne i wybrał ją spośród wszystkich kobiet Brionii. Nie było w tej historii życzenia śmierci, lecz podobne rzeczy się zdarzały pomiędzy książkami. Nie dziwiło go nawet, że Severo wybaczył żonie. Mnisi powtarzali niestrudzenie, że kobiety są ułomnymi, podległymi uludzie stworzeniami, które należy chronić przed ich własną naturą. Gdyby tej nocy Luana zagroziła mu nagim ostrzem, wyjąłby noż z**



jej dłoni i nigdy nie opowiedział o tym nikomu.

–Tak, wybaczył mi życzenie śmierci. – Arachne usmiechnęła się i miał wrażenie, że kobieta słyszy jego myśli, jakby wypowiadał je na głos. – Ale nie mógł złamać prawa, którego był panem i sługą jednocześnie, a ja utkałam płaszcz, siedem płaszczy, z których każdy był kryjówką demona.

–Uwiezilas demony? – spytał z niedowierzaniem, bo przecież nawet Sirocco, która była strega, nie dokonała podobnej sztuki.

Zadna z kobiet nie odwróciła się do niego.

–Wedle prawa – odezwała się cicho Luana – powinni ci ukamienować przed świątynią, a potem wyjąć martwe ciało i ukamienować je jeszcze raz, i na nowo, poki nie otrzymasz kary za każdego z demonów. Jeśli książe chciał okazać łaskę, mógł podarować ci szybka, łatwa śmierć, nie więcej.

–Nieprawda! – wykrzyknął Diamante, nieswiadom, że podnosi głos i może sprowadzić do komnaty strażników. – Mogł ci ukryć i jeszcze tego samego dnia pożegłować na południe, na same kręce Arcipelago della Rugiada Rossa, gdzie nie sięga władza magów i gdzie nie mieszka nikt, prócz dzikich bestii. Ja bym tak uczynił!

Teraz popatrzyły na niego obie – Arachne z czułością, Luana ze zdumieniem – a potem widział poprzez grubą warstwę bielidla, jak zmienia się wyraz jej twarzy, aż stała się lustrzanym odbiciem oblicza Arachne.

–Moje kochanie – powiedziała miękko starsza kobieta. – Ale Severo nie był toba i wiedział, że każdy dzień przybliża go do Golfo delle Lacrime. Gdyby odszedł, Arimaspi pochłonięłyby Polwysep jak spragniony osusza bukłak wina. Dlatego nie złamał prawa i pozwolił, abym umarła, bo to się przecież stało w tamtej chwili, kiedy oddał mnie demonowi. Ale zrobił coś jeszcze... – Przymknęła oczy. – Zmodyfikował zaklęcie i na jedną noc w roku uwalniał mnie spod władzy demona.

Luana wydała dziwny zdławiony dźwięk – okrzyk przestraszenia albo szloch – ale Diamante był zbyt zdumiony postępkami maga, by się nad tym zastanawiać.

–Dlaczego? – zapytał.

–Nie zrozumiesz, skarbie – odparła. – Jeszcze nie teraz. Może zdołalbyś pojąć za wiele lat. Może nigdy.

–Wytłumacz, więc nam. – Luana przysunęła się bliżej do chłopca.

Objął ją i tym razem nie odrzuciła go, choć kiedy w kościele podał jej ramię,

odwrocila sie od niego pospiesznie i niemal upadla w sukni ciezkiej od klejnotow i srebra.

–W tamtych czasach zdarzalo sie, ze magowie laczyli swoje kobiety z demonami, jesli chcieli byc pewni ich wiernosci i posluszenstwa, albo po prostu woleli je ukszaltowac wedle swej woli niz zdac sie na kaprysy zywej istoty. Gdyby tak uczynil, moze po pewnym czasie Severo zapomnialby, kim bylam. Poniewaz jednak prosilam go, by pamietal, i poniewaz chcial widziec rzeczy takimi, jakimi byly naprawde, pozostawil te jedna noc, aby przypominala mu, jaka cena oplacil walke z Arimaspi.

Luana drgnela. Na kominku plonal ogien, lecz w komnacie robilo sie coraz zimniej, a cienka plocienna koszula nie chronila przed chlodem.

–Czy bylo warto?

–Zwyciezyl – odparla po prostu Arachne. – Wierzyl, ze obdarowano go magia po to, aby ich pokonal, i wszystkie inne czyny byly dla niego jedynie pochodna tej pierwszej i najwazniejszej powinności. Ale kiedy powinność ustala... uwolnil mnie.

–Zatem jednak nie umarl z reki demona? – odezwal sie Diamante.

Arachne chyba go nie uslyszala.

–Demon moze wypelnic trzy zyczenia wykraczajace poza nature tego, czym go uczyniono. Severo zrazu poprosil, aby demon chronil nasze dzieci, i wowczas utkalam dla niego gobelin. Potem nakazal, aby demon pokonal dla niego Arimaspi i ognista burza pochlonela ich statki. Na koniec zas, kiedy pozostalismsy sami w Golfo delle Lacrime, polecil mu spelnic moje zyczenie. I wtedy demon go zabil.

–Jak to? – Luana poderwala sie z loza i wyciagnela rece ku duchowi, ale jej palce przeszly przez widmowa postac jak przez dym.

–Z takim zyczeniem przyszlam do niego pierwszy raz – po twarzy Arachne plynely lzy – i widac w sercu uznal je za usprawiedliwione. Magowie sa surowymi ludzmi, takze dla siebie, i niewiele wiedza o milosierdziu.

Wiele slow zapisano na pergaminie i w kamieniu o snach ludzi opetanych przez demona. Czy powracaja w nich do dawnego zycia, w nieskonczonosc odtwarzajac minione dni? Czy moze wszystko, co nastapilo po zespoleniu z demonem, wydaje im sie dziwne i nierealne jak sen, poniewaz umysl broni sie przed wiedza, ktora jest zbyt przerazajaca? Czy tez w snach zwiduje im sie zycie, ktore nieodwracalnie utracili, kiedy los postawil na ich drodze demona? Nikt jednak nie zastanawial sie, o czym snia demony.

**Luana umilkła i skryba odłożył kartę. Nie pojmował, dlaczego w godzinie śmierci jej umysł skłonił się ku najnikczemniejszemu z czynów czarnoksiężników – opętaniu, zespoleniu żywego człowieka z potępionym duchem. Był zbyt zdumiony, by protestować. Jak oczadziały, zapisywał słowa, zamiast uswiadomić jej niestosowność tych roztrząsań w ustach umierającej mniszki. Na szczęście osłabła tak dalece, że zdołała wycharczec jedynie kilka zdań, ale i tak śmiertelnie przeraziła czuwające przy niej zakonnice.**

**Teraz leżała jak martwa, wbijając ślepe oczy w mrok, choć jej piers nadal unosiła się w nieregularnym oddechu i polyskiwał lancuszek perły w zacisniętych palcach.**

**Siostra służebna pochylila się i odwracając zapłakana twarz, delikatnie otarła czoło konającej. Luana poruszyła się.**

**–Nie lekam się – powiedziała z trudem. – To tylko jeden krok w ciemność, nic więcej.**

**Po czym położyła zimną dłoń na jej ramieniu i umarła.**

**\*\*\***

Miał tak wiele pytań, więcej, niż zdołałby wypowiedzieć w tę noc, a może nawet przez wiele nocy, póki nie zestarzeje się wystarczająco, by ogarnąć całą tę niepojętą, okrutną opowieść. Ale Luana znów udało się go zaskoczyć. Zdumiewająco szybko otarła z twarzy łzy i resztki bielidła.

–Czy zdołasz powstrzymać potwory?

Zjawia skinęła głową.

–Póki jestem z wami, kęropsi nie będą was niepokoić. Dziewczynka poderwała się z łóżka i zrzuciła długą białą koszulę. Szybko odwróciła się tyłem, ale Diamante przez moment widział jej jasne, wciąż niedojrzałe ciało.

–Musimy spróbować – rzekła, wciągając przez głowę skromną, niebieską suknię, w której miała o poranku przyjmować życzenia weselnych gości.

–Dokąd chcesz uciec? – spytał ze zdumieniem. – Przedziej czy później Rocco odnajdzie nas, jeśli zaś sam nie zdoła, demony przetrząsną dla niego wszystkie miejsca w cytadeli.

Luana popatrzyła na niego wielkimi, poważnymi oczami.

–Proszę tych, do których nie zdołają wejść.

Zrozumiał natychmiast.

–Chcesz się ukryć w katedrze? Przecież patriarcha już raz nie dał ci schronienia.

–Powiedział, że nie postąpi wbrew woli mojego opiekuna – i dziewczynka przygryzła wargę – choć bardzo dobrze wiedział, że Rocco zamordował jego ojca i co zamierza mu uczynić. Ale... – rzuciła mu badawcze spojrzenie – Rocco nie jest dla mnie moim opiekunem i jeśli oboje schronimy się w katedrze, prosząc o azyl, patriarcha nie będzie mógł nam odmówić w obliczu tych wszystkich książąt, którzy zjechali na nasze wesele.

Diamante pobałdł na twarzy, kiedy ogarnął rozmiar nieposłuszeństwa, o które prosiła. Chciał jej powiedzieć, że ojciec nie puści płazem zniewagi, jeśli osmieści go przed wszystkimi panami Polwyspu, i dostanie ich, choćby miał kamień po kamieniu rozebrać świątynię. Potem jednak przypomniał sobie, co Rocco obiecał zrobić z Luana, a własne wymówki czy leki wydały mu się dziwnie niestosowne. Przelknął ślinę, zbierając całą swoją odwagę.

–Dobrze – postanowił. – Zrobimy to.

Luana, która wysypywała ze szkatułek klejnoty i zbierała je w dużej, błękitnej chustce,

**zamarla w pol ruchu i garsc perel wysypala sie z jej dloni.**

**–Naprawde? – zapytala, a jej glos nie przypominal juz napietej cieciwy, byl po prostu glosem przerazonej dziewczynki. – Naprawde zrobisz to dla mnie?**

**Uprzytomnil sobie, czym musialy byc dla niej ostatnie miesiace, po tym jak zamordowano jej ojca i wygnano ja z pelnej przepychu i dziwow cytadeli do surowego klasztoru, gdzie kolejno tracila bliskich, az wreszcie znalazla sie pod piecza przeoryszy, ktora bez skrupulow wydala ja mordercy ojca. I w dziwnym przeczuciu -bo przeciez byl jeszcze zbyt mlody, by to ocenic – zdumial sie, jak niezwykla kobieta stanie sie w przyszlosci ta jego kuzynka-zona, ktorej wczesniej wcale nie pragnal dla siebie. Teraz zas bynajmniej nie byl pewien, czy chce, zeby obleczono ja w zakonne suknie i ucieto tuz przy skorze jasne wlosy. Jednak nawet to wydawalo sie lepsze, niz gdyby miala zostac opetana dla kaprysu Rocca.**

**–Oczywiscie – odpowiedzial. – Nie boj sie. Nie pozwole cie skrzywdzic.**

**I przez chwile naprawde w to wierzył, zapatrzony w jej twarz, zeszlone nagle oczy i lzy, ktore poplynely po policzkach.**

**–Nie wydstaniecie sie z twierdzy – odezwała sie cicho Arachne. – Jedyne przejście prowadzi przez kruzganek przy biesiadnej sali i Rocco bez watpienia was spostrzeze.**

**–Musimy, chociaz sprobowac – rzekl chlopiec.**

**Ale oczywiscie to widmo mialo racje.**

**\*\*\***

**Oboje byli dziecmi czarnoksieznikow, wychowanymi posrodku brionskiej cytadeli, gdzie wciaz trwaly okruchy najczystszej starej magii, nawykli, wiec do najdziwniejszych monstrow i demonow o ksztaltach, jakich nie ogladano nigdzie indziej. Ale nawet ich zadziwil zastep straznikow, ktorych Rocco postawil tej nocy pod drzwiami ich slubnej komnaty. Kiedy tuz za progiem z jednej z krokwi oderwal sie nietoperz o purpurowych skrzydlach i twarzy niemowlecia, Luana ze stlumionym okrzykiem chwycila Diamante za reke i nie wypuszczala jego palcow, kiedy ostroznie schodzili po schodach, mijajac coraz osobliwsze potwory. Chlopcu wydawalo sie, ze lkala cicho, gdy lamie wychylaly sie spomiedzy kobiercow i wplataly palce w jej wlosy, a chimery ocieraly im sie o lydki, jak psy skomlac z cicha o kes strawy. Nie zatrzymala sie jednak. Oboje szli wytrwale za widmowa postacia Arachne, a salamandry rozpalaly przed nimi latarenki, oswietlajac droge, dopoki nie dotarli wreszcie na balkon, wysoko pod stropem biesiadnej sali, gdzie w najlepsze swietowano ich wesele.**

**Rocco spostrzegl ich od razu. Moze pomogl mu w tym sprytny strazniczy demon,**

odporny na moc Arachne, a może księżę miał jednak wystarczająco dużo czarnej mocy, by wyczuć ich obecność. Wściekłość ogarnęła go natychmiast. Nie tracił czasu na zbędne ostrzeżenia, pochwycił szczerzoty puchar, którym spełniał toasty, i cisnął nim przez całą szerokość sali. Naczynie o włos minęło głowę Luany i odbiło się od trzonu kolumny, znacząc marmur czerwonymi plamami wina.

–Dokąd to? – ryknął Rocco. – Dokąd się, szczerki, wybieracie?

Muzyka zgasła w okamgnieniu, a goście zamarli przy stolach, jakby rzucono na nich jeden z tych czarów, o których śpiewają bardzi. Wszyscy spoglądali wysoko, na dwojkę dzieci stojących na skraju balkonu, tuż pod powalą sali.

Luana w milczeniu przywarła do ramienia chłopca, ale Diamante również nie potrafił wykrztusić ani słowa z zacisniętej krtani. Na widok ojca przysła całą odwagę syna. Zamiast myśleć o ucieczce – z balkonu biegło, bowiem dwoje schodów, które prowadziły do sali biesiadnej, drugie zaś na długi wewnętrzny dziedziniec, który kończył się przejściem na plac przed świątynią – wbijał wzrok w Rocca, w tym samym bezmyślnym zauroczeniu, w jakim ptak obserwuje wezła, który za chwilę go pozre.

Wtedy Arachne, dotychczas ukryta w cieniu za kolumną, wysunęła się przed nich i stanęła pomiędzy lukami arkad na brzegu balkonu. W rzeszycie oświetlonej sali jej postać była bladejsza niż zwykle, lecz wyraźna, a błękitne oczy paliły magią.

–Splugawiles to miejsce – powiedziała cicho, lecz jej głos rozszedł się po najdalsze brzegi komnaty. – Nie jesteś godzien naszego dziedzictwa.

–Jakiego dziedzictwa, demonie? – zarechotał Rocco, świadom, że oczy wszystkich są zwrócone na niego i widmowa kobieta, a losy jego przyszłych rządów zależą od tego, które z nich wygra w tym starciu.

Arachne bez słowa wyciągnęła dłoń ku gobelinowi, który rozpostarto na ścianie u szczytu stołu, za plecami księcia. Tkanina zafalowała nieznacznie. Smok i lwy zdawały się unosić głowy, by spojrzeć na nią żółtymi ślepiami, purpurowo-żółte skrzydła gryfów drżały, jakby za chwilę miały wzlecieć w powietrze. Goście, zafascynowani, spoglądali na materię, która mieniła się przed ich oczami jak żywa istota.

Rocco był wystarczająco długo księciem Brionii, by wiedzieć, że oto cienka nitka władzy zaczęła wiotczec i wysmykiwać mu się z palców, a lada chwila całkowicie się zerwie. Może była to czysta uluda, ale gobelin sprawiał wrażenie, jak gdyby utkane z barwnych nici bestie mogły na rozkaz widmowej kobiety wyjść z osnowy i rzucić mu się do gardła. Miał tylko krótką chwilę, aby zatrzeć to wrażenie w umysłach gości i

rozumiał wysmienicie, że musi jeszcze bardziej przykuc ich uwagę, zadziwić albo przerazić, ale w każdym razie przekonać, że nadal jest prawowitym władcą we własnym domu.

Uczył, więc pierwszą rzecz, która przyszła mu do głowy, a była wystarczająco szalona, by wstrzasnąć nawet księżętami-magami. Pochwycił sztylet, który zawsze nosił u pasa i którym niegdyś ugodził w bok swego brata, i wbił go w środek gobelinu. Ktoś krzyknął zdławionym głosem, gdy osłona pękła z trzaskiem, a tkanina rozdarła się na dwie części. Smok, lwy i gryfy wyglądały znowu jak zwyczajne obrazy na płótnie, lecz w chwili później ich barwy zaczęły gasnąć, kształty rozmyły się, zmieniając w bezkształtne plamy. Z delikatnym chrzestem nici rwały się, osypywały na posadzkę, aż wreszcie na ścianie została tylko rama.

Diamante przyglądał się temu ze zgrozą i oszłomieniem, niezdolny postąpić krok naprzód. Dopiero Luana pociągnęła go za rękaw.

–Jeśli teraz nie uciekniemy, nie wymkniemy się przez całe życie.

Co się pognali ku schodom, lecz z tyłu dobiegł go jeszcze głos Arachne:

–Jestes głupcem.

Chciał się obejrzeć, ale Luana nie zwalniała, więc biegł najszybciej jak potrafił w dół po stopniach aż na dziedziniec. Starł się nie myśleć zbyt wiele o spiszowych lucznikach, najpiękniejszym spośród dzieł jego pradziada, których rozmieszczono na szczytach kolumn. Widział kiedyś, jak rzeźby ożyły na rozkaz Rocca, gdy zabójca, który próbował go zasztyletować, wyrwał się z rąk strażników i uciekał do świątyni. Rocco dał znak i metalowe ciała luczników poruszyły się, jak gdyby pod cienką warstwą spizu kryły się prawdziwe mięśnie i ścięgna. Choć ich oczy nie drgnęły nawet, zanim skrytobójca zrobił kilka kroków, naszpikowali go strzałami jak jeża.

–Uciekajcie. – Arachne jakimś sposobem znalazła się tuż przy nich. – Czas dobiega kresu.

W tej samej chwili na galerii pojawił się Rocco.

–Zatrzymajcie się!

Władca Brionii przechylał się przez balustradę, a w jego reku Diamante dostrzegł srebrzysty gwizdek, którego głos ożywił luczników. Goście weselni, magowie i księżęta ze wszystkich stron Polwyspu, również wspieśli się na galerię, obserwując teraz z wysoką wydatnością na dziedzińcu. Każdy z nich doskonale rozumiał, że oto syn i spadkobierca najpotężniejszego z panów Polwyspu otwarcie przeciwstawia się jego woli. Rocco uczynił, więc to, co musiał. Zagwizdał.

**–Jesli ktoreś z was pojdzie o krok dalej, lucznicy raz na zawsze naucza was posluszenstwa.**

**Kronikarze powszechnie zgadzali się później, że dając znak posagom, nie przewidział w istocie tego, co nastąpi. Chciał jedynie nastraszyć syna i skłonić go, by wyrzekł się bezrozumnego oporu. Tak się jednak nie stało.**

**Diamante popatrzył na ojca. Luana szarpnęła go za ramię.**

**–Nie słuchaj go!**

**Niepewny, jak dalej postąpić, chłopiec chciał odwrócić się ku widmu. I potknął się.**

**Arachne próbowała go pochwycić. Na darmo – jej palce przeszły na wylot przez jego ciało. Diamante jeszcze przez moment młócił ramionami powietrze w rozpaczliwej próbie odzyskania równowagi. Po czym przewrócił się, ostatecznie i nieodwołalnie przekraczając naznaczoną przez ojca linię.**

**–Nie! – Arachne rzuciła się, by zasłonić go przed lucznikami.**

**–Nie! – zawtorował jej z rozpaczą Rocco i ich głosy zlały się w jedno.**

**Ale było za późno. Lucznicy wystrzelili, z całą celnością i mocą, do jakiej ich stworzono.**

**Pierwsza strzala ugodziła Diamante w pierś. Siła uderzenia okreciła go i przez chwilę ojciec widział oczy syna, szeroko rozwarte ze zdumienia, ale następne strzały już spadały z wysoko, jedna za drugą, nawet wówczas, kiedy leżał już nieruchomo na piasku. Przeszywały widmowa postać Arachne i ni odrobiny nie ustając w pedzie, wchodziły w ciało chłopca, póki ostatni z luczników nie zwolnił ciecwiwy. Skoro raz wydano rozkaz, nic nie mogło ich powstrzymać.**

**Arachne upadła na kolana przy martwym dziecku i płakała z głową pochyloną nisko przy ziemi, a nitki krwi coraz liczniej spływały ku niej po jasnym piasku. Luana niczym skamieniała patrzyła, jak wnikają w ciało widma i gina bez śladu. Brzeg sukni zjawy zabarwił się krwią, a czerwien pelzła wyżej poprzez tkaninę, aż powlokła ją cała. Dziewczynka ze strachem wyciągnęła dłoń i cofnęła ją zaraz, czując żar. Nie pojmowała, co się dzieje. Strutki krwi poczerniały i unosił się z nich gryzący dym, aż w końcu jak ciemna chmura przesłonił dziedziniec. Tylko postać zony Severa polyskiwała w nim coraz jasniej.**

**–Arachne? – odezwała się ze strachem Luana.**

**Duch podniósł głowę, wyprostował się powoli i odsunął od Diamante. Po jego włosach pelgały drobne ogniki, a twarz była jedną tafelą ognia.**



**–Teraz pamietam – widmo przemowilo glosem, ktorego dziewczynka nie slyszala nigdy wczesniej.**

**Luana az sie wzdrygnela, widzac, jak rysy Arachne splywaja z twarzy tamtej istoty, a jej postac rozmywa sie i poteznieje, poki nie stala sie podobna do kolumny ognia. Chciala uciekac, ale dym spowijal ja jak gesty, czarny calun i nie pozwalal sie cofnac ani o krok.**

**–Nie boj sie – rzekla postac z plomieni. – Nie uczynie ci krzywdy.**

**–Czym ty jestes? – spytala przerazona dziewczynka. – Czym jestes?**

**–Nie mam imienia – odparl ogien. – Nie w waszym jezyku i nie po tym, jak mag sciagnal mnie z ponadksiezycowego nieba, aby na zawsze splatac mnie z kobieta, ktorej pragnal.**

**Dziewczynka zakryla dlonia usta, by powstrzymac okrzyk grozy. Rozmawiala z demonem, nieskrepowanym duchem ognia, ktory by ich omamic, przybral ksztalt martwej kobiety. W wiele lat pozniej uslyszala od mnichow bieglych w pismach teologow, ze nawet kilka slow wymienionych z demonem moze przywiesc do zguby smiertelnego czlowieka. Nie sadzila jednak, aby mezowie uczeni w pismie naprawde wiedzieli, o czym mowia – zaden z nich nie spotkal nigdy wolnego demona przyobleczonego jedynie w ogien, gdyz w swej prawdziwej formie nie moglby sie zatrzymac w pod-ksiezycowym swiecie. Nawet swieci, ktorzy zwyciezali potwory i poskramiali demony, w istocie zmagali sie jedynie z poslednimi duchami, na dodatek oszolomionymi niewola i wciaz skazonymi materia narzucona im przez magow.**

**Z nia bylo inaczej. Nie probowala walczyc. Zreszta, jak mialaby poskromic demona, ktory byl najpotezniejszy sposrod duchow Severa i pokonal dla niego dziesiata czesc armii Arimaspi. Owszem, wiedziala, ze skoro Severo zdolal go kiedys zwabic do podksiezycowego swiata i okielznac, istnialo zaklecie zdolne na nowo odebrac mu wolnosc. Rocco mogl je znac i obrocic na swoja korzysc. Luana nie byla jednak pewna, czy woli zdac sie na laske stryja, czy tez pozostac w mocy demona.**

**–Spalem i snilem zbyt dlugo – ciagnal demon, bardziej do siebie niz do Luany. – Nie sadzilem, ze istnieja tak glebokie sny.**

**Dziewczynka zrobila dwa ostrozne kroki w bok, aby odsunac sie jak najdalej od tej istoty, ktora zdawala sie teraz zaprzatnieta wylacznie soba. Ale kiedy jej wzrok padl na cialo Diamante, zatrzymala sie. Nie potrafilo zostawic go na pastwe demona.**

**–Oklamales nas – rzekla z gorycza. – Udawales Arachne, a potem zwabiles nas tutaj, aby wypic jego krew i odzyskac sily.**

**–Mylisz sie, dziecko. – Demon odwrocil sie ku niej i posrodku slupa ognia ujrzala**

**dwoje gorejacych, czarnych slepi. – Nie oszukalem was, w kazdym razie nie bardziej niz oszukalem sam siebie po tym, jak zagubilem sie we wnetrzu smiertelnej kobiety.**

**Zar wokol niej zelzal nieco i domyslila sie, ze demon hamuje swoja moc, aby wciaz mogla oddychac. Kiedy jeszcze mieszkala wraz z rodzicami w cytadeli, spowiednik ojca czytywal jej czasami legendy o swiatobliwych dziewczicach, ktore nie ulegly zlým duchom, nawet gdy te ofiarowywaly im niezmiernie bogactwa i wieczna mlodosc. Wiedziala, ze nie na darmo nazywano je mistrzami klamstwa i tworcami ulud, co mamia i przywodzi do zlego ludzkie serca. Ale slyszala tez coraz blizej na dziedzincu nawolywania zolnierzy, sposrod ktorych przebijal sie glos Rocca, zachryply od rozpaczny i pelen nienawisci. Pan cytadeli wykrzykiwal jej imie i byla pewna, ze po smierci jedynego syna nie pozwoli jej swobodnie odejsc do klasztoru. Przy boku demona byla od niego bezpieczna, byc moze bezpieczniejsza niz w jakimkolwiek innym miejscu Polwyspu.**

**–Nosilem w ramionach jej dzieci i kolysalem je do snu – mowil w zadumie demon – a jej magia kolysala mnie rowniez jak dziecko, az wreszcie usnalem, ukojony melodia jej krwi, az stopilismy sie w jedno, cialo i ogien, smiertelna kobieta i demon, i nie bylo zadnego z nas. I nawet, kiedy umarla, gdy opuscila mnie na dobre, nie zdolalem sie obudzic ani odleciec w swiat bardziej przychylny takim, jak ja.**

**Choc byla przerazona smiercia chlopca, a takze losem, ktora ja spotka, jesli tylko wpadnie w rece stryja, ujal ja zal w glosie demona i przypomniała sobie, jak wielka ufność pokladal w nim Diamante. Tymczasem postac z plomieni zaczela zmieniac sie znowu. Slup ognia przybladl, poczernial u wierzcholka, zaczal sie kurczyc, opadac ku ziemi i gasnac, az spomiedzy ognia ponownie wylonila sie kobieca postac. Jednak nie sposob byloby ja znow wziac za Arachne. Wciaz byla po dwakroce wyzsza od smiertelnikow, a jej ksztalt zmienial sie nieustannie. Drobne plomyki pelzaly po powierzchni, czasami odrywaly sie i gasly na wietrze, a czasami jeszcze dlugo unosily sie wokol jak mydlane banki, poki demon nie wchlonal ich na nowo. Zblizyl sie do ciala Diamante, a kiedy sunal po piasku, skraj jego sukni zostawial zeszlone, okopcone slady. Jakby wyczuwajac rozterke Luany, odezwal sie znowu:**

**–To sie nie powinno stac. Gdyby cudzy sen nie zawladnal mna tak dalece, dziecko wciaz by zylo.**

**Mowiono jej, ze nieczyste duchy ustępują jedynie przed sila. Raz pokonany, demon chocby w najciezszej niewoli nie przestaje nienawidzic swego zwyciezcy i bedzie knul jego zgube po kres swych dni w podksiezycowym swiecie albo jeszcze dluzej, a gdy zabraknie jego ciemiezyciela, bedzie szkodzil jego dzieciom i dzieciom ich dzieci, poki nie wyrze pomsty. Ale zal demona wydal sie Luanie prawdziwy. Owszem, zdawala sobie sprawe z wlasnej kruchosci i nadal sie go bala, podobnie jak balaby sie dzikiego zwierzecia, gdyby zniecka stanelo przed nia posrodku dziedzinca cytadeli. Nie wierzyła jednak, ze naprawde szuka jej smierci – gdyby chcial ja zabic,**

**juz dawno lezalaby martwa, spopielona jego oddechem.**

**–Probowales go chronic – powiedziala cicho. – Dlaczego? Demon zwrocil ku niej ciemne, gorejace slepia.**

**–Takie bylo zyczenie Severa.**

**–On nie zyje. Zmarl bardzo dawno temu.**

**–Wiem. Sam go zabilem. Cofnela sie mimowolnie.**

**–To rowniez bylo jego zyczenie. – Demon wyciagnal ku niej dlon: koniuszki palcow byly w istocie blekitnawymi czubkami plomieni i nie odwazyla sie ich dotknac. – Ale jego smierc nie przywrocila mi pamieci i nie otworzyla sciezki pomiedzy gwiazdy, ktore sa stale i niezmienne, poniewaz pozostal jeszcze gobelin, spleciony z nici oraz zaklec subtelniejszych niz slowa i wykresy czarodziejow. – Wsrod syku plomieni rozlegl sie suchy jak trzask smiech. – Jakimze glupcem okazal sie Rocco! Nigdy w zyciu nie stworzyl magii ani w dziesietnej czesci tak poteznej, jak ow gobelin, a zniszczyl ja jednym uderzeniem sztyletu. A teraz demony budza sie z niewoli, strzasaja obce ksztalty i rozprostowuja grzbiety. Czy czujesz ich niecierpliwosc, dziecko? Slyszyz, jak ich skrzydla lopocza juz do lotu? A jest wsrod nich takze demon Rocca i mag rychlo zobaczy jego oblicze.**

**–Demon Rocca? – powtorzyla zmartwialymi wargami, bo przypomniała sie jej legenda, ze zniszczenie gobelinu bedzie zarazem kresem dynastii magow z Brionii.**

**–Kazdy z czarnoksiężników, tych, którzy paraja sie prawdziwa magia i petaja wolne duchy, ma swego demona i oglada jego twarz w godzinie smierci.**

**–Czy ja tez? – zapytala cicho, gdyz byla corka maga i jej rod takze wiodl sie od Severa i Arachne.**

**Oczy demona przygasly.**

**–Nie masz nikogo procz mnie, dziecko.**

**Wiedziala o tym bardzo dobrze – stala kilka krokow za ojcem, kiedy Rocco ugodzil go sztyletem, a potem patrzyla na smierc swoich braci i matki – ale lzy naplynely jej do oczu.**

**–Wiec pomozesz mi? – zakpila z gorycza. – Doprowadzisz mnie do swiatyni?**

**Cale pozniejsze zycie nie przestala zalowac tych slow.**

**–Tak – odpowiedzial demon. – Sen minal, a gobelin zostal spruty i jestem teraz**

**prawdziwie wolny. Zamknij oczy i chodz za mna. Poki ich nie otworzysz, jestes bezpieczna.**

**Poslusznie zamknela powieki, a wowczas cos goracego i suchego zacisnelo sie na jej przegubie jak jedwabny sznurek i pociagnelo ja naprzod. Powietrze wokol znow bylo tak gorace, ze palilo policzki, ale demon nie odezwal sie, kiedy glosno wypowiedziala imie Arachne. Za to zewszad rozlegaly sie inne glosy, pelne przerazenia i bolu. Przyspieszyla kroku, chcac zostawic je za soba, i biegla na oslep wsrod szumu plomieni. Wrzaski ludzi stawaly sie coraz glosniejsze; zdawalo sie jej, ze rozpoznaje wsrod nich glos Rocca i jego przybocznych hierofantow. Potem wszystko umilklo, stlumione przez loskot walacych sie kamieni i trzask pekajacych murow. Wokol unosil sie gesty, gryzacy pyl, opadal na jej suknie i wlosy, wciskal sie do warg i pod powieki. Chciala sie zatrzymac, ale goracy dotyk na rece dziewczynki wlokl ja naprzod, a fale rozpalonego powietrza odgradzaly od zewnetrznego swiata.**

**A potem w jednej chwili wszystko zniklo. Goraco ustalalo i umilkly wszystkie dzwieki.**

**–Mozesz otworzyc oczy – rzekl demon.**

**Wstawal swit, a wokol niej rozciagala sie polac wielkiego pogorzeliska. Gdzieniedzie z poczernialej ziemi sterczaly ulomki okopconych murow i zeszkzone trzony kolumn. Luana w oszolomieniu rozgladala sie po rumowisku. Gdyby nie portal katedry, nie rozpoznalaby tego miejsca, ale nawet teraz nie mogla uwierzyc, ze te zgliszcza jeszcze niedawno byly wielka cytadela magow Brionii.**

**–Jak to mozliwe?**

**Nic wiecej nie zdolala wykrztusic.**

**–Przenioslem cie w moich ramionach.**

**Demon rowniez byl odmieniony, skurczyl sie w sobie, jego ognista postac przybrala barwe popiolu i bardziej niz kiedykolwiek przypominal zjawe. Tylko oczy wciaz nalezaly do niego, dwa czarne, gorejace punkty posrodku dymu.**

**Nie osmielila sie zadawac wiecej pytan. Pozniej miala sie dlugo zastanawiac, co sie stalo z wszystkimi innymi mieszkancami i gosciami cytadeli – czy probowali zastapic droge demonowi, ktory ja prowadzil, i sploneli w jego ogniu, czy tez dopadly ich inne duchy, uwolnione po tym, jak Rocco rozcial gobelin. Nigdy nie zyskala pewnosc, wiec obwiniala sie o ich smierc, podobnie jak o wiele innych rzeczy, ktore wydarzily sie tamtej nocy. Ale wtedy, w zgliszczach cytadeli, jej odwaga wyczerpala sie wreszcie i byla tylko mala, przestraszona dziewczynka.**

**Odwrocila sie do demona. ' – Co sie ze mna stanie?**

Pochylił się i przesiał między palcami garsc popiołu, aż na dnie jego dłoni pozostał jedynie drobny, czarny kamień. Po chwili rozjarzył się, poczerwieniał jak węgielek w kominie, a demon zamknął go w złożonych dłoniach i turlał przez moment. Kiedy się rozwarł, na jego palcach spoczywała wielka, czysta perła.

–Wez ją – rzekł, podając jej klejnot. – Póki ją zatrzymasz, będziesz bezpieczna, a także wszyscy, którzy pozostaną przy tobie.

Ujęła perłę i mocno zacisnęła na niej palce. Wciąż była ciepła od mocy demona.

Luana odwróciła się ku świątyni. Nie było ani śladu po grobowcu Severa i Arachne, znikły też wszystkie rzeźby zdobiące fasadę katedry. Spizowe wrota stopiły się od pozogi i zastygły w jednej wielkiej kaluży czarnego metalu. Mury jednak oparły się niszczącej mocy ognia, może, dlatego, że wzniesiono je na poświęconej ziemi, gdzie żaden demon nie miał przystępu.

Wejście ziało czernią jak wielkie, rozwarte do krzyku usta. Luana zawahała się, niepewna, co spotkają w środku.

–Boje się.

Później nie potrafiła zrozumieć, dlaczego zwróciła się do niego w ten sposób. Może po prostu nie pozostał nikt inny. Jednak jeszcze bardziej zdumiała ją odpowiedź demona, choć musiało wiele czasu upłynąć, zanim pojęła, co naprawdę wydarzyło się, kiedy razem przekroczyli próg świątyni. – Nie lekaj się – odparł demon. – To tylko jeden krok w ciemność, nic więcej. Położył gorącą dłoń na jej ramieniu i razem weszli w mrok.

## Filary Nieba

Historia ta wydarzyła się w kilkadziesiąt lat po upadku Brionii i śmierci ostatniego z potomków Arachne, zwanych też Principi dell'Arazzo. Kiedy wieść o ich zagładzie rozeszła się po Polwyspie, pomniejsi magowie zaczęli walczyć ze sobą o marmurowe miasta, doliny, w których uprawiano pszenicę i jęczmień, winnice, gaje oliwne i zatoki pełne ryb. Wojna rozlała się jak pozoga od Monti Serpillini aż po najdalsze z wysp. Nastal czas nagich ostrzy i dzikiej, nieskrepowanej magii. Demony chadzały wolno po powierzchni ziemi, obracając całe jej polacie w jalone, dymiące pogorzelisko. Wielu ludzi opuściło swe domy i uciekło na północ, w nieprzebyte lasy poza Passo dei Lupi, lecz większość z nich wyginęła z rak pomiotu demonów. Niektórzy ruszyli na południe, jak Sirocco przed wiekami, przeprowadzając się z jednej wyspy na drugą aż po krancę Arcipelago della Rugiada Rossa, lecz demony kroczyły tuż za nimi i nie zdolali się wymknąć. Jeszcze inni pozeglowali na wschód, ku pustynnej krainie, która władała Arimaspi, jako że bardziej obawiali się demonów niż heretyckich mnichów w oponczach z wielbłądziej skóry, wszakże po drugiej stronie morza zamiast ocalenia

znalezli meke na ofiarnych drewnianych kolach. Ci, którzy pozostali w poblizu dawnych siedzib, niczym zwierzata zyli wsrod ruin lub w poszukiwaniu schronienia zeszli w mrok jaskin Costa dei Gabbiani.

Pozniej nazwano tamte dni Guerre dei Gierofanti, Wojnami Hierofantow.

Na calym Polwyspie pozostalo zaledwie kilka miejsc, ktorzy panowie okazali sie wystarczajaco silni, by obronic granice przed pochodem demonow. Jednym z nich byla Dolina Plomieni, legendarna dolina oliwnych gajow, winnic i rozanych ogrodow. Jej wladca, Soave di Castello Scarlatto, upodobal sobie demony ognia. Osiagnal w tej dziedzinie niezwykla bieglosc. Powiadano nawet, iz odnalazl i spetal ifrity oraz maridy, ktore, pokonane przez Severa w Golfo delle Lacrime, nie zdolaly juz powrocic pomiedzy gwiazdy i blakaly sie bez celu po pustkowiach. Jakkolwiek bylo, Soave otoczyl swoje wladztwo kurtyna z zywych plomieni i nikt nie mogl jej przebyc bez jego wiedzy i zgody.

Zycie w Valle delle Fiamme plynelo jak za starych dobrych czasow. Wiesniacy w bielonych koszulach zbierali na polach siano i zboze, woznice pokrzykiwali na woly ciagnace wozy pelne rzepy i kapusty, przekupki wystawialy na straganach garnki oblane ciemnozielona politura, a o swicie, w poludnie i o zmierzchu ponad wioskami i lasami niosl sie dzwiek klasztornych dzwonow. Kiedy Soave jechal goscincem, zamiast w tradycyjny blekit magow przybrany w szkarlat, zebracy i kupcy klonili sie przed nim rownie nisko, jak niegdys przed Severem. Lekano sie go po trochu, rozwazny czlek, bowiem nigdy w pelni nie ufa magowi. Ale byl dobrym panem, najlepszym, jaki mogl sie trafic w tych okrutnych czasach, i poddani doskonale o tym wiedzieli.

Soave, co roku spraszal ksiazeta na polowanie i uczte, ktore uswietnialy urodziny jego jedynego syna. Magowie mieli zwyczaj otaczac podobne daty tajemnica, jako ze przebiegly astrolog potrafi wyczytac losy zapisane w gwiazdach. Stad tez wielu dziwilo sie, ze ksiaze lekkomyslnie szafuje wiedza, ktora mogla w przyszosci dac komus wladze nad dziedzicem Valle delle Fiamme. Soave jednak obracal w zart wszelkie przestrogi i otwarcie pokazywal na biesiadach rudowlosego chlopczyka o oczach blekitnych jak gorskie jezioro i pelnych magii. Az nareszcie pomniejsi magowie uznali, ze pan Valle delle Fiamme kpi sobie z niebezpieczenstwa nie dla pustej brawury ani tez nie z braku troski o dziecko, ale dlatego ze wyhodowal je sobie dla wlasnej korzysci i aby przedluzyc swoje istnienie w podksiezycowym swiecie – chocby kosztem zycia nastepcy.

Niektorzy czarnoksieznicy umieli tego dokonac. Brali sobie kobiety sposrod tych, w ktorzy zylach plynela krew magow, i plodzili z nimi dzieci obdarzone moca, a potem wysaczali ja stopniowo, kropla po kropli, by wzmocnic nadwatlone sily i zachowac mlodosc. Nie bylo w tym wielkiej chwaly, gdyz prawdziwie potezni magowie potrafili z wlasnej mocy utrzymac sie przy zyciu przez kilka pokolen, ale nie bylo tez ujmy.

Ostatecznie na Polwyspie każdy wiesniak miał prawo zatłuc drakiem swego potomka, jeśli ten nie zapędził na noc kotnych owiec do zagrody, dlatego więc pan Valle delle Fiamme miałby być pozbawiony tego przywileju?

Książe postanowił świętować piąte urodziny syna szczególnie uroczystie. Zarznięto stada wołów i baranów, a wino lalo się strumieniami – nigdy później winorośl z Valle delle Fiamme nie wydała równie słodkich gron – lecz rok był urodzajny, więc ludzie z poblazaniem przypatrywali się rozrzutności Soave. Wreszcie, po sześciu dniach biesiad, festynów, maskarad i tanców, książę wyjawiał, jaką niespodziankę przygotował na zwieńczenie obchodów. Oto zapraszał wszystkich gości na polowanie w dzikich lasach, na łowy niezwykle i godne uwiecznienia w pieśniach, miano, bowiem scigac legendarną bestię z wybrzeża, Srebrnego Dzika, Cinghiale d'Argento di Orlento.

Potwór ow z dawien dawna pustoszył Costa dei Gabbiani. Ci, którzy go oglądali i zdolali ująć z życiem, mówili potem, że jest wysoki na dwa sążnie i uderzeniem kłowa rozrywa okute żelazem bramy. Jego ryk był ponoc głośny jak huk pioruna, racice zostawiały ślady w litym kamieniu, pośrodku czoła miał zaś gwiazdę tak palającą, że oslepiała każdego, kto w porę nie odwrócił wzroku. Oczywiście nie narodził się ze zwierzęcia. Dawno temu jakiś czarodziej wykuł go skrycie z jasnego metalu i magii, wlewając w kształt bestii całą swoją nienawiść i gniew.

Dzik zwykle pojawiał się jesienią, kiedy od strony Isola di Tutti Venti podnosiły się najsrozsze wichry, dlatego też mówiono, że jest bestia stręgi z wyspy. Ponoc przeklęta Sirocco wywabiała go z morskich odmetów pieśnią, poskromiła swym czarodziejskim głosem i na pasku od sukni powiodła do pałacu. Kiedy zginęła, Cinghiale d'Argento powrócił w głąb morza. Jednak jesienny wiatr znad morza przywiewał mu zapach roz z ogrodów Isola di Tutti Venti i wspomnienie utraconej pani. Zapuszczał się wtedy głęboko na ląd, niszczyć i trącić wszystko, co spotkał na swojej drodze.

Soave, wysoki i dumny w płaszczu w kolorze tetniczej krwi, poprzysiągł, że wytropi go, powali własną ręką i przybije jego łeb na ścianie biesiadnej sali.

W trzy dni później już nie był, rozszarpany klami Srebrzystej Bestii. Żaden z dwunastu książąt-magów, którzy wraz z nim wyruszyli na polowanie, nie zdolał powstrzymać dzika. Być może nawet nie próbowali, bo czarnoksiężnicy Polwyspu nigdy nie litowali się zbyt nad upadkiem konfratów. I zanim krew Soave zdążyła zakrzepnąć na mchu, książęta rzucili się w szalencza gonitwę ku Valle delle Fiamme, gdyż ze śmiercią władcy opadła zasłona płomieni i każdy pragnął zagarnąć włości zmarłego.

Najsmiglejszego konia miał Igino di Rocca Livida i to właśnie on pierwszy wpadł do Castello Scarlatto, pokonawszy wprzód zastęp demonów i trzech innych

czarnoksiężników, którzy zastąpili mu drogę. Zdumiewano się potem takim obrotem spraw, sztuka Igina nie była, bowiem błyskotliwa i nie napawała zachwytem. W istocie stanowił przeciwieństwo pana Valle delle Fiamme. Nosił się w najciemniejszym, niemal sinym odcieniu błękitu, a za swą domowę obral chłód, przeraził zimno demonów ściąganych z najodleglejszych orbit ponadksiężycowego świata i zamykanych w workach z kozłej skóry. Iginę należało do tych magów, którym nigdy nie przyszłoby do głowy tknąć na jarmarku widziadłowe cuda z żywego ognia ku uciechu wiejskich dzieci.

Kiedy powściągnął konia przed murami Castello Scarlato, dworzanie Soave nie umieli oszacować jego mocy. Zaparli, więc mocno bramy, nawet nie po to, by bronić wstępu zwycięzcy, ale by ułożyć się z nim na własnych warunkach. Środkiem się zawiedli. Iginę bez namysłu rozsznurował przypiętą do pasa sakiewkę i demony mrozu runęły naprzód. Skute lodem wierzeje rozsypały się pod ich dotknięciem w pył, strażnicy na murach skamienieli od zimna, a ulice miasta w jednej chwili spowijała śnieżna zadymka, Iginę kroczył posrodku zawiei, smagając biczami mrozu tych, którzy nieopatrznie nie zeszli mu z drogi.

W pustej sali tronowej powitali go wylekli dostojnicy. Stali sztywno, wciąż przybrani w purpurę, barwę zmarłego władcy. Mroz osadzał się polyskliwymi kryształkami na ich włosach i szatach.

–Przyprowadźcie mi syna Soave – brzmiały pierwsze słowa maga, a jego głos był cichy i pełen chłodu.

To również należało do prastarych rytuałów czarnoksiężników z Polwyspu – kiedy padał jakiś rod, padał na dobre. Nie oszczędzano kobiet przy nadziei ani potomków, choćby najdrobniejszych, bo dzieci przecież dorastają, a krew magów zawsze powraca po zagrabione dziedzictwo. Przyboczni Soave dobrze więc wiedzieli, co teraz nastąpi. Nie odwagili się jednak nie usłuchać.

Ale chłopca nie było w pokojach jego matki na wieży. Młoda kobieta siedziała nieruchomo u krosna, długie włosy opadały jej na ramiona jak złotoruda przedza, a wielobarwne motki nici zascielaly kamienna posadzkę. Lecz skoro podeszli bliżej – ostrożnie, by nie przerazić jej i nie wyrwać zniechęca z drzemki – dostrzegli, że ma na przegubach szerokie naciecia. Rany były podobne do znaków czy liter, precyzyjnie kreslonych ostrzem sztyletu. Krew zastygła w cienkich strużkach, które jak purpurowe nici spływały po sukni aż do ziemi. Twarz kobiety pozostała spokojna i gładka, bez cienia strachu. Przez otwarte okna komnaty jesienne słońce padało na niedokonczony kobierzec, a szary ptaszek śpiewał słodko w klatce zawieszanej u powal, lecz ludzie Igina uciekli stamtąd, czym prędzej, choć nie potrafili doprawdy powiedzieć, co ich przeraziło.

Nie poniechali wszakże poszukiwan.



**Chłopca nie znaleziono w palacowym ogrodzie ani na ulicach miasta, które aż do zmroku przeczesywali przerażeni strażnicy. Na darmo wypytywano piastunki – zrazu łagodnie, potem na torturach. Nikt nic nie wiedział, jakby ziemia rozstąpiła się, aby go ukryć. Wreszcie o zmierzchu Igino wypuścił jego tropem demony.**

**\*\*\***

**Nino zapamiętał tamten dzień jak przez sen. Nie umiał sobie później przypomnieć, jakim sposobem znaleźli się na zakurczonym dziedzińcu poza bramami miasta – czy matka wyprawiała ich w drogę, przeczuwając zbliżającą się zagładę, czy może uczyniła to służebna o łitosciwym sercu, czy wreszcie Fiametta przyszła po niego w tej dziwnej godzinie, kiedy zamek był pełen lamentów i przerażenia. Czasami miał wrażenie, że wyobraził sobie te wedrowki w rozpaczliwym pragnieniu odnalezienia wspomnień i obrazów, których naprawdę nie było. Jednak, gdy leżał bezsennie w celi, otoczony zewsząd bezmierną ciszą, zwidrywała mu się w ciemności postać pięcioletniego chłopca, przyodzianego w szkarłat i złoto, przyblakłe nieco pod kurzem gościnca. Kopyta konskie drobily w pył, stukaly chodaki słuzacych w drodze do akweduktu, a bladorożowe poranne światło przeswiecało przez szprychy koł wielkich wozów i wysrebrzało wirujące w powietrzu drobiny pyłu.**

**Ostatnie obrazy, jakie pamiętał.**

**Dla odmiany wszystko, co wydarzyło się później, kiedy już ich pochwycono i doprowadzono przed oblicze Igina w sali tronowej Castello Scarlato, znikło z jego pamięci jak wytarte czarodziejskim zaklęciem. Oczywiście opowiedziano mu potem wielokrotnie te historie. Znało ja każde dziecko na Polwyspie i każdy bard, zniechęca wyrwany z drzemki pod koniec ociekającej niemieszanym winem uczty, potrafił ułożyć o niej kilka zwrotek. Ale żadna z tych piosenek nie należała do Nina. Nie umiał sobie przypomnieć drgnięcia palców Fiametty w jego dłoni, gdy usłyszała te niewiarygodne propozycje Igina, ani kształtu twarzy maga, gdy spoglądał na nich z wysokości tronu martwego władcy Valle delle Fiamme. Czasami tylko, w środku nocy, wydawało mu się, że słyszy przeraźliwy krzyk dziewczyny, która zrozumiała właśnie, jak podstępnie czarnoksiężnik obroczył przeciwko niej jej własne życzenie.**

**\*\*\***

**–Ach, więc to tak – odezwał się cicho czarnoksiężnik. – Jakże nieoczekiwanie.**

**Pulchny rudowłosy chłopczyk, doskonale nieswiadomy wagi chwili, wiercił czubkiem buta w mozaikowej posadzce. Dziewczynka stała sztywno, nie spuszczając wzroku z maga. Jej twarz przypominała profilem kamee z kości słoniowej.**

**–Wciąż to tak – powtórzył Igino. – Dwoje dzieci. Tym lepiej.**

**Dworzanie, milczący świadkowie tej sceny, wpatrywali się w nich z nateżeniem, aby**

nie uronic ani krztyiny z niezwyklego widowiska. Niewielu, moze nawet zaden, wiedzialo o istnieniu corki Soave. Pan Valle delle Fiamme umial strzec swych sekretow.

–Czy naprawde wierzylicie, ze zdolacie uciec przed czarodziejem?

Fiametta podrzucila glowa.

–Sirocco udalo sie tego dokonac.

Mag usmiechnal sie poblazliwie.

–Ale ty nia nie jestes. Soave byl zbyt rozwazny, by wyhodowac sobie pod dachem strege.

–Zastanow sie raczej, po co mnie hodowal.

Igino drgnal i jego spojrzenie wyostrzylo sie, zupełnie jakby dopiero teraz ja naprawde zobaczyl.

–Dobrze – rzekl po chwili. – Mozemy pobawic sie w zagadki, jesli sadzisz, ze jestes wystarczajaco sprytne.

–Jestem corka Soave i Arianny, ostatniej z rodu Arachne. Moja matka wolala umrzec przy wlasnym krosnie niz wpasc w twoje rece – odparla plaskim glosem dziewczynka. – Czy widzisz tu kogos, kto chcialby sie za mna ujac?

Mag rozesmial sie. Chlopczyk wzdrygnal sie od tego dzwieku i przywarl do siostry.

–Nie, w istocie nie widze. Chyba jednak powinna ukryc przede mna swoje pochodzenie. Moze zlekne sie, ze wyhaftujesz mi na makatce moja smierc.

–Nie uczono mnie magii.

Igino rozciagnal usta w usmiechu. Byl dojrzalym mezczyzna, lecz drobnym i waskim w ramionach, o wyschlej, niemal pozbawionej warg twarzy. Szydery skrycie nazywali go Donnola, Lasica.

–Dlaczego wiec mialbym tracic czas na rozmowy z toba, dziewczyno, zamiast zawolac oprawcow?

–Poniewaz przed smiercia moja matka rzucila zaklecie i przelala krew, aby zaskarbic sobie przychylnosc demonow. A teraz, kiedy jej krew skrzepla i zastygla, demony pochlonu kazdego, kto zechce rozlac smiertelna krew jej dzieci. Jego – mocno przegarnela do siebie chlopca – albo moja.

**Oblicze maga stezalo. Milczal. Dworzanie, nie wiedzac zupełnie, czego oczekiwac po nowym panu, wymieniali niepewne spojrzenia.**

**–Ten jeden raz puscze twoje slowa plazem – przemowil ledwie slyszalnie mag. – I nie, nie zabije cie, jesli tego oczekiwalas, drazniac mnie rownie bezrozumnie. Krew Principi dell'Arazzo, ktora plynie w twoich zylach, warta jest zastanowienia, wiec bedziesz mi powolna. Tak albo inaczej, bo moze cie na nieskonczona liczbe sposobow splesc z demonem i uwiezic na reszte twoich dni, pozornie ulegla, lecz w glebi duszy nieustannie krzyczaca z przerazenia. Choc przyznam – zmierzyl ja wzrokiem – ze ten sposob sprawi mi mniejsza przyjemnosc. Jednak nie przeciegaj struny. Moja cierpliwosc dobiega kresu. Jesli masz zyczenie, pros teraz.**

**–Daruj nam zycie. Obojgu. Wowczas bede ci posluszna.**

**Mag powoli wstal z tronu, zszedl po zloconych stopniach, dotknal brody Fiametty i uniosl jej twarz ku sobie. Cien splynal z jego palcow, rozlal sie po jej obliczu, pokrywajac mlecznobiala skore popiolem, i powoli popelzl wyzej, ku linii wlosow, upietych na szczycie glowy w plomienista korone. W komnacie ktos ze swistem wciagnal powietrze, mrok tymczasem pochlanial sploty wlosow, powlekal je coraz glebsza czernia, az staly sie podobne do skrzydla kruka i najciemniejszej z zimowych nocy.**

**–Teraz nalezysz do mnie – oznajmil Igino. – Nigdy o tym nie zapomnij.**

**Fiametta bez slowa skinela glowa. Jej teczowki, przed chwila jeszcze pelne blekitu, przypominaly dwa wegale.**

**–Dobrze, wiec – rzekl z poblazaniem mag. – Czyz zaniedbalbym slubne zyczenie mojej narzeczonej?**

**Wzial ja za reke i, oszolomiona, poprowadzil ku gorze. Chlopiec przygladal sie im szeroko rozwartymi, niebieskimi oczami.**

**–Zostaniesz ze mna. – Igino posadzil dziewczynke u podnoza tronu. – Jego zas – wskazal na syna Soave – zabierzcie stad i wyjmijcie mu oczy, by nigdy nie zwrocil ich ku sekretom magii. Kiedy zas skonczycie, odeslijcie go stad do klasztoru swietego Sirona. Bedzie odtad spiewal hymny na chwale Pana i slawil moja laske, albowiem pozwalam mu zyc.**

**\*\*\***

**Legenda swietego Sirona glosi, ze czcigodny ow mnich byl doradca i spowiednikiem Duillia, ale na koniec wyruszył z Isola di Tutti Venti na polnoc, uprzykrzywszy sobie niegodziwosci ksiecia-maga. Nie mogac ulagodzic jego czarnego serca, postanowil zwrocic sie ku tym, ktorzy ze wszech miar potrzebowali**

duchowej nauki, a po okrucieństwach dworu wydawali mu się nieomal łagodni: wyprawili się do krainy Ambarytów i Cynocefalitów, pomiotu demonów. Nie wiedząc, jakim sposobem przemierzył ostępy Monti Serpillini – dziki zwierzę go nie tknęło, a monstra pokłoniła się przed nim i ustąpiła drogi – aż zatrzymał się u stóp wielkiej góry, nazywanej przez połdzikich gorali Guglia dei Fulmini, Iglica Gromów, jako że w każdej burzy stawała w ogniu, otoczona jezorami błyskawic. Spojrzał na nią i rzekł:

–Tutaj zostanie.

Na darmo przewodnicy ostrzegali go, że żaden śmiertelnik nie postawił jeszcze stopy na szczycie tej góry, bo zewsząd okalały ją gładkie, urwiste zbocza, a jedyna ścieżka przecinała przepastną rozpadlinę. Skoro nie zdołali go powstrzymać, oddalili się w swoją stronę, z ubolewaniem kiwając głowami nad głupotą i uporem szalenca. Z wiosną powrócili, by pogrzebać jego kości i wówczas o wschodzie słońca z wysokości dobiegł ich głos świętego, który pieśnią wychwalał dobroć i urodę Stworzenia. Zdziwieni wielce, ukradkiem podeszli bliżej, aż do krawędzi olbrzymiej szczeliny, skąd dojrżeli szary płaszcz mnicha. Wciąż jednak nie umieli pojąć, jak zdołał wyczołgać się w miejscu równie jałowym i niedostępnym, gdzie nie było żadnego źródła i nie rosło nic, oprócz sinych gorskich mchów.

Nawet, jeśli spostrzegł intruzów, Siro niczym nie okazał zdumienia. Dokonczył hymn, po czym podniósł się z ziemi i ruszył naprzód pewnym krokiem, zupełnie jakby nie widział otwierającej się przed nim przepaści. Gorale zakrzyknęli ze strachu, a mnich szedł dalej ku urwisku i ponad nim – jego białe stopy unosiły się w powietrzu, jak gdyby stapał po niewidzialnym moście i zanim dotarł na drugą stronę rozpadliny, świadkowie cudu upadli na twarz, przerażeni i zdziwieni mocą świętego. Oni też pierwsi nawrócili się za jego przyczyną.

Mnich spędził dwadzieścia lat w jaskini u szczytu góry. Zrazu towarzystwa dostrzymywał mu tylko dziki lew, niegdys postrach wioski z dolin nieopodal; jego poskromienie było jednym z pierwszych cudów świętego Sirona i zjednało mu niezmierną wdzięczność okolicznych wiesniaków. Z czasem jego sława rozeszła się szeroko po Monti Serpillini i ludzie pielgrzymowali z daleka, aby otrzymać jego błogosławieństwo, wyblagać cud uleczenia dla chorych lub pomodlić się u jego boku za spokój ukochanych zmarłych. Powiadano, bowiem, że modlitwa świętego Sirona jest szczególnie miła Panu i ma moc otwierania wrot niebios.

Pielgrzymi gromadzili się na krawędzi przepaści i czekali na wiatr i zimno, póki pustelnik nie zlitował się nad nimi i nie przeszedł na drugą stronę. Każdego roku przybywali jednak coraz liczniej i coraz więcej z nich pragnęło pozostać na gorze u boku świętego. Nie mieli jednak jego mocy czynienia cudów i kroczenia w powietrzu, toteż dla nich właśnie mnich wymodlił most w poprzek rozpadliny.

Bywali w świecie porównywali go do mostu nad Abisso delle Ondine, choć tamten

**powstał przy uzyciu bezbożnej sztuki czarnoksiężników. Jednak dzieło świętego Sirona było znacznie większą osobliwością, nie skrywało, bowiem żadnych nieczystych sił. Most wyglądał jak długi jezioro zastęglej lawy, smukły, łukowato opadający z obu stron rozpadliny i nie szerszy niż dwa łokcie. Wspierał się na dwóch olbrzymich kamiennych słupach. Gorale z dawien dawna nazywali je Pilastrri del Cielo, Filarami Nieba i od nich wziął swą nazwę.**

**Świadkowie twierdzili, że pojawił się w nocy, z nienacką i bez żadnego znaku, który przepowiadałby jego stworzenie. Niektórzy dziwili się, dlaczego pustelnik bez szemrania otwiera dla innych samotnie, której przez lata nie chciał z nikim dzielić. Tajemnica przysła o swicie, kiedy uczniów obudziły dobiegające z grotki ryki lwa. Przemagając strach przed dzikim zwierzęciem, przeszli przez most, zajrzeli do pustelni i znaleźli świętego, który zrazu zdawał im się pograżony z drzemką, w istocie jednak zasnął snem znacznie głębszym. Zrozumieli, zatem, że most był jego cudem ostatnim, przerzuconym nie tylko nad przepaścią, ale i w przeszłość, zapowiadał, bowiem, czym powinna stać się Guglia dei Fulmini.**

**Przez kolejne dwa wieki z całego Polwyspu przybywali na nią mnisi, posłuszni wezwaniu świętego. Kiedy zabrakło miejsca w grotkach, własnymi rękoma wykuwali sobie jamy w litej skale, aby odtąd służyły im za schronienie. Z czasem na gorze wybudowano klasztor, a dawne grotki pustelników opustoszały – z wyjątkiem jednej, najświętszej, w której krył się grób świętego Sirona, słynący z niezmiernych cudów. Ale do przybytku wciąż prowadziła jedna droga – most zwany Pilastrri del Cielo.**

**Właśnie w tym miejscu syn Soave spędził trzydzieści lat.**

**\*\*\***

**–Mistrzu... – Oblat zatrzymał się przy drzwiach, wyraźnie przestraszony, że nakazano mu zakłócić spokój Nino w krótkiej godzinie przed wschodem słońca, kiedy zwykł komponować hymny.**

**Syn Soave zdjął dłonie z harfy. Nie odwrócił się jednak. Nie chciał przerażać dziecka widokiem wyszarpanych zrenic.**

**–Czyż nie prosiłem cię, abys mnie tak nie nazywał? – zapytał, sięgając po przepaskę.**

**Chłopiec zaszurał nogami po kamiennej posadzce.**

**–Wybaczcie, mistrzu.**

**Nino ukrył uśmiech. Teraz przypominał sobie imię małego. Tertio, po prostu trzeci w rodzinie. Kilka miesięcy temu ojciec, wędrowny pasterz, zostawił go w klasztorze na wychowanie i chwale Pana. W tych stronach zdarzało się to często, szczególnie w**

rok nieurodzaju. Nie mogąc wyzywić dzieci, gorale oddawali najmłodszych synów do przybytku świętego Sirona. Mnisi zaś nie odpędzali nikogo, a wiele spośród tych ofiarowanych malców po latach przyjmowało śluby i zostawało w klasztorze na zawsze.

–Z czym ci przysłano, dziecko? – napomnił go łagodnie Nino, bo chłopiec, pochłonięty oglądzinami celi, zupełnie zapomniawszy o swojej misji.

W istocie pomieszczenie było zupełnie zwyczajne, pozbawione wszelkich znamion bogactwa i niemal we wszystkim podobne do cel innych braci. Jedynie harfa przypominała, że mieszka w nim najsłynniejszy spośród mnichów klasztoru świętego Sirona.

–Przybyła wasza siostra, mistrzu.

Jedynie wieloletni nawyk opanowania sprawił, że Nino nie pokazał po sobie zdumienia. Od dawna nie miał żadnych wiadomości o siostrze. Igino czasami przysyłał mu suche listy, lecz Nino żadnego z nich nie mógł przeczytać i podejrzewał, że tym sposobem mag przypomina mu o swoim zwycięstwie. Ostatni nadszedł pięć lat temu z krótką, oficjalną notą o narodzinach syna Fiametty i dziedzica Valle delle Fiamme, która teraz nazywano Valle della Fredezza, Dolina Chłodów. Czasami Nino zastanawiał się, dlaczego mag zwlekał tak długo ze splodzeniem potomka i czarodziejska sztuka przedłużyła młodość żony, co z pewnością kosztowało go wiele wysiłku, a magowie niechętnie szafowali swoją mocą dla korzyści bliźnich. Być może wcześniej nie pragnął dzieci. A może po prostu dotąd nie potrafił jej zaufać.

Sama Fiametta nigdy nie napisała do brata, lecz mimochodem łowił od patników wieści o Cigno Nero dal Valle delle Fiamme, Czarnym Labeledziu, jak ją nazywano z powodu jej kruczoczarnych włosów. Mężczyźni często mówili, że jest najpiękniejsza kobieta swoich czasów, lecz równie często krzywiono się na wspomnienie jej wyniosłości i dumy. Podobno nie opuszczała palacowych komnat i rzadko, kto mógł się poszczycić, że zamienił z nią słowo na osobności. A teraz przybyła do klasztoru świętego Sirona.

Nie wiedząc, czemu, myśl ta napelniła Nino niepokojem. Świat, który kiedyś porzucił – czy też raczej odebrano mu go wśród bólu i przerażenia – postanowił się o niego upomnieć. I nie umiał wykrzesać z siebie ani krzyku radości.

–Opat kazał zapytać, czy mamy ją wpuścić.

Nino zmarszczył czoło. Do klasztoru świętego Sirona przybywali księżęta i zebracy, minstrele i ładacznice, złoczyńcy i światobliwi mnisi. Ale za pamięci Nino nadejście żadnego z nich nie napelniło opata takim niepokojem, aby zastanawiał się, czy nie odprawić go precz. Wedle zwyczaju starego jak klasztor każdy pielgrzym, zanim

postawił stopy na moście, musiał otrzymać pozwolenie zwierzchnika zgromadzenia. Był to jednak tylko rytuał pochodzący z czasów, nim jeszcze przetrzebiono potomków demonów, którzy gnieździli się w wysokich gorach i czasami zapędzali aż w te okolice. Obecnie nie traktowano go nazbyt dosłownie. Owszem, patnicy prosili mnicha przy furcie po drugiej stronie przepaści o zgodę. Ale nikomu nie wzbraniało wejścia na most, a jedynym mytem były drobne kamyczki rzucające przez przybywających w głąb szczeliny; powiadano, że pewnego dnia zapelnia ją całkowicie i będzie to znak ostatecznego wyzwolenia ludzi spod władzy demonów i czarnoksiężników.

–Święty Siro nikomu nie wzbraniał przystępu – rzekł wreszcie. – Zatem i nam nie godzi się postąpić inaczej. Choc opat nie bezpodstawnie się leka, że trudno nam będzie wyzywić i pomieścić eskortę księżnej – dodał, bo wiedział, że chłopiec z pewnością pochwali się dzisiejszą misją przed innymi oblatami i chciał usprawiedliwić w jego oczach postępowanie opata, który wyrzekł się przywileju decyzji na rzecz jednego ze współbraci.

–Nie, mistrzu – wyjaśnił prostodusznie chłopiec, dla którego całe to wydarzenie było znacznie mniej zdumiewające niż dla dorosłych. – Księżna przybyła z jednym tylko pacholkiem i synem.

\*\*\*

–Och, najdroższy! Tak bardzo za toba tęsknilam! – usłyszał od drzwi rozmownicy.

Być może sprawiło to jego kalectwo, a może odosobnienie klasztoru, przez większość roku odciętego przez śniegi od reszty świata, lecz nie miał doświadczenia z kobietami. Owszem, niektóre z nich, minstrelki, patniczki, a nawet mniszki przybywały do klasztoru, by zobaczyć człowieka, którego na całym Polwyspie nazywano Harfą Najwyższego. Nie zaprzętały jednak jego uwagi. Były zaledwie głosami w ciemności, które pobrzmiwały w murach opactwa od późnej wiosny aż do pierwszych przymrozków.

Głos tej kobiety, głęboki i matowy, nie pasował do jego wspomnień. Poderwała się z ławy przy oknie, jej trzewiki zastukały niecierpliwie po kamiennych płytach, a w chwili później owionął go zapach zętlanych róż i wanilii. Zarzuciła mu ramiona na szyję. Przez moment przytrzymał ją w uścisku i odsunął. Była miękka, niewiarygodnie młoda i bardzo niebezpieczna – przybysz z nie-znanego, odległego świata, do którego od dawna przestał tęsknić. Wyciągnęła dłoń ku jego twarzy.

–Twoje oczy...

–Nie – odepchnął ją łagodnie. – Nie trzeba. Co cię sprowadza, pani?

Ze swistem wciągnęła powietrze i wyczuł, że ten oficjalny zwrot sprawił jej

przykrosc. Nie mial jej jednak nic do ofiarowania i nie mogl pozwolic, aby ta rozmowa zmienila sie w cos, czym nie byla. Wiele lat wczesniej Iginio bezpowrotnie odmienil los pewnej dziewczynki oraz pewnego chlopca, i – jakkolwiek nieszczęśliwie i niesprawiedliwie ulozyla sie zycie jego siostry – Nino nie pragnal odmiany wlasnego.

–Nie mialam, dokad pojsc. Iginio probowal zabic mojego syna, a nikt inny nie zechce nas ochronic.

Wlasciwie powinien byc jej wdzieczny, bo nie probowala nawet udawac, ze to jedynie spotkanie rodzenstwa, ze sprowadzila ja troska o dawno nieogladanego brata, ciekawosc, czym tez okazalo sie jego zycie w tym miejscu, jakze odleglym od basniowej cytadeli, w ktorej sie urodzili. Fiametta przemierzyla dluga droge i u jej kresu nie zamierzala tracic czasu na zbyt czarna lagodnosc ani tez przepaszac za niepokoje i zamet, ktore podazaly tuz za nia. Byla jak ptak, ktory spada z wysokiego nieba i porywa owce ze srodka stada – rownie drapiezna, rownie zachlanna. Coraka i zona czarodzieja. I matka, napomnial sie w myslach. Jej syn mial dokladnie piec lat i Nino wystarczajaco dobrze pamietal blyskotliwa inteligencje swojej siostry, by wiedziec, ze nieprzypadkowo sprowadzila go wlasnie teraz.

–Tutaj rowniez nie znajdziesz schronienia – powiedzial lagodnie. – To klasztor, a mnisi rzadko bywaja dobrymi wojownikami.

Rozesmiala sie, a potem zaczela mowic – znow otwarcie, bez zadnych unikow czy siostrzanych czulosci, ktore moglyby zlagodzic jej slowa.

–Nie wiesz zbyt wiele o sprawach czarnoksiężnikow, bracie, i nie bez powodu utrzymywano cie w niewiedzy. Moc Igina sie kurczy. Nie ma dosc sily ani rozumu, by odnalezc nowe demony. Z roku na rok coraz trudniej przychodzi mu zachowanie wladzy. Przetrwal szesc najazdow, lecz zeszlego roku wrogowie pierwszy raz wdarli sie do wnetrza doliny. Rozpaczliwie potrzebuje czegos, co wzmocni jego sily, zanim inni magowie rozszarpia go wraz z Valle.

–Dlaczego wiec przybywasz do mnie, skoro tak wielu innych czyha na jego zgube? – zapytal i od razu wiedzial, ze popelnil blad, bo wlasnie tego pytania oczekiwala.

–Moze nie powinna, pani. Jestem tylko mnichem.

Bylo to jednak tak, jakby golymi rekoma usilowal powstrzymac lawine, ktora ruszyla na dlugo przed tym, nim Fiametta stanela z synem pod murami klasztoru.

–Bez wzgledu, co ci uczyniono i w co nauczyles sie wierzyc, nigdy nie bedziesz tylko mnichem. – Pochylila sie ku niemu i znow czul na ramieniu cieplo jej ciala. – Iginio wciaz nie przestal sie lekac twojego powrotu...

–Po co mialbym powrocic? – przerwal oschle, bo strach o zycie syna nie



**usprawiedliwiał tego, co zamierzała zniweczyc, sprowadzając na druga stronę Pilastrów del Cielo wojnę i zniszczenie. – Oslepiono mnie. Chocbym istotnie spróbował wyrzec się całego mojego życia, ten jeden prosty fakt przekreśla wszystko, czego mogłbym dokonać na przekletej ścieżce czarodziejów. Słpiec nigdy nie opanuje arkanów magii.**

**–Lecz arkana magii mogą opanować ślepcę.**

**Z wysiłkiem zdusił gniew. Nie miała prawa zadać podobnej rzeczy.**

**–Jeśli sądzisz, że zdołasz mnie do tego namówić, strach zaslepią cię bardziej niż mnie moje okaleczenie.**

**–Namówić?**

**Podderwała się i nerwowo zaczęła przechadzać po komnacie. Kiedy odezwała się na nowo, bez trudu wyobraził ją sobie na dworze księcia-maga, obca, wyniosła i pozbawiona wszelkiej litości.**

**–Głupcze, przybyłam cię ostrzec. Igino postępuje tuż za mną. Najdalej za parę dni przestąpi Pilastrów del Cielo. Nie masz już odwrotu. Żadne z nas nie ma.**

**–Dlatego przybyłaś? Żeby pozbawić mnie wyboru?**

**–Tak sądzisz, bracie? – zadrwiła. – Czyż wy, mnisi, nie nauczacie, że wyboru nie można nikomu odebrać?**

**–Sądze – podniósł się z ławy – że próbujesz mnie wykorzystać w walce, której nie rozumiem i nie chcę poznać. Co gorsza, chcesz zniszczyć miejsce, które cenie najbardziej na całej ziemi. Być może nie zdołam cię w tym powstrzymać. Nie oczekuj jednak, że będę ci w tym towarzyszył.**

**–Nie kłóćmy się. – Pochwyciła go za rękę. – Nie przywykłam błagać o pomoc i nie przychodzi mi to łatwo. Lecz spróbuj, chociaż mnie wysłuchać, a jeśli postanowisz pozostawić sprawę swojemu biegowi, nie będę cię winić. Podaruj mi tylko to popołudnie. Nie poproszę o nic więcej.**

**Nie znalazł w sobie dość siły, aby jej odmówić.**

**–Wysłucham cię. Ale nie ludyj się. Nie mogę ofiarować ci nic ponad to.**

**Miała wiele rozważań, musiał to przyznać. Ani jednym słowem nie zdradziła triumfu, lecz był ślepcem od bardzo dawna i nauczył się wyczuwać rzeczy niedostrzegalne dla innych.**

**–Nie wiesz, czym okazały się te wszystkie lata u boku Igina – powiedziała i nie umiała rozstrzygnąć, czy znudzenie w jej głosie było jedynie udawane. – Nie zdołasz sobie nawet wyobrazić. Czasami wydawało mi się, że to tylko sen. Poruszałam się, jadłam, spałam, ale jakaś część mnie pozostawała uspiona od tamtego dnia, kiedy nas rozłączono. Dopiero narodziny syna przebudziły mnie na nowo.**

**Domyslał się, że na dworze Igina nauczyła się grać na ludziach z taką samą biegłością, z jaką on ożywiał struny harfy. Mimo to wzruszyła go.**

**–Jak ma na imię?**

**–Senzio. – Po raz pierwszy usłyszał w jej głosie prawdziwy uśmiech, zaraz wszak sposepniała. – Musisz mnie dobrze zrozumieć, bracie. Być może nie dostrzegacie tego wysoko w górach, gdzie świat wydaje się niewzruszony i stały, ale czasy potężnych czarodziejów odchodzą w niepamięć. Wy, mnisi, przyłożyliście do tego reki, podjudzając ludzi do wypędzania magów i niweczenia wszelkich wytworów magii. Jednak zagłada Principi dell'Arazzo stała się jedynie powodem nowego zametu, bo na miejsce zgladzonego lwa wyrosło wiele tuzinów szakali, które zagryzają się w walce o byle ochlap. Z każdym rokiem jest coraz gorzej. Ludzie w dolinach zaczynają powoli tęsknić za czasami, kiedy na tronie Brionii zasiadał jeden władca, choćby najbardziej okrutny. Na zachodzie, po drugiej stronie morza, wzbiera nowy najazd Arimaspi, a tym razem na Polwyspie nie pozostał mag władny ich pokonać. Nie ma hord demonów, które staną pomiędzy nami i nieprzyjacielem. Nie ma...**

**–Najwyższy... – wtracił.**

**–Nie mów mi o nim! – rzuciła z wściekłością. – Polwysep kona z pragnienia mocy, a wy odebraлиście nam magię, nie dając niczego w zamian. Wasze modły nie są żadną ochroną. Wszyscy o tym wiedzą, odkąd demony zeszły z nieboskłonu, by świętować śmierć opatki z Brionii.**

**Zesztywniał, starając się nie dać po sobie poznać, jak wielki ból sprawiła mu ta wiadomość. Nigdy nie spotkał Luany, przeoryszy wielkiego klasztoru Brionii i dziewiczej narzeczonej ostatniego z Principi dell'Arazzo, przesyłał jej jednak przez posłancek piosenki i wiedział, że przyjmowała je łaskawie. Miał nadzieję, że czasami przywoływały na jej twarzy uśmiech. W żaden inny sposób nie potrafił okazać podziwu kobiecie, która postanowiła zostać w miejscu grozy i rozjaśnić mrok, jaki ogarnął najpiękniejsze z miast magów.**

**–Wiedziała, że opatka nie żyje?**

**–To nawet o tym nie słyszeliście w tej głuszy? – zakpiła, choć musiała rozumieć, że wieść potrzebuje czasu, by dotrzeć tak wysoko w góry. – Tydzień temu opatka**

wyzionela ducha ku wielkiej radości szarych braciszków, zamierzali, bowiem ogłosić ją świętą. Ale żadne nabożne śpiewy nie odstraszyły ognistych demonów, które zleciały się z wysokiego nieba i obrocily w perzynie resztki Brionii. I nikt nie zdołał ich powstrzymać! – Suknia kobiety zaszleściła, kiedy znow zaczęła gniewnie przechadzać się po komnacie. – Zaden z magów i hierofantów nie okazał się dość potężny, by je poskromić. Jak stadko dzieci zaryglowali się w swoich zamkach i wieżach, czekając, aż demony znikną z powierzchni ziemi.

–Igino...?

Nie pozwoliła mu dokończyć.

–Kiedy szarzy mnisi nie stali mu dłużej na przeszkodzie, Igino pognął jak szalony do Brionii, by wśród zgliszczy cytadeli szukać pozostałości po magii dawnych władców. Tylko, dlatego udało się nam umknąć. Ale teraz zapewne już powrócił, jak zwykle z pustymi rękami – prychnęła pogardliwie. – Biedak, nie umie pozbyć się złudzenia, że jeśli zagarnie dobra dawnych magów, ich moc przepłynie do niego jak strugi deszczu po kamieniu. W istocie jednak jest słaby jak strega i równie zabobonny. Jest ledwie...

–Jeżeli jest tak słaby, dlaczego przed nim uciekasz? – przerwał.

Zachnęła się.

–Nie powiedziałam, że jest słaby. Igino zeruje na sekretach starych mistrzów. Nawet demony mrozu, swoją najpotężniejszą bronią, związał zaklęciami z księgi, którą znalazł w jakimś zapomnianym przez Pana i ludzi gorskim klasztorze. Nie potrafił nic dodać od siebie, żadnej inkantacji, żadnej nowej mocy. I inni czarnoksiężnicy nie przewyższają go w tym względzie – dodała cierpko.

–Sama rzekłaś, pani, czas magii przemija bezpowrotnie. Trudno mi udawać, że jej żaluje.

Sadził, że ją rozgniewa. Pomylił się wszakże, kolejny raz podczas tej osobliwej rozmowy.

–Błędzisz, bracie – powiedziała ciepło. – Magia nie odchodzi, choć czasem zmienia kształt i barwę. Igino jednak nie rozumie jej natury, więc czepia się resztek i na oslep próbuje je kształtować. Teraz zapewne również zwłokł do Valle jakies nadpalone manuskrypty, potrzebaskane nagrobne płyty i ułamki rzeźb z portyków cytadeli. Ale nie ma kluczy do tajemnic panów Brionii. Poza jednym. Krwią mojego syna, która ma zwabić dla niego demony.

Nino, który został powołany do życia jedynie po to, aby odbudować nadwatłone siły ojca, potrzaskał w zdumieniu głową.

**–Czyz kazdy z ksiazat-magow nie przysiega w dniu swojej koronacji przed oltarzem Najwyzszego, ze wyrzeknie sie podobnego plugastwa?**

**–Rozbawil ja tylko.**

**–Nie badz latwowierny, bracie. Zmusiliscie magow, aby sie przed wami ukorzyli, a oni uczynia wiele, by w spokoju uprawiac swoje czary. Dlatego skwapliwie wysluchaja pobożnych nauk kaznodziejow i beda kamienowac stregi w swoich posiadlosciach. Naprawde jednak jest jeszcze gorzej niz kiedyś. Odkad znikneli Principi dell'Arazzo, wszystko sie przemieszalo, sztuka czarnoksieznikow i brudne sposoby wiedz, zaklecia, ktorzych obliczenie zajelo wiele lat, i czarna krew kogutow zarzynanych o polnocy pod cmentarnym murem. Iginio chce pojsc zaledwie o krok dalej. Wypije moc, a krew przywola demony, ktore niegdys sluzily ksiazetom Brionii, liczac, ze rozpoznaja ich potomka. Czasami – dodala cicho – sadze, ze od poczatku tak to zaplanowal. Nie pozwolil mi zyc ze wzgledu na mnie sama. Liczyla sie jedynie krew Principi dell'Arazzo.**

**Milczal, nie wiedzac zupełnie, co odpowiedziec. Pomiedzy Fiametta i nim rozciagala sie niezmiernie przestrzen trzydziestu lat i nie probowal nawet zgadywac, jak wiele zawiedzionych nadziei, zdrad i cierpienia krylo sie za jej slowami. Nie umial juz sobie przypomniec twarzy dziewczynki, ktora wyszla z nim z palacu na zakurzony gosciniec tamtego dnia, kiedy przyniesiono im wieść o smierci ojca, i nie znal kobiety, ktora stala sie jego siostra. Rozumial jedynie, ze nie przybyla do klasztoru, aby sie go poradzić. Nawet jako male dziecko potrafila przechytrzyć wiekszość domownikow i nie watpil, ze przez trzydziest lat u boku maga jej plany staly sie nieskonczenie bardziej skomplikowane.**

**–Po co przybylas, Fiametto? – zapytal wreszcie wprost, pierwszy raz nazywajac ja po imieniu. – Nie nosze oreza i nie zdolam cie obronic. Jestem tylko mnichem, ktoremu przed przeszlo cwiercwieczem wydarto oczy.**

**–Nigdy wiecej tak nie mow! – Znow poczul na ramionach jej szybkie, niecierpliwie dlonie. – Nieswiadomosc nie oznacza niemocy. Jesteś potomkiem Principi dell'Arazzo, a twoje hymny sa pelne magii.**

**\*\*\***

**–Czy naprawde wierzysz, ze czarnoksieznik pogwalci prawo azylu i przemoca wedrze sie do klasztoru? – Opat oparl glowe na zlozonych dloniach.**

**Siedzieli w wirydarzu przy klasztornym murze. Wiatr poruszal pnaczami roz i slodko pachnialy ziola, nagrzane jesiennym sloncem. Nino czasami przychodzil tu grac, choc niewiele miejsca pozostawiono dla pustej rozrywki. Kazda piedz ziemi zostala mozolnie przyniesiona przez pielgrzymow z urodzajnych dolin i rozsypana na**

jałowych kamieniach, więc ogrod był niewielki, lecz powiększał się z każdym rokiem i wszystkie grupy patników miały w tym swój udział. Uprawiano tu głównie zioła do infirmerii i warzywa, ale Nino najbardziej cenil pojedynczy krzak róży: jej kwiatami w czas największych świąt przystrajano grób świętego Sirona.

–Wierze, że moja siostra uczyni wszystko, aby go do tego zmusić – odparł Nino. – Być może nigdy nie powinienem jej pozwolić postawić stopy na Pilastru del Cielo.

–Nie ma przecież nikogo prócz ciebie – obruszył się opat. – Gdzie indziej mogłaby szukać obrony?

Nino odruchowo wyciągnął dłoń ku harfie i zaraz opuścił ją bezradnie. Dźwięk instrumentu zwykle gasił jego niepokój, lecz po tym, czego się dowiedział od Fiametty, nie śmiał już grać. Jak niewiele słów, pomyślał ze smutkiem, wystarczy, by zwątpić w siebie.

–Ona nie szuka schronienia, ojczu. Nie umiem odróżnić, co w jej słowach jest prawdą, a co kłamstwem. Nie umiem też zgadnąć, co powiedziała Iginowi. Ale zastawiła tę pułapkę na nas obu i mag przybędzie.

Opat zdumiał się.

–Czyżbyś się jej lekał?

Nino potrząsnął głową. Spomiędzy wszystkich mnichów opat był mu najdroższy, ale nawet jemu nie potrafił wytłumaczyć, dlaczego przybycie Fiametty napelniało go grozą.

–Ona nie jest bezbronna, ojczu, a jej nienawiść parzy jak ogień. Starszy mnich poruszył się niespokojnie.

–Co ci powiedziała?

Zacisnął wargi. Ta część była najtrudniejsza.

–Nino – napomniął go łagodnie opat – nie możesz tego zataić.

Słpiec milczał przez chwilę, wzdychając długimi palcami po poręcze czy ławki.

–Mówiła, że muzyka jest jedynym ujściem, jakie znalazła sobie magia płynąca w moich żyłach – wyznał cicho, a każde słowo sprawiało ból. – Próbowała mnie skłonić, abym wezwał demony i stanął do walki z Iginem. Przywiozła księgę, wykradziona z komnat meza, w której mag zapisywał moje hymny, usiłując rozwikłać ich tajemnice. Wszystko tam jest – rytm, kadencje, słowa i melodia – ale ani Igin, ani żaden z wezwanych przez niego hierofantów czy minstrelów nie potrafił odczytać ich właściwie,

wystarczy, bowiem zmienić jedną nutę lub pojedynczy akcent, aby zaklecie straciło swoją moc. – Nerwowo przełknął ślinę. – Fiametta chce, żebym zagrał i zaśpiewał, kiedy Iginio przybędzie upomnieć się o jej syna. Powiada, że jeśli się nie omyliła, spełni dobry uczynek, ocalając dziecko przed zagładą. Jeśli zaś się omyliła, moja wiara winna być wystarczająco silna, by przetrwać te próby.

Stary mnich wpatrywał się w niego z nateżeniem. Twarz Nina była szczupłą, przecięta czarna smuga opaski na oczach i zupełnie nieruchoma – współbracia zrymali się często, że nie potrafią nic z niej wyczytać. Opat zastanawiał się czasami, czy to skutek ślepoty, czy też dziedzictwo magów, którzy pieczołowicie skrywali swoje myśli. Inni mnisi nie mieli podobnych wątpliwości. Dawno temu, zanim jeszcze pieśni Nina rozślawiły ich klasztor, nazywali go za plecami odmiencem, pomiotem czarnoksiężnika, który powinien zostać wypędzony na pustkowie, by nie kalal świętego miejsca. Potem niechęć ustąpiła nieco, lecz opat wyczuwał, że Nino nie należy naprawdę do wspólnoty, tylko zatrzymał się gdzieś na jej skraju, odpychany przez leki współbraci i własną obcość. Równie dobrze mogłby mieszkać w jednej z grot dawnych pustelników – i zapewne byłby tam szczęśliwszy.

–A ty, czego chcesz? – zapytał z westchnieniem.

–Boję się – przyznał Nino, ponieważ nastal zły czas, by skrywać prawdę albo choćby jej część. – Przez te wszystkie lata byłem jedynie szarym mnichem, który wyrzekł się wszelkiej magii, uboższym nawet od innych, bo pozbawionym oczu. Nigdy dotąd nie rozmyślałem wiele o Valle delle Fiamme ani o dziedzictwie Soave di Castello Scarlatto. Teraz zaś nie umiem wyrzucić ich z pamięci.

Zapachniało lawendą. Opat bezwiednie miał w palcach gałązkę obsypaną drobnymi, fioletowymi kwiatami.

–Co pamiętasz?

Nino potarł skronie.

–Niewiele. Zaledwie kilka obrazów, strzępy rozmów. Nie zgaduje nawet, które z nich są prawdziwe.

Urwał i przez długą chwilę milczeli obaj, wsłuchując się w klasztorną ciszę i przeszłość.

–Kiedy przyprowadzono cię tutaj – stary mnich uśmiechnął się do siebie – byłeś milczącym, poważnym chłopczykiem. Chodziłeś po wirydarzu, w skupieniu dotykając liści na krzewach, kamieni obrebiających grządki, świeżych szczepów drzew. Opat posłał mnie, żebym zaprowadził cię do refektarza i nakarmił. Nie wiedziałem, jak postępować z synem księcia-maga, przykucnałem, więc i zapytałem, czy zechcesz z nami zostać. Zastanawiałeś się chwilę, z powagą zdumiewającą u tak małego dziecka,

a potem skinales glowa. Powierzono cie mojej opiece zapewne dlatego, ze bylem zbyt prostoduszny, by rozumiec, kim naprawde jestes.

Nino po omacku odszukal dlon starca i uscisnal ja nieznacznie.

–Wszystkiego, co umiem, nauczylem sie od ciebie, mistrzu.

–Nie, nie wszystkiego. Twoje hymny pochodza tylko od ciebie.

–Az do dzisiaj przywyklem w to wierzyc.

–Zastanawiales sie kiedyś, dlaczego ty jeden spozród braci nigdy nie wyruszyles w dol, w doliny?

–Poniewaz jestem slepcem.

Starzec potrzasnal glowa.

–Badz uczciwy, synu.

–Poniewaz jestem synem Soave di Castello Scarlatto i obiecaliscie Iginowi, ze nigdy nie opuszczesz tych murów?

–Nawet on nie probowalby cie zabiec po tym, jak minstrele rozniesli twoje piesni po calym Polwyspie. Nie, obawialismy sie czegos innego. Pamietam, jak poprzedni opat wezwal mnie do siebie, kiedy u grobu swietego Sirona odspiewano pierwszy z twoich hymnow. Byl strapiony, choc powinien sie raczej radowac, jako ze tamtego dnia trzej blagalnicy odeszli z klasztoru uzdrowieni za laska naszego patrona. Wiem, ze ta muzyka jest piekna, powiedzial mi, niebosiezna jak modlitwa i sklania ludzi ku Panu. Jednak napelnia mnie niepokojem...

Nie zamierzal wyjawic Ninowi, z jakim przerazeniem stary opat przyjal wieśc o przybyciu syna czarnoksiężnika, który miał na zawsze pozostac w ich klasztorze. Zrazu mnich zamierzal odeslac chłopca precz, choc rodowa wlosc Igina rozciagalala sie zaledwie kilka dni drogi od opactwa i znalazl zla slawe maga. Powstrzymal go stary zolnierz, który przewodzil eskortcie chłopczyka – posrodku klasztornej kaplicy wykrzyczal zwierzchnikowi zgromadzenia w twarz, ze w razie odmowy ma rzucic dziecko do rozpadliny pod Pilastru del Cielo, a wowczas przeklnie mnichow, aby nigdy nie zaznali spokoju, bo sprzeniewierzylu sie milosierdziu swietego Sirona.

Opat nie mogle, wiec odmowic, lecz uczynil to niechetnie i z ciezkiem sercem. Przywedrowal na Guglia dei Fulmini z poludnia, z okolic Brionii, ziemi slynacej z czarow nieznanym na odleglej, ubogiej polnocy. Pomimo upadku Principi dell'Arazzo magowie wciaz panowali tam nad miastami i na niebie nieraz ogladano widmowe ksztalty demonow. Tam tez szarzy bracia, przesladowani przez czarnoksiężnikow i

wypędzani ze swoich siedzib, jako pierwsi zaczęli nawoływać do wyrzeczenia się wszelkiej magii. Klasztory kolejno buntowały się przeciwko swoim ksiądzom. Mnisi nie chcieli dłużej trawic czasu na znużających obliczeniach trajektorii demonów ani badać kolejnych sfer nieba. Palono kodeksy pełne starożytnych zaklęć, atlasy nieba i katalogi demonów, z dawien dawna przechowywane w klasztorach bibliotekach.

Magowie odpłacali za bunt z niezrównanym okrucieństwem, pustosząc starożytne monasteria i wydając ich mieszkańców na pastwę demonów. Z takiego spalonego klasztoru pochodził właśnie opat, który cudem tylko wymknął się furii sług czarnoksiężników i zdołał uciec na północ. Nawet z wylupionymi oczami syn Soave di Castello Scarlatto był dla niego wcielona groza, nieustającym zagrożeniem przybytku, w którym znalazł schronienie.

Najwięcej przychylności okazał dziecku stary lutnik, który był odzwierciedleniem na moście, i od niego Nino dostał kiedyś harfę. A potem, ku przerażeniu starego opata, chłopiec skomponował pierwszy ze swych hymnów i klasztor świętego Sirona zmienił się bezpowrotnie.

–Nigdy mi o tym nie mówiles, ojciec – odezwał się z cicha Nino.

–Odparłem mu wówczas, że prawdziwe piękno często wzbudza strach, ja zaś nie wyczuwam w twojej muzyce zła, lepiej, więc obrocic ją na wspólny użytek niż zniszczyć i skazać na zapomnienie. Opat zgodził się ze mną, do końca jednak nie przestał się lekcebić twoimi piosenkami. Poradził nam również, byśmy nigdy nie schodzili w dolinę. Tutaj, bowiem, jak rzekł, moc świętego Sirona ochroni cię przed złem demonów i złem ludzi, ale z dala od Pilastru del Cielo łatwo staniesz się ich łupem. Jego następcy, ja także, skwapliwie usłuchali tego ostrzeżenia.

Nino był zbyt zdumiony, by poczuć żal lub gniew.

–Baliscie się mojej muzyki?

Starzec zawahał się.

–Były znaki – rzekł powoli. – Wydarzenia, których nie można wytłumaczyć rozumem. Okrutnicy nawracali się, słysząc dźwięk twojej harfy, minstrel, wcześniej oddani blahostkom i dworskiej rozpucie, przywdziewali zgrzebane zakonne szaty, aby odtąd ku chwale Panskiej roznosić po Polwyspie twoją muzykę. Chorzy doznawali uzdrowień u grobu świętego Sirona, kiedy podczas nabożeństwa śpiewano twoje hymny. Oblakani, wypowiadając słowa twoich piosenek, w jednej chwili wyzwalał się spod mocy demonów.

–Przecież to były cuda! Nie przypisujcie mi mocy, której nie posiadam.

–Owszem, to były cuda – głos opata nieoczekiwanie nabral surowości. – Jak mamy



**jednak zgadnac, skad pochodzi moc w swiecie, gdzie demony chadzaja wolno pomiedzy ludzmi ku uciesze czarnoksiężników?**

**–Czy naprawde... czy wierzycie, ze moje hymny...? – Nic wiecej nie zdolal powiedziec.**

**–Nie, synu. – Starzec potrzasnal glowa. – Wiara jest cienka linia, poza ktora sa tylko ciemnosc i demony, a twoja wiara jest mocna i strzelista jak Pilastr del Cielo. Dopoki wierzysz.**

**Nim odszedl, nakreslil na czole slepca znak blogoslawienstwa, ale pierwszy raz w zyciu nie napelnilo to Nina spokojem.**

**\*\*\***

**Nastepnego ranka, tuz po porannych modlach, przyniesiono wiesc, ze na skraju Pilastr del Cielo stoi czarnoksiężnik i chce mowic z synem Soave. Ten sam oblat, co wczoraj, przyszedl z nia do celi Nina.**

**–Opat pozostawil twojej woli, panie, czy zechcesz mu wyjsc naprzeciw.**

**Tak szybko, pomyslal Nino, choc Fiametta ostrzegala go wczoraj i sam powinien przeciez wiedziec, jak niewiele rzeczy jest niedostepnych dla czarodziejow.**

**–Nie sadze, abym naprawde mial wybor.**

**–Zaprowadze cie, panie – rzekl chlopiec, kiedy Nino siegnal po laske.**

**–Nie lekasz sie?**

**Wiedzial, jak bardzo pasterze obawiaja sie magow z odleglych miast.**

**–Lekam sie, panie – odparlo powaznie dziecko. – Nie godzi sie jednak, abys stanal przed nim sam i bezbronny, bo nie dostrzezesz w pore, co zamierza uczynic.**

**Nino zmieszal sie. Niczym sobie nie zasluzyl na takie przywiazanie.**

**–Widziales go juz?**

**–Spojrzałem przez uchylona furte. Stal po drugiej stronie Pilastr del Cielo i z daleka dojrzałem tylko siny plaszcz. Ale chlopcy mowili, ze czarownik jest z wygladu mlodszy od ich ojcow, chociaz chodzi po ziemi juz ponad sto lat. Czy to mozliwe, panie – dodal z niepokojem – zeby czlowiek byl tak dlugo i nie starzal sie?**

**Musial sie usmiechnac. Do niedawna dla tego malca najwiekszym bogactwem bylo kilka miedziakow, ktore ogladal na jarmarku w dolinie, a najwiekszym skarbem –**

**kolorowe, wygładzone przez wodę kamyki z dna potoku.**

**–Niemał wszystko jest możliwe dla magów, chłopcze, lecz płaca za to straszliwa cene. Podaj mi płaszcz.**

**Szli przez klasztorny dziedziniec, dziecko i ślepiec, a głosy mnichów, wymieniających z nimi pozdrowienia, były pełne trwogi. Nigdzie nie słyszał Fiametty, może jeszcze nie wstała. Opat nie odprawił jej zeszłej nocy – od najbliższej wioski dzieliło klasztor pół dnia drogi, zbyt wiele dla zdrozonej kobiety z małym synkiem. Naszykowano jej komnatę w domku dla pielgrzymów, z dala od mnichów, ale wieść o nadzwyczajnym gościu rozeszła się szeroko po klasztorze i Nino miał wrażenie, że współbracia winia go za niebezpieczeństwo, które sięgnęła na przybytek jego siostra.**

**Poczuł niedorzeczną ulgę, kiedy minął furte opactwa i wkroczył na most. Stukot jego sandałów zdawał się rozlegać nieskonczonym echem, odbijając od skał i wielokrotniony powracać ku niemu. Mały oblat oddychał nierówno, lecz nie wypuszczał dłoni Nina. Mnich nie potrzebował właściwie pomocy, przemierzył te drogi tak wiele razy, że znał każdy krok i każdą nierówność skały. Jednak tego dnia bardziej niż kiedykolwiek odczuwał swoją ulomność i był wdzięczny za cichą obecność przewodnika.**

**Nagle dobiegł go jakiś dźwięk – ulotny, niemal niesłyszalny szelest szat. Zatrzymał się.**

**–Przyszedłem po moją własność – przemówił Iginio di Valle della Fredezza. – Oddaj mi żonę i syna.**

**–Nie należy do mnie.**

**–Nie staniesz mi, więc na przeszkodzie?**

**–Powiedziałem jedynie, że nie mogę oddać czegoś, co do mnie nie należy.**

**Iginio zaśmiał się.**

**–Odpraw chłopca, jeśli nie chcesz, abym go musiał zabić. To, z czym przychodzę, nie jest przeznaczone dla jego uszu.**

**Nino przykucnął i oparł dłonie na ramionach dziecka. Tertio stał lekko wychylony w przód, a jego mięśnie były napreżone jak postronki i mnich umiał sobie wyobrazić spojrzenie, jakim mierzy maga. Gorale często grzeszyli zbytnią zaciekłością i nie zmieniali się to, nawet, jeśli przywdziali zakonne szaty. Jednak walka z prawdziwym czarodziejem była czymś nieskonczeniem odległym od potyczek na drągi przy brodzie albo na skraju targowiska.**

**–Odejdź teraz – poprosił. – Twoje życie jest dla niego tanie jak zdzębło trawy. Idź! – popchnął ociągającego się chłopca z powrotem ku klasztorowi.**

**Mag odczekał, aż malec zejdzie z mostu, po czym przysunął się bliżej do mnicha.**

**–Fiametta przekonała cię o mojej niegodziwości? Opowiedziała, jak nastawiałem na życie jej i naszego cennego syna, aż wreszcie musiała wyrwać się spod mojej tyranii?**

**Nino milczał, usiłując wydobyć z pamięci jakies odległe wspomnienie tego głosu. Na darmo.**

**–Zapewne okazała się wymowna – ciągnął mag lekkim tonem. – Sam wiem, jak potrafi być przekonująca, a odkąd ja uwieziłem zeszłej jesieni, miała dość czasu, aby przygotować te historie.**

**Siostra nie wspomniała mu o uwiezieniu. Właściwie, zdał sobie sprawę, nie powiedziała mu zbyt wiele, a każde słowo zostało zawczasu wywazone i przygotowane jak strzala w kolczanie, czekająca, aby w odpowiednim momencie wystrzelić ją w powietrze.**

**–Dlaczego ja uwieziles?**

**–Nie z powodu urody, chociaż przyznaje, że jest piękna kobieta i często wystawiała mnie na pokusy zazdrości. Nie sadzę jednak, aby ciekawiły cię dworskie plotki, mnichu.**

**Nino nic nie odpowiedział. Czekal.**

**–Nie masz wielu powodów, aby mnie kochać – Igino odezwał się ponownie, zupełnie innym głosem. – Tym razem jednak przybywam w dobrej wierze i nie ze swojego zamysłu, wysłuchaj, więc prawdy, zanim ta kobieta przywiedzie cię do zguby.**

**–Po to przyszedłem.**

**–Jakże szlachetnie – zakpił. – Widzisz, mnichu, na początku twoja siostra nienawidziła mnie z twojego powodu i dlatego, że ja oszukałem. Potem jednak jej nienawisc nie potrzebowała już przyczyn, syciła się sama sobą i nie było żadnej plugawości, przed którą się cofnęła. Ponieważ Fiametta wiedziała, że pragnie syna, jednym ze swych kochanków uczyniła mojego niewolnika, pomiot demonów, psiogłowca z rodu Cynocefalitów. Nie powiodło się jej, pozostała jalowa, zatem zwróciła się do innych magów i usiłowała ich przeciwko mnie podjudzić. Kiedy znowu poniosła klęskę, sprowadziła na dwór strege aby mnie otruc magicznym naparem. Jej pomysłowość była zdumiewająca – w jego słowach pobrzmiwał podziw. – Całymi latami prowadziliśmy gre, której nie jesteś w stanie ogarnąć, coraz bardziej**

przywiązując się do siebie nawzajem nicia kłamstw, zdrad i podstępów. Czy jesteś zgorzony, mnichu?

–Nie. Raczej zasmucony.

Mag nie zwrócił na niego uwagi.

–Fiametta była zachwycająca. Krazyliśmy wokół siebie w śmiertelnym tańcu jak dwa skorpiony na pustynnym piasku, aż wreszcie zdołałem uczynić ją brzemienna. Jaką wściekłością wybuchła! Ale nie potrafiła pozbyć się dziecka i w stosownym czasie powiła chłopca. Mojego syna i dziedzica, w którego żyłach tętniła błękitna magia. Rosł, a Fiametta nie dbała o niego bardziej niż o parszywego kociaka, poki nie przyszło jej do głowy, aby go wykorzystać. W tajemnicy wezwała maga, plugawego odszczepienca, który wiodł życie na jałowej ziemi na skraju morza. Nie był wiele sprawniejszy od wiejskiej stregi, lecz udało mu się dokonać jednej rzeczy. Przywołał demona, nie jakiegos dumnego ducha z najwyższych sfer nieba, ale wynędzniałą salamandrę, która kiedyś służyła na dworze maga, a po jego śmierci nie zdołała się już w pełni uwolnić spod żywiołu ognia i ulecieć ponad księżyc. Spetal ją, choć nie bez trudu, a kiedy to się stało, Fiametta zwabiła do swoich komnat mojego syna i poprzez magię krwi splełli go z demonem.

–Nie wierze ci – powiedział powoli Nino. – Żadna matka nie uczyniłaby czegoś podobnego swemu dziecku.

Zaraz jednak zdał sobie sprawę, jak ulomne jest jego wyobrażenie o kobietach. Do klasztoru świętego Sirona przybywało wiele matek. Mozolnie wspinały się na góry, niektóre na kolanach, niosąc w ramionach czy na plecach kalekie lub chore dzieci, z nadzieją, że święty Siro wybląga dla nich uzdrowienie. Ale jeszcze więcej matek pozostawało w dolinach i Nino nigdy nie wejrzał w serce żadnej z nich.

–Fiametta nie jest zona rybaka, która z oseskiem przy piersi patroszy ryby w przystani i rozwiesza sieci. Nie chciała tego dziecka, gdy zaś przyszło na świat, postanowiła wykorzystać je, by zranic mnie jak najdotkliwiej.

–To tylko dziecko.

Wczoraj Fiametta przyprowadziła na chwilę syna do jego celi.

Chłopczyk tulił się do niej i poplakiwał, przestraszony nowym miejscem i natłokiem nieznanymi mężczyznami.

–Jesteś ślepy, mnichu! – wykrzyknął z wściekłością mag. – Nie widzisz jego włosów, które w ciemności żarzą się czerwoną poświatą, ani oczu, kiedy zniechęcają się jak dwa gorące węgle.

**A wiesz, co jest najgorsze? Gdzies w glebi potwora moj syn jest zupełnie sam i krzyczy w ciemności z przerażenia, a ja nie mogę go dosięgnąć. Obrocila przeciwko mnie stara groźba, która przed trzydziestu laty skłoniłem ją do posłuszeństwa. Sadziłem, że chce mnie zmusić do zabicia własnego dziecka. Ale nie! – Zaniósł się przenikliwym chichotem. – Kiedy uciekła, zrozumiałem, że jej niegodziwość jest jeszcze większa.**

**–Uciekła, aby go ratować.**

**Igino prychnął z pogardą.**

**–Oprzytomnij, mnichu! Jest mnóstwo lepszych miejsc, bardziej niedostępnych i otoczonych potężniejszymi murami niż ten klasztor. Jest też na Polwyspie wielu książąt, którzy z chęcią udzieliliby schronienia mojej żonie, choćby po to, aby mnie rozwścieczyć. Fiametta wybrała jednak Guglia dei Fulmini i przyznasz, że nie z siostrzanej miłości przypominała sobie o bracie, którego wcześniej nie chciała znać.**

**Zaklulo go w piersi. Wczoraj nie spytał nawet, dlaczego przez tyle lat siostra nie wysłała mu choćby jednego listu. Znadto lekał się odpowiedzi.**

**–Sam jej wzbraniales pisać.**

**–Owszem, z początku, kiedy jeszcze wierzyłem, że można ją oblaskawić, ale po trzydziestu latach zaiste nie miałem się już, czego lekac. Zapominała o tobie. Zapominała o wszystkim, oprócz swojej nienawiści.**

**Przez chwile Ninowi wydawało się, że przypomina sobie młodzieńcza twarz Fiametty, kiedy siedzi na podestie kolumny, puszcza banki mydlane i śmieje się, patrząc, jak wirują w powietrzu. Zaraz jednak rozmyśla się i znikła, pozostawiając pod powiekami ostre smugi światła. Wzdrygnął się.**

**–Jest taka, jaka ja uczyniłeś.**

**Mag zamilkł.**

**–Być może masz rację – przyznał. – Ale kluczem do tej historii jest coś innego. Księga.**

**Fiametta przekonywała go, że mag, wzburzony zniknięciem syna i żony, nie odkryje kradzieży kodeksu.**

**–Widzę, że opowiedziała ci o niej – rzekł czarnoksiężnik. – Nie przecz nawet, nie przywykłeś klamac, mnichu. Czy wiesz również, co jest w środku?**

**–Ty mi powiedz.**

**–Czemuz nie? Fiametta wykradla mi najcenniejsza ksiege z moich zbiorow, spis zaklec tak poteznych, ze moga zetrzec z powierzchni ziemi cale miasta.**

**–Twoich zaklec?**

**Igino znowu wybuchl piskliwym smiechem.**

**–Wyjawila ci, wiec takze moja mala slabosc. Tak, mnichu, nie dorownuje moze moca Duilliowi, Severowi ani innym dawnym mistrzom, ale przez te wszystkie lata zdolalem utrzymac Valle della Fredezza i tron twojego ojca. A za pomoca tego kodeksu powaze sie na cos wiecej i Polwysep znow stanie sie jednocia.**

**–Poprzez magie?**

**–Och, wiem, ze wy, mnisi, nie bedziecie dla mnie zacheta. Ale nadciagaja Arimaspi i Polwysep bardziej niz kiedykolwiek potrzebuje obrony. Ja zas potrzebuje kodeksu, w ktorym zapisano legendarne zaklecia Principi dell'Arazzo. Oddasz mi go?**

**–Fiametta powiedziala mi cos innego.**

**–Nie watpie – odparl szyderczo Igino. – Zastanawiam sie jednak, czy objasnila ci, po co potrzebuje twojej pomocy. Widzisz, mnichu – podjal, kiedy Nino nie odpowiadal – moja droga zona nie potrafi odczytac zaklec, a jej kochanek mag nie mial dosc mocy, aby chocby sprobowac stawic czolo przywołanym demonom. Fiametta potrzebuje, wiec kogos innego – slepej mocy, ktora pozwoli jej zapanowac nad duchem i zmiesc mnie z powierzchni ziemi. Dlatego przybyla do ciebie.**

**–Skad wiesz?**

**–Ostatniej nocy przed uciezka zasztyletowala kochanka, ale maga nawet stala nielatwo smiertelnie naznaczyc. Zanim zdechl, przekazal mi ostrzezenie. Fiametta wykorzystala cie, a potem zabije jak tamtego nieszczesnika.**

**Nagle zachcialo mu sie smiac. Czarnoksiężnik, ktory przed trzydziestu laty pozbawil go oczu i calej przyszlosci, ktora byla z nimi zwiazana, przestrzegal go teraz przed siostra.**

**–Opamietaj sie, magu – rzekl cicho, starajac sie zdusic histeryczny smiech, ktory narastal w jego krtani. – Za kogo mnie masz, jesli sadzisz, ze teraz uwierze w twoje przestrogi?**

**–Wciaz nie rozumiesz! – wykrzyknal Igino. – Zaklecia maja forme piesni i ja sam wciaz nie potrafie ich rozwiklac. Ty zas masz wszystko, co potrzebne, wiedze i moc, ktora plynie w twoich zylach.**

**–Procz oczu.**

**–Te zastąpi ci demon. Nasz syn. Nino zacisnął palce na łasce.**

**–Przechodząc przez ten most, wyrzekamy się wszelkiej magii.**

**–Taki jesteś siebie pewien, mnichu? – Igino prychnął. – Niewiele wiesz o naturze magii. Jeśli raz jeden zaczniesz przywoływać demona, zaklęcie zawładnie tobą i uniesie jak zawierucha. Dlatego odesłałem cię aż za Pilastrami del Cielo, gdzie nie dopuszczają czarodziejów i gdzie nie będziesz wystawiany na pokusy. Ale kiedy usłyszałem twoje pieśni, zrozumiałem, że każda kropla twojej krwi rozpaczliwie domaga się magii.**

**–Zwodziś mnie. Sławie Pana, najlepiej jak potrafisz, i nie dbam o przeklęte sprawy czarodziejów.**

**Igino zaniósł się chichotem, który pod koniec przeszedł w nieznaczny, zdławiony skrzek. Nino zmarszczył brwi. Za sprawą swojej ślepoty niewiele czasu spędzał w infirmerii i nie pomagał braciom w opiece nad pielgrzymami. Potrafił jednak rozpoznać niemoc. Czarnoksiężnika, który niegdyś pokonał jego ojca, skrycie toczyła choroba, co było widocznym znakiem jego gasnącej mocy. Magowie w pełni sił nie zwykli zapadać na zdrowiu.**

**–Najwyraźniej jesteś, więc nie tylko ślepy, ale i głuchy – zadrwił Igino. – A może po prostu nie chcesz słyszeć ani pamiętać. Ale prawda jest taka, że w każdej pieśni, w każdym hymnie, wplatasz zwichrowane zaklęcia i strzępy inkantacji, którymi niegdyś twój ojciec przywoływał demony**

**–Kłamiesz.**

**–Po co miałbym to robić? Żeby pogrzebieć ślepego głupca z klasztoru na końcu świata? Nie przeceniaj się, mnichu. Gdybyś potrafił odczytać księgi swego ojca, mógłbyś zostać prawdziwym czarnoksiężnikiem, godnym Principi dell'Arazzo. Ale tak jesteś jak szczenię, które przyzywa matkę, naśladując jej głos. Choć nie wiem, czy Soave uradowałby się, słysząc strzępy swych zaklęć w kościelnych pieśniach. Właściwie – zachichotał – to nawet zabawne, ci biedni prostacy, którzy myślą, że sławia Pana, naprawdę zaś pośrodku jego świątyn nadaremnie przywołują demony.**

**–Kłamiesz – powtórzył Nino. – Jak rozpoznajesz zaklęcia mojego ojca, skoro nie potrafisz odczytać jego ksiąg?**

**–Soave nie krył się nadmiernie ze swoją sztuką, ufając, że nikt nie zdoła skopiować jego zaklęć. I miał w tym niemal rację, bo czarnoksiężnicy z rzadka gustują w tym rodzaju magii. W każdym razie umiem rozpoznać jego inkantacje. Te same, które od lat bezwiednie usiłujesz odtwarzać, układając pieśni o melodiach tak ludzaco**

podobnych do zaklec, ze trzeba wprawno ucha, aby rozpoznać różnice. Ale wystarczy jedno prawdziwe zaklecie, a magia cie pochłonie. Zastanawiam się... – zawiesił głos – czy nie tego właśnie pragnie Fiametta.

–Nie ma powodów, aby życzyć mi zagłady.

–Jestes pewien? – odparł szyderczo Iginio. – Przecież nie wrociles po nia, by uwolnic ja spod wladzy zlego czarnoksiężnika, i nie odebrales zagrabionego dziedzictwa, choc blekitna magia spiewa w kazdej twojej piesni. Nie, Fiametta ma dosc powodow, aby cie wykorzystac i zniszczyc. Dam ci czas do jutra. Przemysl to sobie dokladnie i zdecyduj, czy oddasz mi kodeks i odprawisz Fiamette, czy tez narazisz swoja dusze na zgube. Jesli wybierzesz wlasciwie, odejde, ty zas bedziesz dalej wplacac w piesni swoje zwichrowane zaklecia. Jesli zas nie... Tak czy inaczej Pilastris del Cielo ulegna zagladzie.

\*\*\*

–Jak mogles sie z nim spotkac?! – Młoda kobieta jak burza wpadła do celi. Jej syn dreptał za nią na krótkich nożkach: Nino wyraźnie słyszał drobny tupot jego bucików. – Naraziles nas wszystkich na wielkie niebezpieczenstwo.

–Wrocilem jednak szcieszliwie – odrzekł spokojnie. – Witaj, pani.

Bez zaproszenia opadła na jego łozko. Oddychała ciężko, najwyrazniej biegła całą drogę, a spod zapachu pachnidła przebijała ostra won bielidla do twarzy: widocznie dzisiaj miała więcej czasu i pragnęła wygladać jak wielka pani, która w istocie była. Przypomnił sobie, że nie, kto inny, jak właśnie Fiametta wprowadziła te dziwne mode, ganiona przez kaznodziejow jak Polwysep dlugi i szeroki. Malzonki i corki magow nie ukazywaly sie juz swiatu z obliczem, ktorym obdarowal je Najwyzszy, lecz powlekaly je szczelnie warstwa bialej farbki, na ktora pracowicie nakladano kolejne barwy, drobinki zlota i sproszkowane szlachetne kamienie, az ich twarze stawaly sie podobne do kunsztownych malowidel -i rownie nieruchome. Kobiety czarodziejow z rzadka mialy okazje swobodnie przemowic pomiedzy ludzmi: na dworach nazbyt dobrze pamietano przekleta Sirocco, ktora jawnie pokazala, jaka zdrade i jad moze skrywac jezyk kobiety. Dlatego kazdy kolor i kazdy motyw na twarzach szlachetnych pan mial swoje znaczenie. Pozbawione slow i piesni, okazywaly smutek czy radosc poprzez kombinacje barwnych wzorow. Pomimo wszelkich przestrog kaznodziejow, Nino nie potrafil ich winic.

–Wysluchales go – zgadła, wrywając go z zadumy. – Powinnam byla wiedziec, ze nie znajdziesz dosc sil, aby sie mu oprzec. Nino, jezyk czarnoksiężnika jest rozdwojony jak jezyk zmii i rownie jadowity. Iginio robi wszystko, aby cie zwiesc...

–Jak mialbym ci pomoc? – przerwał. – Nie potrafie odczytac znakow czarodziejow.



**–Moj syn pobierał nauki – rzekła bez tchu. – Bedzie twoimi oczami.**

**Milczał. Nie zamierzał przyznać, że nie potrzebował żadnej pomocy. Pamiętał każdą z piosenek, które napisał przez ostatnich dwadzieścia lat. Każdy dźwięk, słowo, rytm były nieustannie przy nim. Muzyka otaczała go, kiedy leżał w ciemności celi i własnej ślepoty, myślał o zimowych gwiazdach, które świeciły nad klasztorem, i porannej zorzy, której nigdy nie zobaczył. Nie rozpaczal nad tym. W piosenkach istniały wszystkie miejsca i wszystkie barwy, które mu odebrano. Nie potrzebował więcej.**

**W oddali rozległ się mały dzwonek wzywający mnichów na wieczerze.**

**–Tylko ten jeden raz, bracie – poprosiła. – Przecież mnisi śpiewają twoje piosenki w każdej świątyni Polwyspu i nie ma w tym nic dziwnego. Zaspiewaj dla mnie, a nie żądam już nic więcej.**

**Dzisiaj nie była równie pewna jak wczoraj, znikła buta i szyderstwo, z jakim wypominała mu niewiedzę. Być może nie wierzyła, że czarnoksiężnik przybędzie tuż za nią.**

**Odwrocił się do niej, rozpaczliwie pragnąc spojrzeć jej w twarz.**

**–Czy ty mnie nienawidzisz, Fiametta? – zapytał cicho.**

**–Jak możesz pytać? Jesteś moim bratem.**

**Odpowiedź była jednak zbyt szybka i zgadł od razu, że oczekiwała tego pytania. Jakby wyczuwając jego myśl, Fiametta przygarnęła mocniej synka. Chłopczyk ssal kciuk i w celi raz po raz odzywało się mokre ciamkanie. Być może w naturze matki jest, pomyślał Nino, że poświęci wszystko i dopuści się każdej zbrodni dla ocalenia dziecka.**

**Wyciągnął dłoń, aby pogłaskać chłopca po głowie, i przez moment poczuł pod palcami ciepłą miękkość jego dziecięcych loków. Senzio wzdrygnął się jednak i natychmiast odsunął.**

**–Lękasz się obcych – wyjaśniła Fiametta. – Iginio nie pozwalał mi opuszczać komnat, a sam wiesz dobrze, jak zazdrośnie czarnoksiężnicy strzegą swoich synów.**

**Milczał, starając się zapanować nad strachem i rozterką.**

**–Nie ma więcej lat, niż ty miałeś – głos kobiety był cichy jak tchnienie – tamtego dnia, kiedy Iginio wyrwał ci oczy. Jemu chce zabrac jeszcze więcej: życie, duszę i całą przyszłość na tym i drugim ze światów. Pomóż nam. Nikt inny tego nie zrobi.**

**Każde jej słowo sprawiało ból.**

**–Pojde do kaplicy – powiedział – i bede sie modlil, aby Pan podpowiedzial mi jakis sposob. Czy zechcesz mi towarzyszyc wraz z synem?**

**Mlaskanie umilklo. Ninowi wydalo sie, ze chlopiec cofnal sie jeszcze bardziej, dotknal plecami sciandy. Od razu przypomniało mu sie, ze zaden demon z własnej woli nie stanie na poswieconej ziemi, jesli by zas probowal, stopi sie i splonie we własnym ogniu, jak stalo sie z przeklętymi duchami, ktore scigaly Luane, opatke z klasztoru Brionii, w tamta noc, kiedy rod Principi dell'Arazzo ulegl zagladzie.**

**–Czy tylko tyle mozesz mi ofiarowac? – fuknela, szeleszczac brokatowa suknia. – Jesteśmy zdruzzeni – dodala lagodniej – a w nocy dzwon nieustannie wyrывal nas ze snu, zabiore, wiec raczej syna na spoczynek. I bede czekac na twoja decyzje. Jak wiele czasu dal ci Iginio?**

**–Do jutrzejszego switu.**

**–Jakze laskawie! – zakpila. – Zwykle nie bywa tak litosciwy.**

**Zmilczal oczywista odpowiedz: przed trzydziestu laty poznal laske czarodzieja i nie trzeba mu bylo o tym przypomnac. Zaraz jednak przeszlo mu przez mysl, ze Fiametta zaplacila znacznie wiecej.**

**–Badz ostrozny – podjela za moment. – Iginio rozpaczliwie potrzebuje mocy i zetrze nas wszystkich z powierzchni ziemi, aby ja dostac.**

**Zastanawial sie, czy Fiametta wie o chorobie maga. Byla wystarczajaca sprytna, aby ja odkryc i obrocic na swoja korzysc, ale tez Iginio zapewne ukrywal slabosc przed zona i z calych sil staral sie opoznic konanie. Nino nie potrafil ocenic, jak wiele czasu pozostalo magowi – czarnoksiężnicy gasli nagle, pokonani przez zwycieskiego konfratra, kiedy ich moc wystarczajaco zwa-tlala. Zwykle jednak tak mocno czepiali sie zycia, ze trudno bylo cokolwiek przewidziec.**

**–Tak dobrze go znasz?**

**–Widzialam, co ci uczynil! – wykrzyknela, chwytajac go za reke.**

**–Jestem tu szczesliwy, Fiametto. – Delikatnie uwolnil sie z uscisku. – Szczesliwszy, niz kiedykolwiek moglbym byc w Palazzo Scarlatto.**

**Syknela przez zacisniete zeby jak kotka.**

**–Skad mozesz wiedziec?**

**–Bo znam siebie.**

**Podrzuciła gwałtownie dłońmi. Powietrze w komnacie nieomal pulsowało jej złością.**

**–Przez te wszystkie lata u jego boku zastanawiałam się nad jednym. Co by było, gdybym tamtego dnia, kiedy zabito naszego ojca, ja również miała moc i wiedzę czynienia zaklęć.**

**W tej chwili potrafił ją sobie wyobrazić bardzo dokładnie, cała w szkarłacie i złocie, z wysoka korona czarnych włosów, które kiedyś były płomieniste rude, wciąż młoda i rozpaczliwie spragniona magii.**

**–Sa różne rodzaje mocy, Fiametto.**

**–Wiem. I przyjmę z radością każdą, która stanie pomiędzy moim synem i Iginem.**

**Dobrze, więc, pomyślał. Niech i tak będzie.**

**–Daj mi księgę, Fiametto – zdecydował. – Wiem, że masz ją przy sobie. Nie pozostawiłabys tak cennej rzeczy niestrzeżonej.**

**Młoda kobieta zawahała się. Młodec stał cicho u jej boku.**

**–Wkładam w twoje dłonie nasze życie – powiedziała wreszcie. – Cokolwiek się stanie, pamiętaj, że ci ufam.**

**Wreszcie podała Ninowi księgę i pociągnęła chłopca ku wyjściu. W drzwiach zatrzymała się jeszcze.**

**–Pamiętaj – jej głos zmiekl, jak zawsze, kiedy mówiła o synu – że on ma tyle samo lat, co ty, kiedy cie tu przyprowadzono. Igin nie okaze mu więcej litości niż niegdys tobie. Nie zawiedz Senzia. Poza toba nie mamy żadnej nadziei.**

**\*\*\***

**Księga była lekka i doskonale pasowała do jego złożonych dłoni. Wyczuwał na grzbiecie jakieś znaki wytłoczone w oprawie. Kiedy obwiodł jeden z nich opuszką palca, miał wrażenie, że skóra stała się gorąca pod jego dotykiem. Wydzielała dziwną won – mieszaninę ambry, pizma i jeszcze czegoś, zętałych ziół albo kwiatów. Bał się otworzyć księgę, zarazem jednak nie potrafił jej odłożyć i schować pod siennikiem. Siedział nieruchomo w celi, trzymając ją na kolanach, owinięta w podwójny płat materii, kiedy odnalazł go opat.**

**–Czy to ta księga? – zapytał staruszek, wysłuchawszy całej opowieści.**

**–Tak sądzę – odparł, zaciskając na niej kurczowo palce, bo nagle obudziło się w nim podejrzenie, że Fiametta zwiódła go tylko, podsuwając bezużyteczny przedmiot**

**zamiast kodeksu magow.**

**–Czy pragniesz ja otworzyc?**

**–Ojcie, jestem slepcem. Obojetne, jak bardzo bede tego pragnal, nie zdolam sam rozstrzygnac, co w niej zapisano.**

**Stary mnich pokrecil glowa.**

**–Zaden z nas nie posluzy ci pomoca. Ta rzecz nigdy nie powinna sie byla znalezc w klasztorze i trzeba, aby stad znikla, zanim rzuci cien na nasze dusze.**

**–Nie otworzyłem jej, ojcie, jeśli tego się lekasz.**

**–Księga jest jedynie przynęta – powiedział powoli starzec. – Lekam się tego, co jeszcze sprowadza na nas twoja siostra i ten mag.**

**–Wkrótce oboje odejda, tym czy innym sposobem.**

**–Ktoremu z nich wierzysz?**

**Nino bezradnie wzruszył ramionami.**

**–Nie wiem. W istocie Fiametta prosi mnie tylko, abym zaspiewał jeden z moich hymnow, mag zaś pragnie zwrotu księgi będącej jego własnością. Żadna z tych rzeczy nie jest zła, jednak wzdramam się na samą myśl, że mogłbym przychylic się do którejkolwiek z prośb.**

**Z wysiłkiem rozprostował palce – dotąd zaciskał je tak mocno, że żelazne klamry bolesnie wpily mu się w ciało – i odłożył księge.**

**–Widzisz, ojcie – zaczął z namysłem – nigdy nie próbowałem śpiewać własnych piosenek. Dyktowałem słowa i wygrywałem melodie na harfie, lecz nie odwazyłem się zaspiewać. Nie zastanawiałem się dotąd, dlaczego. Teraz myślę, że w głębi duszy przeczuwałem, iż mnie to zniszczy.**

**–Nie zachęcaliśmy cię do tego. – Stary mnich pokiwał głową. – Twoja muzyka była wystarczającym darem, ale czasami, kiedy grałeś, zdawało się, że jest jak pustyнный wicher, zdolny rozsądzić mury klasztoru.**

**Obaj pomysłeli o sirocco, wicherze, którego imię nadano demonowi, a także ukochanej córce maga, której los stał się przestroga dla wszystkich niewiast z Polwyspu. Żaden jednak nie powiedział tego głośno.**

**–Tyle, że wichry wieją z różnych stron, ojcie. A niektóre z nich są demonami.**

**–Nie wierze w to. – Opat dotknal lekko jego zacisnietych dloni.**

**–A kiedy jutro stanesz posrodku Pilastri del Cielo, nie boj sie i pamietaj, ze ten most jest tylko znakiem.**

**\*\*\***

**Furtian, ktory po drugiej stronie wpuszczal pielgrzymow na most, mowil pozniej, ze cos wyrwalo go ze snu tuz przed switem, w porze, kiedy niebo zaczyna szarzec, a z otchlani rozpadliny podnosza sie mleczone mgly. Bylo zimno. Kiedy wyszedl z bramy i stanal na krawedzi mostu, z jego nozdrzy unosila sie para. Gdzies z glebi gestego tumanu dobiegl go przenikliwy krzyk kobiety:**

**–Co robisz?**

**W chwile pozniej Iginio bezszelestnie pojawil sie u jego boku, zupełnie jak gdyby poranna mgla wyplula go na skraju przepasci. Zaraz potem dobiegl ich glos Nina, czysty i dzwieczny, jakby znalazl sie tuz obok:**

**–Mam ksiege.**

**Nino stal na waskim przesmyku pomiedzy dwiema kamiennymi iglami, od ktorych wzial nazwe most. Wygladal zwyczajnie w szarej klasztornej szacie i ciemnej przepasce na oczach, ktora sprawiala, ze nie dalo sie go pomylic z zadnym innym ze wspolbraci. Jednak w jego posturze bylo cos takiego, ze furtian przycisnal dlonie do piersi i zmowil szybko modlitwe. Moze sprawila to ksiega w rekach Nina.**

**–Nie umiem rozstrzygnac, ktore z was mowi prawde.**

**Iginio wyszeptal cos pod nosem – przeklenstwo albo zaklecie – i mgielne opary rozrzedzily sie nieco. Mnich przy furcie wytezyl wzrok i dostrzegl na przeciwnym brzegu szczeliny kobiete w szkarlatnym plaszczu. Jej dlugie, kruczoczarne wlosy rozwiewal wiatr. Rudowlosy chlopczyk trzymal w garosci pole jej szaty.**

**–Ale sa moce wieksze od magii i slowa, ktore siegaja dalej niz zaklecie. Nie mnie osadzac, ktore z was sklamalo. I nie mnie wymierzac kare. Jesli ta rzecz prawdziwie nalezy do ktoregos z was, niech sie nie leka i przyjdzie po nia.**

**I zaczal spiewac. Mnich odzwierny znal dobrze te modlitwe -Nino napisal ja wiele lat temu i furtian niejednen raz slyszal ja w klasztornej kaplicy. Nigdy jednak nie brzmiala tak, jak tamtego dnia na srodku mostu zwanego Pilastri del Cielo.**

**Mag zawahal sie. Przez moment mnich widzial wyraznie, jak strach walczy na jego twarzy z pozadaniem. Potem Iginio postapil krok naprzod. Kobieta pod drugiej stronie rozpadliny tez wyszla na most, pociagajac za soba dziecko – a moze to ono ja**

popchnelo.

Mgła rozwiała się całkowicie, piosenka zaś spotażniała. Unosiła się coraz wyżej, do szczytów skał i ponad nie, do nieba błękitnego jak magia. Wraz z nią wstawał świt, zupełnie jakby piosenka odsłaniała kolejno skaliste granie, rozpadliny pełne śniegu, co nigdy nie topnieje, ciemne smugi krzewów, klasztorne mury i wędrowców na ścieżkach, którzy zadzierali głowy do góry, usiłując wypatrzeć źródła piosenki.

Furtian miał wrażenie, że oto nastal pierwszy świt świata i wszystko to stwarza się właśnie przed jego oczami za sprawą hymnu Nina. Patrzył, więc z zachwytem wokół, jakby oglądał to miejsce po raz pierwszy, jakby dopiero ślepiec ukazał mu prawdziwy kształt rzeczy. Przyciskał ręce do piersi, bo bał się, że serce pęknie mu od tego nadmiaru cudowności. Wiedział, że w życiu usłyszy jeszcze wiele modłów, jednak nigdy już nie doświadczy czegoś takiego, jak ta piosenka. Były w niej zachwyt i ból. I jeszcze coś, zrozumiał po chwili. Piosenka zmieniała się, choć wciąż pamiętał słowa i melodia wydawała się znajoma. Nino, samotny posrodku Pilastru del Cielo, rozpaczliwie prosił o prawdę.

Nie powinien tego robić, pomyślał ze zgrozą mnich. Człowiek nigdy nie powinien błagać o zbyt wiele.

Wychylił się, chcąc uczynić krok naprzód, ale nogi go nie usłuchały. Nie zdziwił się nawet. W jakimś sposob był pewny, że tego dnia na moście nie ma dla niego miejsca.

Piosenka dobiegła kresu.

–W tej chwili widzę wyraźnie – rzekł schrypłym głosem Nino. – Wolalbyśmy pozostać ślepcem.

Furtianowi wydalo się, że dostrzegł jeszcze, jak spod jego przepaski spływają czerwone łzy.

Czarnowłosa kobiety wykrzyknęła coś, rozrzucając szeroko ramiona.

Mag odpowiedział jej ze śmiechem.

Nino otworzył księgę. Wichry ze swistem opadły ku niemu i przewróciły karty.

A potem niebo z hukiem rozdarło się nad nimi na dwoje i pomiędzy obłoków spadła kolumna ognia, spowijając Nina, kobietę, dziecko i maga. Ziemia trzęsła się i pękała, skały opadały w przepaść, krzewy stawały w płomieniach od gorąca. Furtian przywarł rozpaczliwie do ziemi i osłonił twarz, oslepiony blaskiem. Wśród huku lawin i syku płomieni nie słyszał już żadnych głosów, tylko słaby pogłos piosenki dobiegającej z niezmiernie odległości. Powietrze gorzało, paliło mu twarz i ramiona, a szara klasztorna suknia spopielała na nim, jakby przeszedł po niej ogień. Ale wciąż żył i

**zadziwienie tym prostym faktem przewyższało nawet strach. Nie miał prawa przetrwać w tym miejscu i tym czasie, jednak go oszczędzono. Nie pojmował, dlaczego.**

**Dygotał, rozplaszczony na ziemi i zmartwiał ze strachu jeszcze na długo po tym, jak słupy ognia wypaliły się w powietrzu i opadły najgrubsze ziarna pyłu. Z odretwienia wyrwał go dźwięk dzwonu: w klasztorze bito na trwogę, a głosy przerażonych mnichów coraz głośniej niosły się nad przepascią. Podniósł się z wysiłkiem i popatrzył ku nim ponad mostem, którego był strażnikiem.**

**Mostu nie było. Pozostał z niego jedynie przesmyk pomiędzy dwiema skalnymi igłami, nie więcej niż dwadzieścia stop kamiennej ścieżki, tak wąskiej, że po wyciągnięciu ramion dłonie wisiały już nad przepascią.**

**Nie było też maga o lodowatym spojrzeniu, który wczorajszego ranka pojawił się znikąd przed chatką fiurtiana. Nie pozostał ślad po jego czarnowłosej żonie, piękniejszej od wszystkich kobiet, które mnich widział, ani po pulchnym chłopczyku z nieodłącznym kciukiem w buzi.**

**Tylko Nino stał posrodku resztek Pilastrów del Cielo, wyciągając przed siebie puste dłonie.**

**Księga zniknęła.**

**\*\*\***

**Następnego dnia pasterz, który prowadził stado poniżej przeleczy, odnalazł na ścieżce kilka pojedynczych kartek. Były czyste.**

**Śmierć Czarnoksiężnika**

**"Nigdy nie ufaj obietnicom wiedzmy, darom przybysza. z północy, wschodnim wichrom ani zakleciom czarnoksiężnika z Askalonu", powtarzano od wieków na Polwyspie. I nie bez przyczyny. Pomimo klątw mnichów i napomnień władców, stregi wciąż sprowadzały na manowce naiwne wiesniaczki, które przybiegały do ich domostw z czarnymi kurami albo koszami fig i winogron. Kiedy przygrzało pierwsze wiosenne słońce i śniegi na traktach zaczynały topnieć, z południowych zboczy Monti Serpillini rok w rok zbiegały hordy dzikich, monstrualnych plemion, potomków demonów. Wschodnie wichry, jeśli pochwyciły nieostrożnych na głębokim morzu, rwały żagle rybaków i popychały na podmorskie skały ich małe, bezbronne statki. Askalon zaś nieodmiennie sływał ze swoich magów.**

**Niegdyś zasobna republika kupiecka, znana z błękitnego szkła, purpurowego barwnika i suszonych dorszy, podczas Guerre dei Gierofanti podupadła niezmiernie i straciła na znaczeniu. Senat Askalonu nie opowiedział się po żadnej ze stron, ufny w**

**bogactwo miasta, jego dumna flote i potezne, cyklopowe mury, ktore bronily go przed nieprzyjacielem. Nie docenil wszakze furii rozsierdzonych magow. Po jednej z bitew, ktore spustoszyly te czesc Costa dei Gabbiani, brzeg cofnal sie dobre dwa stajania w glab morza. Z czasem magiczne wichry ustalaly i pyl opadl, ale przy pogruchotanym nabrzezu portu dlugo tkwily pekate buzza i kupieckie cocci. Smrod gnijacych wodorostow mieszal sie z wonia butwiejacych kadlubow, ktorych nigdy juz nie udalo sie zepchnac na wode.**

**Potem przyszla zaraza. Morowe powietrze znad portu opadlo na rybackie dzielnice, przytulone do muru miejskiego i stloczone u podnoza portowej latarni. Smierc przychodzila szybko i we snie, jakby milosierny Pan postanowil dokonczyc dzieła demonow. Rybacy nie probowali uciekac. Za zamknietymi drzwiami chatek z jasnego lupku wyczekiwali tego, co nieuniknione. O swicie kobiety w czarnych zalobnych szatach przemykaly sie do studni i odchodzily pospiesznie, ze wzrokiem ku ziemi, by nie napotkac spojrzeń sasiadek. Nocami z opustoszalych domostw dobiegal placz dzieci i gasl bez sladu, zanim sie rozwidnilo. Wreszcie wszystko ucichlo. Tylko wiatr kolysal rozwieszonymi na dragach sieciami, az zetlaly na sloncu i rozpadly sie wniwecz, a morskie ptaki kolowaly nad niegdysiejszym portem, krzyczac z zadziwienia i smutku nad upadkiem Askalonu. Na koniec w nadbrzeznej dzielnicy pozostaly jedynie duchy i oblakany kapitan portu. Jednak przed zima i on powiesil sie na koronie latarni, skad niegdys witano nadplywajace statki i swiatlem wskazywano im droge.**

**W obliczu owej katastrofy Askalon jakby skupil sie w sobie i cofnal na zachod, ku gorujacemu nad miastem Monastero del Sole, gdzie mnisi w szarych szatach spiewali na chwale Najwyzszego. Jedni wierzyli, ze dzwiek dzwonow uchroni ich przed morowym powietrzem. Drudzy chcieli zapomniec o spadzistej skale nabrzeza, ktora opadala ku bezkresnej przestrzeni, pelnej wyschlego mulu i gnijacych alg – zupełnie jakby nie mieli jej ogladac do konca swoich dni, odcisnietej nieodwracalnie na wewnetrznej stronie ich powiek. Jeszcze inni z zapalem skorzystali z nieszczęścia ziomkow, przenoszac sie do opuszczonych kupieckich siedzib, a wiele pozostalo ich w Wysokim Miescie po tym, jak najbogatsi obywatele spakowali resztki majatku na wozy i wyruszyli z przekletego miasta na zachod w poszukiwaniu lepszej odmiany losu.**

**Zaraza nie zlekla sie jednak bicia dzwonow ani pokutnych procesji, ktore po wielekroć obchodzily mury miejskie. Nie pomogl rowniez mag sprowadzony przez niedobitki senatu az z polnocnych ksiestw, gdzie wciaz celebrowano resztki pradawnej wiedzy hierofantow. Pokiwal glowa nad ruinami portu, wymamrotal kilka zaklec, ale tylko wicher podniosl sie po nich znad rumowiska okretow, polamal resztki falochronow i na nowo rozniosl nasiona zarazy po Wysokim Miescie. Czarnoksielnika przegnano bez zaplaty, a rychlo po nim, przed pora jesiennych wichrow, odjechali nieliczni ocalali kupcy i co zasobniejsi rzemieslnicy.**



**Najubożsi jednak i najbardziej uparci pozostali. Nie wypędziły ich ani dotkliwy chłód zimowych miesięcy, ani napady grabieżców, którzy rabowali majątek zmarłych, ani niedostatek, który nastąpił z wiosną. Nie byli wszakże liczni i na wiele lat życie w Askalonie skupiło się pomiędzy Porta dei Grifoni, Monastero del Sole, Palazzo Forti, siedziba senatu oraz ruinami Torre delle Candele, w której niegdyś mieściła się miejska zbrojownia. Wszystko to stanowiło niewielki czworobok, zaledwie kilka wąskich uliczek wybrukowanych kamieniami wokół Piazza della Fontana Rossa.**

**Wedrowcy, którzy zawitali do Askalonu – co nie zdarzało się często, gdyż po Guerre dei Gierofanti trakty niepostrzeżenie odsunęły się od miasta i zarosły piolunem – z zadumą przyglądali się cyklopowym murom, wysokiemu klifowi suchego nabrzeża i rozległej polaci wyludnionego Niskiego Miasta, Citta Bassa. Potem zaś nieodmiennie pytali o magów. Albowiem pomimo wszelkich klęsk i tragedii, Askalon sływał ze swoich czarnoksiężników.**

**Mieszkańcy przyjmowali wścibstwo przybyszów z pobłażliwością. Bosonodzy chłopcy za kilka miedziaków pokazywali zeszkloną czarną skałę, jedyną pozostałość po palazzo, w którym swego czasu Umberto Nero usiłował zgłębić tajemnice wiecznego ognia. Potem prowadzili obcych na cypel latarni morskiej, gdzie przy szczątkach falochronu tkwił rząd wapiennych golemów: w jednym z nich ponoć kolacze się dusza Jacopa di Campogrigio, który postanowił osiągnąć nieśmiertelność, na zawsze splatając się z kamieniem i demonem. Na końcu zaś – ku przepastnej wyrwie tuż za Palazzo Ford, powstałej w miejscu, gdzie dawno temu stał Nesso di Lupi, kiedy postanowił sprzedać swe demony ze stałą w pojedynczą nic wystarczająco długą, aby dosięgła księżycy, jako że postanowił okiełznać go i sprowadzić na ziemię.**

**Co tu ukrywać, magowie Askalonu prędzej czy później okazywali się dziwakami i szalencami. Owszem, mieli moc: rzadko, kto mógł się równać z ich potęgą. Ale przybywali do dumnej republiki kupieckiej, gdzie nie było żadnego księcia ani innego pana, nie po to, aby ją zawładnąć, lecz aby w spokoju trawić czas na najdziwniejsze eksperymenty. O reszcie nie dbali. Powiadano, że kiedy magiczna nawałnica pustoszyła miasto, ówczesny mag Askalonu, niepomny na zagładę współziomków, tkwił w swej wieży, wyliczając trajektorie lotów błyskawic, które miały strzaskać górska gran i obrobić ją w kształt jego twarzy. Nie oderwał się od obliczeń nawet wtedy, gdy wieża zaczęła trząść się i pękać pod naporem magicznych wichrow, ani wówczas, gdy upadła z łoskotem, grzebiąc go w rumowisku.**

**Tacy właśnie byli magowie z Askalonu. Ich dumne zamierzenia sięgały poza sferę nieruchomych gwiazd, lecz zaklęcia ustawicznie szły na opak. Ostatecznie popadali we władzę własnych demonów albo pochłaniała ich zawierucha rozpetanej magii. Ale właśnie ostatni z nich miał stawić czoło całej potężnej armii Arimaspi, którzy przepłynęli morze na okrętach o szkarłatnych żaglach, aby bezpowrotnie zniszczyć Polwysep.**

Na Polwyspie od dawna z lekiem i nienawiscia wypowiedano miano Arimaspi. Przed wiekami rybacy przyniesli wieści o przybyszach z pustyni o twarzach zaslonietych szkarlatnymi zawojami, którzy w kilkanascie lat podbili wszystkie nabrzezne ksiestwa. Wraz z wojownikami nadciagneli mnisi w niewyprawionych skorach wielbladow. Ich wiara byla jak suchy pustynny wichor, co podnosi sie znad piaskow kurzawa i tnie ciało aż do kości.

Sposrod wszystkich ludow mnisi najbardziej nienawidzili mieszkancow Polwyspu i nazywali ich czcicielami demonow. Uciekinierzy opowiadali o wielkich okretach, ktore budowali skutniczy mistrzowie dawnych ksiazat, obroceni przez Arimaspi w niewolnikow. Jednak jezdzy z pustyni nie znali morza, jego wirow, wichrow, zmiennych pradow i podstepnych raf- albo tez, jak mowiono pozniej na Polwyspie, morze rozpoznalo ich nikczemnosc i unioslo w otchlan, podobnie jak fale zbieraja z brzegu jasny pustynny piasek. Cala flotylla zatonela, zanim jeszcze na horyzoncie pojawily sie szczyty Isola di Tutti Venti, i zaden z najezdzcow nie postawil stopy na ziemi, ktora wladali ksiazeta-magowie. Ale nienawisc Arimaspi nie wygasla. Przeciwnie, rozgorzala jeszcze bardziej za przyczyna owej niewyobrazalnej kleski.

Za zycia trzech nastepnych pokolen derwisze nie przestawali przeklinac czcicieli demonow, a takze ich ksiazat, ktorzy byli ziemskim wcieleniem wszelkiego zla i zakleli morskie fale, aby wygubily prawdziwych wiernych. Tymczasem jezdzy w szkarlatnych zawojach wrastali glebiej i glebiej w pas zyznej ziemi pomiedzy niezmierna pustynia i wielka woda, az w koncu z ludzi rozpalonego piasku stali sie ludzmi wybrzeza, rolnikami, hodowcami ziarna i rybakami. Z czasem coraz dalej wyprawiali sie na morze w swych lodkach o zaglach barwionych koszenila, ich przywodcy zas coraz smielej mowili o nowej wyprawie na Polwysep. Wspomnienie dawnej kleski przyblaklo, a naczelnicy szczepow, choc zdazyli obrosnac w bogactwa i splendory, z rozrzewnieniem wspominali czasy niegdysiejszych podbojow. Wreszcie, zlaknieni nowych ziem i wojennej slawy, a takze podburzeni slowami mnichow, ktorzy wyrzucali im tchorzostwo i opieszalosc w sluzbie Jedynemu, oglosili nowa swieta wyprawe.

Tym razem szcieszliwie przeplyneli morze i obie armie spotkaly sie nieco na polnoc od Brionii, w zatoce, ktora pozniej nazwano Golfo delle Lacrime, Zatoka Lez. Dnielo i poranne slonce barwilo fale na kolor krwi, a purpurowe zagle okretow Arimaspi zdawaly sie przeslaniac niebo. Magowie Polwyspu – a raczej ci sposrod nich, ktorzy postanowili przybyc na wezwanie księcia Brionii i stawic czolo najezdzcóm – stali na wysokim skalnym urwisku w swych szatach koloru ultramaryny. Bylo ich niewielu, zaledwie tuzin, i zaden z nich umiejetnosciami nie dorownywal gospodarzowi. Choc starali sie to ukrywac, sama jego bliskosc wprawiala ich w niepokoj.

O potedze Severa krazyly na Polwyspie legendy: wszak byl po wielekroc dluzej niz

zwyczajny smiertelnik, a jego demony od wieku bez litosci pustoszyly ziemie kazdego, kto odrzucal zwierzchnictwo Brionii. W portowych tawernach szeptano z lekiem, ze byl opetany, ze w zamian za niesmiertelnosc wydal swoja dusze na pastwe demonow. Jednym z nich miala byc jego malzonka, Arachne, ktora nieodmiennie towarzyszyla mu od dziesiecioleci, wciaz mloda i pelna wdzieku. Oczywiscie uczeni magowie byli ponad owe przesady i strachy. Jednak i oni z drzeniem spogladali na niewzruszona, milczaca kobiete, ktora w bialym plaszczu stala u boku Severa. Wicher szarpal jej rude wlosy, a oczy, blekitne od magii, nieruchomo wpatrywaly sie w dal.

Severo pierwszy oderwal wzrok od nadciagajacej flotylli i odwrocil sie do towarzyszy.

–Odejdzie teraz – rzekl cicho.

Wiatr uniosl jego slowa i zrazu wydalo im sie, ze zle go zrozumieli. Gapili sie tylko w oszolomieniu.

–Wezwalem was jedynie, zebyscie to zobaczyli – ksiaze-mag Brionii powiodl dlonia, wskazujac na gestwe szkarlatnych zagli. – Zebyscie mogli dac swiadectwo.

–Panie... – przemowil z wahaniem mlody mag z poludnia; mial czarne wlosy, krecone jak siersc kozla i od trzech lat szykowal w nadmorskich grotach powstanie przeciwko wladzy Severa.

–Dosyc, Baldassarre. – Severo nie uniosl nawet glosu, lecz tamten cofnal sie o krok. – Przez cale moje zycie zmierzalem ku temu miejscu. Ku tej jednej bitwie. I nie pozwole jej sobie teraz odebrac. Nie po wszystkim, co utracilem.

Arachne przysunela sie blizej i polozyla dlon na ramieniu meza. Jej delikatna, waska twarz, od wielu lat wyslawiana przez poetow i minstrela, byla spokojna i nie wyrazala zupełnie niczego. Moze, dlatego Baldassarre przemowil ponownie, choc magowie z rzadka ulegali urokom kobiet. Na Polwyspie wciaz pamietano historie przekletej Sirocco.

–Pozwol wiec, ze odprowadzimy w bezpieczne miejsce twoja pania.

Malzonka maga wybuchla ostrym, suchym smiechem.

–Jesli on umrze – powiedziala glosem, ktory zabrzmial w ich uszach jak krakanie kruka – moja bedzie pomsta.

–Wszystkie opowiesci musza dobiec kresu – dodal miękko Severo. – A ta nalezy tylko do nas dwojga. Zostawcie nas samych.

**Kazde slowo, kazdy gest mialy sie wkrotce stac legenda.**

**Mlody mag nie opieral sie dluzej. Tamci dwoje byli szaleni: moze strach przed Arimaspi pomieszal im zmysly. Ale nawet oblakany, Severo pozostawal zbyt niebezpieczny, aby z nim walczyć i trwoniec sily tuz przed napascia wroga. Dlatego Baldassarre dal znak towarzyszom i magowie cofneli sie za pasmo wzgorz, gdzie zamierzali czekac, az Severo wezwie ich na pomoc – lub zginie.**

**Jesli ktorys z nich obejrzal sie przez ramie, widzial na nadmorskim klifie dwie sylwetki i dwa plaszcze targane podmuchami porannej bryzy. Blekit i biel na tle bezkresnego nieba.**

**Nikt z nich nie dowiedzial sie, co wydarzylo sie potem.**

**Na Golfo delle Lacrime opadla zaslona, utkana z piasku, dymu i mroku. Ze srodka nie dobiegal zaden dzwiek ani szum fal, ani wycie wichru. Przez wiele godzin, az do zmierzchu, magowie probowali ja rozproszyc lub chocby przeniknac wzrokiem. Na darmo. Rozpoznawali w tej przeszkodzie slad magii Severa i jeszcze cos, zaklecia tak subtelne i obce, ze wydawaly sie niemozliwe. Ale nie umieli ich sforsowac. Wreszcie po zmierzchu zaslona rozwiala sie niczym tuman mgly i oczom magow ukazalo sie skalne rumowisko, a nizej, w pliciznie, las polamanych zagli oraz pogruchotanych okretow.**

**Wody zatoki przybraly barwe gestej purpury.**

**Sposrod Arimaspi nie uchwatal sie ani jeden zywy swiadek kleski. Przepadli bez sladu w wodach Golfo delle Lacrime. Dopiero z czasem szpiedzy zdolali poznac los wyprawy i strach padl na dawnych jezdzcow pustyni. Kleska byla tak dotkliwa, a pamiec o zlowieszczej potedze magow Polwyspu tak dojmujaca, ze przez wiele lat nawet mnisi w wielbladzich skorach nie smieli napomykac o nowej wojnie – ktoz, bowiem moglby sie rownac z moca czcicieli demonow, skoro jeden z nich wystarczyl, aby usmiercic olbrzymia armie?**

**Tymczasem po smierci ostatniego maga Brionii na Polwyspie Guerre dei Gierofanti rozgorzaly walki. Czarnoksieznicy wyrzynali sie nawzajem, ksiazeta gineli za przyczyna magii, trucizny i sztyletu, a zwykli smiertelnicy umierali na progach domow, nie rozumiejac nawet przyczyny swej smierci i nie znajac imion swych zabojcow. W zamecie, ktory ogarnal Polwysep, zapomniano o szkarlatnych zaglach Arimaspi. Mijaly lata i dekady. Najpoteczniejsi z magow wygineli lub odeszli na wygnanie, a ich starozytna sztuka podupadla. W klasztorach na polnocy nie sledzono juz orbit planet ani torow demonow. Nie wyszukiwano nowych zaklec, a stare popadaly w niepamiec. Zakony, ktore niegdys staly wiernie u boku ksiazat-magow, zwrocily sie ku ascezie i powszechnie odrzuczaly zakazana wiedze. Poteczni opaci przyjmowali pod opieke okoliczne wioski i miasteczka, a z czasem wokol**

**klasztorow powstaly udzielne wladztwa. Z kolei na zachodzie swieccy kondotierzy budowali nowe ksiestwa. Spustoszona kraina powoli wracala do nowego zycia.**

**I wtedy wlasnie Arimaspi postanowili uderzyc ponownie.**

**Tym razem prowadzil ich jeden wladca – szachinszach, ten, ktory panuje nad wszystkimi innymi – a mnisi w wielbladzich skorach glosili, ze zostal wybrany i poblogoslawiony, aby ostatecznie wygubic czcicieli demonow. Na Polwyspie dlugo ludzono sie, ze morze, jak niegdys, pochlonie okrety nieprzyjaciol. Tak sie jednak nie stalo. Flotylla wyladowala szcieszliwie na poludniowym cyplu, nieopodal Abisso delle Ondine, i nie znalazl sie mag dosc potezny, aby w tym przeszkodzic. Pomniejsi czarnoksieznicy zaryglowali sie w swoich wiezach, palacach i zamkach, chcac pod oslona magii w spokoju przeczekac inwazje. Niebawem jednak mialo sie okazac, ze zadne zaklecia nie zapewnia im bezpieczenstwa.**

**Kiedy armia szachinszacha stanela pod murami pierwszego miasta – a bylo to Lenzio, otoczone winnicami i pelne cienistych piwnic, w ktorych dojrzewalo slodkie wino – heroldzi Arimaspi staneli przed brama i obwiescili, ze jest wola ich pana, aby mag dobrowolnie wyszedl mu na spotkanie, ukorzyl sie i wyrzekl obmierzlych praktyk, a wowczas zycie innych mieszkancow zostanie oszczedzone. Oczywiscie czarnoksieznik ani myslal usluhac. Kiedy wspolziomkowie pytali go, czy nie lepiej zdac sie na litosc wroga niz probowac beznadziejnej obrony, odparl, ze nie zamierza umierac za ich wrzaskliwe bachory, malzonki o tlustych zadach, kramy blawatne, podziemia pelne beczek z moszczem, lektyki wykladane aksamitnymi poduszkami i kamienice o fasadach z kremowego marmuru.**

**–Niech sie kazdy ratuje wedle swej wiedzy i przezornosci – rzekl mag i mieszczenie odeszli jak niepyszni.**

**A nastepnego poranka Arimaspi uderzyli.**

**Wojsko opasalo Lenzio ciasnym pierscieniem i argusi – magiczni straznicy o potrojnej zrenicy, uczynieni przez magow z ludzkiego ciala i esencji demona – ktorzy wypatrywali wroga z czterech bastionow miasta, mogli dokladnie policzyc strzaly w kolczanach lucznikow i klejnoty zdobiace turbany przybocznych szachinszacha. Szturm jednak nie nastapil. Zamiast tego spomiedzy szeregow Arimaspi znow wyszli heroldzi. W dloniach trzymali traby, dlugie, pozlociste i zawiniete na koncu, a kiedy w nie zadeli, rozlegl sie dzwiek, jakiego wczesniej nie slyszano na Polwyspie. Ci, ktorzy stali najblizej, padali na ziemie, na prozno usilujac zaslonic uszy, z nosow i ust buchala im jasna krew. W chwile pozniej potezne, granitowe mury Lenzio zaczely wibrowac i drzec pod stopami mieszkancow miasta. Traby Arimaspi zagrzmialy jeszcze donosniej. Ich glos przeniknal do wnetrza glazow i olbrzymie ciosy skalne jely rozpadac sie i osypywac jak piasek, grzebiac niezliczonych obroncow.**

Rzez miasta trwała aż do zmierzchu: wybito wszystkich, którzy nie przyjęli wiary Arimaspi. Kiedy dobiegła kresu, szachinszach wjechał do Lenzio pomiędzy dwoma zwalami pyłu rozwieranego już na wszystkie strony przez wiatr. Większość budynków legła w gruzach, choć nie ucierpiały od głosu trab tak dalece, jak mury. Jedynie wieżycy maga wznosiła się dumnie wśród zrujnowanego miasta, spowita winoroślą i pedami niewidocznych zakleć. I przed nią właśnie Arimaspi spędzili w ciszę nielicznych ocalałych.

Władca Arimaspi podjechał powoli do wieży – kopyta jego białego rumaka stukotały cicho po resztkach bruku – po czym dobył miecza i uderzył jeden raz w spizowe wrota. Każda ich wypukłość, każdy relief i ozdoba była hartowana zaklećmi i wzmocniona demonami w służbie maga. Jednak metal wieży rozdarł się pod ostrzem miecza jak pergamin. Szachinszach dał znak. Czterech przybocznych znikło w mrocznym wnętrzu wieży i po chwili wróciło, wlokąc czarnoksieznika. Mag opierał się, wierzgał i wykrzykiwał plugawe kłatwy, ale czerwony nos i poplamiona winem szata nie dodawały mu dostojenstwa. W uścisku wojowników wyglądał jak zwyczajny chuderlawy staruszek i żadne demony nie sfrunęły z nieba, aby zetrzeć w proch jego nieprzyjaciół.

Przekleństwa maga jeszcze moment rozbrzmiewały wśród ruin, które kiedyś były pałacami dumnych patrycjuszów Lenzio – ich właściciele w większej części już nie żyli – zanim miecz szachinszacha opadł po raz drugi. Głowa czarnoksieznika potoczyła się po suchym pyłu, znacząc go gestą barwą purpury. Martwe oczy zamrugwały, jakby w zdumieniu, a usta poruszyły się nieznacznie, może w próbie dokonania zaklecia, i ustaly. Wojownik Arimaspi niedbale tracił głowę czubkiem buta o zakreconym nosku i unosił ją do góry za włosy, aby wszyscy mogli dobrze poznać los czarnoksieznika. Wtedy szachinszach przemówił. Z jego ostrza wciąż skapywały drobne krople krwi.

–Przynoszę wam nagi miecz – rzekł. – Miecz pomsty i kary, posłano mnie, bowiem, abym starł nieprawość z oblicza tej ziemi. Ani pomiędzy ludźmi, ani na niebie nie ma takiej potęgi, która zdoła mnie powstrzymać, póki nie odnajdę i nie usmierzę ostatniego z czarnoksiezników. Po to mnie posłano i dlatego daruję wam życie...

Pomiędzy jencami rozeszły się szmery zdumienia, jako że nie spodziewali się podobnej łaskawości. Ale zaraz Arimaspi dobyli biczy ze skóry nosorożca i nie szczydzili razów, póki wszyscy znów nie ucichli.

Szachinszach unosił dłoń na znak, że będzie mówił dalej.

–Widzieliście, że żadne zaklecie, żadne mury nie mogą ich przede mną ochronić. Nie ma też takiego miejsca, gdzie zdołaliby się ukryć. Zabijcie ich jednego po drugim, jak zostało przesadzone i obiecane. Zabijcie też każdego, kto uczyni im dachu czy chleba. Wam pozwolę odejść, ale jeśli jeszcze ktoś miasto nie otworzy przede mną bram, nie dozna więcej łaski. Siedziby czcicieli demonów zostaną zburzone, ich

**dobytek strawi ogien, ich dzieci stana sie niewolnikami, oni zas sami zgina nedznie i w meczarniach. Rozniescie te wiesc az po najdalsze krance Polwyspu. I powtorzcie jeszcze jedna rzecz, przeznaczona dla uszu waszych czarnoksieznikow. – Szkarlatna zaslona szczelnie okrywala jego twarz, ale w glosie pojawilo sie szyderstwo. – Gdyby ktos z nich mial dosc odwagi i checi, niech z wlasnej woli wyjdzie mi na spotkanie, a pod jasnym niebem przekonamy sie, ktory z nas jest potezniejszy. Tyle winniscie zapamietac. A teraz idzcie precz!**

**Wojownicy znow rozwineli bicze i przerazeni mieszkancy runeli na oslep ku wyrwie w piaskowym wale, ktora o poranku byla brama dumnego Lenzio.**

**Podczas kolejnych trzech tygodni Arimaspi rozlali sie po wybrzezu Polwyspu niczym szkarlatna fala, pochlanjajac kolejno siedem marmurowych miast. Trzy z nich probowaly obrony i podzielily los Lenzio. U murow dwoch kolejnych armie szachinszacha powital widok czarnoksieznikow przybitych przez pobratymcow zelaznymi cwiekami do bram miejskich. Przyjal to laskawie, ale zazadal ogromnego trybutu, a kazdy z mieszkancow musial przejsc pod nagim mieczem, na znak poddanstwa oraz wyrzeczenia sie demonow i wszelkich spraw czarnoksieznikow. Dwa ostatnie miasta byly od wiekow rządzone przez rody ksiazat-magow. Zaden z nich nie posiadal ani czastki mocy poprzednikow, lecz nie dawali wiary opowiesciom o zdumiewajacej potedze szachinszacha, ktory niweczyl wszelkie zaklecia i byl odporny na zakusy demonow. Jak za dawnych czasow staneli pod murami swych miast, a wladca Arimaspi wyjechal im na spotkanie na bialym rumaku i z latwoscia ucial glowy zakrzywionym mieczem.**

**Powiadano, ze smial sie, kiedy to czynil. Powiadano tez, ze ogromnie radowal sie z ich kleski i gdziekolwiek wyruszal, kazal niesc przed soba na wloczniach osiem glow czarnoksieznikow.**

**\*\*\***

**Magiem Askalonu byl w tamtych czasach mistrz Benilde. W miescie nie wiedziano, skad pochodził ani czym sie w przeszlosci paral. W kilka dni po smierci poprzedniego czarnoksieznika nadjechal traktem z zachodu na wozku zaprzezonym w dychawicznego osla i bez zbednych slow wprowadzil sie do pustej wiezy. Nikt mu nie przeszkodzil. Nawet w najgorszych czasach warto bylo miec wlasnego czarnoksieznika.**

**Przez cwierc wieku po przybyciu do Askalonu mistrz Benilde nie zmienil sie nadmiernie. Od poczatku byl czlowiekiem wiekowym i przygietym do ziemi, z czasem zas wychudl tylko i rysy jego twarzy zaostrzyly sie jak u sepa. Z rzadka sie odzywal, a zagadniety, mamrotal jedynie pod nosem. Sam sprzatal swoja wieze: nie najal zadnej z miejscowych wdow do pomocy w gospodarstwie i w ogole niechetnie zadawal sie z kobietami, stad kumoszki u studni gadaly czasem z uraza., ze skrywa**

w swym czarnoksieskim obejsciu nie wiedziec jak plugawe tajemnice.

O poranku mistrz Benilde nieodmiennie pojawial sie w swoim kramie na rynku przed Palazzo Forti. Rozkladal flakoniki, tygle i miseczki z najdziwniejszymi ingrediencjami, rozwieszal peki \ ziol, ktore napelnialy powietrze osobliwym aromatem, owijal sie zetlaly m blekitnym plaszczem i zapadal w drzemke. Nie mial wielu klientow, wiec z rzadka tylko udawalo mu sie zakryc miedziakami dno w drewnianej czarce, gdzie wrzucal zarobek, ale tez w Askalonie wszystkim zylo sie ubogo. Kolo poludnia zaciagal w kramie zaslony i w skupieniu oprzinal miske flakow z fasola, przyniesiona przez gluchoniemego chlopaka od matki Bonacety, szynkarki. Kiedy niebo zaczynalo ciemniec, pakowal swoje wyroby na niewielki wozek i z wysilkiem ciagnal go ku wiezy. Po zmierzchu nikt go nie ogladal. Slowem, wiodl zycie obyczajne, pracowite i skromne. Niemal bogobojne. Nie oszukiwal na wadze, nie wiklal sie w miejskie spory, nie uwodzil cudzych zon i nie napastowal mlodych chlopcow. Mieszkancy Askalonu bardzo go sobie chwalili, a kilku zacnych obywateli liczyl skrycie, ze sedziwy mistrz przyjmie ich synow do terminu. No, wprawdzie nie bywal w swiatyni, lecz nikt nie smial tego po czarnoksiezniku oczekiwac.

Monastero del Sole zawiadywal podowczas fra Gioele. Procz niego w klasztorze pozostalo zaledwie szesciu mnichow o twarzach pobruzdzonych jak wiekowe kamienie, z ktorych wzniesiono opactwo. Wciaz jednak wystarczalo im sily, by o poranku rozkolysac wielki dzwon na wiezycy i – jak w czasach swietnosci Askalonu – witac jego biciem wschodzace slonce, znak Panskiej laski. W niedziele zas mnisi szeroko otwierali drewniane – gdyz przepiekne spizowe wrota zrabowano dawno temu – wierzeje klasztornej kaplicy, a fra Gioele wspinal sie wokol filaru po kreconych schodkach, rzesko postukujac cisowa laska i mamroczac pod nosem w roztargnieniu. Ale kiedy w koncu stanal w malenkiej kazalnicy w ksztalcie konchy malza, jego wzrok wyostrzal sie nagle. Choc wiekszosc czasu spedzal za murami klasztoru, czy to przegladajac listy zimowych zapasow, czy pielac grzadki w ogrodzie, fra Gioele jak nikt inny znal sprawy mieszkancow Askalonu. Byl czlowiekiem niezmiernie lagodnym i pelnym namyslu, lecz nawet najbutniejszy spomiedzy miejskich rzezimieszkow zwieszali pokornie glowy pod spojrzeniem jego bystrych, szarych oczu. Kochano go jednak powszechnie i niezmiernie szanowano – takze za to, ze nie opuscil zdruzgotanego Askalonu, choc byly zasobniejsze miasta i klasztory bardziej obfite w ziemskie bogactwa.

Po skonczonym nabozenstwie fra Gioele wygladzal plotna na oltarzu, zdejmowal odswietna szate, bura i bezksztalna, gdyz srebrne nici, ktorymi ja ozdobiono, pokruszyly sie z czasem i zasniedzialy, po czym zamykal wielkim kluczem wewnetrzna czesc kaplicy i wzdluz klasztornego muru schodzil w dol, do tawerny starej Bonacety. Mistrz Benilde zwykle juz czekal. Latem przysiadali na wewnetrznym dziedzincu, oslonietym winorosla i rozanymi krzewami, zima zas za przepierzeniem we wspolnej izbie. Alchemik zamawial dzban porzeczkowego wina, mnich pykal fajke. Mieszkancy Askalonu, poczatkowo nieco zdumieni ich dziwna komitywa, przywykli z



czasem do widoku dwóch starców, tak samo wysuszonych wiekiem i odzianych w blizniacze zgrzebne płaszcze. Ci zas siedzieli w milczeniu, poki zachodzące słońce nie powlokło czerwienią ścian Palazzo Forti.

Tego dnia jednak fra Gioele pojawił się wcześniej, niż miał we zwyczaju, a gromkie postukiwanie jego łaseczki z daleka obwieszczało, że humor mu nie dopisuje. Wszedł z zaszepioną twarzą, ledwie odpowiedział na pozdrowienie gospodyni, która, zdumiona, upuściła patroszona rybę do kubła z wnetrznosciami. Alchemik podsunął braciszкови kubek wina.

–Sirocco trzeci dzień wieje – rzucił w przestrzeń – i niesie niepokój.

–Nie ganiecie niepotrzebnie wichru! – skarcił go fra Gioele. – Ludzie głupi, ot, co!

Mistrz nic nie odpowiedział. Czekal, aż mnich uspokoi się nieco.

–Słyszeliście, że onegdaj pomarła matka Natalina? – podjął opat.

Alchemik skinął głową.

–Zatem pewnie i o tym słyszeliście, że ledwie dychająca sąsiedzi ułożyli ją na drzwiach, wynieśli daleko za mury na skonanie?

–Ano, zwyczajnie, jak się czyni ze strega.

Mnich sapnal przez nos z irytacji.

–Chcieli rozgrabić jej dobytek i tyle. A że była stara, uboga i samotna, nikt się za nią nie ujął i nie ukrocil bezprawia.

–Owszem, była uboga i samotna. – Alchemik złożył dłonie na krawędzi stołu. – Ale też parala się magia i sprowadzała na ludzi demony, a one, jeśli raz skosztują czyjejs krwi, powracają po niego w godzinie śmierci. Nic dziwnego, że się sąsiedzi zlekli, aby i oni nie ucierpieli, kiedy nadleca po dusze starej.

–Brednie! – Fra Gioele uderzył kubkiem w ławę. – Nikt nie jest władny odebrać niesmiertelnej duszy, żaden demon ni człowiek, bo nie oni ją dają i nie od nich pochodzi. Błędzi, kto twierdzi inaczej, myli się okrutnie.

Mistrz Benilde spowazniał.

–Jak wam się zdaje, ojczy, dlaczego magowie, nawet najpotężniejsi, ci z dawnych czasów, stronili od magii krwi? Dlaczego trawili czas na zmudnych obliczeniach, na przeszukiwaniu starych ksiąg, skoro obok istniała łatwiejsza ścieżka, ścieżka więdzm? Wszak wystarczyło utoczyć kilka kropel krwi, by demony zbiegły się jak

**kocieta do mleka, gotowe spelniac wszelkie zyczenia.**

**–Nie mamcie mnie, mistrzu Benilde. – Fra Gioele pokiwal glowa. – W istocie niewiele was rozni od streg, oj, niewiele. Szczycicie sie swoja sztuka, choc niejeden z tych dawnych mistrzow nie wzdragal sie przelac krwi wlasnego dzieciecia, aby choc troche przedluzyc niktzemne bytowanie. A i czarna posoka potrafiliscie poic swoje czary, czego widocznym dowodem jest most nad Abisso delle Ondine i wiele jeszcze innych rzeczy.**

**–Mylisz sie, ojcie – odparl czarnoksieznik. – Owszem, zdarza sie, ze utrwalamy krwia czary, ale nie plugawimy sie, dobrowolnie oddajac esencje swego zycia demonom. Nie zawieramy z nimi paktow, tylko wiedza i sztuka naginamy je do wlasnej woli...**

**–Wszystko to z pychy – przerwal mnich. – Z nieokielznanej, przemoznej prozności, ktora kaze siegac dalej, niz nalezy. Nie uczyniono nas wladcami demonow, ich zas nie przypisano do naszego swiata. Gdyby zamysl Pana byl inny, chadzalyby po ziemi niczym zwierzeta. Ale naznaczono im wlasna domene pomiedzy gwiazdami i tam powinny pozostac. Sztuka czarnoksieznikow jest pogwalceniem porzadku swiata. I kiedys przyjdzie wam, magom, okrutnie za to zaplacic.**

**Alchemik ze spokojem wysluchal tyrady: toczyli ten spor wystarczajaco dlugo, by zacierzewienie wygaslo, zastapione przez melancholijna pewnosc, ze zaden z nich nie przekona drugiego.**

**–Pycha nie ma nic do rzeczy – odezwal sie w koncu. – Strach nie rodzi sie z nadmiernej dumy, tylko z wiedzy. Ze znajomosci natury demonow, ktore sa podstepne ponad wyobrazenie i nieprzychylnie smiertelnikom. Takze tym, z ktorymi zawarly pakt przypieczetowany krwia. Bo nie jest prawda, ze demony mozna oblaskawic kilkoma kroplami posoki. Zawsze zwroca sie przeciwko swoim panom. Zawsze. Dlatego wlasnie musimy je chwytac i wiazac materia. I dlatego tez ludzie wola wyniesc konajaca strege na pustkowiu. Nie chca, by demony dopadly kogokolwiek procz niej, kiedy powroca po swoja zaplate.**

**–To byla tylko stara kobieta – rzekl powoli mnich. – Wprawdzie zdziwaczala i rozum sie jej lekko pomieszal ze starosci, ale zwyczajna stara kobieta, ktora utracila wszystkich podczas zarazy. A oni – potoczyl reka po wnetrzu tawerny, gdzie z wolna zaczynali sie schodzic mezczyzni – wywlekli ja z ostatniej poscieli i porzucili na wzgorzach jak dzikie zwierzeta. Gdybym tylko wiedzial...**

**–Nie usluchaliby was, ojcie. Znadto sie boja demonow. Wasz Pan jest daleko. Demony kazdej nocy kraza nad ich dachami.**

**Fra Gioele zadumal sie.**

**–Coz to za ulomnosc natury ludzkiej, ze wolimy zmieniać duchy ponadksiezycowego swiata w ulomne monstra, nienawidzace naszego rodzaju, potem zas, na lozu smierci, krzyczymy ze strachu przed nimi.**

**Mistrz Benilde uniosl glowe znad dzbana z winem, a jego twarz spochmurniala.**

**–Z rzadka opowiadamy te historie, ale choc raz slyszal ja kazdy czarnoksielnik Polwyspu – zaczal z namyslem. – Byl niegdys mag o imieniu Celio, ktory jak wy pragnal dojrzec w demonach cos wiecej niz nasienie zniszczenia. Pochodzil ze starozytnego rodu i odziedziczyl po ojcu miasto, niewielkie, lecz zasobne, obwarowane mocnymi murami i pelne starozytnej magii, jako ze kazde pokolenie wladcow dorzucalo cos do jego wspanialosci, wplatajac kolejne demony w ksztalt palacow, parkow oraz akweduktow i petajac je na zawsze wlasna krwia. Kiedy Celio po smierci ojca przywdzial ksiazeca korone, wszyscy spodziewali sie, ze obroci swoj kunszt na pozytek miasta i korzysc wspolmieszkancow. Tak sie jednak nie stalo. Skoro tylko minal czas zaloby, Celio obwiescil zdumionym mieszczanom, ze pragnie wyrzec sie wszelkiej magii i wyzwolic spetane przez przodkow demony.**

**–Moze byl po prostu zacnym czlowiekiem – zauwazyl kasliwie fra Gioele.**

**–Niezyczliwi powiadali, ze pragnal zostac mnichem – odparl z leciutkim usmiechem mag – lecz ojciec pod kara topora zakazal mu przyjecia zakonnych szat. Na pewno jednak przychylal ucha szarym braciszkom i oni naklonili go do tak szalonego pomyslu. Daremnie poddani i matka blagali go o namysl, przedkladajac, ze pozbawiwszy miasto wszelkiej obrony, w istocie wystawi je na pastwe innych magow. Celio trwal w swoim uporze nawet wowczas, kiedy sie okazalo, ze niektore z zaklec, wiazacych demony, byly tak starozytne, ze nie dalo sie ich juz odtworzyc.**

**–Ha! – mruknal pod nosem fra Gioele. – A wiec jednak te zaklecia mozna odwrocic pomimo smierci maga.**

**–Zawsze znajda sie glupcy, ktorzy beda usilowali tego dokonac – przyznal obojetnie mag. – O ile mi wiadomo, zadnemu sie nie powiodlo i Celio nie byl w tym wyjatkiem. Ale uczynil cos, czego nie probowal przed nim zaden mag. Wbrew wszelkim ostrzezeniom nakarmil demony wlasna krwia i przekazal im swoja moc, aby napojone do syta mogly odleciec z podksiezycowego swiata. Kiedy dokonczyl dzieła, wyrzekl sie wszystkiego, co mu pozostalo, wyruszył z miasta na pustkowiu i pod obcym imieniem zostal pustelnikiem.**

**–Godne dopelnienie litosciwego czynu – skwitowal mnich.**

**–Gdyby zostal, dawni poddani rozszarpaliby go na strzepy, bo litosciwy czyn Celia sprowadzil na nich ubostwo, strach i na koncu niewole, gdy po upadku cyklopowych murów, niegdys podtrzymywanych przez demony, sasiedni wladca zlupil miasto, a**

mieszkancom narzucił ciężki haracz. Nie w tym jednak rzecz. Celio zaszył się na jałowych skalach nieopodal Golfo delle Lacrime, gdzie pokutował żarliwie, prosząc o wybaczenie za niegdysiejsze czary. Rychło otoczyła go sława niezmierniej pobożności i rybacy przypliwali do niego z całej okolicy, aby pobłogosławić ich sieci. Także, kiedy zapadł na zdrowiu, wielu ludzi ściagnęło do jego groty, by być świadkami odejścia świątobliwego starca. Środze się zawiedli. Skoro tylko zamknął oczy, demony nadleciały z wysokiego nieba po jego dusze i rozerwały wszystkich, którzy pozostali przy Celiu.

Mnich, dotąd słuchający uważnie, wyprostował się na krześle i bystro popatrzył na czarnoksiężnika.

– Niejedną taką bajkę słyszałem w klasztorze – rzekł. – Ludzie wciąż przychodzą narzekać, że demon koze z pastwiska porwał, sieci poszarpał albo dziecko zniweczył w kobiecym łonie. Znadtośmy skłonni normalną rzecz kolej albo i nasze błędy tłumaczyć niegodziwością demonów.

– Nie chcecie, tedy nie wierzcie. – Czarnoksiężnik wzruszył ramionami. – Wasza rzecz, czy chcecie ufać demonom. Z nimi nie można zawrzeć paktu, są przewrotne i nikczemne z samej swojej natury.

– Nigdy żadnego nie spotkałem na swojej drodze. I pewnie tak pozostanie, bo od dawna nowy mag nie zawitał na nasze odludzie, a wyście, mistrzu, zbyt mądry, by ściągac na nas zgubę.

Wprawdzie nie wierzył, aby mistrz Benilde zdołał przywołać prawdziwego demona, ale nie chciał sprawić mu przykrości i nie powiedział tego głośno.

Alchemik odchrząknął, czyszcząc gardło.

– Po co miałbym to uczynić? – burknął, zupełnie jakby wyczuł myśli mnicha. – Żeby, jakście mówili, koze zaginioną odnaleźć albo ryby do sieci zaganiać? Nie, na takim odludziu żyjemy, że nam ani demony, ani inne grozy niestraszne.

W dziesięć dni później pod murami Askalonu staneli Arimaspi.

\*\*\*

Wiść o najeździe Arimaspi dotarła już wcześniej do miasta wraz z wedrownym przekupniem, lecz nie wzbudziła leku. Owszem, litowano się nad losem zdobytych miast i mieszkańców, wymordowanych albo sprzedanych w niewole, nikt wszakże nie spodziewał się, aby najeźdźcy zapędzili się w te okolice: drogi do Askalonu zarosły zielskiem, a w obrębie murów nie pozostało wiele do zrabowania.

– Choc raz odniesiemy korzyść z tego, że hierofanci spustoszyli Askalon i złupili

cale bogactwo. Przynajmniej Arimaspi nie beda mieli, czego tu szukac – powiedziala przy studni matka Bonaceta, a inne kobiety zgodzily sie z jej opinia.

Zycie potoczylo sie zwyczajnym torem. W winnicach za poludniowym murem zebrano ostatnie grona. W spizarniach wisialy juz szynki, kielbasy, polcie sloniny, wianki czosnku i cebuli, w spichlerzach zas korce byly pelne pszenicy i zyta. Pasterze spedzali stada z najodleglejszych pastwisk i wszystkie pierzyny starannie wywietrzono przed nadejsciem deszczow. Dnie stawaly sie jednak coraz krotsze, a roboty nie ubywalo i zapewne, dlatego nikt nie spostrzegl wojska, poki Arimaspi nie wjechali na wzgorza okalajace miasto.

Bylo niedzielne popoludnie i na bloniu trwal festyn. Chlopcy przeciagali line i gonili sie w beczkach, dziewczeta kroily na stolach drozdzowe ciasto z rodzynekami i pasztet z zajecy. Kiedy klasztorny dzwon zaczal bic na trwoge, wszyscy na oslep rzucili sie do domow i czas jakis minal, zanim zrozumieli, ze nie jest to kolejny pozar. W chaosie, ktory wybuchl, jakims cudem udalo sie zaryglowac bramy. Ale w miescie nie pozostalo dosc ludzi, aby obsadzic mury, niewielu tez wiedzialo, jak obchodzic sie z nedznymi resztkami broni, ktore znaleziono w starym arsenale.

Na szczescie Arimaspi nie zamierzali szturmowac Askalonu, jedynie heroldzi podjechali pod brame, by wyglosic zadania szachinszacha. Reszta armii rozlozyla sie obozem na bloniach. Siegali po sam horyzont. Czerwien ich szat i namiotow niemal doszczetnie przeslonila zielona trawe, a kiedy po zmierzchu zaplonely ogniska, wydawalo sie, ze sa ich tysiace. Sam widok odbieral wole walki i ludziom z Askalonu powoli przypominaly sie zaslyszane od wedrownego kramarza opowiesci o miastach obroconych w ruine glosem trab, odrabanych glowach czarnoksieznikow, starcach i dzieciach wymordowanych bez zadnej litosci. I zanim na klasztornej wiezy wybila polnoc, najczcigodniejsi sposrod mezow Askalonu zeszli sie w klasztornym refektarzu, by prosic fra Gioele o rade i modlitwe.

Opat wysluchal ich ze spokojem, choc w twarzach jego wspolbraci widac bylo lek, szachinszach, bowiem scigal szarych mnichow z taka sama zajadloscia, z jaka przesladowal czarnoksieznikow.

–Co chcecie, abym dla was uczynil? – zapytal na koniec.

–Szachinszach obiecal, ze oszczedzi miasto – powiedzial Barnabo, rzeznik – jesli wydamy mu czarnoksieznika. Wszyscy inni zachowaja zycie i wolnosc.

–Jesli ukorzycie sie przed nim – sprostowal fra Gioele. – I przyjmiecie jego kaplanow.

Rzeznik przytaknal w milczeniu. Reszta tylko zwiesila glowy.

–Czy wam nie wstyd? – zachnal sie jeden z braci. – Wyrzekajac sie wiary, wydacie

się na wieczne zatracenie.

–Zrozumcie nas, ojczy, mamy zony i dzieci. – Barnabo odwrócił się ku fra Gioele, a jego twarzy widac było zawstydzenie i żal. – Nie kazać nam patrzeć, jak ludzie szachinszacha wymordują ich wszystkich. Chocbyśmy chcieli, sami doskonale wiecie, że nie utrzymamy miasta. Nawet w dawnych czasach Askalon nie obroniłby się przed taką armią...

–Może lepiej, aby zginął jeden człowiek, niż aby wszyscy mieli stracić życie – odezwał się niesmiało Basile, piekarz. – A nikt nam w serca nie zajrzy, aby sprawdzić, w co prawdziwie wierzymy.

–Mistrz Benilde jest stary i od wiosny z każdym dniem słabszy – dodał Toldo, który jako kowal był człowiekiem trzeźwym i nad wyraz praktycznym. – I tak nie pozostało mu wiele czasu.

–Jak i nam, jeśli wejdzie tu armia szachinszacha – wtracił najstarszy z mnichów. – Pierwsi zginie my na ofiarnych kołach.

–Nie w naszej mocy o tym rozstrzygnąć – uciął fra Gioele. – Wciąż jednak nie pojmuję, co was sprowadza.

–Alchemik chętnie z wami mówi – mruknął Barnabo. – Nas nie usłucha.

–Mam, więc przekonać alchemika – powiedział powoli mnich – aby wyszedł jutro o świcie przed bramę i pozwolił się zabić.

Mieszczanie milczeli, unikając jego wzroku.

–Dobrze – zdecydował fra Gioele. – Spróbuję przekazać waszą prośbę mistrzowi Benilde, choć zapewne nawet nie otworzy przede mną drzwi.

\*\*\*

Jak co noc, okiennice w wieży były zatrzasnięte naглуcho i wygasła nawet latarka nad wejściem. Fra Gioele na darmo pukał i stukał w drzwi, coraz bardziej zniechęcony i zmoknięty, bo deszcz rozpadał się na dobre. W końcu nawet salamandra z kolatki zapiszczała ze znudzeniem i przestała się poruszać. Tylko gargulce popatrywały na niego szyderczo z nad okapu dachu, ale zakleto je w kamień tak dawno, że od wieków zaden z nich się nie poruszył. Wreszcie mnich, zrezygnowany, pociągnął za klamkę, lecz bez większej nadziei, bo mistrz Benilde miał zwyczaj starannie strzec swoich sekretów.

Drzwi rozwarły się z przenikliwym skrzypem. Opat wzdrygnął się, zaraz jednak zajrzał do środka. Od wielu lat przesiadywał z alchemikiem w tawernie starej

**Bonacety, ale nigdy nie odwiedził go w wieży, podobnie zresztą, jak mistrz Benilde nie zawitał w mury klasztoru.**

**W korytarzu zalegała ciemność, choć oko wykol. Wymacał łaską próg, zmówił krótką modlitwę i wszedł do środka.**

**–Mistrzu Benilde! – zawołał cicho, aby mag, wyrwany zniemacka ze snu, nie wziął go za złodzieja.**

**Alchemik jednak milczał.**

**Mnich na oslepek przemierzył wąską sien. W lichtarzu przy schodach znalazł na pol wypaloną świecę, ale nie miał, czym skrzesać ognia. Powoli wszedł na górę po wąskich, kręconych schodach, wciąż nawołując gospodarza. Nikt nie odpowiadał. Odściana było przeraźliwie zimno i won pleśni. W załomach schodów zalegał zwykły kurz, może nieco grubszym kozuchem niż w domostwach mieszczan, lecz nie czaiły się w nim żadne monstra, przed którymi przestrzegali go współbracia. Do miski w załomie okna miarowo kapala woda z nieszczelnej okiennicy, przez szpary w deskach cichutko swiszczal wiatr. Kilka stopni wyżej mnich wyczuł pod palcami jakieś drzwi, ale za nimi znalazł jedynie niewielki łamus z cebrzykiem, szczotkami i stara kapota. W następnym pomieszczeniu mistrz Benilde trzymał magiczne ingrediencje, bo fra Gioele aż się cofnął na próg, tak silna uderzyła w niego won ziół i zjełczalego tłuszczu. W kolejnym była chyba pracownia – na drzwiach umieszczono wprawdzie solidny zamek, ale ustąpiły bez żadnego oporu, kiedy tylko nacisnął klamkę.**

**–Mistrzu Benilde, jesteście tu?**

**Mag nie odezwał się ni słowem, uczyniwszy, więc kilka kroków na oslepek i strząskawszy szklaną butelkę, nie wiedząc, dlaczego ustawioną na wprost drzwi, mnich wycofał się na schody, pomstując z cicha na nieporządek. Jednak nie zezłościł się naprawdę. Pomimo wszelkich strachów mieszkańców Askalonu i ostrzeżeń jego współbraci, było to jedynie zwyczajne domostwo starego, samotnego człowieka, tylko bardziej niechlujne i zaniedbane od innych.**

**Kiedy dotarł na najwyższy podest, dojrzał wreszcie obrys drzwi, zza których było słabe światło. Odetchnął z ulgą. Nie lekał się czarów, ale nieswojo mu było buszować po cudzym gospodarstwie.**

**Uchylił drzwi. Zwrocony twarzą do komina, mistrz Benilde spał twardo w wysokim, wyscielonym skorami krzesle. Mnich widział tylko czubek jego głowy i rękę zwieszoną nieruchomo nad podłokietnikiem. Na stoliku obok stał dzban i opróżniony puchar.**

**Fra Gioele skrzywił się kwasno. Zima alchemik rozchorował się. Kaszlał, sapal, aż w końcu na dwa tygodnie zamknął się w swojej wieży i nie wpuszczał nawet posłanca**

od matki Bonacety, która posyłała mu świeże jedzenie z tawerny. Wykurował się jakos, ale wynurzył się z wieżycy wynędzniały i chudy. Odtąd pił coraz więcej, nie zważając na żadne wyrzuty. Najwyraźniej na wieść o nadejściu Arimaspi także upił się do nieprzytomności.

–Obudźcie się, mistrzu – odezwał się z przygana. – Przyszedłem z wami pomówić.

Alchemik nie drgnął nawet, tylko wiatr zahuczał głośniejsze w kominie. Chcac nie chcac, mnich wszedł do środka. W komnacie było duszno od dymu i drobinki sadzy wirowały w powietrzu, widac od dawna nikt nie czyścił komina.

Wyposażenie alkowy wydało mu się ubogie, nieomal klasztorne. Jedną z nogi łoza odpadła i zastąpiono ją naprędce ociosanym kawałkiem drewna. Kapa, która je zasłoniła, niegdyś zapewne błękitno-purpurowa, zbledła i straciła barwę. Tynk ze ścian osypywał się, odsłaniając gołe kamienie. Na pulpicie leżał płatek pergaminu, a w otwartej szafce pod oknem fra Gioele dostrzegł kilka ksiąg oprawnych w tłoczona skóra. Poza nimi nic jednak nie znamionowało bogactwa. Przeciwnie. Na sznurze, przeciągniętym od okiennicy do jednego ze słupów, na których niegdyś wspierał się baldachim łoza, suszyły się spodnie na zmianę, przetarte na szwach ze starości i polatane, oraz dwie tuniki, niegdyś chyba błękitne, teraz jednak wyszarzałe od wielokrotnego prania. Jeden z domowych pantofli świecił dziurą w podeszwie.

Mnich podszedł jeszcze bliżej, z rosnącym zakłopotaniem przyjmując kolejne oznaki ubóstwa. Wcześniej nie przeszło mu przez myśl, że mistrzowi Benilde doskwierał tak dotkliwy niedostatek. Alchemik nie zwykł się skarżyć i podczas ich niedzielnych spotkań zawsze wyskrobał kilka monet na dzban porzeczkowego wina. O inne rzeczy widac jednak nie dbał, bo na cynowym talerzu pozostały resztki wieczerzy – trzy pajdy ciemnego chleba, kawałek obeschniętego sera, kłosa winogron, nadgniłych już i pokrytych brunatnymi plamkami.

–Mistrzu? – odezwał się łagodnie, kładąc dłoń na ramieniu alchemika. – Ocknijcie się wreszcie.

I zaraz cofnął się z przestraszeniem, wyczuwszy pod palcami zimne, tezejące już ciało.

Mistrz Benilde nie żył.

\*\*\*

Ogień wygasł, lecz węgle zarzyły się wciąż słabo w kominie. Fra Gioele siedział nieruchomo na podnożku, trzymając między złożonymi dłońmi zimną rękę alchemika. W komnacie robiło się coraz chłodniej, oddech ulatywał z ust białym obłoczkiem, grabiały wargi szepczące modlitwy. Było niezmiernie cicho. Słyszał tylko miarowe kapanie kropli do miski na schodach.



**Nie mogl zdecydowac, co zrobic.**

**Nie lekal sie, ze zostanie oskarzony o niepowodzenie misji: alchemik umarl i nikt nie zawinil. Cos jednak mowilo mu, ze szachinszach nie uzna smierci maga za wystarczajacy powod, by odstapic od oblezenia. A kiedy mieszkancy Askalonu sie tego domysla, zechca odciac mistrzowi Benilde glowe i podarowac ja wladcy Arimaspi, aby mogl obnosic ja przed soba, jak glowy osmiu czarnoksieznikow, ktorzy poprzednio odwazyli sie stanac na jego drodze.**

**Dnialo. Niedlugo klasztorny dzwon wezwie mnichow na poranne modly. Wiedzial, ze w refektarzu mieszczanie nadal z wytezeniem oczekuja decyzji mistrza Benilde, lecz jesli opat rychlo nie powroci, przyjda pod wieze i otworza drzwi, po smierci alchemika niestrzezone zadnym zakleciem. Wzdrygnal sie. Nikt nie powinien byc swiadkiem nedzy maga teraz, kiedy opadla zaslona magii i wszystkie demony – jesli kiedykolwiek je posiadal – ulecialy wolno ponad ksiezyc. Mysl o wyjawieniu jego sekretu byla mnichowi niemal tak samo wstretna, jak wyobrazenie odcietej glowy czarnoksieznika, ktora szachinszach kaze przed soba obnosic jako trofeum.**

**Lecz w chwile pozniej przed oczami stanal mu inny obraz – ciala mieszkancow Askalonu, rozciagniete na ofiarnych drewnianych kolach przez szalonych derwiszy Arimaspi.**

**Westchnal ciezko. Wlasciwie smierc czarnoksieznika nie zmieniala zbyt wiele, trudno bylo, bowiem uwierzyc, aby mistrz Benilde znal zaklecia zdolne go ocalic podczas pojedynku z szachinszachem. Przez lata opat wyrobil sobie wlasne zdanie na temat magicznych zdolnosci alchemika, ktorego uwazal za miernego w swym kunszcie i w gruncie rzeczy niegroznego. Fra Gioele byl niemal pewien, ze wbrew wszelkim przechwalkom i zapewnieniom – obliczonym w wiekszej czesci na zirytowanie mnicha – mag od dawna nie usilowal przywozywac zadnych demonow, a magiczne monstra, odziedziczone po poprzednikach, traktowal jak nieco sprawniejsza odmiane sprzetow domowych. Moze, dlatego pomimo wszelkich klotni polaczyla ich gleboka zazylosc dwoch starcow, ktorzy pogodnie przezywali ostatnie lata i nie oczekiwali zbyt wiele ani od losu, ani od wspolziomkow. Obaj tez dobrze wiedzieli, ze w Askalonie, obroconym w ruine przez niepomyh na nic hierofantow, nie potrzebowano prawdziwej magii, tylko odrobiny spokoju. I miasto ofiarowalo go hojnie wsrod rozleniwiajacej ciszy slonecznych, jesiennych popoludni, w lopocie przescieradel, ktore suszyly sie na sznurach przeciagnietych nad waskimi ulicami, w woni ryb nacieranych szalwia i smazonych na oliwie, w porykiwaniu oslow, ktore pasly sie pod klasztornymi murami. Tak, pomimo wszystko Askalon byl dobrym miejscem.**

**Mnich zdal sobie nagle sprawe, ze nigdy nie zapytal alchemika o jego rodzinne miasto. Mistrz Benilde niechetnie opowiadal o przeszlosci, lecz z kilku zdan, ktore mu sie tu i owdzie wymknely, opat wywnioskowal, ze tamten pochodził z polnocy,**

gdzies znad samej krawedzi Monti Serpillini, i przewedrowal caly Polwysep, aby na koniec osiasc w Askalonie. Znal Brionie, ukochane miasto czarnoksieznikow, obrocone w ruine w dzien smierci ostatniego z Principi dell'Arazzo, i samotne cytadele magow-wygnancow, ktore wrosly gleboko w skaly Costa di Gabbiani. Byc moze za mlodu zglebial sekrety magicznego kunsztu na dworze jednego z ksiazat-magow. A moze wychowal sie w przyklasztornej scholi na dalekim poludniu, na skraju Arcipelago della Rugiada Rossa, gdzie ostaly sie potezne opactwa dawnego obrzadku i gdzie wbrew wszelkim zakazom szarych braci skrycie pielegnowano resztki zakazanej wiedzy czarodziejow. Fra Gioele nigdy wczesniej nie byl tego naprawde ciekaw, ale dopiero teraz zdal sobie sprawe, ze nie bedzie wiedzial, jakim imieniem pozegnac przyjaciela na nagrobnym kamieniu.

W oddali uderzyl dzwon, ale nie ten sam, ktory co rano wzywawal mnichow do kaplicy. Wraz z pierwszymi promieniami slonca Arimaspi rozpoczynali modly i nawet we wnetrzu wiezy alchemika mnich slyszal przeciagle glosy ich kaplanow.

Sam rowniez zmowil krotka modlitwe. Potem zdjal oponcze, ktora przez noc przeschla juz po deszczu, i owinal nia zimne cialo alchemika. Mial nadzieje, ze mistrz Benilde, gdziekolwiek sie znalazl, nie bedzie mu mial za zle tego, co zamierzal uczynic. Sciagnal zakonna szate, wlozyl spodnie i tunike alchemika, owinal sie jego zgrzebnym plaszczem, w ktorego barwie pozostalozaledwie odlegle wspomnienie blekitu, i gleboko nasunal na glowe kaptur. Podpierajac sie ciezko na cisowej lasce, bo miesnie mu zeszywnialy od chlodu, ruszyl w dol schodow, a potem ulicami miasta ku Porta dei Grifoni.

Bylo pusto. Nie spotkal zywej duszy nawet na rynku przed Palazzo Forti, choc zwykle o tej porze przekupnie rozlozyliz juz kramy i pokrzepiali sie cienkim winem przed nadejsciem pierwszych kupujacych. Czasami mial wrazenie, ze w zauлку mignela mu czyjas sylwetka i skryla sie pospiesznie w mrocznej bramie. Nie zdziwil sie tym nadmiernie. Przy Porta dei Grifoni stalo czterech straznikow, wytypowanych napredce sposrod miejskiej milicji, ktora miala w nocy strzec murow na wypadek niespodzianego ataku Arimaspi. W poobijanych morionach i pancerzach, ktore, niedopasowane, grzechotaly przy kazdym ruchu, wygladali dziwnie zalosnie. Pozdrowil ich lekkim skinieniem glowy, bo nie chcial zdradzic sie glosem, lecz tylko odwrocili sie i szybko zaczeli zdejmowac z wrot zelazne sztaby. Dopiero, kiedy mnich wszedl do bramy, ktos zawolal za nim lekliwie:

–Niech wam Najwyzszy blogoslawi!

Fra Gioele nie obejrzal sie. Zrobil jeszcze kilka krokow i z mrocznego wnetrza bramy wyszedl na most. Wstawalo slonce, znaczac na pomaranczowo brzuchy chmur, a na lace przed miastem bylo calkiem jasno.

–Nie spodziewalem sie, ze przyjdziesz, czarnoksiezniku – powiedzial szachinszach.

Władca Arimaspi siedział w siodle wyprostowany jak struna. Jego twarz zasłaniał czerwony zawój, a rumak czekał pod nim nieruchomo, niczym rzeźba odlana z białego metalu. Obok, na skraju blonia, stali w dwóch rzędach heroldzi, trzymając w dłoniach włocznie, do których za włosy przyczepiono poczerniałe głowy pokonanych magów. W opuchłych twarzach trudno było rozpoznać ludzkie rysy, ale mnich wzdrygnął się na podobne barbarzyństwo.

–Boisz się mnie, czarnoksiężniku? – zapytał szachinszach.

W mieście uderzył dzwon. Modlitwa w klasztorze dobiegła końca.

Fra Gioele podniósł wzrok, napotykał spojrzenie władcy.

–Nie – odparł ze spokojem. – Nie boję się.

Szachinszach miał jasne, nieomal przezroczyste tęczówki. Wpatrywał się w mnicha jak drapieżny ptak.

–To prawda – przyznał po chwili. – Nie boisz się. – Rozesmiał się nieoczekiwanie. – Zdolales mnie zaskoczyć, magu – odezwał się ponownie – a nie sądziłem, aby cokolwiek mogło mnie w tym miejscu zadziwić. Chce zobaczyć twoją twarz.

Opat odsunął kaptur. Bez zakonnej szaty czuł się dziwnie nagi.

–Nie wyglądasz na kogoś, kto może stawiać mi czoło. – Szachinszach skinął dłonią na wypłowiały płaszcz mnicha i jego ubłocone, poprzecierane trzewiki. – I chyba od dawna nie wieszcie ci się zbyt dobrze.

–Askalon jest ubogi. Przed tobą było tu wielu innych. Nie znajdziesz nic wartego złupienia.

Jeden z heroldów odwrócił się gwałtownie ku mnichowi: Arimaspi nie przywykli, aby niewierni rozmawiali w ten sposób z ich władcą. Szachinszach wydawał się wszakże rozbawiony.

–Nie przybyłem po łupy – powiedział łagodnie. – Wiesz o tym dobrze, czarnoksiężniku.

Z szeregu żołnierzy, stojących za plecami szachinszacha, wysunął się kapłan. Jego ciało było opalone na brąz i wyschnięte od ciągłych postów, skoltuniona broda opadała aż do wielbladziej skóry zamotanej wokół bioder. Postąpił kilka kroków naprzód, nie osmielił się jednak zrównać z władcą.

**–Nie powinniście z nim mówić, panie – rzekł schrypniętym głosem. – To sługa demonów.**

**Szachinszach wyrzucił przez zacisnięte zęby kilka cichych słów i derwisz cofnął się natychmiast.**

**–Czy to prawda, magu? – zakpił władca. – Czy spróbujesz wezwąć z wysokiego nieba duchy, aby usmierciły mnie na oczach mojej własnej armii, czy też padniesz mi do nóg, błagając, bym cię oszczędził?**

**–Nie lekam się śmierci.**

**Władca szarpnął dłoń, w której tkwiły wodze. Śnieżnobiały rumak podrzucił głowę, ale nadal stał nieruchomo.**

**–Czarnoksiężniku, spotkałem dotąd osmiu twoich pobratymców. Dwoch było martwych, lecz każdy z pozostałych płakał i skamlał o łaskę, zanim go zabiłem.**

**–Nie zdołali wszakże skłonić cię do łaski. Po co się, więc lekac tego, co nieuniknione?**

**Szachinszach przez chwilę rozważał jego słowa.**

**–Zaintrygowales mnie, magu – przemówił znowu. – Spożyjesz ze mną śniadanie i pomówimy jeszcze. Potem jednak cię zabije.**

**Namiot szachinszacha był olbrzymi i szkarlatnoczerwony. Władca prowadził fra Gioele, niecierpliwie rozgarniając kurtyny, którymi podzielono wewnątrz na mniejsze pomieszczenia. W środku panował chłód. Dywany bezszelestnie uginały się pod stopami, pobrzekiwały dzwonki zawieszane na krawędziach zasłon, a śluzki kłoniły się do ziemi na widok władcy. Żaden nie osmielił się im towarzyszyć bez wyraźnego znaku szachinszacha, ten jednak mijal ich obojętnie, aż wreszcie dotarli do niewielkiego pomieszczenia. Władca Arimaspi opadł na zasypaną poduszkami otomanę i wskazał mnichowi niski stoleczek.**

**–Spocznij, starcze – zaproponował łaskawie. – Przez wzgląd na twoje sędziwe lata pozwalam ci usiąść w mojej obecności.**

**–Dziękuję – odparł pogodnie fra Gioele. – Wielki to zaszczyt.**

**–Wcześniej nalej mi wina. – Wskazał na stojące na skrzyni srebrny dzban i dwa kielichy. – Sam też się napij, jeśli jesteś spragniony.**

**–Słońce jeszcze dobrze nie weszło. – Mnich z ukłonem podał mu naczynie. – Zbyt wcześnie dla mnie na trunki.**

–Nigdy nie jest zbyt wczesnie, by swietowac zwyciestwo. – Wladca zasmial sie. – Pije za twoja smierc, czarnoksiezniku, oby nadeszla szybko i przyjela cie laskawie. – Wychylil do dna i spojrzal na niego bystro. – Czy moze powinienem sie lekac, ze zatrules wino?

–Nigdy bym tego nie uczynil.

Szachinszach przymruzył oczy i dluga chwile milczal.

–Dziwna rzecz – odezwal sie – ale wierze ci, czarnoksiezniku. Jednak zdradze ci na wypadek, gdybys chcial wykorzystac moja wielkodusznosc, ze te kielichy sa wykladane rogiem jednorozca. Jesli sprobujesz jakiejs zdrady, dowiem sie o tym natychmiast i zabije cie bez litosci.

–Jakze wiele mowicie o smierci, panie.

–Smierc nas otacza. – Szachinszach oprznil kielich i fra Gioele znow napelnil go trunkiem. – Jest w kazdym hauscie powietrza, ktory wciagamy do pluc, w kazdej kropli wina, ktore raduje nasza dusze. Kazde uderzenie serca przybliza nas do smierci. Czyzbys w to watpil, magu?

–Nie – odparl powoli fra Gioele. – Trudno sie spierac z rzecza oczywista. Jednak wole widziec slodycz zycia tam, gdzie ty dostrzegasz jedynie smierc.

Wladca Arimaspi rozesmial sie ochryple. Wino zaczynalo krazyc w jego zylach.

–Powiadano mi, ze ostatnie chwile przed smiercia wydaja sie osobliwie slodkie, wiec raduj sie nimi do woli – powiedzial, po czym klasnal w dlonie, przywolujac dwie niewolnice. – Przyniescie miesiwo, sery i owoce. I nastepny dzban wina.

Dziewczeta wybiegly, podzwaniajac leciutko srebrnymi bransoletami. Byly mlode i powabne, ich ciala giely sie jak trzciny, kiedy padly na twarz przed swoim panem, lecz na szyjach nosily niewolnicze obroze. Fra Gioele zastanawial sie, czy przybyly z armia zza morza, czy tez pochwycono je w ktoryms z miast zdobytych przez Arimaspi. Nie smial jednak pytac i wystawiac na probe kruchej laskawosci szachinszacha.

Niewolnice powrocily z polmiskami pieczonego miesiwa, swiezych owocow, serow i slodyczy. Jedna z nich usiadla u stop szachinszacha, podajac mu najpiekniejsze daktyle i kawalki ciastek maczanych w miodzie. Druga poklonila sie nisko i chciala odejsc, lecz wladca ja zatrzymal.

–Rozwesel nasze serca – rozkazal, wskazujac lutnie.

Dziewczyna ujeta instrument i tracila struny. Nie spiewala, lecz fra Gioele od razu

**rozpoznał melodie modlitwy, która znało każde dziecko na Polwyspie:**

**Spojrz, Panie:**

**Oto siła, a z siły płynie strach,**

**A my jesteśmy dziećmi w Twoich rekach.**

**Kiedy piosenka dobiegła końca, dziewczyna pokłoniła się raz jeszcze i odeszła śpiesznie.**

**–Zasłuchałeś się, Czarnoksiężniku – zauważył szachinśkich.**

**–To nasza piosenka – odparł mnich, zastanawiając się, jaka wiadomość próbowała przekazać mu dziewczyna: czy rozpoznała go pod przebraniem, czy też ktoś inny kierował jej palcami, kiedy wybierała właśnie te melodie. – Nie sądziłem, że usłysze ją w tym miejscu.**

**–Kapłani nieco się krzywią – przyznał pogodnie szachinśkich –lecz wasza muzyka nie jest pozbawiona czaru. Zniknie oczywiście wraz z całą resztą, kiedy doprowadzimy nasze dzieło do końca.**

**–Lecz będziesz jej załował, panie.**

**Władca zmarszczył brwi.**

**–Beda jeszcze inne piosenki. Nie próbuj mnie podejść, magu.**

**–Czy znajdujesz we mnie jakiś podstęp, panie?**

**Władca odtrącił dłoń dziewczyny, która podawała mu kolejny daktyl. Podskoczyła przestraszona, i owoc potoczył się po wzorzystym dywanie.**

**–Nie – powiedział. – I tylko, dlatego wciąż żyjesz, Czarnoksiężniku. Wyszędles z miasta samotnie i nie widzę przy tobie żadnych demonów. To właśnie mnie niepokoi. Gdzie one są, magu? W twojej łasce? W podeszwach butów? Wplecione w nici płaszcza czy może ukryte w twojej brodzie? – Zasmiał się sucho, z irytacją. – Nie potrafisz ich odkryć.**

**Fra Gioele zdumiał się, sam, bowiem nie umiał odróżnić od zwyczajnego przedmiotu nawet kolatki, w której pospolitym czarem wędrownego maga zamknięto demona. Wiedział też, że nawet ludzie znacznie bardziej niż on obeznani ze sztuką czarodziejów często nie potrafią dostrzec spętanego ducha, szczególnie, jeśli zaklęcie zostało wzmocnione krwią maga.**

**–Czyżbyś naprawdę mógł je zobaczyć?**

**–Na tym polega moj dar, magu – powiedzial chelpliwie wladca. – Przenikam wzrokiem wszystkie wasze sztuczki, moj miecz niweczy wszelkie wasze czary. Takie jest moje przeznaczenie i po to mnie poslano na Polwysep.**

**Fra Gioele odwrocil wzrok, by ukryc zmieszanie. Jesli nawet szachinszach potrafil odnalezc demony ukryte wsrod pospolitych rzeczy, najwyrazniej nie umial rozpoznac prawdziwego maga – albo tez upatrywal najsubtelniejszych podstepow tam, gdzie ich nie bylo.**

**–Co tam do siebie mruyczysz pod nosem, czarnoksiezniku? – huknal na niego szachinszach, zniecierpliwiony milczeniem.**

**–Szarzy mnisi od dawna glosza u nas podobne nauki. Ze trzeba wyrzec sie wszelkiej magii i uwolnic demony, ktore nie przynaleza do naszego swiata.**

**Wladca rozesmial sie znowu: w jego glosie coraz wyrazniej dzwieczalo wino. Osuszyl naczynie i dziewczyna rzucila sie je napelnic, lecz w pospiechu potknela sie o skraj wlasnej szaty i kilka kropli trunku opadlo na dlon wladcy.**

**–Dosyc, niezgrabna! – Odepchnal ja szorstko. – Odejdz stad i nie pokazuj sie wiecej, abym nie kazal cie wychlostac. Niech nikt nam wiecej nie przeszkadza, poki was nie wezwe.**

**Kiedy dziewczyna uciekla, szachinszach pochylil sie ku fra Gioele i znizyl glos, jakby wyjawial mu jakis sekret:**

**–Ale Najwyzszemu nie sa mile modly heretykow, wiec niewiele wasi mnisi moga, oj, niewiele. Co sie zas tyczy demonow... Bezbozna rzeczka jest glosic, ze powinny odejsc wolno.**

**–Co tez mowisz, panie? – zdumial sie fra Gioele.**

**Szachinszach przebiegle zmruzyil oczy.**

**–Czyzbys zapragnal byc sprytny, magu, i wyludzić moje sekrety? Daremnie. Bawisz mnie jednak, zatem uczynie ci te laske i przed smiercia objasnie w rzeczach zbyt zlozonych dla twego pospolitego umyslu. Nie jest wola Pana, aby ifryty swobodnie chadzaly pomiedzy smiertelnikami ani tez by niespetane wedrowaly swoimi sciezkaami wsrod gwiazd. Nie, magu, demony uczyniono, abysmy mogli sprawdzic nasza wiare. Jesli bowiem ktos prawdziwie wierzy, niestraszne mu dziny, chocby najpoteczniejsze. Na tym wlasnie polega moj sekret, magu. Moja wiara jest tak silna, ze zaden z nich nie zdola oprzec sie memu wezwaniu.**

**Mnich milczal, nie wiedzac, co uczynic. Wladca upil sie slodkim winem i wypowiadal teraz rzeczy, ktore powinny zostac zatajone. Nie smial jednak mu przerwac, aby nie**

**rozgniewac go jeszcze bardziej.**

**–Nie wierzysz mi, magu, czytam to w twojej twarzy – powiedział szachinszach. – Ale jesteś tylko ubogim starcem z niedznej miasteczka, jak więc miałbys rozpoznać cud, który dzieje się na twoich oczach? Chodź, więc. Coś ci pokażę. – Chwiejąc się, powstał i rozgarnął zasłone za otomana.**

**\*\*\***

**Następne pomieszczenie było znacznie większe i po brzegi wypełnione okutymi kuframi. Szachinszach wskazał na najbliższy z nich.**

**–Otwórz, magu.**

**Fra Gioele usłuchał, choć nie bez leku, niespokojny, czy nie znajdzie kolejnych odciętych głów albo innych upiornych trofeów Arimaspi. Ale w środku umieszczono jedynie kilka zwyczajnych glinianych dzbanów. Pekate, o wydłużonej szyjce, przypominały mnichowi naczynia, w jakich gospodynie przechowują oliwę.**

**–Weź jeden w dłoń. Nie lekaj się.**

**Dzban był chropowaty w dotyku i dziwnie ciężki. Jego otwór starannie zalano czerwonym lakiem.**

**–Czy rozpoznajesz znak na pieczęci, magu?**

**Fra Gioele obrócił naczynie w dłoniach i spostrzegł, że w laku istotnie odcisnięto pieczęć ozdobiona wizerunkiem kroczonego lwa i szeregiem znaków, które układały się wokół niego w owal. Nie umiał jednak ich odczytać.**

**–To mój klejnot. – Szachinszach wyciągnął ku niemu prawicę: serdeczny palec zdobił wielki pierścionek z rubinem. – Wryto w nim imię Najwyższego i lwa, którego noszę w sercu. Dlatego ma moc większa niż wszelkie zaklęcia czarnoksiężników i potężniejsza od mocy demonów. Zabijam waszych czarnoksiężników, a kiedy wyziona ducha, chwytam ich służebne demony, zamykam je w dzbanach i pieczętuje tym pierścieniem, aby nigdy nie zdołały się uwolnić. I będę tak czynił, poki z powierzchni ziemi nie zniknie ostatni ifryt i ostatni czarownik.**

**Mnich potoczył wzrokiem po dziesiątkach skrzyń, które zgromadzono w pomieszczeniu. Użytek, jaki magowie mieli ze zniewolonych demonów, od dawna napelniał go obrzydzeniem, jednak postępek szachinszacha był jeszcze gorszy i nie służył niczemu, prócz pychy.**

**–To duchy przestrzeni i pustki – powiedział ze smutkiem. – Nie stworzono ich, aby były zamykane wśród ciemnej, ciasnej gliny.**



**Ale szachinszach wyszydził go bez litości.**

**–Czy to zazdrość przez ciebie przemawia, czarnoksiężniku? Przyznaj, nigdy nie widziałeś podobnego nagromadzenia dzinów, choć sązaledwie zdobycza z ostatniego miasta.**

**–Zatem było ich więcej? Co z nimi uczyniłeś?**

**–To samo, co stanie się udziałem tych – powiodł dłoń po skrzyniach – kiedy zdobędziemy miasto i stanimy na brzegu morza. Zostaną wrzucone w głębinę i na wieki zatopione pod falami.**

**–Dlaczego to robisz? Nie z własnej woli przybyły do podziemnego świata i niczym sobie nie zasłużyły na wieczystą niedolę.**

**Odpowiedział uragliwy śmiech.**

**–Bo mogę. Bo mam więcej mocy, niż kiedykolwiek oglądaliście na tej jałowej ziemi.**

**Fra Gioele spoglądał na niego z rozszerzonymi oczami.**

**–Jesteś magiem – wyszeptał, odgadując wreszcie tajemnice wodza Arimaspi. – Czy twoi ludzie o tym wiedzą?**

**Szachinszach nie stropił się. Kolysał się lekko na piętach, obracając na palcu pierścien ze szkarłatnym okiem. Twarz miał czerwona od wina.**

**–Spróbuj przed śmiercią sprawdzić, czy ci uwierza, czarnoksiężniku, a wyrwa ci z gardła język i rzuca na pozarcie psom. Ale nawet sam przed sobą nie zrównuj mnie z twoim niedznym rodzajem. Nie jestem magiem. Jestem władca magów, który zabija wszystkich innych i na zawsze zetrze ich ślad z powierzchni ziemi. A ty jesteś jedynie starcem, pozbawionym mocy i stojącym nad grobem. Nie możesz mnie zabić ani związać zakleciem.**

**–Nie. – Fra Gioele wsparł się mocno na łasce z cisowego drewna.**

**–Nie mogę zrobić żadnej z tych rzeczy. Mogę jednak uczynić to! – po czym unosił łaskę i z całej siły opuszczał ją na głowę maga.**

**\*\*\***

**Ze skroni szachinszacha saczała się strużka krwi. Kiedy fra Gioele pochylił się nad nim, wyczuł, że władca wciąż oddycha, acz słabo i nieregularnie. Mnich odetchnął z ulgą. Na widok demonów, spętanych bez żadnej przyczyny i pożytku, po raz pierwszy od niepamiętnych lat ogarnął go gniew. Nie zamierzał jednak plamic się**

**smiercia maga.**

**Niepewnie spojrzal ku kurtynie. Czerwona materia falowala lekko, lecz ku jego zdumieniu zaden ze slug nie przybiegl na odglos uderzenia. Widac nie smieli pogwalcic rozkazu szachinszacha, ktory nie pozwolil pod zadnym pozorem zaklocac ich rozmowy.**

**–Co sie stalo, juz sie nie odstanie – wymamrotal pod nosem, odciagajac w bok bezwladne cialo szachinszacha. – Niech Pan bedzie dla mnie milosierny.**

**Zdjal plaszcz, wsunal wladcy pod glowe i ulozyl go wygodnie. Sam przykuczal obok, nie wypuszczajac z rak cisowej laski, i nasluchiwal, poki oddech szachinszacha nie uspokoil sie nieco. Wtedy uniosl zawoj, aby spojrzec mu w twarz. Przywodca Arimaspi byl jeszcze mlodym czlowiekiem o regularnych rysach i kedzierzawej czarnej brodzie. Na policzku mial czerwone znamie podobne do kropli ambry. Jego omdlenie szybko przeszlo w niespokojny, pijacki sen. Teraz, kiedy dygotal i pomrukiwal niezrozumiale, nie przypominal wodza, ktory probowal podbic pol swiata i zetrzec z powierzchni ziemi wszystkie demony.**

**Mnich odgarnal mu kosmyk wlosow z twarzy. Nie umial sobie wyobrazic, jak wygladalo jego zycie po drugiej stronie morza, w swiecie, gdzie smiercia karano wszelkie przejawy magii. Ktos jednak musial nauczyc go petac demony, a pewne prawa – jak mu przez lata klarowal mistrz Benilde – pozostawaly niezmiennie. Magia plynela w krwi, wiec wielu spomiedzy przodkow szachinszacha musialo parac sie zakazanymi sztukami, a jeden z nich zapewne wyszkolil go w chwytaniu demonow. I zginal, bo zaden czarnoksieznik nie pozwolilby innemu, chocby wlasnemu synowi, zagarnac jego dziedzictwa.**

**Ze smutkiem potrzasnal glowa. Zatem wszystko, od poczatku do konca, bylo oparte na klamstwie.**

**O Arimaspi krazylo na Polwyspie wiele opowiesci, ale wychodzac poza bramy Askalonu, fra Gioele nie wiedzial, czego oczekiwac. Co wiecej, nie rozumial nawet w pelni, dlaczego wlozyl plaszcz czarnoksieznika i zajal jego miejsce na bloniu przed miastem. Nie, nie liczył na cud. Nie byl jednym z legendarnych swietych, jak Diamante, ktory zabil hydre, czy Nereo, pogromca harpii z Grotta dei Sogni. Nie dorownywal odwaga Luanie, opatce Brionii, ktora przez wiele lat zyła samotnie w opustoszonej katedrze, wsrod demonow i potworow, modlac sie za potepione dusze ostatnich Principi dell'Arazzo, i nie mial wiary Nina, ktory na moscie zwanym Pilastru del Cielo pojedyncza piesnia pokonal Cigno Nero dal Valle delle Fiamme i spedzil reszte swego zycia na kamiennym slupie posrodku przepasci.**

**Fra Gioele usmiechnal sie lekko. Zrujnowane Askalon nie sprzyjalo mysleniu o rzeczach wielkich i wiekopomnych. Moze w innych miastach mnisi musieli stawiac**

**czolo potworom i demonom lub scierac sie ze zlymi czarnoksieznikami, on jednak za nieprzyjaciela mial jedynie chrabaszcze, niszczone zasiewy, i parchy na owcach. Nie zdobył zadnego doswiadczenia w walce z czarnoksieznikami; mistrz Benilde nie napelnial groza nawet bezzebnych staruszek i fra Gioele na widok jego czarow rowniez nie umial w sobie skrzesac ani krztyzny leku.**

**Raz jeszcze spojrzal na szachinszacha – pogromca demonow i czarnoksieznikow lezal bezwladnie, powalony zwyczajna laska z cisowego drzewa. Niedlugo jednak przebudzi sie i tym razem nie bedzie sklonny do rozmow o smierci i czarach.**

**Mnich, niezdecydowany, obrocil w dloniach gliniany dzban, w ktorym uwieziono demona. Sprobował podwazyć paznokciem pieczęć. Bez skutku. Wydobyl z sakiewki nozyk do krojenia owocow, ale ostrze zeslizgnelo sie z pieczeci i zranilo go w palec. Syknal, zaciskajac skaleczona dlon i z niechecia spojrzal na dzban. Nie zdolal nawet zadrapac laku na wizerunku kroczonego lwa. Z pewnoscia w nim takze skrywala sie magia, rownie potezna jak ta, ktora pozwolila szachinszachowi wymordowac kolejno szesciu magow Polwyspu. Potarl pieczęć rabkiem szaty – slyszal kiedys legende o czarnoksiezniku, zaklinajacym w lampach salamandry, ktore ozywaly, jesli polerowalo sie je kawalkiem materii – nic sie jednak nie stalo. Rozczarowany, odlozyl dzban na ziemie. Stanowczo magia nie byla jego domena.**

**–Dobrze, wiec – powiedzial glosno dla dodania sobie odwagi, nastepnie zas wzial zamach laska i ignorujac bol w zranionej dloni najmocniej, jak potrafil, uderzyl w dzban.**

**Ku jego zdumieniu naczynie rozpryslo sie z trzaskiem, sposrod skorup zas uniosla sie nic dymu. Fra Gioele cofnal sie, bo wydalo mu sie, ze w ciemnym oparze widzi wykrzywiona gniewem twarz demona. Ale smuzka mroku zafalowala tylko nieznacznie i zaraz wzbila sie wysoko, ku otworowi na szczycie namiotu.**

**Szachinszach poruszył sie niespokojnie i zamrugal powiekami.**

**Fra Gioele oderwal dwa pasy materialu od tuniki, skrecil je napredce i pochytil sie nad wladca Arimaspi.**

**–Wybacz mi – rzekl – ale nie moge pozwolic, abys mi przeszkodzil. – Nastepnie skrepowal mu rece i nogi, wiazac je razem za plecami nieprzytomnego, na koniec zas otworzyl mu usta i starannie umiescil w nich zwiniety brzeg plaszczka, uwazajac, by przypadkiem nie zadlawic maga.**

**Pod koniec owej operacji szachinszach zaczal poruszac sie zywiej, fra Gioele wszakze nie przejal sie tym nadmiernie. Za mlodu praktykowal u powroznika i wprawdzie z magia nie mial wiekszego doswiadczenia, ale swoich wezlow byl naprawde pewien. Zakasal rekawy, zebal wszystkie sily, jakie pozostaly w zwiedlym,**

starczym ciebie, a potem uderzył laską w kolejny dzban.

Naczynia pekały z trzaskiem, jak dojrzałe dynie albo arbuzy, z których słynęły klasztorne ogrody. Ciemny dym, który z nich wypływał, był bezwonny, lecz gryzł w oczy i wyciskał łzy. Demony, jeśli taki właśnie obrały kształt, nie wydawały się fra Gioele szczególnie groźne. Nie wyły, nie wygrażały mu straszliwymi mekami ani nie kusily obietnicami bogactwa władzy i uciech ciała, (choć akurat przemilczenie tych ostatnich pokus dobrze świadczyło o ich ocenie wybawcy, pomyślał z rozbawieniem fra Gioele). Słowem, nie czyniły żadnej z rzeczy, które opisano w świętych księgach, gdzie bogobojni mezwowie stacjali na pustyni pełne wysiłku i męki bitwy o swoje dusze. O dusze fra Gioele nikt się jednak nie upominał. Może, dlatego, podsumował mnich w myślach, że licha ona, sterana przez lata spokoju i nadwątłona zżyzłością z mistrzem Benilde.

Drasnieta ostrzem dłoni bolała go coraz bardziej. Przewiązał palec szmatką, ale rana nie chciała przyschnąć i kropelki krwi wciąż sciekaly po łasce. Staral się o tym nie myśleć: w pomieszczeniu wciąż pozostało bardzo wiele dzbanów i bardzo wiele demonów czekało na uwolnienie, on zaś coraz bardziej opadał z sił. Nie ustawał jednak, póki w komnacie nie zrobiło się ciemno od dymu i nie pękł ostatni dzban. Wówczas przysiadł znudzony, opuścił głowę na piers i na kilka chwil zapadł w płytką drzemkę. Jednak sen nie przyniósł żadnego wytchnienia, tylko mięśnie zesztyniały mu po wysiłku. Z trudem podniósł się i podreptał do szachinszacha. Władca Arimaspi leżał nieruchomo, kiedy fra Gioele przecinał jego wieżę. Załedwie jednak opadły, poderwał się z ziemi, odepchnął mnicha i z wściekłością wyciągnął knebel.

–Straż! – wykrzyknął i natychmiast do środka wbiegło czterech wojowników w szkarłatnych zbrojach.

Fra Gioele nie bronił się, kiedy go brutalnie skrepowano.

–Powinieneś być uciec, czarnoksiężniku – rzucił przez zacisnięte zęby szachinszach – kiedy miałeś okazję.

–Z pewnością zostawiłeś strażę wokół namiotu. Nie przemknąłbym pomiędzy nimi niewidzialny.

–Jesteś głupcem, magu. Nie zdołałbyś umknąć do twojego miasta i nie wydostałbyś się z mojego namiotu, to pewne. Ale pozostała ci jedna droga ucieczki. W śmierć.

Fra Gioele zdumiał się.

–Miałbym ja sobie zadać własną ręką?

–Ta, która ja ci naznacze, nie będzie ani szybka, ani łagodna.

Mnich milczał, świadom, że cokolwiek powie, tylko jeszcze bardziej rozwścieczy szachinszacha. Władca przysunął twarz do jego twarzy.

–Sadzisz, że uczyniłeś mi wielką szkodę, czarnoksiężniku? – wysyczał w ucho fra Gioele. – Mylisz się. Utrata tej odrobiny demonów ani mnie zabolę, ani w niczym nie odmieni losów Polwyspu. Na ich miejsce przyjdą inne i będzie ich po dziesięciokrot i po tysiącokrot więcej.

–Ale będziesz pamiętać – odezwał się bardzo cicho opat. – Cokolwiek nastąpi, nigdy nie zapomnisz, że powaliła cię cisowa łaska i że każdy haust powietrza, który wciągasz do płuc, zawdzięczasz mojemu miłosierdziu.

Szachinszach zmienił się na twarzy.

–Czyżbys przymawiał się o łaskę? Na próżno, magu. Zabrałeś mi moją zdobycz, a teraz ja zabiorę ci wszystko, co uważałeś za swoje. Zniszczę to miasto i jego mieszkańców. Nie pozostawię nic, oprócz garstki pyłu. Wszystko, dlatego, że postanowiłeś wykazać swoją wartość i zabawiać się moim kosztem.

–Mylisz się – odparł ze znużeniem mnich. – Uwolniłem demony, ponieważ to, co robisz, budzi moje obrzydzenie. Trzymałeś je w zamknięciu, by zadoskuczynić własnej pysze. Nie służyły niczemu innemu. Były bezużyteczne. Marnotrawiłeś je, jak marnotrawisz własne dary, i kiedyś będziesz musiał zdać z tego sprawę przed Najwyższym.

Pan Arimaspi wymierzył mu policzek.

–Nie śmieję wymawiać imienia Najwyższego, magu! Zabierzcie go! – Skinal na strażników, którzy natychmiast pochwycili mnicha za ramiona.

Z oddali dobiegł słaby głos dzwonu: w klasztorze mnisi schodzili się właśnie na południową modlitwę. Fra Gioele unosił głowę, łowiąc znajomy dźwięk i nagle, skoro i tak było to już obojętne, zaprzagnął umierać pod własnym imieniem.

–Nie jestem nim.

Szachinszach nie rozumiał.

–Kim nie jesteś?

–Magiem. W tym także pomyliłeś się, panie – ciągnął, nie zważając na wykrzywioną gniewem twarz szachinszacha. – Nasz mag skonał tej nocy. Ja tylko włożyłem jego płaszcz i wyszedłem przed brame.

–Kłamiesz.

**Mnich pokrecil glowa. Krew z wargi rozcietej pierścieniem splywała mu na tunike.**

**–Nie, panie. Jestem zwyczajnym mnichem z klasztoru na gorze. Nie rozpoznales mnie.**

**Przez krotka chwile mial wrazenie, ze wladca Arimaspi mu uwierzy, ale szachinszach zaraz zdusil watpliwosci.**

**–Kazdy sposrod tych, ktorzy konali na ofiarnych kolach, predzej czy pozniej przysiegal, ze padl ofiara pomyłki i ludzkiej niegodziwosci, bo nigdy, przenigdy nie wezwal do podksiezycowego swiata demona. Ty po prostu zapierasz sie wlasnych czynow szybciej niz inni. Widac bardziej lekasz sie bolu. Precz z nim! – krzyknal do straznikow. – I przygotujcie kolo na wzgorzu, przed sama brama, aby ze srodka dobrze bylo widac, jak kona ich czarnoksiezniak. A gdy wyzionie ducha, uderzymy na miasto.**

**\*\*\***

**Ze szczytu murow mieszczanie w napieciu obserwowali poczynania Arimaspi. Kiedy mag zniknal w szkarlatnym namiocie szachinszacha, wstapila w nich odrobina otuchy i wyslawiali glosno odwage alchemika, ktory zgodzil sie poswiecic wlasne zycie, aby przetrwali jego krajanie. Minelo kilka godzin i z kazda chwila rosła w nich nadzieja, ze mag przekona wladce Arimaspi, aby odstapil od miasta. Na dzwiek klasztornego dzwonu zeszli z murow do kaplicy, by podziekowac Panu za te osobliwa laske.**

**Skoro powrocili, powital ich widok nagiego ciala, rozpietego na ofiarnym kole. Ustawiono je dokladnie naprzeciw Porta dei Grifoni, aby mieszkancy Askalonu nie uronili ani minuty z meczarni alchemika. Niektorzy sposrod mieszczan odwracali glowy, nie chcac patrzec na cierpienie maga. Inni przywoływali na pamiec dawne czary mistrza Benilde, jego zaklecia milosne, ktore nieodmiennie szly na opak, magiczne zamki, ktore zatrzaskiwaly sie, wiezac gospodarza w domu, i latarnie gasnace bez zadnej przyczyny posrodku nocy. Wspominano jego szorstkie obyczaje i skrytosc, z jaka strzegl swoich tajemnic, ale tez wszystkie te drobne, sasiedzkie pogwarki, na ktore zwykle nie zwraca sie zadnej uwagi.**

**Wreszcie derwisz w skorze wielblada, zawiazanej wokol bioder, z wysilkiem przesunal kolo i ukazalo im sie oblicze torturowanego. Na murach Askalonu zaległa martwa cisza.**

**–To nie jest mistrz Benilde – odezwala sie rwanym glosem stara Bonaceta z gospody. – To fra Gioele.**

**\*\*\***

Fra Gioele spoglądał prosto w niebo. Nie mrużył oczu. Chwilami rozzarzona kula słońca falowała ponad nim, zdawała się opadać tak nisko, że mogłoby jej dotknąć czubkami palców, gdyby tylko derwisz przeciał mu więzy. Potem znowu podskakiwała i unosiła się wysoko, jakby umocowano ją na niewidzialnym sznurku. Spoglądał na nią z nateżeniem, poki nie zeslizgnęła się niżej ponad murami Askalonu. Nie obrócił się ku miastu. Nie musiał patrzeć, by wiedzieć, że słońce najpierw zawisnie nad bramą i wyłoci rzeźby gryfów, którymi ozdobiono jej portyk i kolumny. Potem przesunie się nad Torre delle Candele, za ledwie musnie dachy kupieckich kamienic, zniknie na długo za murami Monastero del Sole, a na koniec przeslizgnie się ponad ruinami dawnego portu, sucha krawędź nabrzeża i wyschniętym szlamem.

Słońce było łaskawe, nie zbaczalo ze swego toru z powodu kapryśków jednego człowieka, nawet, jeśli był to mag i przywódca wszystkich Arimaspi. Może, dlatego fra Gioele nie uległ blaganiom współbraci i nie zgodził się zmienić wezwania klasztoru, choć w tych czasach niezmiernie rzadko pozostawiano świętym przybytkom nazwy pochodzące od ciał niebieskich, uważając te tradycje za resztki zgubnego związku wiary z przeklętym kunsztem czarodziejów. Kiedyś, w dawnych czasach, wierzący, że słońce jest rydwanem Najwyższego, kiedy wędruje on po niebie, osadzając czyny śmiertelników. Była to oczywiście herezja, tak starożytna, że zupełnie zapomniana poza klasztorami, w których przechowywano księgi z odległych, barbarzyńskich czasów. Fra Gioele miał jednak wrażenie, że tego dziwnego dnia słoneczny blask prowadzi go naprzód poprzez kolejne chwile. Pożegnał przyjaciela, uwolnił demony i uczynił, co mógł, aby uratować ukochane miasto, a teraz powracał do domu. Miał nadzieję, że powitają go tam jak upragnionego gościa.

Ku swemu zaskoczeniu niemal nie czuł bólu. Kiedy przywiązano go do koła i wszystko zostało już rozstrzygnięte, popadł w dziwne odretwienie. Po prostu patrzył w górę i uśmiechał się, wspominając dni, kiedy z innymi dzieciakami biegał na brzegu morza, czekając na ojców powracających z połowem, czasy terminowania u powroznika, który był człowiekiem gburliwym, lecz mistrzem w swoim fachu, potem zaś upadek Askalonu i długie lata spędzone w klasztorze na wzgórzu. Słońce przynosiło mu coraz nowe wspomnienia, a w wielu z nich była twarz mistrza Benilde i mnichowi wydawało się godne, że umiera tego samego dnia – dwóch starców, którzy spędzili ostatnie chwile w gasnacym mieście i którym oszczędzono widoku jego zagłady.

Jednakże w końcu słońce zaszło, on zaś wciąż żył. Derwisz odszedł, potraszając z niezadowolonym głową, a przy ofiarnym kole pozostało tylko kilku strażników. Po zmierzchu rozpalili niewielki ogienek, wyjęli chleb, ser i wino i długo jeszcze opowiadali basnie – o człowieku tak światobliwym, że Najwyższy zesłał mu chmurę, która wisiała nad jego głową, dopóki nie poszedł, o dziełach czarodziejów – miedzianych koniach, odzywających się ludzkim głosem, gdy potarło się tabliczkę na ich piersi, rybach wielkich jak wyspy i jeszcze innych dziwach. Ich opowieści

**pozwolily mu przetrwac noc.**

**O brzasku derwiz pojawil sie znowu i dlugo cmokal nad fra Gioele, zadziwiony, ze czarnoksielnik przetrwal tak dlugo. Ponowiono, wiec tortury, ktore trwaly az do poludnia, kiedy do kola zblizil sie szachinszach.**

**–Wytrwale czepiasz sie zycia, czarnoksielniku. Jesli inni ludzie z tego miasta okaza sie rownie uparci, dostarcza nam nieliczej zabawy.**

**–Pozwol im odejsc – odezwal sie z trudem mnich – mnie zas godnie skonac. Skoro utrata demonow nie byla dla ciebie niczym dotkliwym, odplaciles mi juz za nia z nawiązka.**

**Wladca pochylil sie nad nim, przeslaniajac slonce.**

**–Uwierz, ze twoja smierc bedzie niczym w porownaniu z tym, co nastapi, kiedy zdobede miasto. Przelales krew i odebrales mi moja zdobycz, a ja nie godze sie latwo ze strata.**

**Fra Gioele zamrugal gwaltownie. Slowa szachinszacha przywolaly cos, wspomnienie tak swieze, ze zdumial sie, jak mogl je wyrzucic z pamieci. Teraz juz rozumial, co stalo sie w namiocie szachinszacha. Wiedzial tez, co dalej nastapi.**

**–Przestrzegam cie, ze cokolwiek mnie czynisz, czynisz samemu sobie – powiedzial. – Uwolnij mnie i co rychlej odstep od miasta, zanim stane sie przyczyna twojej zguby. Nie chce tego.**

**Twarz szachinszacha byla juz zaledwie ciemnym obrysem na tle palajacej kuli slonca.**

**–Nie kpj ze mnie, czarnoksielniku.**

**Fra Gioele tylko usmiechnal sie zakrwawionymi wargami. I skonac. A wtedy powrocily demony.**

**Mowiono pozniej, ze w dniu, kiedy zameczono fra Gioele, slonce, zasmucone, odwrocilo swoja twarz od ziemi. Ciemnosc, ktora zapadla, byla glebsza od mroku nocy. Dopiero o poranku, kiedy niebo pojasnialo nieznacznie i ustalalo wycie demonow, mieszkancy Askalonu odwazyli sie wyjsc na mury i spojrzec na blonie przed brama. Przekonawszy sie, ze z niepokonanej armii Arimaspi pozostaly jedynie martwe ciala przemieszane z ziemia, popiolem, resztkami namiotow, wozow i calej tej wojennej aparatury, o ktorej nie mieli wiekszego pojecia, otwarli wierzeje i wyszli na pobojuwisko. Tam, na wzgorzu naprzeciw bramy, znalezli drewniane kolo z poszarpanym cialem fra Gioele. Zebrali czcigodne szczatki, woda i winem obmyli je z krwi i kurzu. Potem usypali kurhan, na ktorym postawiono niewielka kapliczke, aby**



po kres wiekow upamietniala miejsce, gdzie swiatobliwy braciszek modlitwa rozproszyl zastep demonow, ktore towarzyszyly armii, jakiej nigdy wczesniej nie ogladano na Polwyspie. Ciało meczennika pochowano w klasztorze i przez dlugie lata pielgrzymi przybywali do Askalonu ze wszystkich krancow Polwyspu, aby wyblagac jego wstawiennictwo. Jednak zaden z cudow nie dorownal temu pierwszemu, ktorym bylo pokonanie Arimaspi.

Miasteczko ozylo na nowo i przysunelo sie jeszcze blizej do Monastero del Sole, choc ten nazywano teraz Monastero di San Gioele. Ale wieza alchemika pozostala zamknieta na glucho i nie wprowadzil sie do niej zaden nowy czarnoksieznik, az wreszcie nadwatlonny dach zapadl sie pod wlasnym ciezarem, grzebiac ostatnie wspomnienia po mistrzu Benilde. Na straganach przed Palazzo Forti nie sprzedawano juz magicznych naparow ani ziol, ktore otwieraja wszystkie zamki, tylko wizerunki swietego patrona miasta. Bogobojni pielgrzymi, chcac zaskarbic sobie tym wieksza laske w oczach swiatobliwego meczennika, skuli kilofami zeszlona czarna skale, pozostalosc po palacu Umberto Nero, zniszczyli wapienne golemy, dzieło Jacopo di Campogrigio i zasypali wyrwe przed Palazzo Forti, aby nic nie przypominalo o bezboznej przeszlosci miasta, ktore wydalo jednego z najwiekszych swietych Polwyspu.

Lata plynely – dostatnie i ciche – az wreszcie nikt nie pamietal o starym mnichu, ktory nad dzbanem porzeczkowego wina przesiadywal w tawernie matki Bonacety ze swoim przyjacielem, czarnoksieznikiem.

\*\*\*

Nieliczni z ocalonych Arimaspi, kiedy po dlugiej tulaczce przybili wreszcie do rodzinnego brzegu, przyniesli ze soba opowiesc o najpotezniejszym czarnoksiezniku Polwyspu, ktory omamil ich pana i nadwatlil moc jego serca, potem zas sprowadzil na nich demony potezniejsze od wszystkiego, co wczesniej ogladali. Nawet po wielu latach siadali na progach swych chat w otoczeniu dzieci, potem wnuczat i prawnuczat, wygrzewali w poludniowym sloncu stare rany, wspominajac biale skaly, przy ktorych rzucili cumy po wielotygodniowej zegludze, i pierwsze miasto zrownane z ziemia przez glos aniolow, ktore mieszkaly w miedzianych trabach i byly slugami ich pana. Przymykali oczy i znow wedrowali przez doliny Polwyspu, ogrody pelne roz, winnice, oliwne sady i zagajniki przesyczone wonia zywicy. Czuli na jezyku smak niemieszanego wina, ktore saczyli skrycie, by nie padl na nich wzrok jednego z szalonych derwiszy, a na ramionach dotyk dziewczat z tamtego niepojetego, odleglego kraju – dziewczat, ktore bezwstydnie nie przeslanialy twarzy i nie potrafily przy ognisku tanczyc ze srebrnymi dzwoneczkami przypietymi do bransolet na przegubach, ale mialy usta rownie miekkie, jak dziewczeta z ich rodzinnej wioski i wszystkich miejsc podksiezycowego swiata. Czasami, kiedy od zachodu wyl wicher, wymieniali miana potworow, z ktorymi niegdys walczyli: harpie o skorze tak twardej, ze nie dawaly sie przebic grotem strzaly, salamandry o ognistym oddechu i

argusowie o potrojnej zrenicy. Mowili cicho, aby nie uslyszal ich nikt niepowolany, i z tesknota, bo, choc byli ludzmi bogobojnymi i surowymi, ziemia czarnoksieznikow odmienila ich bezpowrotnie i w snach zwidywaly im sie miasta z bialego marmuru, podobne do chmur, przydrozne rzezby, ktore witaly wedrowcow ludzkim glosem, i piesni niepodobne do zadnych innych.

Czasami zas snili o tamtej chwili, kiedy niebo peklo nad nimi jak gliniana skorupa, wypluwajac w dol caly zastep demonow, ktore rozniosly w pyl i proch najpoteczniejsza armie, jaka kiedykolwiek wydal lud Arimaspi. I przeklinali czarnoksieznika – nie za to, ze ich pokonal, ale dlatego, ze największe zlo ich zycia wyszlo im na spotkanie z nedznego, zrujnowanego miasteczka i ukazalo sie pod postacią dobrotliwego, siwowlosego starca, na zawsze burzac ich wiare, ze rzeczy sa jedynie tym, czym postrzegaja je oczy.

\*\*\*

Nikt nie dowiedzial sie, jak bylo naprawde.

Wody glebokie jak niebo

Sztorm przycichl przed switem, ale w wyciu wichru wciaz odzywaly sie jekliwe glosy syren, przewodniczek huraganu. Z gory, spomiedzy koron drzew, odpowiedzial im pojedynczy trel. Sancha wciagnela glowe w ramiona i przyspieszyla kroku, choc byla prawie pewna, ze to zwyczajny ptak, nie harpia ani stymfalida, ani nawet nie graja, ktorej widok zwiastuje nieszczescie.

Dno lasu wciaz spowijal mrok i wilgotna, grafitowa mgielka zacierala kontury sciezki. Dziewczynka potknela sie o korzen, gladki, wyslizgany od deszczow i piasku. Dzban na wode niemal wysunal sie z jej rak. Naczynie bylo piekne, z czerwonawej glinki, oblane gladkim szkliwem i ozdobione przy krawedzi czarnym wzorem. Bylo tez bardzo kosztowne – zeszlej jesieni zaplacili za nie wedrownemu handlarzowi beczke solonych sledzi i garsc pior wyrwanych z ogona martwego gryfa – wiec matka nie przyjelaby dobrze podobnej straty.

W listowiu cicho szumialy krople deszczu.

Sancha chwile stala nieruchomo, usilujac uspokoic oddech i zogniskowac wzrok na drozce. Opar przy ziemi zgestnial, ale do strumienia pozostalo tylko kilkadziesiat krokow pomiedzy nawisami szarej, nawilglej trawy i kepami kolczastych zarosli. Dziewczynka bardzo dobrze znala droge. Od trzech lat, odkad matka uznala, ze corka dorosla do kobiecych zajec, Sancha przemierzala ja kazdego ranka z dzbanem na wode albo koszem brudnej bielizny. Dzisiaj jednak nie skrecila do pomostu, gdzie czerpano wode. Ukryla na-czynie w kepie trzcin, porastajacych zakole rzeczki, i pospiesznie przebiegla kladka na druga strone. Deszczulki zaklekotaly pod jej

chodakami, lecz o tak wczesnej porze przy pomocy praczek nie było jeszcze żadnej sasiadki, aby rozgadała wszem i wobec, że Sancha znowu przekrada się na lewy, zakazany brzeg.

Matka za podobną zuchwałość niezawodnie obilaby ją rzemieniami namoczonymi w słonej wodzie albo, co gorsza, wiklinową miotłą do zamiatania chlewu. Jednak tego ranka Sancha musiała wymknąć się na brzeg, nawet, jeśli miało to spowodować na nią razy i jazgotliwe wyrzuty matki. Bo ojciec jak zwykle nie odezwie się ani słowem. Zje rybna polewka, a potem, ciężko szurając nogami, zniknie za przepierzeniem z foczej skóry i położy się spać, całkowicie obojętny na dobiegające od strony kuchni gniewne poszczekiwanie garnków. Czasami Sancha podejrzewała, że ojciec po prostu nie wydlubuje wosku, którym rybacy zatykali sobie uszy dla ochrony przed śmiertelnymi głosami syren. Ale ona nie miała ochrony. Musiała słuchać, nawet, jeśli słowa matki zaczynały dotkliwiej od rzemieni.

–Znowu chcesz mnie zabić, wyrzutku, pomocię demonów! Co z ciebie będzie, skoro już teraz uragasz boskim prawom? Przysięgam, nie jesteś dzieckiem mojego łona, strega musiała cię podmienić w kołysce.

Zamysłona, nie spostrzegła dafnisa przytającego za pniem zwalonego drzewa. Śliski ped owinał się wokół jej łydki i szarpnął mocno. Krzyknęła, bardziej ze strachu niż bólu, gdy purpurowe ssawki przygłnęły do skóry, i na osłep próbowała wyrwać nogę z uchwytu monstrum. Na szczęście dafnis okazał się bardzo młody, zapewne wykiełkował dopiero zeszłej nocy, i zbyt słaby, aby ją zatrzymać. Ped cofnął się z ohydny, skrzekliwym dźwiękiem, zostawiając po sobie palący ślad. Ale trucizna nie zdołała wnikać głęboko. Nie było nawet krwi, która przywabiłaby inne potwory.

Deszcz wzmagał się. Niebo pomiędzy koronami drzew wciąż było granatowoszare, lecz dziewczynka wiedziała, że niedługo się rozwidni. Nie pozostało jej wiele czasu. Sycząc z bólu i utykając, zbiegła w kotlinkę, po czym ostrożnie wdrapała się na wydmy. Wpełzła pomiędzy niskimi, zwyrodniałymi krzakami na sam szczyt, rozgarnęła szorstkie trawy. Wichur zaciął ją w twarz, cisnął w oczy ostrym piaskiem, ale nie wydała nawet najłżejszego jęku. Nie mogła ich spłoszyć. Nie teraz, kiedy podeszła tak blisko.

Były tam, na samym brzegu morza, w niewielkiej dolince pomiędzy dwoma pasmami wydmy. Poprzez lzy i piasek Sancha z początku widziała nie więcej niż obłe, jasne kształty na brzegu. Migotliwy błysk łuski, kiedy któraś z nich poruszyła się i leniwie przewróciła na bok. Złote żyłki włosów na szarym piachu. Potem, gdy fala uderzyła mocniej i omyła je rozbryzgami piany, Sancha usłyszała śmiech, przytłumiony szumem wichru i morza.

Dziewczynka ciasniej przywarła do ziemi, przerażona, czy w ślad za śmiechem nie rozlegnie się jeszcze inny dźwięk – wysoki, przenikliwy krzyk, który sprowadza

szalenstwo i pociaga rybakow w otchlan. Ale nie. W tej wichrowej godzinie tuż przed switem syreny nie niosły śmierci, tylko napawały się słonym, burzowym powietrzem, gnusnie ocierając grzbiety o gruby piasek. Wypelzły wysoko na brzeg, tuż za skrajem ludzkiej wioski, podczas gdy rybacy nadal scigali je z harpunami i sieciami gdzieś pośrodku morza. Tutaj były bezpieczne. I były też piękne, tak piękne, że ich widok niemal zapierał dech.

Sancha podczołgała się jeszcze kilka kroków. Dalej rozciągała się polica nagiego piasku i syreny dostrzegłyby dziewczynkę bez trudu. Zatrzymała się, więc, z zachwytem patrzeć na ich krągłe, dostatnie ciała. Ciężkie piersi kołysały się przy każdym ruchu, po wypukłych brzuchach sikały strugi wody. Snieżnobiała skóra polyskiwała, jakby natarto ją rybim tłuszczem, ciasno opinając faldy i załomy ciała. Poniżej bioder lśnienie wzmagalo się, nabierało srebrzystych, błękitnawych tonów, a pletwy polyskiwały jak czyste srebro.

Nagle jedna z syren targnęła się niby łososiem dzgnięty oscieniem i wyskoczyła w górę. Wrzcionowate ciało obrocilo się w locie, ogon zatrzepotał, gdy wyrzuciła w powietrze fontanne moczu. Ktoras z jej towarzyszek znowu wybuchła perlistym, gulgotliwym śmiechem, który brzmiał jak woda spływająca z dachu do beczki na deszczówkę.

Sancha poczuła, że na twarz wypelza jej gorący rumieniec. Nie bez przyczyny ojciec Barnabo nazywał syreny najbardziej bezwstydnymi spośród wszystkich potworów. Ich nieprzyzwoicie obnażone ciała wabiły grzeszników, ale w głosach nie czailo się nic prócz zagłady. Albowiem nienawisc syren do ludzi jest niezmiernie jak morski przestwór, prawil mnich, i nie zawahają się przed żadnym okrucieństwem, aby odepchnąć nas od morza. Bada smagać brzegi niekonczącymi się sztormami, przeganiać ławice ryb na środek wodnego odmetu, dokąd nie docierają rybackie łodzie, wreszcie zsyłać na wioski plage wszelakiego morskiego plugastwa, trujących skolopender i katobleponów, które zabijają oddechem.

Najgorsze jednak zło kryje się w ich głosach. Jeśli któryś z rybaków z brawury lub zaniedbania nie zalepi uszu woskiem, ich głosy oplota go jak konopna lina, pociagna w szalenstwo i zatracenie. Nieszczęsny rzuci się na swoich towarzyszy, będzie ich drapał i szarpał zębami jak zwierze, którym w istocie się stanie, poki jakiś łitosciwy cios nie skroci tych meczarni. Nic jednak nie zdoła ocalić jego niesmiertelnej duszy, ta, bowiem stopnieje i zniknie pod naporem syrenich głosów niczym morska piana.

Jednak tego ranka Sancha nie myślała o niebezpieczeństwie, w jakim znalazła się jej niesmiertelna dusza, ani nawet o karze, która wymierzy jej matka, jeśli nie zobaczy córki w tłumie kobiet oczekujących w przystani na powrót łodzi. Niepomna na nic, dziewczynka z zapartym tchem obserwowała igraszki syren. Deszcz ustał, a chmury rozsunęły się nieco. Światło grało na rybach ogonach syren, kiedy przetaczały się w rozowawej pianie. Pletwy z trzaskiem uderzały w mokry piach, a włosy unosiły się na

wietrze jak długie złote pnacza.

W dole u podnoża wydmy trzasnęła galazka. Syreny znieruchomiały, ale nie trwało to dłużej niż jedno uderzenie serca. Potem całe stado z chlupotem runęło ku morzu. Srebrzyste ogony mignęły jeszcze jeden raz ponad falami, wzbijając bryzgi piany czerwonej od krwi gigantów, którzy niegdyś legli na dnie morza. Woda natychmiast zamknęła się, wygładziła wszelkie ślady.

Sancha cofnęła się głębiej w trawy. Dopiero teraz w pełni pojęła, co może ją spotkać, jeżeli matka dowie się o tym najnowszym występkę. Albo, jeszcze gorzej, co kaznodzieja uczyni z dziewczynką, która grzesznie szukała widoku syren, nieprzyjaciółek rodzaju ludzkiego. Publiczna chłosta przed l'Albero del Miracolo była najłagodniejsza z kar, które potrafiła sobie wyobrazić.

Odetchnęła, więc z ulgą, kiedy pomiędzy pniami mignęła płowa czupryna. Bianco, jej przyjaciel, miał najbystrzejszy wzrok w całej wiosce i dostrzegł ją od razu. Na powitanie gwałtownie zamachał rękami, a Sancha bez zwłoki zsunęła się z piaszczystego pagórka.

–Znowu je podglądałaś? – spytał, kiedy udało mu się złapać oddech.

Twarz miał czerwona z wysiłku i dyszał jak młody psiak, a niebieska szmatka, która zwykł wiazać na czole, pociemniała od potu. Najwyraźniej przebiegł całą drogę z wioski.

–Co się stało?

Postanowiła, że opowieść o syrenach może poczekać na inną okazję.

–Nie wiesz jeszcze? – Bianco zdziwił się fałszywie. – O poranku widziano graje. Siedziała na świątynnej dzwonnicy i nie ulekała się ojca Barnaba, kiedy wyszedł ją przekląć. Skrzeczła ohydnie, poki stara Lizetta nie cisnęła w nią kamieniem. Wtedy odleciała. A potem...

–Co potem? – ponagliła go dziewczynka.

–Potem do przystani przybiła pierwsza z naszych łodzi i... – Ze świstem wciągnął powietrze i Sancha zrozumiała, że tym razem nie chodzi o jeden z żartów w ich niekonczącej się grze, kto kogo zdola bardziej przestraszyć. – Cała ta krew i porozdzierane ciała...

Zacisnęła powieki, myśląc o ojcu, który zeszłego wieczoru jak zwykle wypłynął na nocny polow.

–Kto?

**–Angelo, Paride i Nevio. Wszyscy poszarpani na drobne kawalki.**

**Dziewczynka przelknęła sline. Tamci pływali na łodzi Dina, podczas gdy jej ojciec należał do załogi kulawego Pietra. Jednak, kiedy otworzyła oczy, zrozumiała, że było coś jeszcze. Coś znacznie gorszego.**

**–To Donnino, najmłodszy z synów Dina – powiedział chłopiec. – Kiedy starsi prosili, by zalepił uszy woskiem, nazwał ich przesadnymi tchorzami. Ale sztorm naprawdę nadszedł, a wraz ze sztormem syreny. I wtedy było już za późno. Skoro zaczęły śpiewać, Paride chciał przywiązać Donnina do masztu, ale nie miał dość siły, zew syren okazał się zbyt przemożny. A gdy Paride wciąż nie chciał go puścić, Donnino poderżnął mu gardło nożem do patroszenia ryb, potem zaś chwycił harpun i zakłuł jeszcze dwóch towarzyszy, zanim ktokolwiek zdołał go powstrzymać. W końcu skoczył w morze. Ojciec Barnabo mówi, że nie ma już dla niego nadziei.**

**Sancha skinęła głową. Jeśli Donnino kiedykolwiek powróci do wioski, nie będzie już człowiekiem. Syreny zmienia go w jedno z morskich monstrów, hippokampa o głowie konia i wezowym ogonie albo kakosa, który zionie jasnym ogniem.**

**–A inne łodzie? – zapytała, z wysiłkiem odsuwając wspomnienie o bunczucznym, lekkomyślnym Donninie, który podczas nabożeństwa wykrzywił się do niej zabawnie za plecami ojca Barnaba i przed jesienią zamierzał odejść z wioski, popłynąć na północ na następną wyspę, a potem na kolejną i jeszcze dalej, aż dotrze do krainy ludnych portów i kamiennych miast.**

**Bianco poprawił na czole błękitną szmatkę.**

**–Jeszcze nie wróciły – odparł. – Ale wszyscy czekają w przystani i... Sancha, twoja matka zaraz zauważy, że znowu cie nie ma. – Złapał ją za nadgarstek i pociągnął naprzód.**

**Dziewczynka nie opierała się. Bianco znalazł te kotlinki równie dobrze, jak ona. Mogła zaufać, że nie wdepnie w kepe dafnisów ani na kopiec myrmeków o złocistych pancerzach i szczypcach, które bez trudu przecinają ludzkie ścięgna i kości.**

**–Poczekaj! – Zatrzymała się na skraju kładki. – Moj dzban!**

**–Nie bądź głupia! – syknął przez zęby. – Nie mamy czasu.**

**Pobiegli dalej po wilgotnym piasku, przecisnęli się pomiędzy poczerniałymi palami falochronu i oto byli na miejscu. Na pomostie tłoczyli się chyba wszyscy mieszkańcy osady, nie wylaczając zgrzybiałej Odetty, która przyniesiono na jej wiklinowym krześle, gromadki wioskowych kundli oraz czarnego kozła Bela, ulubienca dzieci. Zgromadzeniu przewodził ojciec Barnabo w wystrzepionym szarym habicie, wsparty o łaskę z cisowego drzewa i mimo ostrego wichru wyprostowany jak jeden z**

legendarnych swietych, ktorzy gniewnym spojrzaniem rozpraszali hordy potworow i usmierzali rozkolysane fale. Ale kipiel w zatoce niewiele sobie robila ze srogich min wioskowego mnicha. Fale klebily sie u pomostu, purpurowe od krwi martwych gigantow, a piasek wokol byl poznaczony pasmami brunatnych i sinych wodorostow. Jesli gdzies posrod tego odmetu plynely powracajace lodzie, Sancha nie umiala ich dostrzec.

Za to bardzo szybko rozpoznala wysoka i chuda sylwetke matki. Stala tuz przy mnichu, z calej sily sciskajac rogi czarnej chusty. Ale kiedy Sancha chciala podbiec blizej, Bianco przytrzymal ja stanowczo.

–Nie teraz – szepnal przez zeby. – Zapyta, gdzie bylas. Poczekaj, az przyplyna. W zamieszaniu nikt nie zauwazy, kiedy sie pojawilas.

Sancha skinela glowa. Bianco byl sprytny, znacznie sprytniejszy od niej, i jak zwykle mial racje. Po klodach drewna, wyrzuconego przez ostatni sztorm na brzeg, przekradli sie pod palami pomostu blizej morza. Silniejsza fala ogarnela ich i prawie zmyla. W jednej chwili Sancha byla cala mokra. Krztuszac sie i wypluwajac gorzka wode, chwycila sie oslizglego, gladkiego slupa. Bianco tymczasem stal juz na samym skraju pomostu, na poprzecznej belce pomiedzy palami, i osloniwszy oczy, wpatrywal sie w przewezenie zatoki.

–Sa tam! – wrzasnal tak przerazliwie, ze nawet ojciec Barnabo podskoczyl ze strachu, zapominajac na moment o swej mniszej godnosci. – Lodzie u wejscia do zatoki.

Sanchy wydalo sie, ze slyszy gniewne sapniecie mnicha, ktory nie lubil byc zaskakiwany w zaden sposob, a juz najmniej przez glos dobiegajacy spod jego stop. Ale tym razem nie zgromil chlopca ani nie zaprotestowal glosno. Jak wszyscy w wiosce, ufal bystrym oczom Bianca. I jak reszta czekal, az chlopiec znow sie odezwie, bo poprzedniego dnia o zmierzchu z wioski wyplynelo szesc lodzi. Nikt nie wiedzial, ile powroci.

Bianco jednak milczal uparcie, a Sancha nie widziala nic procz sinogranatowego morza. Na pomosci nad nimi z wolna zamieraly wszystkie dzwieki, szuranie chodakow na wilgotnych deskach, popiskiwanie dzieci i nawet nerwowe beczenie kozla. Wiesniaczki czekaly bez slowa, az stanie sie jasne, kto przetrwal, a kogo ostatniej nocy pochlonelo morze i furia syren.

–Jest lodz Kulawego Pietra – wyszeptal Bianco. – I dwie inne.

Sancha widziala jedynie ciemne plamy, coraz blizsze i coraz wieksze. Rzucono cumy. Kadlub ze zgrzytem otarl sie o krawedz pomostu. Zadudnily ciezkie kroki, gdy pierwsi rybacy wyskakiwali z lodzi. Pozniej zas ktoras z kobiet wydala przerazliwe,

**zwierzece wycie i rzuciła się na wilgotne deski.**

**Dziewięciu mężczyzn z wioski nie powróciło tej nocy z morza.**

**\*\*\***

**Sancha poprawiła na głowie wiklinowy kosz na ryby. Był pusty, więc niosła go bez wysiłku i balansowała ciałem, gdy przeskakiwała nad wyrwami i korzeniami. Matka szła przodem, pomimo szpotawej stopy wytrwale podpierając meza. Nevio nie ucierpiał mocno, a w każdym razie grzechem byłoby sarkac wobec ogromu nieszczęścia innych. Ale upadł na ostre haki i poranił się dotkliwie. Sancha bała się zgadywać, co skrywa jego poszarpane, okrwawione odzienie, a ojciec nie odezwał się ani słowem, odkąd postawił nogę na suchym lądzie. Za to matka nie przestawała mówić.**

**–Wszystko to przez nasze grzechy – biadała gromko. – Z dawien ojciec Barnabo powiadał, aby wytepic ten diabelski pomiot, hippokampow, argusow i syreny, zanim one nas wygubia. Ale nie, my w zatwardziałości serc naszych woleliśmy udawać, że niebezpieczeństwo jest gdzieś daleko, że nas nie dosięgnie. Tymczasem ono jedynie przytailo się, czekając sposobnej okazji. I kiedy ta okazja nadeszła, uderzyło bez żadnej litosci. Litosc nie leży w naturze monstrów. W ich naturze nie leży nic prócz zniszczenia... – Urwała, aby zaczerpnąć oddechu.**

**Sancha wykrzywiła się brzydko, lecz zaraz opuszczała głowę, aby nikt nie dostrzegł grymasu. Matka nie przestanie gadać przez całą drogę do domu, zupełnie jakby w obliczu nieszczęścia znajdowała radość w ponawianiu klątw i samooskarżeń. Niby jedna ze świątobliwych niewiast, które dawno temu zagrzewały armię do boju z demonami, będzie wygłaszała swe płomieniste mowy, czyszcząc i przewiazując rany meza, a także później, kiedy ten już ułoży się do snu za przepierzeniem z foczej skóry. Nic nie powstrzyma jej świętego gniewu i pragnienia zemsty.**

**Nic prócz grai, przycupnietej na l'Albero del Miracolo, Drzewie Cudu.**

**L'Albero del Miracolo – ojciec Barnabo zżymał się na wiesniaków za tę nazwę, twierdząc, że nie im rozstrzygać o boskich zamysłach, ale oni wiedzieli swoje – było olbrzymim, uschniętym debem pośrodku placu przed bramą. Niedługo, zanim Sancha przyszła na świat, do osady zakradli się rabusie. Udawali wędrownych cieszli, ale noca odbili skobel w świątyni. Ukradli święte naczynia, które były zrobione z najczystszej srebra, ojciec Barnabo przyniósł je dawno temu z odległego klasztoru na drugim brzegu morza. Kiedy psy zaczęły szczekać i wiesniacy poderwali się ze snu, aby bronić swego dobytku, jeden ze złodziei wdrapał się na drzewo i wrzucił worek z łupem do dziupli.**

**Skarb zniknął bez śladu i nikt nie potrafił go odnaleźć, choć przeszukano całą**



osade. Wedrowcy zaklinali się, że są niewinni, lżyli wiesniaków i szydzili z ojca Barnaba, który modlił się o odnalezienie świętych naczyń. Ale gdy modlitwa dobiegła końca, bezchmurne niebo przeszła błyskawica. W krótkim oslepiającym rozbłysku piorun uderzył w dąb, spopielił liście i rozszczylił koronę drzewa na pol. A potem dąb zaczął płakać srebrnymi łzami.

Roztopione srebro wypływało przez szczeliny w drewnie, ciężkimi kroplami sciekalo po czarnej, dymiącej korze, by na końcu zastygnąć niczym smugi żywicy. Zmartwiali wiesniacy obserwowali ten cud w nabożnym milczeniu. Kiedy oszłomienie minelo, długimi żelaznymi cwiekami przybili świętokradców do drzewa, które nie chciało być współnikiem ich zbrodni.

Bianco wdrapał się ukradkiem na l'Albero del Miracolo i przysięgał, że w korze wciąż tkwią główki cwieków, a kora oznacza rdzawe zacieki, ślad po krwi złoźcynców. Poniżej dziupli zaś dało się dostrzec drobne kropelki zastygłego srebra, chociaż pocerniałego już i na wpol zatartego. Sancha oczywiście nic nie widziała i nie była pewna, czy jej nie oszukal. Niemniej wszyscy w wiosce czcili l'Albero del Miracolo niczym relikwie, widoczny znak boskiej sprawiedliwosci i kary za grzechy.

A teraz na szczycie tej świętosci siedziała bezwstydna, skrzeczaca graja.

Matka zamarła z rozwartymi ustami i ramieniem na wpol uniesionym w kierunku potwora. Sancha przeszła jeszcze kilka kroków, wpadła na plecy ojca i natychmiast została odepchnięta na bok przez matkę. Ale po ciosie nie nastąpiły żadne gniewne słowa. Potwór pojawil się w wiosce po raz drugi tego samego dnia i było to coś, co nawet matkę mogło wytracić z równowagi.

Graja zakolysała się niepewnie i Sancha poczuła stechła, oleista won monstrum. Przymrużyła oczy, aby zobaczyć ją dokładniej, ale potwór siedział zbyt wysoko. Był niewielki, mniejszy od stymfalidy czy harpii, i na szczęście nie mógł zasypać rybaków gradem kaleczących pior ani wykluc im oczu zakrzywionym dziobem. Właściwie graje nie atakowały ludzi. Pokryte brunatną łuską i kepkami krótkich, zwyrodniałych pior, nie latały zbyt sprawnie i nie potrafiły doścignąć nawet zdrowego dzieciaka. Porywały tylko kokosze z kurników i czasami rozszarpały młode jagnięta na pastwiskach. Naprawdę jednak obawiano się ich z powodu oczu, metnych i pokrytych bielmem. Ich spojrzenie zwiastowało śmierć, podobnie jak głos grai wieszczyl nieszczęście.

Potwór znow się poruszył, załopotal bloniatymi skrzydłami i uniosł głowę do krzyku. Jego głos sprawil, że kosz wyslizgnal się Sanchy z raku. Upadła na gościniec, kalecząc sobie kolana o zwir, zasloniła uszy rękami. Jednak wrzask nadal wibrowal pod czaszką, napelniał usta metalicznym smakiem. Poczuła, jak z nosa saczy się jej struzka krwi.

**I wtedy z przeciwnego krańca wioski grai odpowiedział inny dźwięk. Ludzki głos.**

**–Argusi zaatakowali stado!**

**Dwie graje jednego dnia, pomyślała z przerażeniem Sancha. Dwa nieszczęścia.**

**–Nasze owce! – odezwała się swiszczącym głosem matka. – Gdzie są nasze owce, Sancha?**

**Ale wszyscy troje świetnie wiedzieli, że o brzasku dołączyły one do wioskowego stada i w gromadzie innych zwierząt wypędzono je na pastwisko poza palisadą. Na północnych wzgórzach od dwóch lat nie pokazywali się argusi, nie widywano nawet ich śladów, więc owiec strzegło zaledwie czterech wyrostków i gromada pasterskich psów. Zbyt mało, by powstrzymać horde potworów, uzbrojonych w ostre włocznie i proce.**

**Zanim ktokolwiek zdołał ją powstrzymać, Sancha poderwała się do biegu. Ciekawość była silniejsza od strachu. Trzy lata temu widziała argusa. Potwór wpadł do wilczego dołu, za radą ojca Barnaba wykopanego na drodze na pastwisko. Złamał nogę, ale żył jeszcze, kiedy znaleźli go wiesniacy. Z początku tylko patrzyli z przestraszeniem, jak się miota, toczy pianę z pyska i skacze na ściany jamy, usiłując ich dopaść. Był szeroki w barach i wyższy od najroslejszego z mężczyzn. Nie nosił żadnego ubrania, nawet przepaski biodrowej, aby przysłonić swój wstyd, a plowa grzywa opadała mu na twarz.**

**Potem wiesniacy zaczęli rzucać włocznie i kamienie. Argus krzyczał, na darmo usiłując przywabić swoich. Miał silny głos, ale w jego wrzaskach nie dawały się odróżnić żadne słowa. Kiedy w końcu go wydobyto z jamy, Sancha zdołała przepchnąć się bliżej pomiędzy kolanami starszych. Oczy potwora nieruchomo wpatrywały się w niebo, a trzecia, nieludzka zrenica pośrodku czoła była olbrzymia i błękitna jak letnie morze.**

**Ojciec Barnabo zamierzał zatrzymać truchło, wypchać je i powiesić na ścianie świątyni jako wotum. Niestety lato było wyjątkowo upalne i trup zaczął się psuć jeszcze tej samej nocy. Śmierdział tak straszliwie, że wioskowe kundły, wyjąc, zbiegły się pod świątynię. Nie dało się nawet zatknąć jego głowy na palisadzie na postrach dla innych monstrów, bo owce na widok trofeum pierzchały z przeraźliwym beczaniem. Na koniec mnich musiał nakazać wrzucić sierwo argusa do morza, z daleka od wioski.**

**Dzisiaj jednak przy bramie nie było martwego potwora, tylko okrwawiony pastuszek i ze dwa tuziny przerażonych owiec, które zbity się wokół niego w ciasną gromadę. Wiesniacy tymczasem nadbiegali ze wszystkich stron, z niedowierzaniem przyjmując to nowe nieszczęście. Ojciec Barnabo gnał pomiędzy pierwszymi, aż do kolan**

**zakasawszy wytarty habit.**

**–Co sie stalo? – wydyszal.**

**–Argusi. – Chlopiec wypuscil z dloni pasterski kij i osunal sie na czworaka, jakby nagle zabraklo mu sil. – Wielka horda argusow, ojczy. Zbiegli ze wzgorz, zanim podniosla sie mgla, i opadli nas ze wszystkich stron. Mieli wlocznie, ojczy... – zachlysnal sie placzem. – Zabijali zwierzeta i ludzi po rowno...**

**Czarnosiwa owca odlaczyla sie od stadka i, beczac, podbiegla do Sanchy. Za nia podazyly dwie nastepne. Dziewczynka z ulga zanurzyla dlonie w szorstkie runo. Polowa ich dobytku ocalala z napasci.**

**Ojciec Barnabo i dwoch innych juz zamkneli brame. Podpierali ja teraz od srodka ciezкими dragami.**

**Ktos znienacka dotknal jej ramienia. Bianco.**

**–Idz stad, Sancha – nakazal chrapliwie. – To nie bedzie miejsce dla dzieci, jesli argusi, napadna na wioske.**

**Chciala zaprotestowac, bo przeciez byl od niej starszy zaledwie kilka miesiecy, ale cos w jego glosie ja powstrzymalo. Odsunal sie o kilka krokow i nie widziala dobrze twarzy przyjaciela. Zwykle to nie przeszkadzalo, umiala odczytywac jego nastroje. Jednak nie dzisiaj. Dotknela tylko przelotnie policzka chlopca. Odepchnal ja szybko, lecz i tak poczula na palcach wilgoc. Plakal. Nie wiedziala, dlaczego.**

**Ojciec Bianca zginal trzy lata temu, rozszarpany przez lamie, i nie zostawil rodzinie wiele dobytku, totez chlopiec nie utracil dzisiaj krewnych ani owiec. Wprawdzie maz jego siostry plywal na jednej z zatopionych lodzi, lecz byl to człek skapy, zazdrosny i porywczy, wiec Nina czesto obnosila na twarzy purpurowe since, slad jego karcacej reki. Bianco nie mial powodu, by plakac.**

**Zapewne, dlatego ja przerazil.**

**\*\*\***

**O zmierzchu okazalo sie, ze do dwoch nieszczesc przybylo trzecie, zdaniem matki dotkliwsze od poprzednich, choc nie zwiastowala go graja.**

**Do wioski przybyl bazarz.**

**Argusi nie probowali sforsowac palisady, jakis czas krazyli tylko wokol osady, wyjac przerazliwie i wygrazajac oszczepami. Brama pozostala jednak zamknieta, nawet, kiedy na dobre znikli ze zrabowanym stadem wsrod wzgorz, i bazarz dlugo**

stał pod wejściem. Dopiero ryczenie zniecierpliwionego osła przekonało strażników, że obcy nie jest jednym z potworów. Trwożliwie uchylił wieże i starzec wemknął się do środka, ciągnąc za sobą opornego zwierzątko.

Był wysokim mężczyzną, choć wyschłym na wior i pomarszczonym. Długie, siwe włosy zbierał na karku w ciasny warkocz, zwykle ukryty pod filcowym kapeluszem. Jego odzienie też w niczym nie przypominało strojów wiesniaków. Nosił luźną tunikę z szarego sukna i obszerne spodnie, puszczane luźno na buty ze świnięj skóry. W chłodniejsze dni wdziewał także płaszcz z grubej wełny, gdyż, jak kiedyś powiedział do Sanchy, wiekowe kości przeczuwają już chłód grobu.

Istotnie, dziewczynce wydawał się stary jak świat. Ale z czasem spostrzegła, że kolejni starcy marli pomiędzy jego wizytami w osadzie i grzebano ich na małym cmentarzyku za świątynią, bazar zaś nie zmieniał się ani trochę. Odwiedzał wioskę nie więcej niż kilka razy do roku, nieodmiennie pełen opowieści o cudach i dziwach wielkiego świata, Sancha uwielbiała jego historie.

Tego wieczoru jednak nie miała okazji ich słuchać. Matka najpierw rozplakała się na widok ocalałych owiec, dalej wybuchła stękiem złości, rozpaczając nad utraconym dzbanem, po czym wysłała córkę nad strumień na poszukiwanie naczyń, a po powrocie oblała ją rzemieniem i zamknęła za kare w drewni. Dlatego dziewczynka nie widziała przybycia bazarza. Umiała je sobie jednak wyobrazić, za każdym razem, bowiem wyglądało tak samo.

Na pewno zatrzymał się przed progiem, z nisko pochyloną głową oczekując słów zaproszenia. Matka wyszczała coś pod nosem na jego widok, ale nie osmieliła się głośno oponować, kiedy Nevio z czciami wprowadzał starca do izby. Jeden raz pod nieobecność meza poszczuła psami tego człowieka, którego uważała za potępionego czarnoksiężnika i sługę demonów. Nevio dowiedział się jednak. Pożyczył od kowala jedyne konie w wiosce, dopędził bazarza gdzieś pomiędzy północnymi wzgórzami i długimi zaklinaniami nakłonił do powrotu, po czym wywlokł żonę z chaty i na oczach zdumionych sąsiadów pobił ją do krwi jednym z dragów, na których rozwieszano sieci.

–Nigdy więcej nie odmówisz temu człowiekowi schronienia, chleba i wody – rzucił twardo. – Czy wiesz, dlaczego?

–Wiem – wyszeptła zakrwawionymi wargami matka.

–Wiec powiedz – zazał Nevio i wymierzył kolejny cios, choć zwykle stronił od okrucieństwa.

–Ponieważ uratował ci życie.

–To prawda, kobieto. – Nevio skłaniał głowę. – Ocalił mnie, kiedy nikt inny nie chciał

**mnie ratować, na własnych rekach wyniosł mnie spodiedzy trupów, a skoro wydobrzałem, oddał tutejszym ludziom na wychowanie. Zaczynam, poczciwym ludziom, którzy przyjęli mnie jak własne dziecko, choć nie wiedzieli, skąd pochodzę i jakiej jestem krwi.**

**Sąsiedzi pokiwali głowami. Dobrze znali te historie. Choroba nie dotknęła ich wioski, ale słyszeli o wielkiej zaradzie, karze za bluźnierstwa czarodziejów, która wyludniła połowę Polwyspu. Rybacy nie uważali się zbyt nad dola grzeszników z odległych miast – sami byli sobie winni, skoro uciekali się do przeklętej sztuki magów i holubili w swych domostwach złe duchy. Ale mieszkańcy okolicznych wysp byli, jak oni, zwyczajnymi, ciężko pracującymi rybakami. Przestrzegali boskich praw i stronili od zakazanej magii. Dlatego w wiosce litowano się nad losem Nevia, który z powodu cudzych przewin utracił całą rodzinę.**

**Ojciec zamyslił się na chwilę, jakby wspominał ową jesienną dzień, kiedy bajarz zawitał do osady i położył przed radą starszych wychudzonego oseska, który na widok tyłu obcych ludzi zachłystywał się krzykiem i własnym przerażeniem. Ale Nevio oczywiście był zbyt mały, by zapamiętać, jak starsi wioski sprowadzili ze świątyni ojca Barnabę i przywołali trzy stare kobiety, szczególnie doświadczone w rozpoznawaniu skazanej krwi. Potem rozdzielili chłopca ze szmat, w które bajarz go owinał dla ochrony przed chłodem, aby obejrzeć dokładnie każdy skrawek jego ciała i odszukać znamie demona – rybia blona pomiędzy palcami stóp, która kiedyś rozrosła się w ogon trytona, albo zgrubienie posrodku czoła, gdzie z czasem pojawi się trzecie oko argusa.**

**Badali dziecko długo i nieubłaganie, choć posiniało od chłodu i wrzasków. Musieli być ostrożni, bo w przeszłości już się zdarzało, że potwory podrzucały swoje małe pod ludzkie siedziby. Nic nie znaleźli. Chłopiec był wątły, zagłodzony niemal na śmierć i w cichociśnieniu ducha powatpiewali, czy pożyje do wiosny. Jednakże nie miał w sobie nic z demona.**

**–Ale nie, jest inny powód, abyś przyjęła go pod własny dach -podjął z namysłem Nevio, który był miłkliwym mężczyzną i słowa przychodziły mu z trudem. – Ten mianowicie, że tak ci nakazuje. Ja, twój maz. A ty masz być mi z woli bożej posłuszna.**

**Sąsiedzi znowu pokiwali z aprobatą głowami. Skoro Nevio postanowił skarcic swoją kobietę za nieposłuszeństwo, nikt nie zamierzał się wtracać. To była sprawa rodzinna. Nawet ojciec Barnabę nie pochwałal krnąbrności niewiast.**

**Matka również zrozumiała bardzo szybko, że znikąd nie doczeka się pomocy. Pociągając nosem, powlokła się do izby i nigdy więcej nie próbowała odpedzić bajarza. Jednak nie kryła bynajmniej niechęci, on zaś nie pchał się jej za bardzo przed oczy. Ale tego wieczoru nie kosztowało go to wiele wysiłku. Zdażył tylko**

rozjuczyc osiolka i wprowadzić go do zagrody, po czym ruszył z Neviem na zebranie starszyny.

\*\*\*

Rada wioski zgromadziła się, jak zwykle, w nawie świątyni. Starcy siedzieli na dwóch długich debowych ławach, za nimi stali ojcowie rodzin, a jeszcze dalej, w cieniu pod wiekowymi ścianami, klebil się tłum niezonałych mężczyzn, wyrostków lub nawet chłopców, jeśli mieli wystarczająco wiele odwagi, aby się tu zakraść. Sancha nigdy nie oglądała podobnego zgromadzenia: kobiety ani tym bardziej niedorośle dziewczyny nie zabierały głosu w sprawach wioski. Jednak następnego ranka bajorz opowiedział jej wszystko dokładnie.

–Najpierw ojciec Barnabo powiedział wiele o grzechu i bluźnierstwach magów, którzy uzurpowali sobie boską moc tworzenia, gdy jeli łączyć demony z materią, aby powołać do życia niezliczone, obmierzłe monstra. Wszyscy słuchali go z należytą uwagą, choć powtarza te same historie od trzydziestu lat. – Bajorz skrzywił się, jakby owo jawne lekceważenie pradawnej sztuki opowieści sprawiało mu ból. – Potem obiecał odprawić specjalne nabożeństwo żałobne za dusze wiesniaków. Nawet tych, których pochłonięło morze, oczywiście z wyjątkiem Donnina, którego nic już nie ocali przed wiecznym potępieniem. To nieco ożywiło zgromadzenie.

Sancha skinęła głową. Ojciec Barnabo nie zwykł poprzestawać na występku i zazwyczaj bardzo sumiennie badał, czy ofiary potworów nie uległy im z własnej woli. Widac jednak ogrom nieszczęścia, które spadło na wioskę, natchnął go niecodzienna łaskawość.

–Prawdziwy zamęt nastąpił jeszcze później, kiedy mnich wezwał starszych do świętej wyprawy przeciwko potworom. Przeciwno dzikim argusom, złodziejom wiejskiej trzody, plugawym syrenom, które sprowadzają sztormy, ich slugom hippokampom i kakosom, a nawet skylli, co siedzi w jaskini u północnego skraja zatoki. Inaczej nigdy nie nastanie pokój, rybacy będą ginąć w odmęcie oceanu, a chłopcy, strzegący stad, staną się stawa okrutnych bestii.

Dziewczynka wstrzymała ze zdumienia oddech. Owszem, ojciec Barnabo od dawna nawoływał, aby wypłenić z wyspy obmierzłe monstra. Brakło jednak wiesniaków do podolania podobnemu zadaniu. Mogli najwyżej zabić harpunami syrene, jeśli sztorm wyrzucił ją daleko na brzeg, zastawić wokół pastwisk pułapki na argusów, wybierać ją z gniazd stymfalid albo podkładać ogień pod kopce myrmaków. Ale na swych kruchych łódkach nie dościgną na otwartym morzu hippokampa ani w tamaryszkowych zarostach nie stawia czoła spragnionej krwi lamii. Sama wyspa była zbyt rozległa i dzika, aby opanowali wszystkie jej zakątki, a co dopiero mówić o niezmiernym morzu, które z dawien dawna stanowiło siedzibę potworów.

–Oszalał. – Bajarz odgadł jej myśli. – Jak reszta jest na wpol przytomny ze strachu. Syreny i wcześniej napastowały rybaków. Jednak zadowolają się jednym nieostrożnym młodzikiem, teraz zaś utraciliśmy dwie łodzie, i nawet ojciec Barnabo się boi.

Sancha podniosła oczy znad miski korzeni, które matka kazała jej oczyścić na obiad.

–Mnich jest stary – wyrzekł powoli Bajarz. – Jest stary i pamięta, że kiedyś było tu więcej wiesniaków. Znacznie więcej. A przecież nawet wtedy nie zdołali wytepic potworów.

–I co mu odrzekli?

–Och, wysłuchali mnicha w skupieniu, jak zwykle. – Bajarz uśmiechnął się półgębkiem. – Rozumieją przecież jego niepokój i świętą furie. Ale nie będzie żadnej wyprawy przeciwko argusom, którzy ponoc rozplenili się niezmiernie na północnych wzgórzach. Najwyżej podrzuci im się jakaś zatruta padlina, niech wyzdychają w boleściach. Nikt nie zamierza też drażnić skylli w jej grocie. Co to, to nie. Przecież każdy w wiosce od dziecka wie, gdzie siedzi potwór, i nikt się nie zapuszcza na tamtą wodę. Jeśli cokolwiek gadzina pochwyti i zezre, to najwyżej nieostrożnego trytona, hippokampa albo kakosa, co nie jest ostatecznie żadną stratą. Ponadto gdyby ktoś nadpłynął od strony Polwyspu, jakiś pirat albo mag przeklęty, niezawodnie wybierze drogę obok skylli. Zatem i ten będzie z niej pożytek, że w razie, czego obca załoga należycie przetrzebi, bo jest szybka i każda z szóstki głów potrafi złapać ofiarę. Po co mają się tutaj płatać nieproszeni goście? Nie wiedzieć, jakie nowe zło za nimi przyjdzie. Niechże, więc skylla zostanie. Ale z syrenami inna będzie sprawa.

–Dlaczego?

Bajarz poskrobał się po głowie i milczał jakiś czas.

–Bo tak długo mnich gadał, aż się starcy ugieli – odparł w końcu z westchnieniem. – Bali się, że jak się upra, odmówi należytego pochowku ich krewnym. Ale przeważało coś jeszcze. – Na twarzy Bajarza pokazał się dziwny grymas. – Barnabo podburzył młodych. Donnino miał licznych przyjaciół i wielu chce pomścić jego upadek. Mnich nazwał ich ostrzem Pana. Dzisiaj w południe wypłyną.

Sancha i Bianco stali z Bajarzem w przystani, kiedy osmiu młodzieńców w śnieżnobiałych koszulach i z czołami wciąż błyszczącymi od poswieconego oleju wylonili się ze świątyni. Pierwszy z nich niosł chorągiew z wizerunkiem świętego Diamante, który zabił hydre, pozostali zaś z dumą dzierżyli harpuny i szerokie noże do szlachtowania bydła. Z tyłu dreptał ojciec Barnabo, z pokornie pochyloną głową, lecz w jego twarzy raz po raz odbijał się wyraz dogłębnego zadowolenia.

**–Czy naprawdę pokonają potwory? – zaniepokoiła się Sancha, bo osmiu śmialków wyglądało dziwnie żalosnie na tle sinoniebieskiego przestworu morza.**

**–Zartujesz, głupia? – ofuknął ją Bianco. – Osmiu głupków przeciwko wszystkim potworom oceanu? Syreny rozszarpia ich na drobne strzępy.**

**Ojciec Barnabo zatrzymał się przy pomocy i wysokim, kozlim głosem zaintonował triumfalny hymn. Młodzieńcy kolejno pochylali się, by przyjąć jego błogosławieństwo, ale w ich gestach i postawie nie dawało się odczytać szczególnej pobożności. Chcieli zabić potwory i powrócić w sławie do rodzinnej wioski. Nic więcej.**

**–Dlaczego syreny tak nas nienawidzą? – Dziewczynka podniosła na bazarza bladoniebieskie oczy.**

**Po obliczu starego przemknął cień.**

**–Ściągają sztormy, ponieważ taka jest ich natura. Są tym, czym je uczyniono. Jak my wszyscy.**

**–A jak je uczyniono?**

**Oczywiście bardzo dobrze pamiętała nauki ojca Barnaba o występnych sztuczkach czarodziejów, pragnęła jednak posłuchać bazarza, zanim matka znajdzie jej jakieś niecierpiące zwłoki zajęcie na resztę dnia. W opowieściach wędrownego starca wszystko wydawało się zupełnie inne, a najzwyklejsze rzeczy nabierały posmaku cudowności.**

**–Syreny... – Bazarz młaskał, jakby smakował to słowo i obracał je na języku. – Nie, nie opowiem ci teraz o syrenach, aby wichry i fale nie uniosły ku nim opowieści i nie schłapnęły ich na tutejsze wody, morskie stworzenia są, bowiem skryte i zazdrosne o własne tajemnice. – Umilkł, zapatrzony w ton zatoki.**

**Sancha nie osmieliła się go ponaglić – wyrwany z zamyślenia, mógł się obrazić i nie odezwać więcej ani słowem.**

**Chłopcy z wioski odbili od pomostu. Biały zagiel łodzi wydawał się zdumiewająco kruchy na tle otwartego morza.**

**–Dzisiaj mam dla ciebie inną historię – podjął bazarz. – O dziewczynie, która dawno temu urodziła się na wyspie pośrodku morza, wygiętej niczym osli grzbietu i sterczącej pod górami lasu. Jej ojciec... – urwał i znowu zamyslił się na chwilę. – Jej ojciec znalazł wszystkie tajemnice wód, zdradzieckie prądy, podwodne laki, gdzie zbierają się nieprzebrane mrowie śledzi, dorszy i sardeli, skały, na których wylegują się fokki i trytony, a także mielizny, rafy i lawice piasku, co wiezi kadłuby okrętów.**



**–Był rybakiem jak my? – nie wytrzymała Sancha.**

**Bajarz zmarszczył z przygana brwi.**

**–Sadze, że nie miałby nic przeciwko temu, aby nazwać go rybakiem – odpowiedział powoli. – Corka nadała mu miano pasterza ryb. Miała jasne włosy i oczy, w których odbijało się niebo, a kiedy biegła po morskim piasku, jej stopy były bielsze od piany. Pewnego razu jej uroda sciagnęła wzrok czarodzieja, który mieszkał w wieży nieopodal. Gdy na nią popatrzył, nie potrafił już odwrócić spojrzenia, pragnął widzieć ją znow i bez końca. A ona śmiała się tylko. Im dłużej brzmiał jej śmiech, tym większa złość rosła w sercu maga. Przygotował w pracowni napar fiołkowy jak krew matwy i wylał go w zatoce, gdzie miała zwyczaj się kąpać. Gdy zaś o poranku dziewczyna, jak co dnia, zeszła na brzeg, czarodziej czekał na nią, pełen słodkich zapewnień i obietnic. Ale ona nie chciała go nawet wtedy. Nie wierzyła, że mogłby uczynić jej krzywdę. Po prostu rozpuszcila włosy, odwróciła się do niego plecami i weszła w morze. A czarodziej upadł na piach, krzycząc z rozpacz i upokorzenia tak głośno, że usłyszało go sześć wielkich czarnych brytanów, które strzegły jego wieży. Potem wypowiedział zaklęcie i wezwał demona.**

**Dziewczynka poczuła miły dreszcz przerażenia. Uwielbiała historie bajarsza. Zwłaszcza te o demonach.**

**–Sześć olbrzymich psów, czarnych niczym smoła albo serce lamii, runęło ku kapiacej się dziewczynie. Lecz demon był najszybszy. Kiedy odwróciła się ze strachem ku nadbiegającym zwierzętom, otoczył ją niby ciemna chmura i wciągnęła go w siebie jak oddech. Upadła w wodę, prosto pod nogi rozjuszonych brytanów. Psy ją opadły i nie zdołały już się cofnąć, gdyż właśnie w tej chwili dziewczyna zaczęła się przemieniać, rozrastać i potwornieć. Rysy rozmyły się, twarz pokryła gruba pomarszczona skóra, a śmiech przeszedł w chrapliwe rzezenie i umilkł na zawsze. Ramiona i nogi przywarły do korpusu, zrosły się z nim w jedno. Na koniec zaś wchłonęła ciała brytanów, stopiła się z nimi, pozostawiając jedynie sześć paszcz, które ujadaly z przerażeniem i klapały ostrymi zębami. Dopiero, kiedy potwór z wysiłkiem wypelził na brzeg, mag pojął w pełni, czym było jego zaklęcie. Nie potrafił go jednak cofnąć i ocalić dziewczyny o imieniu Skylla, więc tego samego dnia powiesił się na szczycie własnej wieży.**

**–Skylla? – wykrzyknęła stłumionym głosem Sancha.**

**Bianco z przygana pociągnął ją za rekaw, zamilkła, więc pospiesznie. Ale właśnie tak nazywano szesciogłowego potwora strzegącego wejścia do ich zatoki.**

**–Ale jego śmierć nie wyzwoliła demona. – Bajarz ze smutkiem potrząsnął głową. – Zwykle potrafią się uwolnić po śmierci maga, który je spętał. Ten jednak widac był zbyt słaby, by strzasnąć zaklęciem, lub za bardzo zagubił się w dziewczynie, również**

**oblakanej ze strachu...**

**–Czy tak własnie powstaly potwory? – zapytal z napieciem Bianco. – Z powodu zaklecia, ktore poszlo nie tak, jak trzeba?**

**Starzec milczal dlugo. Sancha pomyslala, ze obrazil sie na dobre i nie przemowi wiecej.**

**–Czasami – odparl wreszcie. – Inne uczyniono w rozmyslem. Argusow stworzono w czasach przed Guerre dei Gierofanti dla ochrony stad i aby z murow oraz wiez obronnych wypatrywaly wroga. Syreny byly z poczatku ozdoba ksiazeczych zwierzyncow. Wylegiwaly sie na marmurowych podestach, czesaly srebrnymi grzebieniami wlosy i spiewaly ku uciesze gosci. Trytony mialy odnajdowac w oceanie lawice ryb i napedzac je w rybackie sieci, harpie zas tepic drapiezne ptaki, by nie porywaly z ludzkich osad kurczat, gesi, krolikow i jagniat.**

**–Pozniej jednak zdolaly sie uwolnic – odgadl Bianco.**

**–Nie, nie uwolnic – poprawil ostro bazarz. – Zaledwie zbiec na pustkowiu, z dala od ludzkich siedzib i magow, ktorzy je powolali do podksiezycowego swiata. Uciekaly do kryjowek takich, jak ta wyspa, zagubiona pomiedzy odmetami na skraju Arcipelago delia Rugiada Rossa. W najbardziej niegoscinnie, ponure i jalowe z miejsc. – W zadumie przeczesal rzadka brode palcami.**

**–Nasza wyspa nie jest... – zaprotestowala Sancha, lecz Bianco znow szarpnal ja za koszule, tym razem mocniej i ze zloscia.**

**Bazarz nie zwrocil na nich uwagi.**

**–Zupelnie jakby moglo to cokolwiek pomoc – podjal z cicha. – Bo przeciez pozostaly uwieziane, bezpowrotnie spetane materia i zamkniete w obcych ksztaltach. Nie potrafia sie uwolnic. Nawet teraz. Moze juz wcale nie pamietaja, kim byly wczesniej, swobodne i nieposkromione na przestrzeniach dziewieciu sfer nieba. Duchy powietrza i pustki, mieszkancy ponadksiezycowego swiata. Ktoz jeszcze zdola odczytac ich miniona chwale w tych plugawych, wynaturzonych formach?**

**Dziewczynka spuscila wzrok. Nie wiedziala, co powinna odpowiedziec. Ale tez starzec nie odczekiwal od niej odpowiedzi.**

**–Jednak nie na tym polegaly blad magow, wcale nie – ciagnal posepnym tonem. – Siedzieli w swoich wiezach z piaskowca i kamiennych zamkach, tacy pewni własnej potegi, ufni w swe obliczenia, mapy nieba, formuly i magiczne ksiegi. Nie przewidzieli, ze nie starczy tchnac zycia w nowe ksztalty, trzeba jeszcze nad nim zapanowac. A to sie nie udalo, wiec nie mogac ich zniszczyc, odpychali własne nieudane twory na najdalsze krance ziemi, az w koncu staly sie niczym gesta,**

**purpurowa piana, która unosi się na brzegach niezmiernego morza. Tak, tym właśnie były potwory dla magów. Krwawa piana, która czasami sztormy rzucają im pod nogi, a wtedy trzeba ją jak najszybciej zdeptać i zmyć z trzewików. Tymczasem piana rozrastała się, a fale niosły ją coraz dalej...**

**Umilkł. Sancha wsunęła dłoń w palce przyjaciela i dała mu znak, żeby odeszli po cichutku, bo słowa bajarza dziwnie ją przeraziły. Chłopiec jednak odsunął ją lekko i nadal stał w miejscu, aż starzec ponownie ocknął się z zadumy.**

**–Wciąż nie rozumiecie? – rzucił.**

**W pytaniu było tyle złości, że dziewczynka aż się wzdrygnęła.**

**–Magowie też długo nie rozumieli, choć powinni się domyslić, skoro tylko pierwsze łamie pojawiły się w nadbrzeżnych zarostach, a harpie zaczęły wic gniazda na dzwonicach kościołów. Niepostrzeżenie na krancach świata wezbrał przyływ. Potwory nie potrzebowały już czarodziejów. Nie były dłużej obce w naszym świecie. Rosły w sile i plodziły nowe pokolenia.**

**–Przecież to tylko potwory – wykrztusiła zdezorientowana Sancha.**

**Bianco tak gwałtownie wyrwał dłoń z jej uścisku, że aż się zachwiała. Odwróciła się ku niemu, zaskoczona, ale on spoglądał już gdzie indziej. Oslaniając dłonią oczy, patrzył wysoko ponad wioskową palisadę.**

**–Dafnisy! – wykrzyknął z całych sił. – Dafnisy się pyła! Wiatr miota je na nasze pola! – Reszta jego słów zagłuszyła wrzawa, która podniosła się przy pomocy.**

**Sancha podążyła za jego spojrzeniem i – jak zwykle – nic nie dostrzegła. Ale Bianco na pewno miał rację. Gdzieś na północ od wioski, w przybrzeżnym lesie, osłonięte gestwina dafnisy rozkrzewiły się i zakwitły szkarłatnym kwieciem. Gdy zasprękwitły, wicher nadal bloniaste worki nasion i unosił je znad ziemi rdzawa chmura na poszukiwanie nowych, sprzyjających gruntów. Jeśli padną na żyzną ziemię – od lat spulchniana motykami, czyszczona z kamieni i wciąż wilgotna od nocnego deszczu – blony skurczą się i popekają, a ze środka wylonia się zarodki, żywe i lakome. Wypuszczają długie, chwytne wici, wrosną w glebę, zakorzenia się głęboko, a ich jad będzie z każdą chwilą nabierał mocy. Po kilku dniach urodzajne pole zmieni się w uroczysko, na które ani człowiek, ani zwierze nie osmiele się wkroczyć.**

**O ile zdąży się rozplenić, pomyślała Sancha. O ile nie wyrwiemy ich teraz, póki są młode i słabe, i nie rzucimy w palący ogień.**

**Odruchowo potarła łydke, oparzona dzisiejszego ranka. Dobrze wiedziała, co należy uczynić, bo dafnisy pyliły się kilka razy w roku i cała wioska zgodnie ruszała je pielic, jeżeli usiłowały się zagnieździć nieopodal osady. Właściwie nie były najgroźniejszymi**

**z potworow, choc Sancha slyszala o starych, rozrosnietych monstrach, ktore pluly jadem na odleglosc rzutu kamieniem i blyskawicznie oplataly ofiare palacymi wiciami. Jednak nie bala sie ich nadmiernie. Zanadto byly niemrawe: nogi-korzenie wiezily je w jednym miejscu. Budzily tylko wstret.**

**Ale kiedy chciala wraz z innymi ruszyc na pole, poczula na ramieniu szorstka dlon.**

**–O, nie – rzekla surowo matka. – Jak na jeden dzien dosc juz zmarnowalas czasu, a przy pieleniu dafnisow nie bedzie z ciebie wielkiego pozytku. Pojdiesz ze mna. Nina zaczela rodzic. Czas, zeby przyjrzała sie kobiecemu trudowi.**

**\*\*\***

**Nina krzyczala cala noc. Sancha z trudem rozpoznawala jej glos, choc znala go bardzo dobrze, podobnie jak te izbe o swiezo pobielonych scianach. Starsza siostra Bianca byla pogodna, halasliwa kobieta o twarzy nakrapianej niezliczonymi piegami. Choc dlugo nie mogla doczekac sie wlasnych dzieci, zawsze miala cieple slowo dla mlodszeo brata i jego przyjaciolki.**

**Teraz lezala za przepierzeniem, na waskim lozku we wnece oswietlonej tylko mdlym lojowym kagankiem, totez Sancha nie widziala zbyt wiele nawet wowczas, kiedy matka wepchnela ja za zaslone. Stare kobiety, ktore zajmowaly sie poloznica, zasyczaly gniewnie spod czarnych chust i szybko odsunely mala na bok. Porod byl trudny i nie potrzebowaly slepawej, bezuzytecznej dziewczynki, ktora bedzie im wchodzic w droge.**

**Przed switem krzyki Niny staly sie donosniejsze i wezwano ojca Barnaba. Przybyl bez zwloki. Z zadowoleniem omiotl wzrokiem gromadke kobiet, ktore glosno odmawialy modlitwy, przycupniete na stolkach i lawach u pieca. Nina zawyla, a z za przepierzenia wychynela jedna ze staruszek.**

**Modlitwa w izbie przycichla.**

**–Dobrze, ze jestescie, ojcze. – Wytarla o fartuch zakrwawione rece. – To nie potrwa juz dlugo.**

**–Jej maz, niech go wszyscy swieci prowadzi, zginaj wczoraj na morzu. – Mnich ze smutkiem potrzasnal glowa. – Modle sie, aby nie utracila i dziecka.**

**–Dziecko jest silne, ojcze – stara spojrzala na niego bystro – i nie lekamy sie, ze umrze. Obawiamy sie czegos znacznie gorszego – dodala przyciszonym glosem, po czym znow znikla we wnece.**

**Wśród kobiet rozszedl sie szmer, zagluszony zaraz przez glos rodzacej. Przycupnieta na ziemi Sancha poczula, jak kosciste palce matki zaciskaja sie mocno**

na jej ramieniu. Twarze sasiadek były białe jak świąteczne, pszeniczne ciasto i ściągnięte oczekiwaniem. W ich oczach polyskiwał strach, a czasami jeszcze coś – okrutne, drapieżne pragnienie.

Za sukiennej zasłony niosła się dławiąca won krwi. Wrzaski cichły stopniowo, zastąpione przez inne odgłosy – nerwowa krzatanina staruch, ich podniesione głosy, stukot naczyń. Potem wszystko się urwało. Sancha nie dosłyszała nawet pierwszego krzyku dziecka.

–Wejdźcie, ojcie – rozległo się z wneki.

Mnich podniósł się pospiesznie, sciskając w dłoniach kadzielnice, ozdobiona świętymi wizerunkami.

–Zła krew – odezwała się szeptem jedna z kobiet. Dłonie miała ciasno splecione na podolku. – Widzieliście jej palce u stop, zrosnione jak u wodniczy? Skazona krew odezwie się prędzej czy później.

–To się niejednemu zdarza – sprzeciwiła się inna. – Spomiedzy braci jej meza dwóch w dzieciectwie pomarło i święta ziemia ich nie pokryła. Pamiętacie? Marnieli i schli kolejno jak trawa w susze, choć piersi matki nabrzmiwały od mleka. A szczeki mieli pełne zębów i twarze porosnięte sierścią. Ojciec Barnabo w ogóle nie powinien był im pozwolić zaczerpnąć oddechu...

Matka wymruczała coś ze złością, wskazując brodą na Sanche, i kobiety zamilkły, czym prędzej.

Zasłona zafalowała znowu. Mnich wynurzył się z zasępioną twarzą, a za nim postępowała starucha z krwawym klebem szmat w dłoniach.

–Dodajcie do ognia – rzucił ostro ojciec Barnabo. – Szybko.

Nic więcej Sancha nie zdołała zobaczyć, bo matka zakryła jej twarz rabkiem fartucha. Ale czuła ohydny smród spalenizny i słyszała skwierczenie płomieni.

–To nie był cynocefalita – doszedł ją przez fartuch głos staruszki – tylko gegenees. Próbowal sam utorować sobie drogę. Prawie ją rozerwał...

–Nine? – odważyła się odezwać Sancha. Nie miała pojęcia, jakim sposobem potwór zdołałby się zakraść do wioski i tej chaty. Zwykle palisada była wystarczającą zaporą. – Czy on zaatakował Nine?

–Dosyc! – Matka poderwała ją z ziemi i popchnęła ku wyjściu tak mocno, że dziewczynce zakreciło się w głowie. – Wyjdź stad, głupia! Wyjdź stad natychmiast!

**Wypadła z chaty jak strzala, byle dalej od przemoznej woni krwi i smierci. Gdy mijala l'Albero del Miracolo, wychwycila szept:**

**–Sancha?**

**Bianco wynurzył sie zza pnia – byl nie wiecej niz slabym konturem na tle glebokiej ciemnosci, ale rozpoznala jego glos.**

**–Co z nia? – Chwycil ja za reke. – Co z Nina i dzieckiem?**

**–Nie widzialam – odparla niepewnie. – Chyba cos zlego.**

**–Opowiedz mi! – zazadal. – To trwalo tak dlugo – dodal ciszej. – Wdrapalem sie na jablon, lecz w izbie bylo ciemno i nic nie widzialem. Slyszałem tylko krzyki.**

**W te jedna noc nie mogli wejsc do chaty siostry. Jak wszyscy mezczyzni, musial sie trzymac z dala od domostwa rodzacej.**

**–Nie widzialam jej – zaczela ostroznie. – Ale kiedy noc dobiegala kresu, babki wezwaly ojca Barnaba.**

**–Co sie wydarzylo?**

**–Nie wiem. Dziecko nie chcialo sie urodzic, a sasiadki rozmawialy o potworach. O zrosnietych palcach twojej siostry i martwych braciach jej meza. A potem ojciec Barnabo wyszedl od Niny, lecz nie bylo slychac placzu dziecka. Nikt sie nie ciesyl. Powiedzieli, ze rozszarpal ja gegenees. Ale to przeciez niemozliwe. Skad mialby dosc odwagi, aby wejsc do chaty pelnej ludzi?**

**Bianco odwrocil sie od niej i ciezko oparl dlonmi o pien l'Albero del Miracolo. Wydawalo sie, ze jego plecy drza od tlumionego placzu.**

**–Nie martw sie. – Polozyla mu dlon na ramieniu. – Na pewno go zlapia. Gegeneesy nie sa zbyt madre.**

**Chlopak otrzasnal sie jak pies, kiedy go dotknela.**

**–Przejrzyj na oczy, Sancho – rzucil ze zloscia. – Nie mozesz byc przeciez tak glupia. Zaden potwor nie zakradl sie tej nocy do izby i nie rozerwal Niny na strzepy. Zaden procz tego, ktorego urodzila. Nosila w lonie gegeneesa o szesciu ramionach, a on postanowil wyszarpac sobie pazurami droge z jej ciala.**

**–Nina nie mogla byc jedna z nich! – zaprotestowala. Bianco nie zrozumial.**

**–Jedna z kogo?**

–Jedna z tych wszetecznych kobiet, które uciekają na pustkowie, by cudzołozyc z potworami. Zresztą w okolicy od lat nie pojawili się gegeneesi.

Chłopiec milczał długą chwilę. Potem rozesmiał się sucho.

–Po co miałaby ich szukać? To jest w nas, Sancho. Płynie w naszej krwi. Popatrz! – gwałtownie zerwał z czoła szmatkę podtrzymującą włosy.

Stali tuż obok siebie, o wyciągnięcie ramienia albo nawet bliżej, i mimo ciemności Sancha od razu spostrzegła zdradziecki, wilgotny błysk posrodku jego czoła. Nawet nie krzyknęła ze strachu. Bez namysłu wyciągnęła rękę – jak dziecko do świecidełka. Trzecie oko posrodku czoła Bianca, oko argusa, mrugało niespokojnie, kiedy wodziła wokół niego palcami.

–Jak to możliwe? – spytała prawie bezdzwecznie.

Bianco znowu wydal zduszony, histeryczny chichot, ale zdołał jakos nad sobą zapanować.

–Grzech i sromota, jak zwykle. – Odsunął się od niej. – Nie martw się, ojciec Barnabo wszystko ci wyjaśni. Ja nie mam czasu. Muszę uciekać.

–Nie drwij ze mnie. Nie zasłużyłam sobie na to.

–To prawda, nie zasłużyłaś sobie – rzekł łagodniej. – Nikt z nas sobie nie zasłużył na to, co się wydarzyło, jednak rzeczy dzieją się tak czy owak. Jeśli dalej będziemy zwlekać, jutro znowu spotkamy się przy l'Albero del Miracolo. Tyle że tym razem ja będę przybity do niego żelaznymi cwiekami.

–Kto miałby to zrobić?

–Ojciec Barnabo. – W głosie chłopca znowu pojawiły się szydercze nuty. – Nasi sąsiedzi. Cała wioska pospolu.

–Nie...

–Sancho – przerwał jej – trzy łodzie nie powróciły zeszłej nocy z morza. Stada przetrzebili argusi, a na polach rozrastają się dafnisy. Plagi spadają na nas jedna po drugiej, bez żadnego miłosierdzia. Może Przedwieczny postanowił pokarać nasze nieprawości, ale też grzech musiał być wielki, wedle srogiej kary. Ktoś, więc musiał zawinąć. Ktoż, jeśli nie niewiasta, która dała życie potworowi, i jej obmierzły pomiot? Samym swoim istnieniem plugawia oblicze ziemi. Ale mogli przecież uczynić jeszcze więcej. Sprowadzić na nasze wody plagę syren i wskazać argusom, swoim pobratymcom, letnie pastwiska owiec. Rozumiesz teraz, dlaczego muszę uciekać? Nina urodziła gegeneesa i o swicie ojciec Barnabo zastukał do naszej chaty, żeby

**sprawdzic, czy matka i ja nie nosimy na sobie znaku potwora. Zadne z nas nie przetrwa tego badania. Dobrze, ze chociaz Nina nie zyje... – dokonczyl ciszej. – Ja tez by zameczyli.**

**Sancha sluchala z zapartym tchem. W obejsciach psy zaczynaly z rzadka poszczekiwac i drob budzil sie po kurnikach. Wszystko bylo, jak co dnia i jednocześnie wszystko bylo osobliwie odmienione – zapach powietrza, w ktorym wciaz czula metaliczne nutki krwi Niny, zarys olbrzymiego debu, pochylajacego sie nad nimi niby monstrum z basni, na koniec zas szum drzew za palisada, gdzie chadzaja potwory. Przede wszystkim jednak chlopiec, ktory stal tuz obok i ktorego znala przez cale swoje zycie, a ktory z uwaga wpatrywal sie teraz w nia trzema blekitnymi zrenicami. Sancha nie umiala jeszcze w pelni zrozumiec tej przemiany, byc moze zreszta nigdy nie zdola jej ogarnac. Czula sie bezradna i samotna, jak nigdy wczesniej. Wiedziala, ze powinna sie odezwac. Pozegnac z nim. Zyczac szczeniwej drogi. Zapytac, czy sie jeszcze kiedykolwiek zobacza. Ale zupełnie nie wiedziala, jak to zrobic.**

**–Dokad pojedziecie? – spytala w koncu.**

**Nic innego nie przyszlo jej do glowy.**

**–Pewnie na wzgorza. – Bianco wzruszyl ramionami. – Moze argusi przyjma nas do siebie, przeciez czasami porywaja ludzkie dzieci. Jesli nie odpedza nas od razu, jakos nauczymy sie zyc miedzy nimi. Inaczej... – Przelknal sline. – Znam jaskinie za poludniowym cyplem. Jakos sie w nich ukryjemy.**

**Do zimy, pomyslala Sancha. Kiedy nadejda mrozy i sztormy, nikt nie zdola samotnie przetrwac na skraju morza. Szczegolnie zas staruszka i chlopiec.**

**Nie powiedziala jednak tego glosno. Nie powiedziala zupełnie nic, kiedy jej przyjaciel – argus – odwrocil sie i ruszyl przed siebie waska drozka pomiedzy ciemnymi domami. Stala pod l'Albero del Miracolo, coraz bardziej skostniala od porannego chlodu. Dopiero, kiedy koziol Bel przytruchtal pod dab, wtulila twarz w jego smierdzace, skoltunione futro i rozplakala sie. Zwierzak stal cierpliwie, ocierajac sie o nia cieplym, kosmatym bokiem, poki ptaki nad nimi, w konarach debu, nie zaczely glosno krzyczec. Wtedy bodnal ja lekko i beczac z cicha, poprowadzil do domu.**

**\*\*\***

**Malenkie okienka, przesloniete rybia blona, nie wpuszczaly wiele swiatla, ale zaraz po przebudzeniu Sancha pojela, ze slonce stoi juz wysoko. Zbyt wysoko. Matka nigdy, chocby i po nieprzespanej nocy, nie pozwalala dziewczynce wylegiwac sie na sienniku. Od gnusnosci kosci gnija, mawiala, i duch sie do grzechu sklania. Cos, wiec musialo sie wydarzyc. Cos niedobrego, bo w chacie nie bylo nikogo i nawet**



**ogien pod piecem wygasl do cna.**

**Na podworku, przy korycie, siedzial bazarz i rzezbil kozikiem w kawalku drewna. Dlugie struzyny opadaly na ziemie, wysypana dla porzadku morskim piaskiem. Czasami jakas kura, zwabiona obietnica latwego posilku, odrywala sie od stadka, ktore dziobalo pilnie u podnoza kompostnika. Przypadala do starca, chwytala jasny wiorek w dziob, po czym, trzepoczac skrzydlami, umykala, co sil w nogach.**

**–Zostalo troche mleka w dzbanku – rzekl na powitanie. – I podplomyki schowalem w garnku na piecu.**

**–Gdzie matka?**

**Podniosl na nia oczy – teczowki byly bladoniebieskie, wypelzle od starosci – lecz jego palce, zacisniete na trzonku nozyka, ani na chwile nie zmylily rytmu.**

**–Z innymi – odparl spokojnie.**

**Poczula, jak cos dlawiacego narasta jej w gardle.**

**–Na przystani – wyjasnil bazarz. – Chlopcy wrocili.**

**–Ucisk zelzal. Zaczerpnela gleboko powietrza.**

**–Znalezli syreny?**

**Przypomnial sie jej gulgodiwy smiech potworow, a takze ich leniwe igraszki w zatoce, na lewym brzegu strumienia, i nie byla calkiem pewna, jaka odpowiedz wolalaby uslyszec. Bo jednoczesnie byla niemal pewna, ze udane polowanie nastawi przychylniej ojca Barnaba i przynajmniej na jakis czas odwiedzie go od poszukiwan Bianca.**

**–Tak – powiedzial powoli. – Cale stado potworow. Morze bylo czerwone od ich krwi, tak powiadaja. Ale zdolali dokonac czegos wiecej. Pojmali na otwartym morzu syrene i przywiezli ja ze soba. Zywa.**

**–Jakim sposobem? – zdumiala sie. – Przeciez jej glos...**

**Nigdy wczesniej nie zdarzylo sie nic podobnego – ani w historiach bazarza, ani w legendach o wspanialych czynach swietych. Spomiedzy wszystkich potworow syreny byly najbardziej niezwykle i najbardziej plochliwe. A takze najgrozniejsze. Czasami, przy odrobinie szczescia, mozna je bylo przydybac i zabic. Ale nie pochwycic.**

**–Ponoc ogluszyli ja na poczatku bosakiem. – Bazarz mowil zupełnie zwyczajnie, nie**

czyniac nic, by zmienić te niezwykła przecież wyprawę w cudowną, baśniową opowieść. – Potem skrepowali ją linami i wepchneli w usta szmaty, aby nie przywołała huraganu ani żadnego ze swych pobratymców.

–Co zamierzają z nią zrobić?

–Na razie ojciec Barnabo nakazał zbudować dla niej szopę w przystani, nieopodal świątyni. Poswiecił już grunt, żeby żaden potwór nie zakradł się nocą i nie pomógł syrenie w ucieczce. Teraz razem z innymi kończy ciosac kolki na ostrokoły i ploty, co się je wokół postawi. Syrene zamknęli w koszu, bo dafnisy wciąż się krzewia na polach i brakło czasu na widowiska. Ale po pracy będzie nagroda. Mnich kazał zarządzić wieprzka i wytoczyć beczulkę czerwonego wina. Powiada, że trzeba uczcić to cudowne wydarzenie.

Istotnie, było prawdziwym cudem, że ojciec Barnabo postanowił rozstać się z jednym ze swoich wieprzy, a okazja do zabawy nie trafiała się ostatnio w osadzie zbyt często. Jednak Sancha jakos się nie ucieszyła. Obserwowała białe, poskrecane strużyny, które wciąż opadały spomiędzy palców bajarza, z dziwną pewnością, że starzec coś ukrywa. Coś, co bezpowrotnie zgasi jej radość.

–Dlaczego nie poszedłes z innymi?

–Widywałem już syreny – padła szorstka odpowiedź. – Niekoniecznie na postronku i pobite tak, że mięso odchodzi im od kości. Poza tym... – Odłożył noż i przekrzywiwszy głowę, przyjrzał się swojemu dziełu, małej figurce chłopca z uniesionymi wysoko rękami. – Poza tym wiesniacy pochycili nie tylko syrenę.

\*\*\*

Bianco wisiał na l'Albero del Miracolo, przybity do pnia wielkimi żelaznymi cwiekami. Głowa opadła mu nisko, ale kiedy powiew wiatru odgarnął włosy, Sancha spostrzegła, że jego trzecie oko, oko argusa, wypalono rozżarzoną żelazną. Po policzku wędrowała wielka mucha o błękitnym odwłoku.

Kiedy podeszli bliżej, Carisio, którego postawiono na straży truchła, rzucił krótkie spojrzenie starcowi i dziewczynce, po czym przyzwalając skinal głową i znowu zamarł, oparty o długą włócznię. Nie był zbyt mądry, ale oddany ojcu Barnabie jak pies. Dawno temu właśnie głos mnicha przeważał nad obawami wiesniaków, którzy lekali się głupca, jego wykrzywionej, zmarniałej ręki i nieustannie zaslinionej twarzy. Jednak ojciec Barnabo nie dopatrzył się w nim znamienia potwora i ostatecznie Carisio został w osadzie. Sancha nie próbowała nawet prosić, aby odstąpił kilka kroków i choć na moment zostawił ją samą z przyjacielem. Skoro mnich kazał Carisiowi stać na straży l'Albero del Miracolo, ten pozostanie w jego cieniu choćby do końca świata.

**Bajarz delikatnie dotknął jej ramienia.**

**–Jednak go złapali – powiedziała ochryplym, obcym głosem. – Za długo był ze mną. Gdybym go nie zatrzymała, miałby szansę.**

**–Nieprawda – odparł starzec. – W osadzie urodził się gegenees i mnich dobrze wiedział, co należy uczynić. Kiedy Bianco wrócił po matkę, mężczyźni już na niego czekali. Sprowadził ich stary Dino, który zeszłej nocy utracił syna na morzu z winy potworów i jak niczego na świecie pragnął im odplacić. Podkradli się cicho, z sieciami, aby omotać zdobyczą, z dragami i bosakami. Ale zlekcewżyli argusową zrenicę, a Bianco też miał noż, więc może przed wieczorem Dino dołączy do swego syna.**

**–Czy on...? – Nie mogła oderwać wzroku od twarzy chłopca, brudnej i pokrytej zaciekami zakrzepłej krwi. – Czy jeszcze...?**

**–Nie. – Stary potrząsnął głową. – Po tym, jak zranił Dina, zatłukli go w kacie chaty bosakami. Bali się bliżej podejść. Niby argus nie kakos, nie plunie im w twarz jasnym ogniem ani nie zaczadzi oddechem. Ale przecież z potworem nigdy nic nie wiadomo, a chłopiec wil się ponoc i syczał, jakby im się miał przed oczyma przemienić w jeszcze większe dziwo. Nikt, więc się tam za długo nie zastanawiał. Tylko mnich z początku bardzo sarkał i burczał, bo chciał schwycić żywe monstrum i wypróbować na nim święte oleje. No, ale udobruchał się szybko – dodał, zaciskając wargi w wąską kreskę. – Ma przecież syrenę.**

**–A matka Bianca?**

**Bajarz odwrócił wzrok.**

**Niespodziewanie Carisio zanosił się ostrym, szczekliwym śmiechem. Zachwiał się, włocznia wysunęła mu się z palców. Przytrzymał ją niezdarnie lewą, wyschniętą ręką i zaraz ugodził w grzbiet jednego z czarnych wioskowych kundelków, który, korzystając z zamieszania, próbował podkręcić się bliżej l'Albero.**

**Carisio wyprostował się znowu. Na jego twarzy lśniły kropelki sliny.**

**–Wisi po drugiej stronie l'Albero del Miracolo, żeby na synka nie spoglądała i żeby na nas stąd nowe nieszczęście nie spadło – oznajmił bełkotliwie, jak miał we zwyczaju. – A gebe ma szmatami zatkana, więc możecie sobie popatrzeć.**

**Dziewczynka uczyniła szybki krok naprzód, jakby chciała się rzucić na strażnika, lecz bajarz pochwycił ją za ramię. Szarpnęła się raz i drugi, starzec jednak wciąż trzymał, z siłą zdumiewającą w jego wieku.**

**–Chodźmy stąd – powiedział, kiedy poddała się i przestała walczyć.**

**–Nie na przystan.**

**–Dobrze – zgodził się. – Dokąd zatem?**

**–Na pole – odparła bez wahania. – Nikt nam nie przeszkodzi, bo dafnisy i tak trzeba wyplewić przed zmierzchem.**

**Brwi bazarza drgnęły, a twarz spochmurniała na chwilę.**

**–Zgoda – rzekł jednak cicho.**

**\*\*\***

**Dzień był słoneczny i kiedy tylko słońce wspięło się wyżej, od nagrzanej, twardej ziemi podniósł się okrutny skwar. Sancha zatrzymała się na moment, podparła na rękach i z trudem rozprostowała plecy. Jej spodnica pozółkła już od pyłu, a kolana, poranione od pelzania po kamieniach, piekły niezmiernie.**

**Matka była chyba zadowolona, kiedy po powrocie z przystani zastała ją z motyka na polu. Wprawdzie przedko zaczęła mruzczyć pod nosem, po czym kazała córce przenieść się do winnicy, gdzie nie będzie się plątać ludziom pod nogami i przeszkadzać im w ciężkiej pracy. Ale nie utyskiwała głośno na niezdarność i ślepotę dziewczynki. Dała jej nawet bukłak wody, który Sancha nieopatrznie zostawiła w domu. Tylko na bazarza nie zwracała zupełnie uwagi, choć razem z innymi wyrwał z ziemi młode, purpurowe potworki. Dla niej równie dobrze mogłby nie istnieć.**

**Starzec też przystanął, chwycił się tyczki, podpierającej winorośl, i dźwignął z wysiłkiem. Nie pozostało tu wiele dafnisów, zresztą kamienista gleba winnicy nie neciła ich zbyt wiele, wolały uprawne pole. Ale wichry niosły je szeroko i niektóre z potworów wykiełkowały właśnie tutaj. Trzeba było obejrzeć każdy krzaczek, rozgarnąć liście i z bliska przepatrzyć szczepy, czy nie kryją się między nimi czerwone, chwytny pędy. Niby winnica nie była duża, zaledwie kilkanaście rzędów krzewów, ale wąskim paskiem ciągnęła się pomiędzy rzędem wzgórz i niełatwo było ją obrobić.**

**–Odpocznijmy – poprosił starzec.**

**Ziemia opadła tutaj lekko, a grzbiety dwóch pagórków kryły ich przed wzrokiem pozostałych wiesniaków.**

**Zamiast odpowiedzieć, dziewczynka zacisnęła dłoń na czerwonej wici i szarpnęła ją z całej siły. Przyssawki natychmiast przyłgnęły do skóry, a piekące nici owinęły się wokół przegubów. Az sapnęła z bólu. Dafnis zaskrzeczał wstretnie, wystrzelając ku niej kolejne chwytny pędy. Usłyszała dźwięk pekających parzydełek, które rozpryskiwały się, uwalniając zrączy jad. Kilka kropli spadło jej na policzki. Na**

szczęście potwór nie zdążył się jeszcze w pełni rozwinąć, więc zapiekło tylko jak od sliny ropuchy. Dorosły dafnis mógłby ją oslepić.

Jakby to mogło wiele zmienić, pomyślała gorzko, ocierając twarz rekawem. I tak oslepne. Matka przepowiedziała mi to dawno temu.

Obraz rozmazał się nagle, jak zwykle, kiedy przypominała sobie tamte słowa, a wici dafnisa zmieniły się w bezkształtną purpurową plamę. Znowu zapiekło, kiedy Iza spadła w miejsce podrażnione jadem. Może i lepiej, pomyślała Sancha; koncentryczne, jaskrawe kregi wirowały jej przed oczami, a dafnis wil się w jej palcach i pisał, walcząc o wolność. Może i lepiej, jeśli świat jest platanina rozmazanych plam.

W tej samej chwili kregi zbiegły się wreszcie w twarz Bianca, tak wyraźna, że niemal krzyknęła. Na szczęście potwór uległ w końcu. Korzenie z młaskiem wyszły z ziemi, ale wici nie chciały się jeszcze poddać. Czepiały się ubrania Sanchy i boleśnie targaly za warkocz, kiedy niosła dafnisa do ogniska.

–Uspokój się! – Bajarz unieruchomił jej dłonie i odciął nożem najbardziej uparte z pedów. – I wytrzymaj natychmiast ręce.

Jad wgryzł się głęboko w skórę i oleista wydzielina była teraz przemieszana z krwią. Bol ustał, zastąpiony przez odretwienie. Niezdarnie otarła ręce o spodnice. Bajarz z dezaprobatą zacmokał wargami.

–Trzeba obmyć i przewiązać – zdecydował.

–Po co? – Wzruszyła ramionami.

Popatrzył na nią przenikliwie, po czym wziął dzban i chlusnął na jej dłonie wodą. Była krystaliczna i tak zimna, że dziewczynka aż się wzdrygnęła.

–Dostyc, Sancho – powiedział. – Jutro rany się zaognia. Nikomu to nie przyniesie pożytku, jeśli stracisz kilka palców. Najmniej zaś tobie.

Oddał długi pas u dołu tuniki i obwiązał rany.

–Bol nie przytłumi bólu – dodał łagodnie. – Okaleczysz się tylko.

–Nienawidzę ich! – wybuchła Sancha. – Matki, ojca Barnaba, wszystkich! Czy nie dość im syren? Musieli jeszcze jego? Zresztą mnie syreny nigdy nic złego nie zrobiły. Po co więc? Z jakiego powodu?

Bajarz ciężko opadł na kamień wyznaczający skraj winnicy.

**–Aby uporządkować świat. Wyznaczyć granice i brzegi. Oddzielić wodę od nieba. Ziarno od plew. Potwory od ludzi.**

**Buntowniczo zadarła głowę.**

**–Ponieważ są złe?**

**Starzec westchnął.**

**–Dziecko, na to nie znajdziesz u mnie odpowiedzi. Ja tylko zbieram historie. Znam tak wiele opowieści, ile jest gwiazd na niebie, ale wciąż nie rozumiem, co jest dobre, a co złe. Nie jestem mnichem.**

**–Matka mówi, że jesteś czarodziejem! – rzuciła mu w twarz, bo ogarnęła ją wściekłość i nie chciała dłużej słuchać jego łagodnego głosu. – Ze za twoje występki wypędzono cię z miasta na pustkowie, a Wszchemogacy odebrał ci magię i skazał cię na wieczną tułaczkę po krancach świata. Dlatego nie starzejesz się jak inni, nie tknie cię nagle choroba ani sztorm na morzu, ani inne nieszczęście. Ale w twoim cieniu podążają demony. I nawet potwory wyczuwają ich oddech. – Zamilkła, bo przestraszyły ją własne słowa i łatwość, z jaką wypłynęły z pamięci, choć słyszała je tylko raz, pewnej zimowej nocy, kiedy matka wróciła z długich modłów w kościele, a ojciec spał twardo, zmęczony niemieszanym winem.**

**Bajarz nie skarcił jej jednak. Siedział w milczeniu, z głową zwieszoną na piersi. A kiedy przemówił, nie wyczuła gniewu.**

**–Opowiem ci historie – powiedział – o tym, skąd się wzięły dafnisy.**

**Właściwie wolałaby, żeby ją uderzył. Przynajmniej miałaby pewność, że usłyszał jej słowa, że miały dla niego jakiegokolwiek znaczenie.**

**–Nie chce... – zaprotestowała.**

**–Wysłuchaj mnie, dziecko – przerwał. – Może wtedy zrozumiesz. Dawno, dawno temu w odległym mieście żył mag, który nade wszystko kochał kwiaty. Jego wieża z daleka przypominała ukwiecony powietrzny ogród, a ludzie ściągali z najodleglejszych stron, aby popatrzeć na niezwykle rośliny, które hodował. Pod wieżą płynął strumień, a z mostu nad nim zwieszały się wielkie krzaki pakli. O zmierzchu muszle otwierały się, ukazując gapiom nozki dzikich gości, które dojrzewały w paklach niczym w jajach, a kiedy osiągnęły dojrzałość, z chlupotem spadały do wody i odpływały, gegając donosnie. Nad brzegiem rosło też bursztynowe drzewo. Zapach żywicy zwabiał ryby aż z głebin oceanu: ocierały się z łoboscią o pień i wypluwały ogromne bryły ambry, która po wyschnięciu pachniała jak najkosztowniejsze pizmo.**

Wiatr rzucił mu prosto w twarz kłab duszacego dymu z ogniska, w którym dogorywały wyrwane dafnisy. Sanchy wydało się, że bładoniebieskie oczy starca zaszklily się od łez.

–W warzywniku kwitło cudowne ziele moly, którego dotyk chronił przed mocą demonów. W ogrodzie posadzono drzewa, których liście były uczynione z czystego złota i na widok przechodnia szumiały najdziwniejsze melodie, a także motylowe krzewy – na ich galeziach nieustannie unosiły się barwne chmury owadów, i drzewo trucizn, które kwitło tylko raz w roku, ale won jego kwiatów zabijała każdego, kto wciągnął ją w nozdrza. Były kwiaty odzywające się ludzkim głosem, takie, których płatki mieniły się wszystkimi kolorami teczki, i takie, których zapach oszalał jak wino. Cudowności, zebrane we wszystkich ogrodach świata, a także wiele roślin, których nie widziano nigdzie indziej, ponieważ mag stworzył je niepojętą sztuką, wplotł najdelikatniejsze z demonów pomiędzy zielone pędy i liście, aby odtąd radowały ludzkie oczy swoim widokiem. Na całej ziemi nie było cudowniejszego miejsca...

Dziewczynka mimowolnie skinęła głową, pochłonięta magicznym rytmem opowieści.

–Ze wszystkich stron Polwyspu przybywali do wieży posłowie, bo każdy z władców pragnął, aby mag stworzył dla niego roślinę, niepowtarzalną i jedyną w swoim rodzaju. Czarodziej chętnie spełniał te prośby, rozumiejąc, że jego sztuka zapewnia mu podziw i bezpieczeństwo, żadne, bowiem wojsko, żadne magiczne zawieruchy i nawałnice nie przekraczały granic jego ogrodu. Był szczęśliwy. Całymi dniami nie wychodził z pracowni. Mieszał gleby, kruszył wapien, dodawał glinę i prochnice, aby ziemia była tłusta i urodzajna. Szczepił drzewka, przycinał pędy, kształtował korony drzew. A nocami zwabiał do swej wieży demony, chwytł je i petał zakleciami, a potem ostrożnie łączył z materia. Zmieniał je, formował w nasiona lub kwiaty i, zakłete w obce kształty, z dumą zamykał w szklanych butlach albo zwyczajnie sadił w ogrodzie. Az pewnego dnia...

Z drugiej strony pagórki rozległy się niewyraźne nawoływania. Sancha drgnęła, gdy rozpoznała głos ojca, ale nie, nie wykrzykiwał jej imienia. Podniesionym głosem rozprawiał o czymś z sąsiadami.

–Az pewnego dnia – powtórzył bajarz – pilna wiadomość wywabiała go z pracowni, gdzie trudził się właśnie zamówieniem od pana najbliższej twierdzy. Obiecał stworzyć dla niego roślinę piękną i niebezpieczną jak żadna inna, która w potrzebie będzie walczyć niczym żołnierz i zabijać nieprzyjaciół. Powinna mieć chwytne pędy, aby opleść i unieruchomić wrogów, jad, co wypali im oczy i poparzy skórę, a na koniec – purpurowe kwiaty, by ich widok oczarował i zwiodł nawet tych, którzy spodziewają się podstępów. Dzieło sztuki i śmiertelna pułapka zarazem. – Pokreślił głową. – Wyzwanie godne prawdziwego mistrza.

**Ostatnie dafnisy, syczac, dopalały się w ognisku.**

**–Pochłonięty myślami nad doborem składników i sposobem najskuteczniejszego wykorzystania demona w roślinie mag wyszedł, zapomniawszy zamknąć za sobą drzwi. Zagadka zaprzętała go tak dalece, że nie spostrzegł swojej córki, która bawiła się lalkami, ukryta w okiennej wnęcie. Zazwyczaj nie zwracał większej uwagi na milczące, płowowłose dziecko. Wystarczało mu, że mała nie buszuje w ogrodzie i trzyma się z daleka od pracowni. Tym razem jednak zostawił otwarte drzwi. Dziecko zeszło się z marmurowej ławeczki i popchnęło je lekko.**

**Wiatr coraz mocniej rozmiatał popioły. Szare płatki, wciąż w kształcie liści, unosiły się nad płomieniami.**

**–Wielu zastanawia się, jak wygląda człowiek pochłaniany przez demona. Czy krzyczy, miota się, jest rozrywany na strzępy? Czy płonie jak pochodnia, czy raczej gasnie łagodnie i bez dźwięku? Czy duch otacza go jak powietrzny wir i popycha w taniec, z którego nie ma powrotu, czy może człowiek ogarnia swoją śmierć ramionami i przyciąga do piersi? Prawda jest taka, że nie ma jednej odpowiedzi. Za każdym razem jest inaczej. Dlatego mag nigdy nie dowiedział się, jak wyglądała śmierć jego córki. Odszedł zbyt daleko, by usłyszeć zarówno szelest liści, jak i przedśmiertny krzyk. Powrócił wiele godzin później. Rozpierała go niecierpliwość. Księżyc stał już wysoko na niebie, a na ścianach komnaty zarzył się seledynowy mech, lecz w jego świetle czarodziej nie dostrzegł nic nadzwyczajnego. Dopiero, kiedy podszedł do stołu, gdzie zwykł tworzyć nowe nasiona i sadzonki, ogarnął go niepokój. Poczł zapach krwi. Mdląca, metaliczna won, której nie sposób pomylić z czymkolwiek innym. Ale posrodku stołu, w wielkiej donicy z wypalanej gliny, kwitł purpurowy kwiat, piękny i niepodobny do żadnego innego, otoczony długimi, chwytymi wiciami, które falowały i wodziły za każdym ruchem maga niczym żywe stworzenie.**

**Dziewczynka rozprostowała palce. Pokrwawiona szmatka, która przewiazwała rany, zaczynała już sztywnieć.**

**–Mag nie był głupcem i zrozumiał od razu, czym był ów nieuchwytny składnik, którego potrzebował, aby roślina stała się tym, co zamierzył. Patrzył na nią z zachwytem, niepomyślny na los zblakłego sługi lub jednego z wielu ogrodników, którzy zwykli podlewać i nawozić jego twory. Przepelniała go radość i dumą, nawet wówczas, gdy chwytne wici wślizgnęły się w rękaw niczym małe ciekawskie zwierzątka i przyczepiły się parzydełkami do skóry. Odmotał ją delikatnie – była jeszcze bardzo młoda i zbyt słaba, by umieć się obronić – wdział rękawice z grubej skóry i zniósł roślinę na dół, gdzie wszyscy mogli ją podziwiać. Jednak zamiast wysłanników księcia spotkał w ogrodzie własną żonę, która na próżno wykrzykiwała pomiędzy drzewami imię ich córki. Dafne.**



**Sancha skulila sie, choc przeczuwala juz wczesniej kres tej opowiesci. Ale w zaden sposob nie umiala dostrzec cienia nieznajomej dziewczynki w purpurowych kwiatach dafnisow. Nie potrafila sie nawet nad nia litowac. Kraina czarodziejow byla zbyt daleko -a moze istniala jedynie w basniach wedrownego starca.**

**–Kiedy roslina uslyszala swoje imie, wygiela sie w rekach ojca i wydala dzwiek. Wrzask byl odrazajacy i zarazem pelen rozpaczny. Wtedy mag w pelni pojal, co sie wydarzylo. Dluugo trwalo, zanim zdolal napoic malzonke odurzajacym wywarem i sam zapadl w plytki, pelen zalu i goryczy sen. Nie mieli wiecej dzieci, bo krew czarodziejow nie pleni sie latwo, zawsze gotowa rozsadzic naczynie, w ktorym ja zamknieto. Dlatego zona maga opuscila cicho noca komnate i ruszyła przez pusta wieze do pracowni, by wsrod czerwonych lisci dafnisa odszukac zagubiona corke. Nie zdolala jednak odnalezc nic, procz potwora. Nic wiecej nie pozostalo juz do odnalezienia. A dafnis byl mlody i lapczywy, spragniony pozywienia. Dokladnie taki, jakim go uczyniono. Kobieta podeszla blizej, pochylila sie nad nim, a purpurowe wici oplotly jej szyje i zacisnely sie mocno. Kiedy rankiem mag zawedrowal do pracowni, nie pozostalo po niej ani sladu. Dafnis pochlonal wszystko – krew, mieso, skore, kosci – i przetworzyl w kiscie szkarlatnych kwiataw.**

**Skinela glowa. Te czesc rozumiala bardzo dobrze. Widziala kiedys owce, ktora, uciekajac przed psami, zapedzila sie nieopatrznie w kepe potworow.**

**–W tamtych czasach niewielu moglo rownac sie z potega maga, byl przy tym czlowiekiem wynioslym i nie wybaczal latwo zniewag. Wiedzial, ze nikt nie osmieli sie wypominac mu smierci zony i dziecka. Ostatecznie stworzyl cud, jakiego nigdy wczesniej nie ogladano na Polwyspie, zyjaca roslina-bestie, a obie, matka i corka, nalezaly do niego, podobnie jak drzewa w ogrodzie i kwiaty wiszacych ogrodow wokol wiezy. Ale mag byl tez czlowiekiem dumnym i naprawde kochal swoja zone. Tego samego dnia, o brzasku, podlozyl ogien pod wieze i wyrzekl sie wszelkiej magii. Ostatecznie i nieodwolalnie. Poniewaz jednak nie ufal sobie wystarczajaco, uwalnial kolejno demony, spetane w cudach jego ogrodu, a na koniec rzucil ostatnie zaklecie, ktore wymazalo z jego umyslu cala przekleta wiedze czarodziejow. Do ostatniego zdzbla, do najdrobniejszej kruszyny. Potem ruszyl przed siebie, na oslep, byle dalej. Nie spostrzegl oslonietych blona nasion dafnisa, ktore uniosly sie znad pogorzelska. Oto cala historia. Zamilkl, wyczerpany. Ognisko rowniez ledwie sie tlilo.**

**–Czy naprawde tak bylo?**

**–Skad mam wiedziec? – zachnal sie bazarz. – Pamietaj, ja tylko snuje historie.**

**–Ale gdybys chcial – nalegala – gdybys bardzo pragnal, moglbys mi powiedziec, jak naprawde bylo?**

**Starzec nastroszyl brwi.**

–Kiedy wiele lat temu po raz pierwszy zawitałem do waszej osady, wiesniacy zaprowadzili mnie prosto do ojca Barnaba. Zapytał mnie wtedy, czym się trudnię. Opowiadam historie, odparłem. Nic więcej? – spytał mnich. Nic więcej, odrzekłem. Niech, więc tak będzie, powiedział. Świat jest pełen złamanych obietnic, dziecko. Lecz spośród wszystkich innych te chciałbym zachować nienaruszona. Jestem jak pusty dzban. Przemierzam świat, niosąc w sobie cudze opowieści. Nic więcej. Już nie.

\*\*\*

Uroczystość rozpoczęła się po zmierzchu. Na placu rozwieszono lampiony z wydrążonych tykw i blon nasiennych dafnisów. Nocna bryza kolysała nimi delikatnie i szkarłatne błyski pelgaly po twarzach świętych, których posagi zdobiły portyk przybytku. Ojciec Barnabo, jak przyobiecwał, nakazał wytoczyć z łożyska beczulke wina i zarznac wieprzka, a zasobniejsi wiesniacy dorzucili kilka kozłat. Stary Alessandro przygrywał na dudach. Bekliwy dzwiek niosł się daleko po zatoce, wieszcząc zwycięstwo nad potworami, a dziewczęta i chłopcy tanczyli pospolu wokół wielkiego ogniska, co nie zdarzało się często w osadzie. Tym razem mnich widac postanowił przytknąć oko na bezwstyd młodych. Siedział na pustej beczce, popijał niemieszane wino i uśmiechał się laskawie.

Kiedy nie było już więcej powodów, aby zwłoczyc w winnicy, Sancha – choc z oporem – pozwoliła się bajarzowi zaprowadzić do ognia. Matka wybiegła im na spotkanie, a jej krok, zwykle nierówny, stał się dziwnie płynny i rozkolysany. Wypity trunek odjął jej z tuzin lat: twarz wygładziła się, na policzki wyszły ceglaste rumience, oczy nabrały połysku, a spod czarnej chustki wysmyknelo się kilka kosmyków ciemnych włosów.

–Moja coreczka! – Matka przyklekła i mocno objęła Sanchę ramionami. – Moja mała dziewczynka. Mamy coś dla ciebie, malenka. Niezwykle, cudowne remedium, po którym staniesz się jak inne kobiety. Przejrzysz na oczy, zaczniesz krwawic, a potem urodzisz wielu silnych synów – mówiła z coraz większym przejęciem.

Sancha na darmo próbowała zrozumiec jej słowa.

–Później. Jeszcze przed switem. Ale teraz baw się z innymi. – Matka poglaskala policzek Sanchy. – Baw się. – Popchnęła ją lekko w stronę ognia.

Sancha posłusznie podreptała naprzód i zaraz wpadła na grupę tanczących. Czyjes rece pochwyciły ją mocno i pociagnęły do kregu. Potem ktos przystawił jej buklak do ust i przechylił mocno, aż wino pociekło jej po brodzie szeroka struga. Dudy beczaly donosnie. Skwierczał swiniak, obracany nad mniejszym ogniskiem. Ciemne sylwetki wirowaly wokół ognia, a iskry unosily się wysoko po czarnym, jesiennym niebie. Tylko dym, ciemny i tłusty, przypominał o woni palonych dafnisów i dziewczynce,

**ktora niegdys zagubila sie w potworze.**

**Na szczescie wino bylo slodkie i mocne, niemieszane. Uderzalo prosto do glowy.**

**Zdolala jakos wywinac sie i cofnac w bok, w cien. Z ulga przysiadla na chlodnej trawie. Tuz obok niej przemknela jakas para: dziewczyna miala rozpuszczone warkocze i chichotala, tulac sie do boku chlopca, a on obejmowal ja ciasno wpol. Znikli szybko w zaroslach.**

**Zewszad dobiegaly ja glosy, wyostrzone i donosne od nadmiaru trunku. Rozpoznawala tylko jednego z chlopcow, ktory zeszlej nocy wyplynal na morze, by scigac syreny. Siedzial na stopniach do swiatyni, glosno rozprawiajac, jak to posrodku odmetu zdolali odnalezc syrene i pochwycic ja w sieci. Sluchano go chetnie, dzien w wiosce minal, bowiem spokojnie i strach przed uwiezionym monstrem oslabl nieco. Nawet starcy, ktorzy rankiem przestrzegali przed zemsta potworow, teraz wstydliwie wymykali sie do przystani, by popatrzec na syrene. Mlodzi szli zupełnie otwarcie, przepijajac do siebie z dzbanow i buklakow. Napitku nie brakowalo: beczulka wina z piwniczki ojca Barnaba najwyrazniej ulegla cudownemu rozmnozeniu.**

**Wreszcie stary Alessandro ze znuzeniem odlozyl dudy i opadl na zydel. Tance wygasaly powoli. Mlodzi rozchodzili sie, przysiadali z wolna na trawie na skraju placu.**

**–Opowiesc! – zawolal ktos znienacka.**

**–Opowiesc! – podchwycili inni. – Gdzie jest bazarz? Przyprawdzic bazarza!**

**Sancha drgnela gwaltownie, usilujac wypatrzyc gdzies jego wysoka sylwetke. Nie dostrzegla go zrazu, lecz krzyki stawaly sie coraz bardziej natarczywe.**

**–Dobrze – dobiegl ja gleboki glos starca.**

**Wtedy go zobaczyla po drugiej stronie plomieni: nie wiecej niz ciemny zarys postaci, dziwnie samotnej wsrod tlumu rozradowanych wiesniakow. Uniosl dlon, czekajac, az wszyscy sie ucisza.**

**–Dam wam opowiesc – podjal w zupelnej ciszy. – Opowiesc godna uswiecic wasz dzisiejszy triumf.**

**Sanchy wydalo sie, ze poprzez ogien spoglada prosto ku niej.**

**–Dawno, dawno temu byl sobie palac na wysokiej gorze nad brzegiem ciesniny, ktora byla blekitna jak niebo i siegala samego dna swiata. W palacu mieszkala zona poteznego ksiecia. Jej pan nieustannie wojowal z sasiadami, czesto byla, wiec**

samotna. W pogodne noce kładła się na szczycie wieży i długo patrzyła w niebo, choć mądrzy ludzie przestrzegali ją, że ten, kto zbyt wysoko podnosi wzrok, rychło ściagnie na siebie nieszczęście. Ona jednak nie wierzyła, aż wreszcie w ciemności i pustce przybliżył się ku niej demon i posiadał ją, przybrawszy postać labedzia.

Dziewczynka sapała ze zgroza na wzmiankę o przekletem ptaku. Jak wszyscy, znała dobrze legende o Cigno Nero dal Valle delle Fiamme, która napadła świętego Nina wraz z wielką armią demonów i walczyła z nim na moście, zwanym Pilastrri del Cielo.

–Pani zachowała napasc w sekrecie. Jej małzonek powrócił niebawem i nie dowiedział się o niczym. Wkrótce uczynił ją brzemienną. Ale kiedy zległa w stosownym czasie, zamiast dziecka urodziła wielkie labedzie jajo.

Pomiędzy wiesniakami przeszedł szmer. Oglądali wiele nowo narodzonych potworów.

–Książe wpadł we wściekłość. Przebił mieczem niewierną małżonkę, potem zaś rozplątał jajo. Ale zatrzymał się, kiedy ze środka wśród błon i wód owocowych wypłynęły ludzkie dzieci. Dwie dziewczynki i dwóch chłopców. Czworaczki. – Przerwał i wychylił kubek wina dla zwilżenia gardła.

–Wezwano czarnoksiężnika, aby rozsadził, kto jest ich ojcem, zły duch czy książe. Jednak dzieci były podobne do siebie jak dwie krople wody, na żadnym też nie znalazł znamienia demona. Wyczuł mimo to, że coś jest nie tak, choć nie umiał powiedzieć, co by to miało być. Postanowiono, więc pozostawić je przy życiu, a w kilka miesięcy później, kiedy kolor ich oczu ustalił się i nabrał intensywności, okazało się, że dwoje z nich ma źrenice błękitne jak morze, dwoje zaś czarne jak niebo pomiędzy gwiazdami. Znowu sprowadzono czarnoksiężnika, który rozstrzygnął, że w zylach dwojga płynęła odziedziczona po ojcu magia, pozostała zaś dwojka została naznaczona przez przekletem demona. Jako że był człowiekiem roztropnym, poradził księciu, aby co prędzej zabić pomiot demona, nim ściagnie jeszcze większe nieszczęście.

Wiesniacy pokiwali głowami w uznaniu dla mądrości jego słów. Od lat doświadczali podstępności potworów i wiedzieli, jak należy z nim postępować.

–Książe jednak przywiązał się niezmiernie do dzieci i nie dał wiary ostrzeżeniom. Mijały lata. Malcy rosli szczęśliwie, bacznie obserwowani przez księcia i domowników, lecz mag pozostał nieufny i z każdym rokiem jego zaniepokojenie się pogłębiało. Inni widac wyczuli jego niepokój, ale nic nie mogli uczynić, nie zdradził, bowiem nikomu, które z dzieci pochodziły od demona, a oprócz koloru oczu niczym nie różniły się między sobą. Aż pewnego dnia, kiedy książe jak zwykle udzielał posłuchania ze szczytu wysokich schodów, nieoczekiwanie zachwiał się i na oczach

**zdumionych dworzan spadł z tysiąca marmurowych stopni, skreciwszy sobie kark. Pomimo całej potęgi i wszelkich bogactw, które zdołał zgromadzić, żadna magia nie mogła już przywrócić go do życia.**

**–Tak zwykle bywa – wtracił stary Alessandro i jego pokryte bielmem oczy błysnęły w ciemnej twarzy. – Śmierć dla wszystkich równie okrutna, dzieci i starców, książąt i niedzarzy.**

**–Ci, którzy stali najbliżej, zaklinali się jednak, że książę spadł za przyczyną jednego z chłopców, tego o czarnych oczach, i rychło w całym zamku obwołano go synem demona, choć on sam głosił się prawym dziedzicem ojca i spadkobiercą jego praw. Na poddanych padł wielki strach. Najodważniejsi z nich, a może najbardziej przerażeni, zakradli się w nocy do komnat książęcych dzieci, aby pochwycić pomioty demona w sieć i ukamienować je na dziedzińcu za ojcoobójstwo. Ale znaleźli jedynie niebieskookiego chłopca i jego siostrę, której teczkowki również były pełne magii. Ich siostra i brat zdołali zbiec – jak potem mówiono, za przyczyną ojca-demona, który przestrzegł ich przed napastą. Wymknęli się z pałacu, ukradli rybacką łódź i głuchą nocą spuścili ją na wzburzony odmet cieśniny.**

**–Utoneli? – zapytał z nadzieją któryś z młodszych chłopców, wyraźnie oczekując, że wnet sprawiedliwości stanie się zadość.**

**Jednak nie była to noc moralnej nauki. Nie w opowieści Bajarza.**

**–Ocaleli. – Starzec potrząsnął głową. – Zbudowali sobie dom po drugiej stronie cieśniny, na bliźniaczej białej skale, a z czasem wyrosło wokół niego wielkie, ludne miasto. Jednak nikt z jego mieszkańców nie przeprowadzał się na drugi brzeg, do pałacu i otaczających go posiadłości, gdzie wciąż uważano ich za potomków demona-labedzia. Potem nastal czas wojen. Oba miasta zmarniały i powoli popadły w ruiny. A cieśnina pomiędzy nimi rosła coraz bardziej, aż wreszcie stała się głęboka jak niebo...**

**Dobra chwila minęła, nim wiesniacy pojeli, że opowieść dobiegła końca. Długo nikt nie wazył się odezwać. Tylko morze biło o brzeg i chrząszcze grały głośno w kolczastych zarostach.**

**–To już wszystko? – wyrwało się wreszcie jakieś dziecko.**

**Bajarz skinął głową. Sancha miała wrażenie, że ponad dogasającym ogniskiem wciąż patrzy prosto na nią.**

**–Ale o czym była ta opowieść? – nalegało dziecko.**

**–Właśnie – przyłączył się inny, starszy głos. – O czym ona właściwie była?**

Starzec jednak milczał uparcie, wpatrując się w mrok nad resztkami płomieni. Jego słuchacze wiercili się i popatrywali na siebie z coraz większym zakłopotaniem. Innej zgola opowieści oczekiwali w dniu równie świętego zwycięstwa nad syrenami.

–Bajarzu! – Carisio szarpnął starego za ramię. – Ocknijcie się, bajarzu!

Starzec wzdrygnął się, jak wyrwany z głębokiego snu, ale tylko wymamrotał coś pod nosem, podniósł się i powoli ruszył ku przystani. Nikt go nie zatrzymywał, choć zdumienie wiesniaków pogłębiało się z każdą chwilą.

–Glupiscie! – huknął zniechęca ojciec Barnabo. – Jest moral w opowieści, ale go widzieć nie chcecie. Mówi on, że byście lekali się miłośności kobiet, które, niby owa księżna, dla zaspokojenia swej chuci nie wahają pokładać się z obmierzniętymi demonami. A także, że trzeba się strzec potworów i trzeźwić je, póki są młode i słabe, bo potem rozrosną się i namnożą, jako tamtych dwoje dzieci, których potomstwo zapełniło ludne miasto.

Jednak mieszkańcy wioski nie wydawali się należycie zbudowani nabożnym wyjaśnieniem mnicha. Markotnie rozchodzili się po placu ku stolom zastawionym chlebem, ostrym serem, cebulą i figami, kosztowali potrawy z młodego kozłecia, uduszonego w mleku matki. Wreszcie ktoś tracił starego Alessandra w ramię i dudy rozbezczały się na nowo.

Sancha podniosła się także. Wino uleciało jej już z głowy i chciała się niepostrzeżenie wymknąć z zabawy, ukryć w komorce i płakać do rana. Jednak matka była czujna, jak zwykle.

–Jeszcze nie czas do domu – napomniwała, acz bez zwykłej złości. – Ojciec nasz światobliwy chce z tobą mówić. Ale wcześniej napij się wina. – Wcisnęła jej w dłoń pełen kubek. – I masz być rozradowana przed jego obliczem. To dzień wielkiego święta. Zwłaszcza dla ciebie.

Nie rozumiejąc zupełnie, co oznaczają te słowa, Sancha posłusznie wychyliła napitek i pozwoliła się zaprowadzić do ojca Barnaby. Z matka nie należało się sprzeczać, szczególnie teraz, gdy rozpierało ją dziwne podniecenie. Dreptała razno, nucąc coś pod nosem. Sancha nie umiała sobie przypomnieć, kiedy widziała ją w podobnym nastroju.

–A więc jesteś. – Mnich popatrzył na nią bystro. Jego ciemne oczy, zapadnięte głęboko w czaszkę, polyskiwały jak u drapieżnego ptaka. – Twoja matka jest zacna, nabożna niewiasta. Uprosiła, abym modlił się za ciebie dzisiaj i błagał Pana, on, bowiem jeden ma zdolność uzdrawiania wszelkich chorób, izby wejrzał na ciebie łaskawie w dniu, kiedy doświadczylismy już tak wielu cudów.

Dziewczynka słuchała go w oszłomieniu, gdyż nie należała do ulubienic

wioskowego mnicha i z rzadka mowil z nia rownie laskawie. Ojciec Barnabo tymczasem siegnal za pazuche i dobyl drewniane puzderko.

–I zeslal mi Pan odpowiedz – oznajmil z duma, zdejmujac wieczko. – Oto jest remedium niezawodne, ktore cie ocali i rozproszy ciemnosc.

Rece matki zacisnely sie na jej ramionach jak kleszcze.

–Krew przekletego argusa, zmieszana ze swietymi olejami, aby przywrocic ci wzrok – dokonczyl mnich i wyciagnal ku niej palec pokryty czerwona mazia.

Odruchowo przymknela oczy. Poczula na powiekach chlodny dotyk, a w nozdrzach osobliwa metaliczna won – i dopiero wtedy zrozumiala.

–Nie! – wykrzyknela, z calej sily odpychajac od siebie mnicha.

Zdolala tylko zobaczyc, jak ojciec Barnabo zachwial sie na beczcze. Zamachal rozpaczliwie rekami, bezwlose, zylaste lydki blysnely w mroku, gdy fiknal w tyl. Matka zawyla z przestrachu. Sancha wyszarpnela sie i runela przed siebie na oslep, wrzeszczac, kopiac i grzmocac piesciami tych, ktorzy usilowali ja zatrzymac. Wpadla pomiedzy resztki ogniska, potknela sie na nadpalonej glowni i przewrocila w zar. Wtedy ja pochwycili.

–Ciii! – Chlodna, starcza dlon zakryla jej usta, tlumiac krzyk.

Zadygotala z zimna i trwogi. Zmacala w ciemnosci krawedz marmurowego blatu, na ktorym lezala, sprobowała sie podniesc. Bajarz ja podtrzymal delikatnie.

–Gdzie...? – zapytala cicho.

–Zamkneli cie w swiatyni – wyjasnil schryplym szeptem. – Rzucasz sie, gryzlas i wylas jak zwierz. Potem mnich odprawial nad toba jakies egzorcyzmy, ale przestal po tym, jak kopnelas go w przyrodzenie. Powiedzial, ze opetal cie demon i z dawna juz podejrzewal, ze tak bedzie, skoro nieustannie prowadzalas sie z przeklętym argusem. I ze jego krew pobudzila cie do szalu.

Sancha gwałtownie zamrugala, by strzasnac lzy. Powieki wciaz miala sciagniete i obce od skrzeplego oleju.

–Nie moze tu zostac – odezwala sie nagle.

Jej glos zabrzmial glucho w pustej nawie swiatyni. Bajarz milczal.

–Zadrecza mnie. Matka, ojciec Barnabo i reszta. Nie wybacza mi Bianca.

Cos zaszuralo na belkach u powaly. Mysz, szczur albo inne drobne zwierzatko.

**–Musisz mi pomoc uciec.**

**Starzec poruszył się nieznacznie. Zaszleścił płaszcz.**

**–Jak wiele z tego rozumiesz, dziecko? – odezwał się po długiej chwili.**

**–Wiem, że złapia mnie i przyprowadza z powrotem. Jeśli mi nie pomożesz.**

**Wyczuła, że znowu poruszył się w ciemności.**

**–Przy bramie stoja wartownicy, Carisio i inni. Mnich przykazał, aby nikomu nie pozwolili odejść. Mówił, że jeśli ktoś teraz spróbuje uciec, będzie to na pewno powiernik złego ducha i przyjaciel potworów.**

**–Ciebie jednak wypuszcza. Nie jesteś stąd.**

**Westchnął ciężko.**

**–Nie przeniosę cię na plecach ani nie ukryję w jukach. Chocbym chciał.**

**–Ale nie chcesz.**

**Oskarżenie zawisło między nimi w powietrzu jak dym nad ogniska. Znowu zapiekło ją w oczach.**

**–Nie chce – przyznał wreszcie starzec. – Obiecałem mnichowi...**

**–Sa rzeczy ważniejsze od twoich obietnic! – podniosła głos. – Ja jestem ważniejsza. Bianco był ważniejszy. Lecz pozwoliliśmy, żeby go zabili. Prawda jest taka, że to nasza wina. Twoja też!**

**–Prawda... – Młaskał i głosno przełknął ślinę. – Prawda jest nieogarniona jak niebo i głęboka jak morze, dziecko. Można się w niej zanurzyć, wciągnąć ją w płuca jak powietrze i nigdy nie wypłynąć na powierzchnię, nie zaczerpnąć nowego oddechu. Najokrutniejsza z opowieści nie należy szafować bez powodu, bo jeśli zbliżysz się do niej za bardzo, pali jak ogień i pozostawia ślady.**

**–Opowiedz mi, więc.**

**–Nie, dziecko. Każda z moich historii była specjalnie dla ciebie. Musisz je tylko zrozumieć.**

**–Nie potrafie.**

**–Ojciec Barnabo dobrze was wyszkolił – rzekł powoli. – Po zarazie, kiedy na Polwyspie ich wykleto, szarzy mnisi rozeszli się po wyspach jak robactwo. Tutaj nikt**



**ich nie scigal. Tutaj mogli zyc spokojnie i niesc swoja nienawisc z wyspy na wyspe. Czy zastanawialas sie, co bylo tu wczesniej? Zanim przybyli?**

**Bez slowa potrzasnela glowa.**

**–Pustkowie. Jednak przez dziesiatki lat i wieki magowie tworzyli nowe monstra, az wreszcie Arcipelago wezbral purpurowa piana. Wyspy staly sie ziemia potworow.**

**–I nasza.**

**Ze swistem wciagnal powietrze. Az sie przestraszyla, ze wiesniacy poturbowali i jego.**

**–Bazarzu? – Lekko dotknela jego ramienia.**

**Wzdrygnal sie i odsunal jej reke.**

**–Kiedy nadeszli szarzy mnisi, wszystkie wyspy i blekitne morze pomiedzy nimi nalezaly do potworow. Potworow o rozmaitych ksztaltach i najdziwniejszych formach. A niektore z nich, z powierzchni bardziej ludzkie od innych, a takze najrozumniejsze, wychynely ze swych kryjowek i osad, aby powitac obcych, i chetnie sluchaly ich slow...**

**–Nie! – Zatkala palcami uszy. – Przeszan! Przeszan natychmiast!**

**Jednak oczywiscie bylo juz za pozno.**

**–Zastanawialas sie czasami – glos bazarza dobiegl ja z ciemnosci, miekki i gietki jak zmija – dlaczego wciaz rodza sie wsrod was argusi i gegeneesi? Dlaczego z kazdym pokoleniem w wiosce przybywa slepcow, jednorekich i kalek?**

**Rozplakala sie.**

**–Demon nie spaja sie latwo z zywym cialem – ciagnal nieublaganie starzec – i niechetnie trwa w ludzkiej formie. Nawet, jesli minie wiele pokolen, jego natura pozostaje dzika, nieokielznana, gotowa wypaczyc sie w obce ksztalty. Coraz czesciej, wiec trzeba polowac na argusow ze wzgorz i coraz wiecej dzieci trzeba topic w blekitnych wodach zatoki, aby podtrzymac zludzenie. Aby uporzadkowac swiat, oddzielic wode od nieba. Aby ocalec.**

**Przypomniala sobie, ze juz raz wypowiedzial te slowa, lecz wowczas nie pojela ich prawdziwego znaczenia.**

**–A ty? – zapytala. Gardlo miala scisniete od placzu. – Czy zechcesz mnie ocalic?**

**–Dlaczego mialbym to zrobic?**

**–Poniewaz, czymkolwiek jestem, jestem prawdziwa.**

**\*\*\***

**Ostroznie przemknęła się przez plac, pomiędzy resztkami ogniska, porzuconymi stolami i pustymi beczkami.**

**–Przez brame nie zdołam cię wyprowadzić – rzekł bazarz. – Musisz popłynąć przez zatokę. Będzie czekał na prawym brzegu, przed skałami skylli. Nie bierz łódki, łatwiej będzie cię dostrzec. I nie zwlekaj. Musisz zdążyć przed świtem.**

**Nie była dobrą pływaczką. Bianco, który całe dni spędzał w przystani, usiłował nauczyć ją nurkować, ale niebieski przestwór zatoki przerazał ją. Biała się zanurzyć, aby pod powierzchnią wody nie pomylić kierunków i nie płynąć coraz głębiej, aż na samo dno morza. Nigdy też nie śmiała zapuścić się na środek zatoki, skąd nie zdoła dostrzec brzegu. Pośrodku zatoki stała się jeszcze bardziej ślepa niż zwykle. Wszystkie kierunki były takie same i niebo zlewało się z wodą. Nawet, kiedy miała przy sobie Bianca, szybko wpadała w panikę, zaczynała na oślep młoczyć rękoma, a fala zalewała jej oczy i wypełniała nozdrza. Dlatego nie wierzyła, że zdoła dopłynąć w miejsce wyznaczone przez bazarza. Ponieważ jednak nie pozostało nic innego, zamierzała spróbować.**

**Na szczęście wiesniacy spali, znużeni światłowaniem, więc nikt jej nie zatrzymał. Kiedy skradła się obok szopki, w której uwięziono syrenę, usłyszała słaby, niemal niedosłyszalny dźwięk. Kwilenie albo chlupot – nie umiała rozstrzygnąć. Zawahała się. Potem zaś, doskonale rozumiejąc, że nie powinna tego robić, odemknęła skobel.**

**Przy drzwiach zawieszono oliwny kaganek, widac w obawie, że mrok wzmocni magiczne moce potwora, więc Sancha mogła się dobrze przyjrzeć zdobyczy. Syrena leżała w wielkiej balii, do połowy wypełnionej wodą. Rece miała skrepowane w nadgarstkach, wykrecone za głowę i solidna, konopna lina przywiązane do haków w ścianie. Nie walczyła już, wyprężone ciało spoczywało nieruchomo na wodzie. Na dźwięk kroków Sanchy nie uniosła nawet głowy. Oddychała tylko ciężko spoza zasłony poszarpanych, skoltunionych włosów. W usta wepchnięto jej zwitek szmat, aby śpiewem nie przywołała huraganu ani nie sprowadziła na wioske morskich monstrów.**

**Sancha nie była jednak pewna, czy syrena zdołałaby w ogóle wydać głos. Srebrzystożółta łuska jej ogona poszarzała i wyblakła, skóra pokrywała krwawe wybroczyny, ślady ran i rany po haczykach. Ogon drgał spazmatycznie, a woda w balii była różowa od posoki. Kiedy dziewczynka podeszła całkiem blisko, zobaczyła, że bledszą skórą na brzuchu potwora porusza się i faluje nieustannie.**

**Odskoczyła, przestraszona, że na jej oczach syrena przemieni się w inne monstrum**

**i zerwie wiezy. Ale kiedy tamta wygiela sie w luk i wydala kolejne, bolesne stekniecie, dziewczynka zrozumiala, co sie dzieje. Calkiem niedawno slyszala te same dzwieki w chacie Niny.**

**Syrena rodzila.**

**Zafascynowana, Sancha przygladala sie, jak ciałem monstrum targaja kolejne skurcze. Krew rozchodzila sie w wodzie ciemnymi klebami, ogon z pluskiem uderzal o powierzchnie. Wreszcie przykucnieta obok balii dziewczynka zobaczyla glowke dziecka. Syrena odrzucila glowe do tyłu. Twarz miala czerwona z wysilku, w oczach – blaganie tak intensywne, ze Sancha az sie cofnela. Male syreny wyslizgnelo sie do wody, wciaz polaczone z matka czerwona nicia pepowiny. Bylo brzydkie, umazane sluzem i krwia. Zamachalo ogonem, rozpaczliwie usilujac wydobyć sie na powierzchnie i zaczerpnac oddechu. Sancha z wahaniem podtrzymala jego glowke. Zakwililo slabo, zupełnie jak ludzki noworodek. Glowa syreny opadla na bok, pod wode, i znieruchomiala. Dlugie wlosy rozsypaly sie na powierzchni. Nie zyla. Dziecko plakalo coraz glosniej.**

**–Cicho. – Niezdarnie zaczela je kolysac.**

**Nie miala nic, aby przeciac pepowine, wiec przegryzla ja, a potem, jak we snie, przeszla przez prog. Nie trudzila sie zamykaniem skobla. Tak czy inaczej, syrena zdolala wymknac sie z uwiezi. Wyszla na pusta plaze. Morze ciepla fala omylo jej stopy. Dziecko syreny oddychalo spokojnie w jej ramionach. Nie wiedziala, co dalej uczynic. Czy moze wystarczy, ze polozy noworodka na powierzchni, a woda uniesie go dalej, do swoich? Czy tez powinna znalezc sposob, aby przywolac syreny i oddac im dziecko? Czy moze ukryc gdzies na brzegu, aby potwory odnalazly je o poranku? Na niebie slabo polyskiwaly gwiazdy. Stala z dzieckiem w ramionach, czekajac na przyplyw.**

**This file was created with BookDesigner program**

**bookdesigner@the-ebook.org**

**2009-11-30**

***LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/***